

NINA GEORGE

Lawendowy pokój



Zachwycająca historia o miłości,
która przywraca do życia



NINA GEORGE

Lawendowy pokój



Tłumaczenie

PAULINA FILIPPI-LECHOWSKA

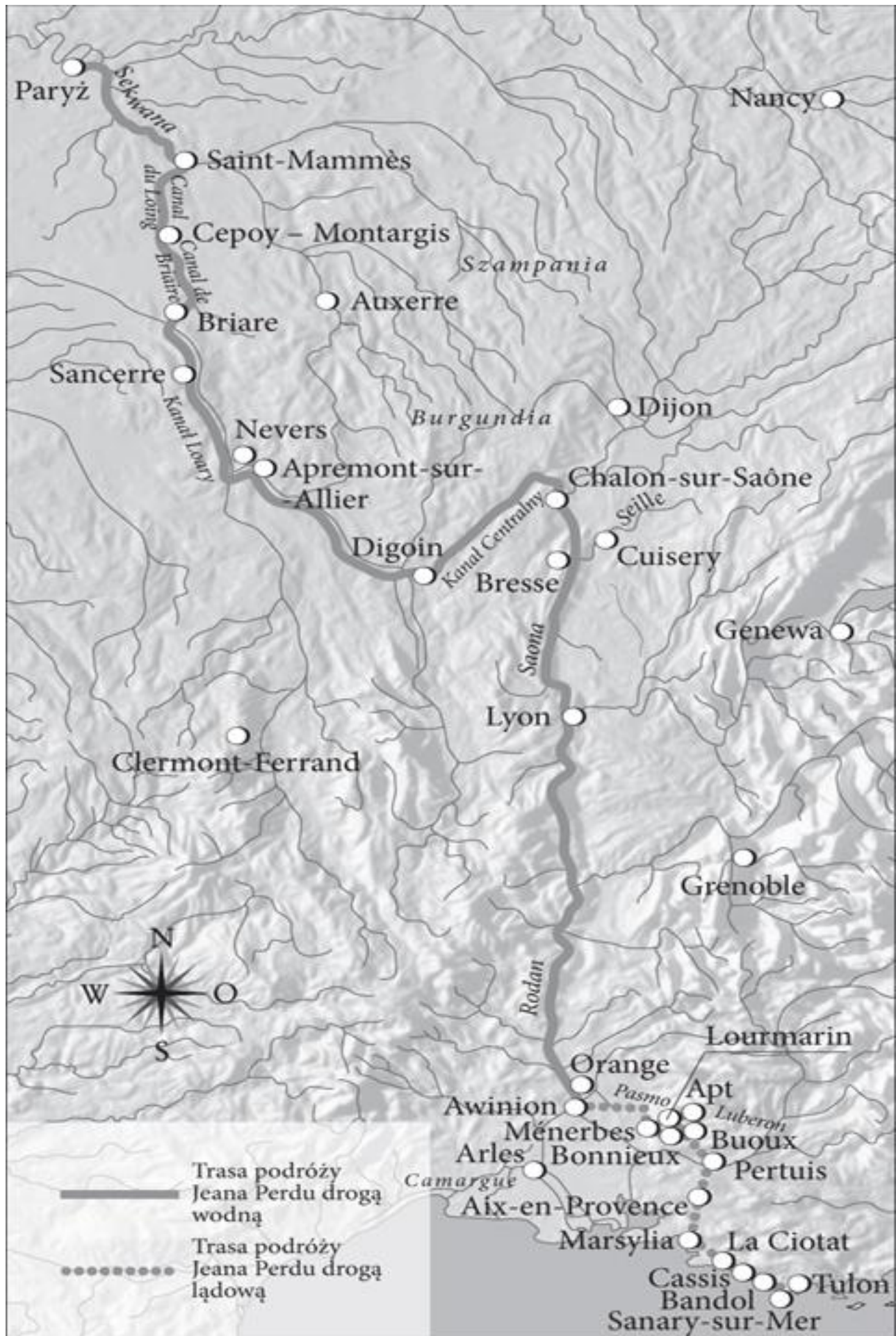
WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2014

Powieść dedykuję mojemu ojcu Joachimowi Albertowi Wolfgangowi George'owi zwanemu Szeroki Jo, urodzonemu 20 marca 1938 roku w Sawalde / Eichwaldau, zmarłemu 4 kwietnia 2011 roku w Hameln.

*Tato, wraz z Tobą odeszła jedyna osoba, która czytała wszystko, co kiedykolwiek napisałam. Będzie mi Ciebie brakowało już zawsze. Widzę Cię co dzień w wieczornym świetle i w każdej morskiej fali.
Odszedłeś w pół słowa.*

Nina George, styczeń 2013

*Tym, którzy odeszli.
I tym, którzy nadal ich kochają.*



Trasa podróży Jeana Perdu i Maksa Jordana

1

Że też dałem się na to namówić? – pomyślał Perdu.

Władczyni kamienicy 27, madame Bernard, właścicielka, i madame Rosalette, konsjerżka, dopadły pana Perdu pomiędzy swoimi mieszkaniami na parterze i naraz wzięły w obroty.

– Ten Le P. paskudnie obszedł się z żoną.

– Haniebnie. Niczym mól ze ślubnym welonem.

– Niektórym nie ma się wprawdzie co dziwić, patrząc na ich małżonki. Istne lodówki w kostiumikach od Chanel. Ale mężczyźni? Same potwory.

– Drogie panie, sam nie wiem, co...

– Oczywiście nie chodzi o pana, monsieur Perdu. Pan jest prawdziwym kaszmirem pośród materii, z jakich utkani zostali mężczyźni.

– W każdym razie będziemy mieli nową lokatorkę. Na czwartym piętrze. Tam gdzie i pan ma swoje mieszkanie.

– Tylko że ona nic nie ma. Zupełnie nic, pomijając zdruzgotane marzenia. Potrzebuje wręcz wszystkiego.

– I tu zaczyna się pana rola. Proszę dać, co pan może. Każda darowizna będzie na wagę złota.

– Naturalnie. Może jakaś dobra książka...

– Myślałyśmy raczej o czymś bardziej praktycznym. Może stół. Ta pani nie ma...

– ... nic. Tak, rozumiem.

Księgarz nie bardzo wiedział, co może być bardziej praktyczne od książki. Obiecał jednak, że podaruje nowej lokatorce stół. Chyba ma jeszcze jakiś.

Pan Perdu włożył krawat między guziki swojej białej, porządnie wyprasowanej koszuli i starannie podwinął jej rękawy. Do środka. Zakładka po zakładce, aż do łokci. Następnie zmierzył wzrokiem regał z książkami w korytarzu. Za nim znajdował się pokój, do którego nie wchodził od dwudziestu jeden lat.

Dwadzieścia jeden lat oraz jedno lato i noworoczny poranek.

Jednak to właśnie tam znajdował się ów potrzebny stół.

Głośno odetchnąwszy, sięgnął po pierwszą lepszą książkę z półki. *Rok 1984* Orwella. Nie rozpadła się ani nie ugryzła go niczym nadąsana kotka.

Wziął więc do ręki kolejną powieść i dwie następne, po czym obiema rękami zaczął wygarniać z półki całe naręczka książek i układać je w sterty obok regału.

Stery zamieniły się w drzewa. Wieże. Czarodziejskie góry. Popatrzył na ostatnią pozycję, jaką trzymał jeszcze w ręce, *Północ w tajemniczym ogrodzie*. Baśń o podróży w czasie.

Gdyby wierzył w przeznaczenie, uznałby to za znak od losu.

Podbił pięściami półki, by je wyważyć. Następnie zrobił krok do tyłu.

Oto są. Wyłoniły się. Spoza muru słów. Drzwi do pokoju, gdzie...

Przecież mógłbym po prostu kupić jej ten stół – pomyślał Perdu.

Pan Perdu przesunął dłonią po ustach. Tak. Odkurzyć książki, odłożyć je na dawne miejsce i zapomnieć o tych drzwiach. Kupić stół i dalej żyć, jak w ciągu ostatnich dwóch dekad. Za dwadzieścia lat skończy siedemdziesiątkę i jeszcze... zresztą może nawet wcześniej umrze.

Tchórz.

Zacisnął dygoczącą dłoń na obrotowej klamce.
Powolutku wysoki mężczyzna otworzył drzwi. Pchnął je ostrożnie, zacisnął powieki i...
Tylko księżycowa poświata i suche powietrze. Wciągnął je nosem, chwilę analizował, ale nie znalazł niczego.

*Zapach *** zniknął.*

W ciągu ostatnich dwudziestu jeden lat pan Perdu doszedł do takiej wprawy, że omijał w myślach ***, jak gdyby chodziło o otwartą studzienkę ściekową.

Najczęściej określał ją jako ***. Niczym milczenie pośród szmeru pozostałych myśli, niczym biała plama pośród obrazów z przeszłości, niczym ciemność pośród uczuć. Był w stanie wymyślić luki wszelkiego rodzaju.

Rozejrzał się. Pokój wydawał się teraz taki cichy. I wyblakły pomimo lawendowych tapet. Lata zamknięcia pozbawiły ściany koloru.

Światło z przedpokoju napotykało tu nieliczne przeszkody. Kawiarniane krzesło, stół kuchenny. Wazon z lawendą skradzioną ponad dwadzieścia lat temu z terenów Valensole. I pięćdziesięcioletni mężczyzna, który teraz usiadł na krześle, oplótnięty ramionami.

Tam kiedyś wisiały zasłony. A tu obrazy. Stały kwiaty i książki. Był kot o imieniu Castor, który wylegiwał się na sofie. Były świeczniki i szepty, kieliszki z czerwonym winem i muzyka. Cienie na ścianie, jeden duży, drugi precudowny. Kiedyś w tym pokoju panowała miłość.

Teraz jestem tylko ja sam.

Zacisnął pięści i przyłożył do piekących oczu.

Raz po raz przełykał ślinę, żeby powstrzymać łzy. Gardło zdało się nagle za wąskie, by nabrać tchu, a plecy płonęły z gorąca i bólu.

Kiedy znów mógł swobodnie przełykać, wstał i otworzył oba skrzydła okna. Z podwórza docierały różne zapachy.

Zioła z ogródka Goldenbergów. Rozmaryn i tymianek mieszały się z olejkiem do masażu pana Che, niewidomego podologa i „zaklinacza stóp”. A gdzieś pomiędzy nimi miła woń naleśników spleciona z ostrym i mięsistym aromatem afrykańskich potraw z grilla Kofiego. A ponad wszystkim zapach czerwcowego Paryża tchnącego kwiatami lipy i nadzieją.

Pan Perdu nie dopuścił jednak do tego, by owe zapachy nim zawiądnęły. Z całych sił wzbraniał się przed ich urokiem. Był naprawdę dobry w ignorowaniu wszystkiego, co mogłoby wywołać przypływ nostalgii. Aromaty. Melodie. Piękno przedmiotów.

Z pomieszczenia obok pustej kuchni przyniósł wodę i mydło potasowe, po czym zabrał się do szorowania stołu.

Bronił się przed rozmytym wspomnieniem tego, jak niegdyś siedział przy tym stole, nie sam, lecz z ***.

Czyścił i szorował, ignorując nurtujące go pytanie, co będzie dalej. Po otwarciu drzwi do tego pokoju, w którym zostały pogrzebane jego marzenia, cała jego miłość i cała przeszłość.

Wspomnienia są jak wilki. Nie da się od nich odgrodzić, w nadziei że cię zignorują.

Pan Perdu przesunął wąski stół w stronę drzwi, następnie przeniósł go ponad regałem i książkowymi górami na klatkę schodową aż pod drzwi mieszkania z naprzeciwka.

Już chciał zapukać, kiedy dobiegł go ten smutny odgłos.

Szloch. Stłumiony, jak gdyby ktoś łkał w poduszkę.

Za zielonymi drzwiami ktoś płakał.

Kobieta. W dodatku płakała tak, jak gdyby chciała, by nikt, ale to nikt jej nie usłyszał.

– To była żona tego, no wie pan, tego Le P.

Nie wiedział. Perdu nie czytywał paryskich bulwarówek.

Pewnego czwartkowego wieczoru madame Catherine „no wie pan” Le P. wróciła do domu z agencji swojego męża artysty, gdzie zajmowała się jego komunikacją z prasą. Jej klucz nie pasował jednak do zamka w drzwiach, na schodach stała walizka, a na niej papiery rozwodowe. Mąż przeprowadził się, nie podawszy adresu, wziął sobie stare meble i nową partnerkę.

Catherine – prawie byłej żonie tego Le drania – nie pozostało nic poza ubraniami, które posiadała jeszcze przed ślubem. Oraz naiwnością, która kazała jej, po pierwsze, uwierzyć, że przez wzgląd na dawne uczucie nawet po rozstaniu pozostaną z mężem w przyjacielskich stosunkach, i po drugie, uznać, iż zna męża na tyle dobrze, że ten niczym jej już nie zaskoczy.

– Takie pomyłki zdarzają się nader często – orzekła właścicielka kamienicy madame Bernard pomiędzy dwoma pyknięciami ze swojej fajki. – Poznajesz swojego męża naprawdę, dopiero gdy cię zostawi.

Pan Perdu jeszcze nigdy nie spotkał kogoś wyrzuconego tak bez serca ze swojego dotychczasowego życia.

Stał teraz, nasłuchując jej samotnego szlochu, który usiłowała stłumić dłońmi albo kuchennym ręcznikiem. Czy powinien ujawnić swoją obecność, wprawiając ją tym samym w zakłopotanie? Uznał, że najpierw przyniesie jeszcze wazon i krzesło.

Spacerował na palcach pomiędzy drzwiami swojego i jej mieszkania. Dobrze wiedział, jak zdradziecka bywa ta stara kamienica, które deski w podłodze skrzypią, które ściany, wstawione dodatkowo, są szczególnie cienkie, oraz które szyby wentylacyjne działają jak głośniki.

Pochylając się nad liczącą osiemnaście tysięcy elementów mapą z puzzli, która zajmowała cały poza tym pusty pokój, nasłuchiwał nadawanych przez kamienicę odgłosów życia pozostałych mieszkańców.

Kłótni Goldenbergów (On: „Nie możesz raz...? Dlaczego jesteś...? Czy ja nie mam...?” Ona: „Bo ty zawsze musisz... Ty nigdy nie robisz... Masz mi tu zaraz...”). Pamiętał ich oboje jeszcze jako młode małżeństwo. Wtedy często razem się śmiali. A potem przyszły dzieci i rodzice oddalili się od siebie jak dwa kontynenty.

Słyszał też elektryczny fotel inwalidzki Clary Violette pokonujący kanty dywanów, parkiety i progi. A kiedyś ta pianistka tak lubiła tańczyć.

Słyszał Che i młodego Kofiego, jak gotują. Che dłużej mieszał w garnkach. Był niewidomy od zawsze, ale powtarzał, że widzi świat poprzez zapachy i echo, jakie ludzie wywołują swoimi myślami i emocjami. Che potrafił wyczuć, czy w danym miejscu panowała miłość, codzienność czy też wzajemne niesnaski.

Każdej niedzieli Perdu nasłuchiwał także, jak madame Bomme i klub wdów chichoczą niczym pensjonarki nad niegrzecznymi książkami, których dostarczał im w tajemnicy przed ich zasadniczymi krewnymi.

Kamienica pod numerem 27 na rue Montagnard przypominała ocean iskierek życia, rozbijających się o samotną wyspę w postaci pana Perdu.

Nasłuchiwał tak od dwudziestu lat. Swoich sąsiadów poznał tak dobrze, że dziwił się nieraz, jak to możliwe, że oni wiedzą o nim tak niewiele (choć to akurat bardzo mu

odpowiadało). Nie mieli pojęcia, że nie posiada u siebie nic poza łóżkiem, krzesłem i stojakiem na płaszcze. Żadnych bibelotów, żadnej muzyki, żadnych obrazów, albumów z fotografiami, kanapy z fotelami albo naczyń (poza jednym kompletem). Ani o tym, że dobrowolnie wybrał tak skromne warunki. Oba pokoje, które zajmował, ziały taką pustką, że kiedy kaszlał, rozlegało się echo. W salonie na podłodze znajdowała się jedynie monstrualna układanka z puzzli z wizerunkiem mapy. Sypialnię dzieliły ze sobą materac, deska do prasowania, stojąca lampa oraz wieszak na kółkach z trzema identycznymi kompletami ubrań, złożonymi z szarych spodni, białej koszuli i brązowego swetra z wycięciem w serek. W kuchni stały kuchenka, puszka na kawę oraz regał z produktami spożywczymi ustawionymi w kolejności alfabetycznej. Chyba dobrze, że nikt jednak tego nie widział.

A jednak mieszkańcy kamienicy budzili w nim osobliwe uczucia. Nie wiedzieć czemu czuł się lepiej, mając świadomość, że dobrze im się wiedzie. Próbował też jakoś się do tego przyczynić, aczkolwiek raczej dyskretnie. Pomagały mu w tym książki. Poza tym trzymał się z tyłu, niczym tło obrazu, na którym rozgrywa się życie.

Ten nowy lokator z trzeciego, ów Maximilian Jordan, nie dawał mu wciąż spokoju. Nosił dobrane na miarę zatyczki do uszu, na to nauszniki, a w chłodne dni jeszcze wełnianą czapkę. Młody pisarz, który zaraz po debiucie okrył się sławą i odtąd stale uciekał przed wielbicielami, bo ci najchętniej zamieszkaliby razem z nim. W dodatku osobliwie interesował się jego osobą.

Podczas gdy Perdu zajęty był ustawianiem wazonu i krzesła, płacz za drzwiami ustał. Zamiast tego rozległo się skrzypnięcie podłogi. Ktoś starał się przy tym najwyraźniej stąpać po niej tak, aby nie skrzypiała.

Spróbował coś wypatrzeć przez mleczną szybkę w zielonych drzwiach, po czym zapukał dwa razy, bardzo delikatnie.

Do drzwi zbliżyła się jakaś twarz. Niewyraźny, jasny owal.

– Tak? – wyszeptał owal.

– Mam dla pani stół i krzesło.

Owal milczał.

Powinienem przemawiać do niej łagodniej. Płakała tak długo, że pewnie całkiem wyschła i się rozpadnie, jeśli odezwę się za głośno – pomyślał Perdu.

– I wazon. Na kwiaty. Czerwone, na przykład. Ładnie by wyglądały na białym obrusie.

Niemal przycisnął policzek do szybki. – Mogę pani podarować też książkę – wyszeptał.

Światło na schodach zgasło.

– Jaką książkę? – szepnął owal.

– Taką, która pocieszy.

– Ale ja muszę jeszcze popłakać. Inaczej się uduszę. Rozumie pan?

– Oczywiście. Czasami pływamy w nieprzelanych łzach i możemy utonąć, jeśli je w sobie zatrzymamy. – *Ja sam jestem na dnie takiego morza.* – W takim razie może przyniosę jakąś książkę do płakania.

– Kiedy?

– Jutro. Ale proszę obiecać, że do tego czasu, zanim znów zacznie pani płakać, najpierw coś pani zje i wypije.

Sam nie wiedział, dlaczego to powiedział. To pewnie przez te drzwi między nimi.

Szybka cała zaparowała od jego oddechu.

– Dobrze – powiedziała. – Dobrze.

Kiedy na klatce schodowej zapaliło się światło, owal cofnął się.

Pan Perdu przesunął dłonią po szybce. Tam gdzie przed chwilą widniała jej twarz.

A jeśli potrzeba jej czegoś jeszcze, komody, obieraczki do ziemniaków, to kupię i powiem,

że należały do mnie.

Wrócił do swojego pustego mieszkania i zamknął zasuwę. Drzwi do pokoju za ścianą z książek wciąż stały otwarte. Im dłużej patrzył w głąb pomieszczenia, tym bardziej wyglądało tam tak, jak gdyby powróciło owo lato 1992 roku. Kot zeskoczył z sofy na swoich białych łapkach i przeciągnął się. Słońce oświetlało nagie plecy, które obróciły się i zamieniły w ***. Uśmiechnęła się, wstała znad lektury i naga podeszła do niego z książką w ręku.

– Jesteś wreszcie gotowy? – zapytała.

Pan Perdu zamknął drzwi.

Nie – odpowiedział w myślach.

– Nie – powiedział pan Perdu również nazajutrz rano. – Tej książki wolałbym pani nie sprzedawać.

Łagodnym gestem wyjął z rąk klientki egzemplarz *Nocy*. Że też spośród wszystkich powieści w jego księgarni na wodzie o nazwie Apteka Literacka musiała wybrać akurat ten głośny bestseller Maximiliana *alias* Maksa Jordana. Tego nosiciela nauszników z trzeciego piętra kamienicy na rue Montagnard.

Klientka spojrzała na sprzedawcę z konsternacją.

– Ale dlaczego nie?

– Max Jordan nie pasuje do pani.

– Max Jordan nie pasuje do mnie?

– Zgadza się. Nie jest w pani typie.

– Moim typie. Aha. Przepraszam, ale chciałabym zwrócić uwagę, że szukam w pana księgarni książki. Nie męża, *mon cher* monsieur.

– Pani wybacz. To, co pani czyta, jest na dalszą metę bardziej decydujące aniżeli to, kogo pani poślubi, *ma chère madame*.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Proszę dać mi tę książkę, włożyć pieniądze do kasy i udajmy, że to nadal piękny dzień.

– To jest piękny dzień, jutro prawdopodobnie zacznie się lato. Jednak tej książki pani nie dostanie. Nie u mnie. Może mógłbym zaproponować pani kilka innych tytułów?

– Aha? I podtknąć mi jakąś starość, bo się panu nie chce wyrzucić jej za burtę, gdzie strułały się nią niejedna rybka? – Mówiła coraz głośniej.

– Książka to nie jajko. Nie psuje się tylko dlatego, że ma parę lat. – Pan Perdu także odezwał się ostrzejszym tonem. – Co to znaczy starość? Starość to nie choroba. Wszyscy się starzejemy, książki także. Jednak czy ktokolwiek jest mniej albo więcej wart tylko dlatego, że żyje na tym świecie trochę dłużej?

– Doprawdy to śmieszne, jak odwraca pan kota ogonem, tylko dlatego, żeby nie sprzedać mi tej głupiej *Nocy*.

Klientka – a raczej może nieklientka – wrzuciła portmonetkę do swojej eleganckiej torebki na pasku i pociągnęła suwak, chcąc go zamknąć, ale się zaciął.

Perdu czuł, że coś w nim wzbiera. Coś dzikiego, gniew, napięcie – tyle że nic związanego z tą kobietą. Ale nie mógł się powstrzymać. Ruszył więc za nią, podczas gdy ona z wściekłością przedzierała się przez wnętrza księgarni, i w mroku długich regałów zawołał w jej stronę:

– Ma pani wybór, madame! Może pani wyjść i na mnie napluć. Albo dokładnie od tej chwili oszczędzić sobie tysięcznych godzin przyszłych cierpień.

– Dziękuję.

– Oddając się książkom, a nie jałowym związkom z mężczyznami, którzy i tak traktują panią z lekceważeniem, albo idiotycznym dietom, bo dla jednego z nich jest pani albo niedostatecznie chuda, albo niedostatecznie głupia.

Zatrzymała się przy obszernym wykuszu i stojąc bokiem do niego, fuknęła:

– Wypraszam sobie!

– Książki uchronią panią przed głupotą. Przed fałszywą nadzieją. Przed niewłaściwymi mężczyznami. One otoczą panią miłością, siłą i wiedzą. To życie wewnątrz. Niech pani wybiera. Książka albo...

Nie zdołał dokończyć, bo obok przepłynął akurat jeden z paryskich statków wycieczkowych z grupą Chinek pod parasolami na pokładzie. Wszystkie naraz zaczęły teraz z zapalem fotografować słynną pływającą Aptekę Literacką.

Spod parowca w stronę nabrzeża popłynęły brunatno-zielone bałwany. Księgarnia zachybotała.

Klientka zachwiała się na swoich wysokich obcasach. Jednak Perdu, zamiast ją podtrzymać, wyciągnął w jej stronę *Elegancję Jeża* Muriel Barbery.

Z szybkim refleksem sięgnęła po książkę i chwyciła się jej mocno.

Perdu nie wypuścił jej z ręki i zaczął przemawiać do nieznamym spokojnie, delikatnie i niezbyt głośno.

– Potrzebuje pani pokoju tylko dla siebie. Niezbyt jasnego, z młodym kotkiem, który dotrzyma pani towarzystwa. I tej książki. Ale proszę ją czytać powoli. Aby tymczasem mogła pani wypocząć. Będzie pani sporo rozmyślać, może nawet płakać. Nad sobą. Nad minionymi latami. Ale potem poczuje się pani lepiej. Zrozumie pani, że nie trzeba umierać, choćby pani chciała, tylko dlatego że facet źle się z panią obszedł. I znów polubi pani siebie, nie będzie już pani o sobie myśleć, że jest brzydka i naiwna.

Dopiero po tych wskazówkach wypuścił książkę.

Kobieta utkwiała w nim wzrok. Przerazenie, jakie dostrzegł w jej oczach, dało mu pewność, że dobrze trafił. W samo sedno.

Potem upuściła książkę.

– Pan kompletnie zwariował – rzuciła i obróciwszy się na pięcie, ruszyła chwiejnym krokiem w stronę nabrzeża.

Perdu podniósł *Jeza*. Grzbiet książki wgniół się nieco pod wpływem upadku. Będzie musiał ją oddać za jedno, może dwa euro któremuś z bukinistów handlujących na nabrzeżu książkami trzymanymi w kartonach po bananach.

Potem popatrzył na kobietę. Jak przedziera się przez tłumy spacerujących. Jak dygocą jej ramiona pod żakietem.

Płakała. Płakała jak osoba świadoma, że to drobne zajście oczywiście jej nie złamie, ale czuje ból niesprawiedliwości, która spotkała akurat ją akurat teraz. Przecież została już wcześniej zraniona. Głęboko i brutalnie. Czy to nie wystarczy? Czy ten księgarz musiał jeszcze dokładać swoje trzy grosze?

Pan Perdu przypuszczał, że kobieta w swojej prywatnej skali idiotów od jeden do dziesięć jemu – temu głupekowatemu władcy tej jeszcze bardziej głupekowatej Apteki Literackiej – dała punktów mniej więcej dwanaście.

Przyznał jej rację. Jego wybuch, to impertynenckie zadufanie w sobie musiały chyba mieć związek z ubiegłym wieczorem i otwarciem pokoju. Zazwyczaj był dużo bardziej cierpliwy.

Dotąd w zasadzie żadne życzenie, żadne pretensje ani żadne dziwactwa jego klientów nie robiły na nim wrażenia. Podzielił ich nawet na trzy kategorie. Do pierwszej zaliczali się ci, dla których książki były niczym świeże powietrze pośród zaduchu codzienności. Tych lubił najbardziej. Ufali mu, gdy mówił im, czego potrzebują. Albo zwierzali mu się ze swoich słabostek – „tylko proszę, żadnych powieści z górami, windami czy widokami, bo mam lęk wysokości”. Niektórzy śpiewali mu – choć częściej nucili – ulubione piosenki z dzieciństwa, w nadziei że ten wysoki księgarz pomoże im odzyskać wspomnienia, oferując książkę, w której pojawiają się owe znajome melodie. I najczęściej tak się działo. Były czasy, kiedy sporo śpiewał.

Druga kategoria klientów odwiedzała Lulu, czyli jego księgarnię na wodzie przycumowaną do nabrzeża przy Champs-Élysées wyłącznie przyciągnięta jej nazwą – La Pharmacie Littéraire, Apteka Literacka. Kupowali zabawne pocztówki („Czytanie grozi utratą

stereotypów” albo „Kto czyta, nie kłamie – przynajmniej w tym samym czasie”), miniaturowe książeczki w brązowych flakonikach po lekarstwach lub robili sobie zdjęcia. Budzili jednak nawet jego sympatię w porównaniu z kategorią trzecią. Należeli do niej ci, którzy mieli się za arystokrację, choć w najmniejszym stopniu nie przypominali jej swoimi manierami. Wchodząc, nie mówili „dzień dobry”, nie patrzyli nawet na niego i obmacywali każdą książkę swoimi tłustymi paluchami, którymi wcześniej jedli pewnie frytki, zadawali pytania pełnym pretensji tonem: „A nie ma pan plastrów z wierszami? Albo kryminałów na papierze toaletowym? A dlaczego nie ma tu dmuchanych poduszek podróżnych, przecież to byłoby jak znalazł w aptece z książkami?”.

Matka pana Perdu, Lirabelle Bernier, po eksmężu Perdu, podpowiedziała mu, by sprzedawał także nalewkę franciszkańską i rajstopy na żylaki. Kobiety w pewnym wieku, siedząc w fotelu nad lekturą, miały bowiem problemy z krążeniem w nogach.

I bywały dni, że rajstopy sprzedawały się lepiej niż literatura piękna.

Westchnął.

Dlaczego ta klientka w tak drażliwej kondycji uparła się akurat na *Noc*?

No dobrze, nie zaszkodziłaby jej.

Przynajmniej nie za bardzo.

„Le Monde” okrzyknął tę powieść i jej autora Maksa Jordana „nowym głosem gniewnej młodzieży”. Czasopisma kobiece rozpyływały się nad „chłopakiem o wygłodniałym sercu”, publikując sesje zdjęciowe z jego podobizną – większą od okładki samej książki. Max Jordan za każdym razem wyglądał na nich na nieco zdziwionego.

I zranionego – pomyślał Perdu.

W debiutanckiej powieści Jordana roilo się od mężczyzn, którzy ze strachu przed utratą tożsamości potrafili zastąpić miłość wyłącznie nienawiścią lub cyniczną obojętnością. Pewien krytyk uznał nawet *Noc* za „manifest nowej męskości”.

Sam Perdu uważał ją jednak za dzieło niezbyt wysokich lotów.

Ot, rozpaczliwa, płynąca z głębi duszy konstatacja młodego człowieka, który kocha po raz pierwszy. I nie pojmuje, jak wyłączwszy samokontrolę, zacząć kochać oraz, także bez własnego udziału, z kochaniem skończyć. Czuje się zagubiony, gdy sam nie potrafi zdecydować, kogo kochać, przez kogo być kochanym i gdzie to wszystko się zaczyna, gdzie kończy oraz gdzie jest owo przerażająco nieobliczalne „w trakcie”.

Miłość, ta budząca grozę dyktatorka mężczyzn. Nic dziwnego, że w obliczu jej tyranii mężczyzna jako taki salwuje się ucieczką. Miliony kobiet czytały tę książkę, by zrozumieć, dlaczego mężczyźni są wobec nich tak okrutni. Dlaczego wymieniają zamki w drzwiach, dlaczego kończą z nimi za pomocą jednego esemesa, śpią z ich najlepszymi przyjaciółkami. A wszystko dlatego, by zagrać dyktatorce na nosie: Zobacz, nie dopadniesz mnie. O nie, nie mnie!

Ale czy to niesło kobietom pocieszenie?

Noc została przełożona na dwadzieścia dziewięć języków. Sprzedała się nawet w Belgii, jak skwapliwie poinformowała konsjerżka Rosalette. A wiadomo w końcu, co prawdziwy Francuz myśli o Belgach.

Max Jordan wprowadził się do kamienicy na rue Montagnard siedem tygodni wcześniej. Na trzecie piętro, naprzeciwko Goldenbergów. Póki co żaden z wielbicieli, prześladowających go liścikami, telefonami czy wyznaniem, jeszcze go tu nie wysledził. W internecie powstało nawet forum dyskusyjne na temat jego powieści. Wymieniano się tam postami na temat jego byłych dziewczyn (nieznane, a może Jordan jest jeszcze prawiczkim), jego ekscentrycznych upodobań (noszenie nauszników) oraz potencjalnych adresów (Paryż, Antibes, Londyn).

Uzależnieni od *Nocy* bywali częstymi gośćmi Apteki Literackiej. Nosili nauszniki i zaklinali jej właściciela, by zorganizował w księgarni spotkanie z ich idolem. Kiedy Perdu zaproponował to swojemu nowemu sąsiadowi, dwudziestojednoletek poblekł jak ściana. To tylko trema – orzekł Perdu.

Jordan był w jego oczach po prostu uciekającym chłopakiem. Dzieciakiem określanym bez jego zgody mianem literata. A dla wielu również zdrajcą na polu męskich potyczek uczuciowych. W sieci istniały bowiem także fora nienawistników, na których anonimowi hejterzy rozkładali jego powieść na czynniki pierwsze, ośmieszali ją i sugerowali autorowi, by postąpił tak jak jej nieszczęsny bohater, gdy już zrozumiał, że nie może kontrolować miłości – rzucił się do morza ze szczytu korsykańskich skał.

To, co było w *Nocy* najbardziej fascynujące, stanowiło także zagrożenie dla jej autora. Opowiadał on bowiem o tajemnicach męskiej duszy z taką szczerością jak nikt przed nim. Traktował wszystkie dotychczasowe ideały i wizerunki męskości w literaturze. „Prawdziwego faceta”, „mężczyzny ubogiego emocjonalnie”, „safandudy” czy „samotnego wilka”. „Mężczyzna też człowiek” oznajmiły feministki w jednym ze swoich czasopism, opisując debiutancką powieść Jordana.

Panu Perdu imponował jego wyczyn. Jednak z drugiej strony ta książka przypominała mu hiszpańskie gazpacho rozchlapujące się zawsze na obrusie. A jej twórca był chwiejny emocjonalnie i pozbawiony ochronnego pancerza. Był jak rewers samego Perdu.

Ciekawe, jak to jest odczuwać emocje tak intensywnie i pomimo to przeżyć.

W następnej kolejności księgarz obsłużył pewnego Anglika.

– Widziałem tu ostatnio taką książkę w zielono-białej okładce. Czy została już może przetłumaczona?

Perdu domyślił się, że chodzi o którąś pozycję z serii klasyki liczącej już siedemnaście lat. Nie sprzedał mu jej jednak, a w zamian zaoferował tomik poezji.

Potem pomógł kurierowi przenieść kontenery z zamówionymi wcześniej książkami z jego wozu na barkę, a następnie doradził pewnej zawsze zabieganej nauczycielce ze szkoły podstawowej po drugiej stronie Sekwany, co wybrać spośród aktualnej oferty dla dzieci.

Wytarł też nosk pewnej dziewczynce zatopionej w lekturze *Zorzy północnej* Philipa Pullmana. Zaś jej zapracowanej matce wypisał zaświadczenie o zwrocie podatku VAT za trzydziestotomowy leksykon, który sprzedawał jej na raty.

Kobieta, wskazując na córkę, powiedziała:

– To dziwne dziecko chce przeczytać cały leksykon do swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Zgoda, powiedziałam, niech ma tę encyke... encyko... nieważne, te książki. Ale musi zapamiętać o prezentach na urodziny. I na Boże Narodzenie.

Perdu popatrzył na siedmiolatkę i skinął jej głową. Ona zaś z powagą odwzajemniła ukłon.

– Myśli pan, że to normalne? – martwiła się matka. – W tym wieku?

– Myślę, że to odważne, mądre i słuszne postanowienie.

– A nie będzie potem za mądra dla mężczyzn?

– Dla głupich na pewno. Ale która takich zechce? Głupi mężczyzna to ruina każdej kobiety.

Kobieta przeniosła zdziwiony wzrok na swoje wiecznie zaciśnięte i zaczerwienione dłonie.

– Dlaczego wcześniej nikt mi tego nie powiedział? – zapytała z bladym uśmiechem.

– Mam pomysł – odparł sprzedawca. – Proszę wyszukać książkę, jaką chciałaby pani podarować córce na urodziny. Mamy dziś w Aptece promocję. Kup leksykon, a otrzymasz powieść gratis.

– Ale tam czeka na nas moja matka. – Kobieta uwierzyła mu bez cienia wątpliwości i westchnęła. – *Maman* mówi, że chce do domu starców i że mam przestać się o nią troszczyć. Ale ja nie potrafię. Czy pan by tak mógł?

– Zajmę się pani matką. A pani w tym czasie rozejrzy się za prezentem, zgoda?

Posłuchała go i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Perdu zaś zaniósł szklankę wody babci dziewczynki siedzącej na brzegu, bo nie miała odwagi wejść na trap.

Księgarz dobrze rozumiał nieufność starszych ludzi. Wielu z jego klientów było po siedemdziesiątce. Doradzał im na nabrzeżu, siedząc choćby na tej ławeczce w parku, którą zajmowała teraz matka klientki. Z biegiem lat ludzie w podeszłym wieku robią się coraz ostrożniejsi. Lepiej nie wystawiać na szwank tego, co jeszcze zostało. Dlatego wolą nigdzie nie wyjeżdżać, ścinać stare drzewa przed domem, aby nie zwały się na ich dach, i z tego też powodu nie wdrapują się na cienki jak linijka trap. Pan Perdu przyniósł jej także rozłożysty magazyn z książkami, którym mogłaby się w panującym upale wachlować. Władczym tonem klepnęła dłonią o ławkę, by usiadł obok niej.

Przypominała mu jego własną matkę, Lirabelle. Może to przez te oczy. Spoglądały na niego bystro i ze zrozumieniem. Postanowił więc usiąść. Woda w Sekwanie połyskiwała, niebo nad nimi miało letnią, błękitną barwę. Z place de la Concorde dobiegały odgłosy motorów i klaksonów, nawet na moment nie zapadała cisza. Po 14 lipca miasto odrobinę opustoszeje. Paryżanie ruszą na wakacyjny podbój nad morze lub w góry. Jednak nawet wtedy miasto nadal pozostanie głośnie i łapczywe.

– Czy pan też czasem tak robi? – odezwała się staruszka. – Sprawdza pan na starych fotografiach, czy na twarzach tych, którzy już umarli, widać jakieś oznaki ich rychłej śmierci?

Pokręcił głową.

– Nie.

Kobieta drżącymi dłońmi pokrytymi starczymi plamami otworzyła medalion noszony na szyi.

– Proszę spojrzeć. To mój mąż. Tak wyglądał na dwa tygodnie przed zaśnięciem. A potem zostałam niczym młódka. Cały pokój tylko dla siebie. – Palcem wskazującym przesunęła po zdjęciu męża i delikatnie pstryknęła go w nos. – Wygląda tu tak spokojnie. Jak gdyby miał przed sobą całą wieczność. Patrzymy w obiektyw i myślimy, wszystko będzie toczyć się dalej swoim torem, a tu proszę... witajcie, zaświaty. – Nic nie odpowiedział. – Ja w każdym razie nie pozwolę się już fotografować – stwierdziła i odwróciła twarz do słońca. – Ma pan jakąś książkę o umieraniu?

– Nawet sporo – odparł Perdu. – O starzeniu się, o zachorowaniu na śmiertelną chorobę, o umieraniu powoli, szybko, w samotności, gdzieś na podłodze jakiegoś szpitala.

– Często zastanawiałam się, dlaczego nikt nie pisze już książek o życiu. Umrzeć potrafi każdy. Ale żyć?

– Ma pani rację, madame. Byłoby tyle do opowiedzenia o życiu. Życie z książkami, życie z dziećmi, życie dla początkujących.

– Może pan coś napisze.

I co ja miałbym innym radzić? – pomyślał Perdu.

– Wolałbym raczej napisać encyklopedię uczuć wszelakich – przyznał. – Od A jak awersja do autostopowiczów, przez D jak duma z wczesnego wstawania po Z jak zgryzota z powodu własnych stóp, które wywołają natychmiastowe odkochanie u drugiej strony.

Sam się zastanawiał, dlaczego mówi o tym wszystkim nieznanemu osobie.

Po co otwierał tamten pokój?

Starsza pani dotknęła jego kolana. Wzdrygnął się, dotyk bywa groźny.

– Encyklopedia uczuć – powtórzyła z uśmiechem. – To ze stopami jest mi znane.

Leksykon uczuć wszelakich... Zna pan niemieckiego pisarza Ericha Kästnera?

Perdu kiwnął głową. W 1936 roku, krótko przed tym, jak Europa popadła w brunatną otchłań, Kästner wydał *Liryczną apteczkę domową*, zbiór swoich poetycko-leczniczych utworów. „Niniejszy tomik poświęcam terapii życia prywatnego – napisał w przedmowie. – Stosuje się go, najczęściej w homeopatycznych dawkach, na małe i duże dolegliwości egzystencji. Służy on także do leczenia »przeciętnego życia wewnętrznego«”.

– To Kästnerowi zawdzięczam nazwę swojej pływającej księgarni. Apteka Literacka – powiedział. – Chciałem leczyć uczucia niezakwalifikowane jako cierpienie i niezdiagnozowane przez medycynę. Wszystkie owe śladowe emocje, porywy, którymi nie interesuje się żaden terapeuta rzekomo właśnie z powodu ich znikomości czy nieuchwytności. Na przykład poczucie, że znów kończy się lato. Albo uświadomienie sobie, że nie ma się już całego życia na szukanie swojego miejsca. Albo mała żaloba, kiedy nie udało się zbliżyć w jakiejś przyjaźni i trzeba znów szukać bratniej duszy. Lub też poranna melancholia w dzień urodzin. Tęsknota za zapachem

powietrza z dzieciństwa. I tak dalej.

Przypomniał sobie, że kiedyś matka zwierzyła mu się z bólu, na który cierpiała, i nie było nań żadnego proszku.

– Istnieją kobiety, które spoglądają wyłącznie na buty innych kobiet, nigdy na ich twarze. I inne, te, które patrzą wyłącznie na twarz, a nigdy na buty. – Lirabelle wołała te drugie, pierwsze bowiem sprawiały, że czuła się poniżona i niedoceniona.

I właśnie by złagodzić takie niewyjaśnione, choć jak najbardziej realne cierpienia, kupił ten statek, który wówczas służył jako barka do przewożenia towarów i nosił nazwę Lulu. Własnoręcznie go przebudował i wypełnił książkami stanowiącymi jedyny lek na niezliczone i nieokreślone choroby duszy.

– Niech pan się tym zajmie. Encyklopedia uczuć dla literackich farmaceutów. – Starsza pani wyprostowała się wyraźnie ożywiona i podekscytowana. – A pod U proszę wpisać także ufność do nieznanym. To dziwne uczucie, kiedy potrafimy bardziej otworzyć się przed nieznanym aniżeli przed kimś z własnej rodziny. Proszę też pod P zapisać pociechę z wnuczą. To daje poczucie, że wszystko toczy się dalej, trwa życie. – Zamilkła i zatopiła się w myślach. – Zgryzota z powodu stóp. Miałam to kiedyś. A on lubił... lubił moje stopy mimo to.

To bujda – pomyślał Perdu, kiedy pożegnał babcię, jej córkę i wnuczkę – że księgarze troszczą się tylko o książki.

Oni troszczą się o ludzi.

Kiedy w południe ruch w księgarni nieco zelżał – jedzenie dla Francuzów jest świętsze od państwa, religii i pieniędzy razem wziętych – Perdu zamiótł trap szczotką, wprawiając przy tym w popłoch wszystkie ulokowane pod nim pajaki. Potem zaś w alejce spostrzegł zmierzające w jego kierunku Kafkę i Lindgren, dwa dachowce odwiedzające go każdego dnia. Imiona, jakie im nadał, zawdzięczały swoim określonym upodobaniom. Bury kocur z białą koloratką uwielbiał ostrzyć swoje pazurki akurat na *Dociekaniach psa* Franza Kafki, opowiadanie, w której świat ludzi został przedstawiony z psiej perspektywy. Natomiast rudo-biała Lindgren o długich uszach lubiła drzemać obok książek o Pippi Langstrumpf. Piękna kotka o przyjaznym spojrzeniu, wyglądająca z głębi regału i bacznie przyglądająca się każdemu przybyszowi. Czasami Kafka i Lindgren wyświadczały księgarzowi nieocenioną przysługę, skacząc bez ostrzeżenia na plecy któregoś z klientów trzeciej kategorii, tych o tłustych paluchach.

Oba przeczytane koty zaczęły, aż bezpieczne przed wielkimi, ślepych stopami będą mogły przemknąć na pokład, a następnie jęły się łączyć do nogawek swojego pana, cicho pomiauując.

Pan Perdu stał zupełnie nieruchomo. Na chwilę, na tę jedną małą chwilę, pozwalał sobie na zrzucenie obronnego pancerza i napawał się kocim ciepłem. Miękkością. Na kilka sekund przymykał oczy, pozwalając się unieść cudownie delikatnemu doznaniu w okolicach swoich łydek.

Owe prawie pieszczoty stanowiły jedyny kontakt fizyczny w całym obecnym życiu pana Perdu.

Jedyny, do jakiego dopuszczał.

Cudowna chwila pierzchła, gdy za regałem, na którym księgarz trzymał książki-lekarstwa na pięć rodzajów utrapień wielkiego miasta (pośpiech, obojętność, skwar, hałas oraz – w globalnym ujęciu – sadystyczny kierowca autobusu), rozległo się jakieś nieziemskie kasłanie.

Koty natychmiast czmychnęły w ciemne zakamarki kambuza, gdzie stała już przygotowana dla nich puszcza z tuńczykiem.

– Przepraszam – zawołał pan Perdu. – W czym mogę pomóc?

– Niczego nie szukam – wydyszał Max Jordan.

Autor bestsellera ujawnił się z ociąganiem, trzymając w obu rękach żółte melony. Miał oczywiście nieodzwonne nauszники.

– Długo stoicie tam tak we trójkę, monsieur Jordan? – zapytał Perdu z udaną surowością.

Jordan kiwnął głową, a jego twarz aż po nasadę włosów zalał rumieniec zawstydy.

– Przyszedłem wtedy, kiedy nie chciał pan sprzedać mojej książki tamtej pani – wyznał nieszczęśnik.

Aj, aj. To nie był najlepszy moment.

– Naprawdę myśli pan, że jest taka beznadziejna?

– Nie – odparł szybko księgarz. Nawet najmniejsze wahanie mogłoby zostać zinterpretowane jako odpowiedź twierdząca. Nie ma potrzeby go ranić. Poza tym ta książka rzeczywiście wcale nie była beznadziejna.

– To dlaczego powiedział jej pan, że do niej nie pasuję?

– Proszę pana...

– Proszę mi mówić po prostu Max.

Czy to znaczy, że ten młokos będzie mi także mówił po imieniu?

Ostatnią osobą, która to robiła, swoim ciepłym, czekoladowym głosem, była ***.

– Może jednak na początek pozostanmy na oficjalnej stopie. Dobrze, monsieur Jordan? Proszę posłuchać, ja sprzedaję książki jako lekarstwa. A przy tym są książki przyswajalne przez miliony i te przeznaczone tylko dla setki czytelników. Istnieją nawet medykamenty, *pardon*, książki, dobre wyłącznie dla jednej osoby.

– O Boże, dla jednej? Jednej jedynej? Wszystkie lata pracy dla jednej osoby?

– Naturalnie, jeśli potrafią uratować życie! Natomiast tamta klientka nie potrzebowała akurat teraz *Nocy*. Nie zniosłaby jej. Za dużo skutków ubocznych.

Jordan popadł w zamyślenie. Spoglądał przy tym na tysiące książek zgromadzonych na barce, stojących na półkach, leżących na fotelach, piętrzących się na podłodze.

– Ale skąd może pan wiedzieć, z jakim problemem ludzie przychodzą i jakie mogą wynikać skutki uboczne?

Właśnie. Jak mu wytłumaczyć, że sam dokładnie nie wie, jak to się dzieje?

Perdu używał w tym celu słuchu, wzroku i instynktu. Potrafił podczas jednej rozmowy dosłyszeć, co dolega danej duszy. Odczytać do pewnego stopnia z każdego ciała, jego postawy, jego ruchów i gestów, co nim kieruje lub co je przygniata. No i miał wreszcie to, co jego ojciec nazywał „widzeniem słuchem”: „Potrafisz wzrokiem i słuchem przedrzeć się nawet przez to, czym większość ludzi się maskuje. Dotarłszy pod maskę, widzisz, co ich martwi, o czym marzą i za czym tęsknią”.

Każdy człowiek posiada talenty, a jego talentem było właśnie owo „widzenie słuchem”.

Jeden z jego stałych klientów, terapeuta Eric Lanson, miał gabinet nieopodal Pałacu

Elizejskiego i leczył urzędników rządowych. Wyznał kiedyś panu Perdu, że zazdrości mu tej jego „psychometrycznej zdolności, dzięki której potrafi ludzką duszę zdiagnozować trafniej niż niejeden terapeuta z trzydziestoletnią praktyką”.

Lanson spędzał w Aptece Literackiej każde piątkowe popołudnie. Namiętnie zaczytywał się w pełnych smoków i walk na miecze powieściach fantasy, próbując analizą psychologiczną ich postaci wywołać uśmiech na twarzy właściciela księgarni.

Przysyłał też polityków i zestresowanych klerków z „receptą”, na której literackim kodem wypisywał ich neurozy: „Kafka ze szczyptą Pynchona”, „Sherlock, kompletnie irracjonalny” albo „pełny syndrom Pottera pod schodami”.

Dla pana Perdu było nie lada wyzwaniem oswoić z życiem wśród książek tych ludzi (najczęściej mężczyzn) mających do czynienia z chciwością, żądzą władzy czy po prostu syzyfową pracą za biurkiem. Tym większą radość czuł, gdy któryś z owych udręczonych, egocentrycznych automatów rzucał wreszcie w diabły pracę pozbawiającą go resztek wolności. Często przyczyniała się do tego książka.

– Proszę posłuchać – zaczął od nowa. – Książka to lekarz i lekarstwo w jednym. Stawia diagnozę i jednocześnie wyznacza terapię. Dobrać właściwą powieść do danego cierpienia. Oto sposób, w jaki sprzedają książki.

– Rozumiem. A moja powieść była jak dentysta, podczas gdy ta kobieta potrzebowała ginekologa.

– A... nie.

– Nie?

– Książki to naturalnie nie tylko lekarze. Bywają powieści, które można by określić raczej jako towarzyszy podróży. Niektóre zaś są jak policzek. Inne z kolei jak przyjaciółka, która okryje nas ciepłym kocem jesienią, kiedy nachodzi nas melancholia. A niektóre... no cóż. Niektóre są jak różowa wata cukrowa, zamigoczą nam w głowie na parę sekund i pozostawią z niczym. Jak krótki i namiętny romans.

– Zatem *Noc* należy do takich literackich przygód na jedną noc? Jest jak lafirynda?

Cholera. Jak głosi stara księgarska zasada, z pisarzami nie należy rozmawiać o książkach innych.

– Nie. Książki są po prostu jak ludzie, a ludzie jak książki. Opowiem panu, jak działałam. Najpierw zadaję sobie pytanie: Czy on lub ona są głównym bohaterem w swoim życiu? Jakie są ich motywy działania? A może są tylko pobocznym wątkiem w swojej własnej historii? Czy ona nie zamierza właśnie przypadkiem wyrwać się z własnej narracji, bo cały jej tekst pochłania mąż? Albo zawód, dzieci lub praca? – Oczy Maksa Jordana zrobiły się okrągłe. – Mam w głowie około trzydziestu tysięcy różnych historii. To niewiele w porównaniu z jakimś milionem tytułów, jakie można dostać we Francji. Najpotrzebniejsze osiem tysięcy pozycji mam tutaj, jako podręczny zestaw pierwszej pomocy, ale zestawiam też ze sobą kuracje. Mieszam, że tak powiem, medykament z liter, korzystając z księgi z recepturami, które czyta się jak cudowne niedzielne popołudnie z rodziną. Powieść, a w niej bohaterka przypominająca czytelniczkę. Liryka wyciskająca łzy, które byłyby jak trucizna, gdyby je stłumić. Słucham tym... – Wskazał na swój splot słoneczny. – I tym... – Dotknął tyłu głowy. – Oraz tym. – Pokazał na delikatny punkt ponad górną wargą. Wystarczy, kiedy tam łaskocze...

– Ale nie można przecież...

– Można. I to jeszcze jak. – Udawało mu się prawie w stu procentach.

Owszem, zdarzyło się parę razy, że nie zdołał kogoś przejrzeć.

Samego siebie, na przykład.

Ale monsieur Jordan nie musi o tym zaraz wiedzieć.

Podczas gdy snuł swoje rozważania, nieśmiało, gdzieś z tyłu głowy, zaświtała mu pewna niebezpieczna myśl i z wolna zaczęła przemieszczać się na pierwszy plan.

*Chciałbym mieć syna z ***. Z nią chciałbym mieć wszystko.*

Zrobił głęboki wdech.

Odkąd otworzył ten zakazany pokój, coś się przesunęło. W pancerzu pojawiła się rysa – ba, wiele cieniutkich rys – i niebawem wszystko runie, jeśli nie weźmie się w garść.

– Wydaje mi się, że... brakuje panu powietrza – usłyszał głos Jordana. – Nie chciałem pana urazić. Chciałbym się tylko dowiedzieć, co robią ci, którym pan mówi: „Nie sprzedam pani, panu książki. Nie pasujecie do siebie”.

– Co robią? Odchodzą. A pan? Jak praca nad następną książką, monsieur Jordan?

Młody pisarz z melonami w rękach opadł na jeden z foteli otoczonych stertami książek.

– Nijak. Ani jednego zdania.

– O. A kiedy ma ją pan oddać?

– Pół roku temu.

– O. Co na to wydawnictwo?

– Moja wydawczyni nie wie, gdzie jestem. Nikt nie wie. I nikt nie ma prawa się dowiedzieć. Ja już nie mogę. Nie potrafię już pisać.

– O.

Jordan oparł czoło o melon.

– A co pan robi, kiedy nie wie co dalej, monsieur Perdu? – zapytał słabym głosem.

– Ja? Nic.

Prawie nic.

Chodzę nocą po Paryżu, aż się zmęczę. Czyszczę silnik Lulu, burty, okna, utrzymuję ją w gotowości do odbicia od brzegu, choć od dwudziestu lat stoi w miejscu.

*Czytam książki, dwadzieścia naraz. Wszędzie, w toalecie, w kuchni, w kafejce, w metrze. Układam puzzle wielkości całej podłogi w salonie, a potem, kiedy układanka jest gotowa, burzę ją i zaczynam od nowa. Karmię bezpańskie koty. Układam produkty spożywcze w alfabetycznym porządku. Czasem lykam tabletkę nasenną. Żeby się dobudzić, sięgam po Rilkego. Nie czytam książek, których bohaterki przypominają ***. Zastygam. Żyję dalej. Dzień za dniem tak samo. Tylko tak mogę przetrwać. A poza tym? Poza tym nie robię nic.*

Postanowił się przemóc. Chłopak poprosił go o pomoc. Przecież wcale nie pytał o samopoczucie księgarza. Zatem do dzieła.

Z nostalgicznego schowka za ladą wyjął swój skarb.

Zorza południowa Sanary’ego.

Jedyną książkę, jaką Sanary napisał. Przynajmniej pod tym nazwiskiem. Sanary, pochodzące od Sanary-sur-Mer, nazwy niegdysiejszego schronienia niemieckich pisarek i pisarzy na prowansalskim wybrzeżu, było pseudonimem.

Jego czy jej? Wydawca książki Duprés zapadł na alzheimera i siedział teraz z zadowoleniem na twarzy w domu pogodnej starości w willi pod Paryżem. Kiedy Perdu go tam odwiedzał, Duprés za każdym razem opowiadał inną historię o tym, kto to jest Sanary i jak doszło do wydania książki.

Pan Perdu musiał więc szukać dalej na własną rękę.

Od dwudziestu lat analizował tę książkę, tempo jej narracji, dobór słów i rytm. Styl i treść porównywał z dziełami innych autorów. Znalazł zbieżności z jedenastoma potencjalnymi pisarzami: siedmioma kobietami i pięcioma mężczyznami.

Tak bardzo chciałby któremuś z nich podziękować. *Zorza południowa* była bowiem jedyną powieścią, która wzruszała go, nie raniąc jednocześnie. Jej lektura była niczym szczęście dawki w homeopatycznych porcjach. Jako jedyna oferowała delikatność łagodzącą jego ból. Była niczym strumyczek zimnej wody chłodzący spieczoną powłokę jego duszy.

Nie była to klasyczna powieść, lecz niewielkie opowiadanie o różnych odmianach miłości. Pełne cudownych, wymyślonych słów i przeniknięte wielką życzliwością wobec istnienia Melancholia, z jaką przedstawiono tu nieumiejętność prawdziwego życia, przyjmowania każdego kolejnego dnia takiego, jaki jest, mianowicie jako jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny i cenny – o, jak dobrze znał ten stan zadumy.

Wręczył Jordanowi ostatnie wydanie.

– Proszę to przeczytać. Trzy strony co rano, na leżąc, przed śniadaniem. To powinien być zawsze pierwszy impuls. Po kilku tygodniach przestanie pan czuć się taki przewrażliwiony. Przestanie pan traktować tę blokadę w pisaniu jako karę za swój sukces.

Max spojrzał na niego znad melonów przestraszonym wzrokiem, po czym wybuchnął:

– Skąd pan o tym wie? Ja naprawdę nie mogę już znieść tej opętanej gorączki i tych pieniędzy! Chciałbym, żeby to się nie zdarzyło. Każdy, kto coś potrafi, styka się z nienawiścią. A nie z uznaniem.

– Maksie Jordan, gdybym był pańskim ojcem, przełożyłbym pana przez kolano za wygadywanie takich głupot. To dobrze, że przytrafiła się panu ta książka. Słusznie też uznano ją za sukces, na każdego centa ciężko pan zapracował.

Chłopak spłonął radosnym rumieńcem z dumy i zawstydenia.

Co takiego? Naprawdę tak powiedziałem? Gdybym był pana ojcem?

Max Jordan wręczył panu Perdu uroczyście oba melony o charakterystycznej siatkowanej skórcie. Pachniały. Niebezpieczny aromat. Bardzo bliski zapachom tamtego lata z ***.

– Może zjemy razem? – zapytał pisarz.

Ten osobnik w nausznikach działał mu wprawdzie na nerwy, ale z drugiej strony księgarz już dawno z nikim nie jadł.

*A *** by go polubiła.*

Kiedy pokroili melony, usłyszeli na trapie odgłosy damskich obcasów.

Potem w drzwiach kambuza stanęła klientka z przedpołudnia. Z oczami zaczerwienionymi od płaczu, ale z jasnym spojrzeniem.

– Zgoda – powiedziała. – Niech będą książki przyjazne dla mnie. I w cholerę z tym palantem, który do mnie nie pasuje.

Max popatrzył na nią z otwartymi ustami.

Perdu zakasał wysoko rękawy białej koszuli, poprawił krawat, wyciągnął okulary do czytania, których od niedawna musiał używać, i uprzejmym gestem zaprosił klientkę do serca swojego literackiego świata – na fotel z podnóżkiem i widokiem na wieżę Eiffla rozpościerającym się z frontowego okna wysokiego na dwa metry i szerokiego na cztery. Naturalnie z nieodzownym stoliczką na torebkę – to znów był pomysł matki pana Perdu. Obok stało stare pianino, które księgarz kazał stroić dwa razy do roku, mimo że sam nie umiał grać.

Następnie zadał klientce – miała na imię Anna – kilka pytań. O jej zawód, o to, jak się czuje rano, o ulubione zwierzę z dzieciństwa, koszmary z ostatnich lat, niedawno przeczytane książki... Oraz czy matka mówiła jej, jak ma się ubierać.

Pytania osobiste, ale nie za bardzo. Należało je zadać, a potem milczeć jak grób. Wysłuchanie w milczeniu stanowiło bowiem podstawę badania duszy.

Anna powiedziała, że pracuje w branży reklamy telewizyjnej.

– W agencji z facetami bez daty przydatności do spożycia, którym kobieta myli się ze skrzyżowaniem ekspresu do kawy z kanapą. – Codziennie nastawiała sobie trzy budziki, żeby wyswobodzić się z obeszładniającego snu. Po czym brała gorący prysznic, aby zagrzać się przed chłodem kolejnego dnia.

Jako dziecko uwielbiała lorisy, urocze, poręczne małpiatki o wiecznie mokrych noskach.

W dzieciństwie najchętniej nosiła krótkie, skórzane czerwone spodnie, czym wzbudzała odrazę matki. Często śniło jej się, że ubrana jedynie w bieliznę tonie w ruchomych piaskach na oczach ważnych mężczyzn. A każdy z nich bez wyjątku pragnie jedynie jej bielizny i żaden nie pomaga jej wydostać się z opresji.

– Żaden mi nie pomaga – powtarzała po cichu z goryczą. Potem spojrzała na pana Perdu rozognionym wzrokiem. – I co? Bardzo jestem głupia?

– Nie za bardzo – odparł.

Prawdziwe książki czytała Anna jeszcze za czasów studenckich. Na przykład *Miasto ślepców* Joségo Saramago. Czuliła się potem taka bezradna.

– Nic dziwnego – skwitował księgarz. – To nie jest książka dla rozpoczynających dopiero życie. Raczej dla tych gdzieś pośrodku, którzy pytają samych siebie, gdzie, do diabła, podziela się ta pierwsza połowa życia. Tych, którzy podnosząc wzrok znad swoich stóp, tak uparcie maszerujących do przodu, zastanawiają się, dokąd właściwie tak dziarsko i posłusznie ich prowadzą. Ślepców, choć nie postradali wzroku. Ta opowieść potrzebna jest tym, którzy są ślepi na własne życie. A pani, Anno, jeszcze swoje dostrzega.

Potem Anna już nie czytała. Lecz pracowała. Za dużo, za długo, zmęczenie odkładało się w niej kolejnymi warstwami. Do tej pory nie udało się jej ani razu zrobić reklamy środków czyszczących albo pieluch z mężczyzną w roli głównej.

– Reklama to ostatni bastion patriarchy – oznajmiła panu Perdu i słuchającemu jej w zamyśleniu Maksowi. – Nawet silniejszy niż wojsko. Tylko w reklamie uchował się jeszcze stary porządek.

Po wszystkich wyznaniach oparła się na fotelu.

I co? – mówiło jej spojrzenie. – Da się mnie wyleczyć? Proszę mnie nie oszczędzać. Czekam na słowa prawdy.

Jej odpowiedzi nie wpłynęły jednak w najmniejszym stopniu na wybór książek przez pana Perdu. Chciał tylko poznać głos Anny, jego tembr oraz słowa, jakich zwykła używać.

Zebrał teraz te wszystkie, które zajaśniały pośród potoku banalnych fraz. To one właśnie zdradzały, jak postrzegała swoje życie, jak je wyczuwała i kosztowała. Co było dla niej naprawdę ważne, co ją zajmowało i jak czuła się obecnie. Oraz co chciała ukryć za ową chmurą z mnóstwa wyrazów. Ból i tęsknotę.

Pan Perdu zdołał wyluskać owe jaśniejące słowa. Anna powtórzyła kilkakrotnie: „To nie tak miało być” i „Tego się nie spodziewałam”. Mówiła też o „niezliczonych” próbach i „koszmarach do kwadratu”. Żyła zanurzona w matematykę, ową kulturową technikę wypierającą wszelką irracjonalność i domysły. Nie pozwalała sobie na osądy oparte na intuicji czy uznawanie niemożliwego za możliwe.

Ale to była tylko jedna część, jaką Perdu dosłyszał i zapamiętał – ta, która unieszczęśliwiała jej duszę. Istniała jednak jeszcze druga częśćka. To, co ją zachwycało. Wiedział dobrze, że natura rzeczy ukochanych przez człowieka także zabarwia jego język.

Madame Bernard, właścicielka kamienicy 27 przenosiła na przykład na domy i ludzi swoje upodobanie do tkanin. „Ma maniery jak ktoś w źle wyprasowanej koszuli z poliestru” to jedno z jej ulubionych powiedzeń. Z kolei pianistka Clara Violette posługiwała się określeniami muzycznymi: „Ta mała od Goldenbergów zajmuje w życiu swojej matki zaledwie pozycję trzeciej altówki”. Zaś sprzedający produkty spożywcze Goldenberg postrzegał świat w kategoriach smaku. O czymś charakterze mawiał na przykład, że jest „zepsuty”, a czyjś awans określał jako „przejrzały”. Jego córka Brigitte, ta od „trzeciej altówki”, kochała natomiast morze, magnes dla wszystkich wrażliwych dusz. Czternastolatka o wczesnie rozkwitłej urodzie porównywała Maksa Jordana do „widoku na morze z Cassis”, „głębokiego i dalekiego”. Rzecz jasna kochała się w młodym pisarzu. Do niedawna mała Brigitte chciała być chłopcem, teraz jednak wołała pozostać kobietą.

Perdu postanowił, że niedługo przyniesie dziewczynie książkę, stanowiącą ocalenie na morzu pierwszej miłości.

– Czy często pani przeprasza? – zapytał teraz Annę. Kobiety zawsze czuły się bardziej winne, niż należało.

– Czy ma pan na myśli coś w rodzaju „Przepraszam, nie skończyłam jeszcze zdania”, czy raczej „Przepraszam, że się w tobie zakochałam, będziesz miał przeze mnie tylko kłopoty”.

– Jedno i drugie. Mam na myśli każde poczucie winy. Niewykluczone, że przyzwyczaiła się pani mieć poczucie winy w związku z wszystkimi przejawami samej siebie. Często to nie my wpływamy na słowa, lecz słowa, których często używamy, wpływają na nas.

– Dziwny z pana księgarz.

– Tak, wiem, mademoiselle Anna.

Następnie kazał Jordanowi przynieść kilkadziesiąt pozycji z „biblioteki uczyć”.

– Proszę, moja droga. Powieści na niezłomność, literatura fachowa na zmianę myślenia, poezja na poczucie godności.

Książki o marzeniu, o umieraniu, o miłości i o życiu artystki. Złożył u jej stóp mistyczne ballady, stare, zakurzone opowieści o przepaściach, upadkach, niebezpieczeństwach i zdradzie. Niebawem Anna została otoczona literaturą niczym klientka sklepu obuwniczego pudełkami z butami.

Perdu chciał, by poczuła się jak w gnieździe. Chciał, by poczuła nieskończoność, jaką oferują książki. Ich nigdy nie zabraknie. I nigdy nie przestaną kochać swojego czytelnika lub czytelniczki. Wobec wszelkiego, co nieobliczalne, są jedynym elementem, na którym można polegać. Wobec życia. Wobec miłości. Także po śmierci.

Kiedy potem na kolanach Anny wylądowała Lindgren i usadowiła się na nich wygodnie, przepracowana, nieszczęśliwie zakochana i tonąca w wiecznym poczuciu winy kobieta opadła na

oparcie fotela. Jej skulone ramiona rozluźniły się, a schowane w pięściach kciuki wyrzały z ukrycia. Twarz nabrała spokojnego wyrazu.

Czytała.

Pan Perdu obserwował, jak to, co czyta, wpływa na jej wygląd. Widział, że Anna odkryła w sobie płytę rezonansową reagującą na słowa. Była jak skrzypce, uczyła się, jak grać na samej sobie.

Rozpoznał, że ją uszczęśliwił, i poczuł jednocześnie ukłucie w sercu.

A czy nie ma książki, która i mnie nauczy pieśni mojego życia?

Idąc ku rue Montagnard, pan Perdu zastanawiał się po drodze, jak też tę spokojną, usytuowaną w samym środku ruchliwej dzielnicy Marais uliczkę postrzega Catherine.

– Catherine – mrucał pod nosem. – Ca-the-rine. Jak łatwo wymawia się to imię.

Zadziwiająca, doprawdy.

Czy kamienica 27 stanowi dla niej miejsce niechcianej zsyłki? Czy świat w jej oczach nosi teraz skazę powstałą za sprawą jej męża, jego „Już cię nie chcę”?

W tę okolicę rzadko zapuszczał się ktoś, kto tu nie mieszkał. Kamienice liczyły nie więcej niż pięć pięter, a ich fasady były każda w innym pastelowym kolorze.

W dole rue Montagnard usytuowały się salon fryzjerski, piekarnia, sklep z winami oraz Algierczyk handlujący wyrobami tytoniowymi. Dalej aż do przecznicy ciągnęły się tu tylko mieszkania, gabinety lekarskie i biura.

Tu z kolei królowało Ti Breizh, bretońskie bistro ocienione czerwoną markizą oferujące nieduże i smakowite galettes.

Pan Perdu wręczył kelnerowi Thierry’emu czytnik e-booków, który dostał od zalatanego przedstawiciela handlowego pewnego wydawnictwa. Dla nałogowca takiego jak Thierry, który nawet pomiędzy zamówieniami wsadzał nos w książki i zdążył już od ich noszenia dorobić się zaczątków garbu („Potrafię oddychać tylko w trakcie czytania, Perdu”), takie urządzenia były wynalazkiem stulecia. Zaś dla księgarza kolejnym gwoździem do trumny.

Thierry odwzajemnił się ponownym zaproszeniem na kieliszek lambigu, bretońskiego cydru.

– Nie dziś – odmawiał pan Perdu. Za każdym razem. W ogóle nie pijał alkoholu. Już nie.

Bo kiedy jeszcze pił, z każdym łykiem kurczyła się ściana, za którą burzyło się morze myśli i uczuć. Dobrze o tym wiedział. Wtedy tego próbował. To był czas połamanych mebli.

Dziś jednak przystał na zaproszenie. Miał szczególny powód. Zamierzał bowiem jak najszybciej zanieść madame Catherine, po byłym mężu Le P., „książki do płakania”.

Tuż obok bistra wystawała biało-zielona markiza sklepu spożywczego Joshui Goldenberga. Kiedy ten spostrzegł pana Perdu, zastawił mu drogę.

– Monsieur Perdu, proszę powiedzieć... – zaczął nieśmiało.

O nie, chyba nie zamierza mnie teraz nagabywać o swoje ulubione soft porno.

– Chodzi o Brigitte. Coś mi się zdaje, że dziewczyna staje się, eee, kobietą. No i w tym problem. Wie pan, co mam na myśli. Nie miałby pan na to jakiejś książeczki?

Na szczęście obyło się bez męskiej rozmowy na temat literatury erotycznej. Tym razem pan Perdu miał do czynienia tylko z kolejnym ojcem, który powątpiewa w dojrzewanie córki i zastanawia się, jak sobie poradzić z jej uświadomieniem, zanim trafi na nieodpowiedniego faceta.

– Proszę przyjść na pogadankę dla rodziców.

– Sam nie wiem, może raczej małżonka...

– W porządku, przyjdźcie oboje. Pierwsza środa każdego miesiąca, o dwudziestej. Moglibyście potem jeszcze wyjść gdzieś na kolację.

– Ja? Z moją żoną? Ale po co?

Pan Perdu ruszył już jednak w dalszą drogę, zanim Goldenberg zdążył się wycofać.

I tak nie przyjdzie.

W końcu na pogadance zjawia się i tak tylko matki, które bynajmniej nie będą rozmawiać o uświadomieniu swoich dojrzewających latorośli. Wolałyby raczej książki dla mężczyzn, uświadamiające tę część ludzkości, jak funkcjonuje kobieta.

Stanąwszy przed bramą, wpisał kod i przekroczył próg. Nie uszedł nawet metra, kiedy ze swojej dozorcówki wychynęła madame Rosalette z mopsem na rękach. Psina o imieniu Edith tuliła się markotnie do imponującego biustu swojej pani.

– Jest pan nareszcie!

– Nowa farba do włosów? – zapytał, naciskając guzik w windzie.

Czerwona od sprzątanego dłoń konsjerżki powędrowała ku natapirowanej fryzurze.

– Hiszpański róż. Zaledwie odrobinę ciemniejszy od *sherry brut*. Jednak bardziej elegancki, jak mi się zdaje. Ależ pan ma oko! Ale, ale, ja muszę z panem porozmawiać.

Zatrzepotała rzęsami, a mopsik chrapnął.

– Jeżeli to jakaś tajemnica, natychmiast o niej zapomnę, madame.

Pani Rosalette lubiła działać z chronologicznym zacięciem. Uwielbiała odkrywać najpierw wszelkiego rodzaju zaburzenia nerwowe, sekrety i przyzwyczajenia najbliższego otoczenia, następnie umieszczać je na skali przyzwoitości, by na koniec oznajmiać reszcie świata, co o tym myśli. Była w tym bardzo skwapliwa.

– Och, monsieur! Mnie także nie obchodzi, czy madame Gulliver jest szczęśliwa z tymi młokosami. Nie, nie. Tylko że... była taka... książka.

Perdu znów nacisnął guzik.

– I tę książkę kupiła pani u innego księgarza? Wybaczam, madame, wybaczam.

– Nie, jeszcze gorzej. Wypatrzyłam ją w którymś z kartonów na Montmartrze, była bajecznie tania. Pięćdziesiąt centów. Ale pan sam mówił, że jeśli książka ma ponad dwadzieścia lat, to mogę na nią wydać parę centymów i ocalić ją przynajmniej przed spalaniem.

– Zgadza się. Tak mówiłem.

Co z tą windą?

Rosalette nachyliła się ku niemu, a jej koniakowo-kawowy oddech zmieszał się z oddechem jej pieska.

– Chyba jednak byłoby lepiej, gdybym tego nie zrobiła. Ohydne czytadło, paskudztwo! O tym, jak matka gania własnego syna z miotłą, obrzydliwe. Cały dzień miałam potem bzika na punkcie sprzątanego. Czy ten monsieur Kafka tak zawsze?

– Trafiła pani w samo sedno. Innym zabiera to długie lata studiów.

Madame Rosalette uśmiechnęła się skonfundowana, choć uszczęśliwiona.

– Naprawdę? Ach, winda nie działa. Znów zatrzymała się pomiędzy Goldenbergami a madame Gulliver.

To znaczy, że lato przyjdzie jeszcze dzisiejszej nocy. Zawsze zjawiało się wtedy, gdy psuła się winda.

Perdu ruszył po schodach, przesadzając naraz po dwa stopnie wyłożone bretońskimi, meksykańskimi i portugalskimi kaflami. Madame Bernard, właścicielka kamienicy, lubiła ich wzory. Mawiała, że są „jak buty kamienicy i tak jak u kobiety można po nich poznać jej charakter”.

Z tego punktu widzenia pierwszy lepszy włamywacz, rzuciwszy okiem na klatkę schodową kamienicy 27 na rue Montagnard, mógł wywnioskować, że ma do czynienia z istotą wyjątkowo chimeryczną.

Dotarł już prawie na pierwsze piętro, kiedy jego oczom ukazała się na schodach para

kanarkowych kłapek z puszką.

Na pierwszym piętrze, nad panią Rosalette, rezydował Che, niewidomy podolog. Często towarzyszył madame Bomme (mieszkającej naprzeciwko, także na pierwszym piętrze) na zakupach u żydowskiego sprzedawcy Goldenberga (drugie piętro) i niósł sąsiadce, byłej sekretarce słynnego wróżbity, torbę ze sprawunkami. Prowadzili się nawzajem trotuarem – ślepiec trzymający pod rękę staruszkę z balkonikiem. Często do owej pary dołączał też Kofi.

Kofi – w języku ghańskim „piątek” – przybył do kamienicy 27 któregoś dnia wprost z podparyskich przedmieść. Miał skórę w kolorze głębokiej czerni, na raperskich bluzach z kapturem nosił złote łańcuchy, a w uchu kolczyk. Piękny chłopak, „skrzyżowanie Grace Jones z młodym jaguarem”, jak stwierdziła madame Bomme. Kofi często nosił za nią jej białą torebkę od Chanel, ściągając na siebie podejrzliwe spojrzenia przechodniów. Wykonywał prace domowe albo produkował z niewyprawionej skóry przedmioty o różnych kształtach, po czym malował na nich znaki, których nikt w kamienicy nie rozumiał.

Jednak teraz na schodach nie zagrodzili mu drogi ani Che, ani Kofi, a już na pewno nie pani Bomme.

– Ach, monsieur, jak to dobrze, że pana widzę! To była naprawdę niesamowita opowieść o tym Dorianie Grayu. Miło, że mi ją pan polecił, bo *Gorące pożądanie* akurat się skończyło.

– Cieszę się, madame Gulliver.

– Ach, niechże pan wreszcie mówi mi Claudine. Lub przynajmniej mademoiselle. Nie jestem taka sztywna. Ten Gray zabrał mi tylko dwie godzinki, taki był zajmujący. Jednak na jego miejscu nigdy nie obejrzałabym tego portretu, to przygnębiające. No i wtedy nie było jeszcze botoksu.

– Oscar Wilde pisał tę powieść ponad sześć lat. Przyniosła mu wyrok skazujący i parę lat później zmarł. Czy nie zasłużył sobie na nieco więcej czasu aniżeli dwie godziny?

– Ach, co tam. Już go to teraz nie uszczęśliwi.

Claudine Gulliver. Niezameżna czterdziestolatka o rubensowskich kształtach. Protokolantka w jednym z wielkich domów aukcyjnych. Każdego dnia miała styczność z wieloma zbyt bogatymi i zbyt pazernymi kolekcjonerami. Specjalnym gatunkiem *homo sapiens*. Madame Gulliver także zbierała dzieła sztuki, szczególnie te na obcasach i w papuzich kolorach. Jej kolekcja kłapek liczyła sto siedemdziesiąt sześć par i zajmowała osobny pokój w mieszkaniu.

Innym hobby madame Gulliver było czyhanie na pana Perdu, by zaprosić go na jedną ze swoich wycieczek, opowiedzieć o najnowszych szkoleniach, w jakich brała udział, lub o nowo otwartych w Paryżu restauracjach. Kolejne hobby stanowiły powieści, których bohaterki tuliły się do szerokiej piersi jakiegoś gagatka i dopóty mu się opierały, dopóki ten zwycięsko ich nie posiadał.

Teraz zaczął się:

– Może wybrałby się pan dziś wieczorem na...

– Nie, wolałbym nie.

– Ale niech pan posłucha! Na wystawkę na dachu Sorbony! Dookoła same długonogie studentki historii sztuki, które po egzaminach wyprowadzają się ze swoich mieszkań i pozbywają się książek, mebli, a kto wie, może również kochanków.

Brwi pani Gulliver powędrowały w górę.

– I co pan na to?

Wyobraził sobie, jak obok zabytkowych zegarów i pudeł z książkami w kieszonkowym wydaniu stoją młodzi mężczyźni z karteczkami na czole: „Użyty raz, prawie nówka. Serce niewielkie, wymagające renowacji”. Albo: „Z trzeciej ręki, na chodzie”.

– Zdecydowanie nie.

Madame Gulliver westchnęła głośno.

– Ach, mój świecie. Pan nigdy nic nie chce. Zwrócił pan już może na to uwagę.

– To...

... *prawda*.

– ... nie chodzi o panią. Jest pani czarująca, odważna i... – Owszem, na swój sposób nawet ją lubił. Potrafiła czerpać z życia pełnymi garściami. Brała więcej, niż pewnie potrzebowała. – I bardzo miła dla sąsiadów.

Wielkie nieba! Kiedy ostatnio miał okazję powiedzieć kobiecie komplement? Madame Gulliver, kołyszając biodrami, ruszyła ze stukiem obcasów w dół po schodach. Klap, klap zakolały kanarkowe klapki. Zrównała się z panem Perdu i uniosła dłoń. Spozobregła przy tym, że uchylił się, kiedy chciała dotknąć jego silnego ramienia, z rezygnacją położyła więc rękę na poręczy schodów.

– Obojgu nam raczej nie ubywa lat, monsieur . odezwała się cichym, ochrypłym głosem.

– Już od dawna mamy z górki.

Klap, klap.

Mimowolnie przesunął dłonią po swoich włosach, tam z tyłu głowy, gdzie wielu mężczyzn w jego wieku miewa już tę upokarzającą tonsurę. On jeszcze się jej ustrzegł. Owszem, skończył już pięćdziesiąt lat. Nie trzydzieści. Ciemne włosy oprószyła wprawdzie siwizna, a rysy twarzy się wyostrzyły. Brzuch... Wciągnął go. Jeszcze ujdzie. Wprawdzie martwił go nieco obwód bioder z roku na rok odrobinę większy. No i nie był już w stanie – do licha – udźwignąć dwóch pudeł z książkami naraz. To jednak było nieistotne. Kobiety już się za nim nie oglądały – z wyjątkiem madame Gulliver, ale ona oglądała się za każdym mężczyzną jako potencjalnym kochankiem.

Kątem oka rzucił spojrzenie na dół zaniepokojony, czy teraz jeszcze pani Bomme nie zechce go aby wciągnąć w jakąś pogawędkę. O Anaïs Nin i jej seksualnych obsesjach na przykład. Na cały głos, bo swój aparat słuchowy zostawiła oczywiście w pudełku po czekoladkach.

Dla pani Bomme i innych wdów z rue Montagnard, których prawie nigdy nie odwiedzały dzieci ani wnuki, więc spędzały czas, wędnując przed telewizorem, pan Perdu zorganizował książkowy klub dyskusyjny. Uwielbiały czytać. Co więcej, literatura była dla nich pretekstem, by wyjść z domu i oddać się degustowaniu kolorowych damskich likierów.

Starsze panie optowały najczęściej za erotyką. Perdu dostarczał im książek opakowanych w okładki zapewniające dyskrecję: *Alpejska flora* okrywała *Życie seksualne Catherine M.*, *Haft prowansalski Kochanka* Marguerite Duras, a *Przepisy na marmolady z hrabstwa York Deltę* *Wenus* Anaïs Nin. Amatorki likierów bardzo sobie ceniły ów kamuflaż. Dobrze wszak znały poglądy najbliższych, według których czytanie było ekscentrycznym hobby dla osób mających oglądanie telewizji za plebejską rozrywkę. A erotyka dla kobiet w ich wieku wydawała im się czymś nienaturalnym.

Tym razem na szczęście jej balkonik nie stanął mu na dalszej drodze.

Na drugim piętrze mieszkała pianistka Clara Violette. Słyszał, jak ćwiczy pasażę Czernego. Pod jej palcami nawet gamy brzmiały fenomenalnie.

Należała do piątki najlepszych pianistek na świecie. Nie mogła jednak znieść, gdy w tym samym pomieszczeniu, w którym gra, przebywa ktoś jeszcze poza nią, więc ominęła ją światowa sława. Latem dawała koncerty na balkonie. Otwierała wtedy na oścież wszystkie okna, a Perdu przysuwał do okna balkonowego jej fortepian Pleyela i umieszczał pod nim mikrofon. Następnie

Clara grała przez dwie godziny. Mieszkańcy kamienicy siedzieli wówczas na schodach przed domem albo na rozkładanych krzeselkach ustawionych na chodniku. Obcy zaś tłoczyli się przy stolikach w Ti Breizh. Kiedy po koncercie Clara wjeżdżała na balkon i nieśmiało kłaniała się, oklaskiwało ją niemal pół dzielnicy.

Perdu pokonał pozostałą drogę po schodach nie niepokojony już przez nikogo. Kiedy znalazł się na czwartym piętrze, spostrzegł, że jego stół zniknął. Może to Kofi pomógł Catherine.

Zapukał do zielonych drzwi i zorientował się zaraz, że czyniąc to, czuje wielką radość.

– Halo – wyszeptał. – Przyniosłem książki.

Oparł papierową torbę o drzwi.

Kiedy się prostował, Catherine otworzyła.

Krótkie blond włosy, nieufne, choć łagodne spojrzenie perłowoszarych oczu spod delikatnych brwi. Stała boso ubrana w sukienkę z dekoltem odsłaniającym obojczyki. W ręku trzymała kopertę.

– Znalazłam ten list.

To było zbyt wiele wrażeń naraz. Catherine – jej oczy – koperta z jasnozielonym napisem – bliskość Catherine – jej zapach – obojczyki – życie – ten...

List?

– Nieotwarty list. W szufladzie od stołu. Pomalowanej na biało. Otworzyłam ją. I ten list leżał tam pod korkociągiem.

– Ależ skąd – odpowiedział uprzejmie. – Tam nie było żadnego korkociągu.

– Ale ja...

– Na pewno nie! – Nie chciał tak podnosić głosu, jednak nie był też w stanie patrzeć na ten trzymany przez nią list. – Proszę mi wybaczyć, że się uniosłem. – Wyciągnęła w jego stronę kopertę. – Ale to nie moje. – Pan Perdu ruszył tyłem w stronę swojego mieszkania. – Najlepiej niech go pani spali. – Catherine podążyła za nim. Zajrzała mu w oczy, a wówczas na jego twarz buchnęła fala gorąca. – Albo niech go pani wyrzuci.

– Ale przedtem mogłabym go przeczytać – powiedziała.

– Wszystko mi jedno. Nie należy do mnie.

Patrzyła na niego w dalszym ciągu, kiedy zamykał za sobą drzwi, odcinając się od niej samej i tego listu.

– Proszę pana! Panie Perdu! – Zapukała. – Na kopercie jest pana nazwisko.

– Proszę! Proszę wejść! – zawołał.

Poznał ten list. To pismo.

I coś w nim pękło.

Kobieta o ciemnych kręconych włosach otwierająca drzwi przesuwne, wygląda najpierw przez dłuższą chwilę na zewnątrz, po czym odwraca się do niego ze łzami w oczach. Krocząca przez Prowansję, Paryż, przez rue Montagnard i wchodząca na koniec do jego domu. Bierze prysznic, naga przechodzi przez pokój. Jej usta zbliżające się w półmroku do jego ust.

Wilgotna skóra, mokre usta, które pozbawiają go oddechu, piją z jego warg.

Piją długo.

Księżyc na jej miękkim brzuchu. Dwa cienie tańczące w tle czerwonej framugi okna.

I jak potem okrywa się jego ciałem.

**** śpi na sofie w lawendowym pokoju, jak nazwała to zakazane miejsce, otulona swoją prowansalską patchworkową kołdrą uszytą jeszcze w czasach narzeczeństwa.*

Zanim wyszła za tego winiarza i zanim...

mnie opuściła.

A potem raz jeszcze.

Wszystkim pokojom, w których spotykali się przez te pięć lat, *** nadawała nazwy. Pokój słoneczny, pokój miodowy, pokój ogrodowy. Pokoje, które dla niego – tego drugiego, jej potajemnego kochanka – były wszystkim. Jego pokój ochrzciła mianem lawendowego, był jej domem na obczyźnie.

Ostatnia noc, jaką w nim spędziła, w upalnym sierpniu 1992 roku.

Wzięli razem prysznic, byli nadzy i mokrzy.

Pieściła go wilgotną od wody dłonią, potem osunęła się na niego, zakładając obie jego ręce za głowę i przyciskając je do prześcieradła na sofie. Następnie obdarzywszy go dzikim spojrzeniem, wyszeptala:

– Chciałabym, żebyś umarł przede mną. Obiecujesz?

Przyjęła go w siebie drapieźniej niż kiedykolwiek dotąd i pojękując, powtarzała:

– Obiecaj. Obiecaj.

Obiecał.

Później, w nocy, kiedy nie był w stanie w ciemnościach wypatrzeć nawet białek jej oczu, zapytał dlaczego.

– Nie chcę, żebyś musiał pokonywać samotnie drogę od parkingu na mój grób. Nie chcę, żebyś po mnie płakał. Lepiej, żebym to ja przez resztę życia tęskniła do ciebie.

– Dlaczego nigdy nie powiedziałem ci, że cię kocham – wyszeptał. – Dlaczego nie, Manon? Manon! – Nigdy jej tego nie wyznał. Żeby nie wprawiać jej w zakłopotanie. Żeby nie poczuć jej palców na swoich wargach i nie usłyszeć „ciii”.

Przecież mógłby stać się elementem mozaiki w jej życiu, myślał wtedy. Pięknym i błyszczącym kamyczkiem, a zarazem jedynie fragmentem, nie całym obrazem. Był dla niej na to gotów.

Manon. Silna, w żadnym wypadku śliczna i w żadnym wypadku doskonała mieszkanka Prowansji. Używająca słów, które jak sądził, potrafi zrozumieć. Nigdy niczego nie planowała, zawsze po prostu się zjawiała. Przy daniu głównym nie mówiła o deserze, zasypiając, nie wspominała o poranku, a żegnając się – o ponownym spotkaniu. Dla niej istniała tylko terażniejszość.

Tamtej sierpniowej nocy, siedem tysięcy dwieście szesnaście nocy temu, po raz ostatni spał dobrze. Kiedy się zbudził, Manon już nie było.

Niczego nie przeczuwał. Wracał do tego potem setki razy, analizował po wielokroć jej gesty, spojrzenia i słowa. Nie odnalazł jednak nic, co by zapowiadało odejście Manon.

Na zawsze.

Za to kilka tygodni później przyszedł list.

Ten list.

Leżał na kuchennym stole przez dwie kolejne noce. Patrzył na niego, siedząc samotnie, pijąc samotnie, paląc samotnie. I płacząc.

Łzy, kropla za kroplą, spływały na stół i papier.

Nigdy nie otworzył tego listu.

Czuł potem obezwładniające zmęczenie płaczem i brakiem snu. Nie potrafił spać w łóżku, które bez niej było takie ogromne, takie puste i takie zimne. Czuł zmęczenie tęsknotą.

W końcu z gniewem i rozpaczą wrzucił nieotwarty list do szuflady stołu. Dołączył do korkociągu, który „wypożyczyła” niegdyś z *brasserie* w Ménerbes i uprowadziła do Paryża. Wracali wtedy z Camargue z rozjaśnionym wzrokiem, jak gdyby wypolerowanym południowym światłem, i zatrzymali się w Luberon, w pensjonacie, który niczym gniazdo dzikich pszczół przylgnał do stromego zbocza. Z łazienką na półpiętrze i miodem lawendowym na śniadanie. Manon chciała mu pokazać całą siebie. Skąd pochodzi, jaki kraj płynie w jej żyłach, ba, chciała

mu nawet przedstawić swojego przyszłego męża Luca. Siedzącego na traktorze o wysokim zawieszaniu, sunącego pomiędzy krzewami winorośli w dolinie Bonnieux. Luc Basset, *vigneron*, winiarz.

Jak gdyby pragnęła, by się zaprzyjaźnili. W trójkę. A każdy każdego obdarzył swoim požądaniem, swoją miłością.

Perdu odmówił. Pozostali w miodowym pokoju.

Czuł się tak, jak gdyby siły uchodziły z jego ramion. Jak gdyby nie mógł zrobić nic poza staniem w ciemności, za drzwiami.

Tęsknił za ciałem Manon. Tęsknił za dłonią Manon, która we śnie wsuwała się pod jego pośladki. Tęsknił za jej oddechem, jej dziecinnym marudzeniem o poranku, kiedy budził ją o wiele za wcześnie. Zawsze za wcześnie bez względu na porę dnia.

Jej oczy, spoglądające na niego z miłością, jej delikatne, miękkie kręcone włosy, kiedy przesuwa dłonią po szyi – brakowało mu tego wszystkiego tak bardzo, że czuł ból w całym ciele, kiedy kładł się do pustego łóżka. I potem kiedy się budził.

Nienawidził tych przebudzeń do życia bez niej.

Łóżko zniszczył w pierwszej kolejności, potem regały, podnózek. Pociął dywany, spalił obrazy, spustoszył cały pokój. Oddał całą odzież, rozdał wszystkie płyty.

Zachował jedynie książki, które czytał jej na głos. Czytał każdego wieczoru niezliczone wersy, sceny, rozdziały, kolumny, drobne fragmenty z biografii i literatury fachowej albo dziecięcy paciorek Ringelnatza (jak ona go kochała, mała cebulka, *kleines Zwiebelchen*), żeby mogła spokojnie zasnąć w tym dla niej tak odmiennym, pustym świecie, na zimnej półmocy z jej zmrożonymi mieszkańcami. Nie był w stanie wyrzucić tych książek.

Zamurował więc nimi lawendowy pokój.

Ale ona nie ustała.

Tęsknota. Do diabła.

Mógł sobie z tym poradzić, jedynie unikając życia. Miłość wraz z tęsknotą pogrzebał gdzieś na samym dnie duszy.

Teraz jednak ośwładnęła nim z potężną siłą.

Chwiejąc się, poszedł do łazienki i włożył głowę pod kran z lodowatą wodą.

Nienawidzi Catherine, nienawidzi tego jej wrednego, niewiernego, strasznego męża.

Dlaczego ten padalec Le P. musiał ją opuścić akurat teraz? i w dodatku zostawić ją bez stołu? Palant!

Nienawidzi konsjerżki i madame Bernard, i Jordana, i tej Gulliver, wszystkich – tak, wszystkich.

Nienawidzi Manon.

Ociekając wodą, otworzył drzwi z impetem. Skoro ta madame Catherine sobie tego życzy, to niech tak będzie, powie jej: *Tak, do cholery, to list do mnie! Ale nie chciałem go wtedy otworzyć. Z dumy. Z przekonania.*

Każdy błąd ma sens, kiedy popelnia się go z przekonaniem.

Chciał go przeczytać, kiedy będzie na to gotowy. Po roku. Może dwóch.

Nie planował, że potrwa to lat dwadzieścia, a on sam będzie wtedy pięćdziesięcioletnim dziwakiem.

Nieotworzenie listu od Manon było przecież w tamtym czasie jedyną formą samoobrony. Uniknięciem usprawiedliwień z jej strony. To jedyna broń, jaką dysponował.

Naprawdę.

Ten, kto został opuszczony, musi odpowiedzieć milczeniem. Nie powinien dawać tej, która odeszła, nic więcej. Powinien zamknąć się w sobie tak, jak ona zamknęła przed nimi wspólną przeszłość. O tak, tak było.

– Nie, nie, nie – zawołał Perdu. Coś tu się nie zgadzało, tylko nie wiedział co. Czuł, że traci od tego zmysły.

Przeszedł do drzwi naprzeciwko.

I zadzwonił.

Potem zapukał, po czym, odczekawszy stosowną chwilę, znów zadzwonił. Trwało to tyle, ile zwykły człowiek potrzebuje, by wyjść spod prysznicą, wytrzeć wodę z uszu.

Dlaczego Catherine nie podchodzi? Chyba nie wyszła?

Pobiegł do swojego mieszkania i na kartce wyrwanej z pierwszej książki, jaką nawinęła mu się pod rękę, napisał: *Chciałbym Panią prosić o przyniesienie tego listu. Bez względu na porę. Proszę go nie czytać. Przepraszam za kłopot. Pozdrowienia Perdu.*

Spojrzał na swój podpis. Czy kiedykolwiek będzie w stanie wymienić swoje imię?

Bo kiedy o nim myślał, słyszał też w głowie głos Manon. Z jakim westchnieniem potrafiła je wypowiadać. Albo ze śmiechem. Albo szeptem, o tak, szeptem.

Pomiędzy „pозdrowienia” a „Perdu” wcisnął literę J.

J jak Jean.

Złożył kartkę na pół i taśmą klejącą przymocował ją na drzwiach Catherine na wysokości wzroku. List. Tak czy inaczej, znajdzie w nim pewnie te wszystkie żalosne wyjaśnienia, którymi kobiety karmią swoich kochanków, kiedy mają ich dość. Nie ma więc powodu, by tak się denerwować.

Nie, z całą pewnością nie ma.

I wrócił do swojego pustego domu, by tam zaczekać.

Poczuł się nieskończenie samotny. Jak niedorzeczna mała łódeczka na rozbawionym, drwiącym z niej oceanie – bez żagla, wiosła i bez imienia.

Kiedy noc odpłynęła znad Paryża, ustępując sobotniemu porankowi, pan Perdu podniósł się z bólem w plecach, zdjął okulary i pomasował nasadę obrzmiałego nosa. Spędził na klęczkach kilka godzin, układając bezgłośnie kolejne elementy puzzli, by w każdej chwili móc usłyszeć, jak Catherine poruszy się w swoim mieszkaniu. Ale tam wciąż panowała cisza.

Zdejmując koszulę, czuł ból w piersi, w krzyżu i w karku. Stał pod prysznicem, dopóki jego skóra nie zsiniała kompletnie od zimna, a następnie zaczerwieniła się, kiedy połał ją gorącym strumieniem. Parując, z jednym z dwóch ręczników, jakie posiadał, owiniętym wokół bioder stanął potem przed oknem w kuchni. Zrobił parę pompek i przysiadów, zanim zabulgotała kawiarka. Wówczas umył swoją jedyną filiżankę i nalał do niej czarną kawę.

Lato rzeczywiście runęło na Paryż zeszłej nocy.

Powietrze było ciepłe jak szklanka z herbatą.

A może wrzuciła ten list do skrzynki? Po tym, jak się zachował, Catherine zapewne nie chciała go już więcej widzieć.

Boso, trzymając brzegi ręcznika mocno w garści, pan Perdu zbiegł cichą klatką schodową na dół do skrzynek na listy.

– No coś takiego, tak nie uchodzi... Ach to pan?

Madame Rosalette w szlafroku wychynęła ze swojej dozorcówki. Poczul, jak jej wzrok sunie po jego skórze, mięśniach, po ręczniku, który wydał mu się naraz dziwnie kusy.

Za to wzrok madame Rosalette wydał mu się dziwnie przeciągły. Czyżby w dodatku kiwała głową z uciechą?

Spieklszy raka, czmychnął na górę.

Kiedy dotarł do drzwi, spostrzegł coś, co wcześniej uszło jego uwagi.

Otrzymał wiadomość.

Rozłożył kartkę niecierpliwymi palcami. Węzeł poluzował się i ręcznik opadł na ziemię. Perdu nie zauważył jednak nawet, że stoi nagi na klatce schodowej, bo to, co czytał, obudziło jego rosnącą irytację.

Drogi J.,

proszę przyjść dziś wieczorem na kolację. Przeczyta Pan list. Musi mi Pan to obiecać. Inaczej go Panu nie oddam. Przykro mi.

Catherine

PS Proszę przynieść ze sobą talerz. Umie Pan gotować? Ja nie.

Podczas gdy tak się okropnie irytował, wydarzyło się coś niepojętego.

Lewy kącik jego ust drgnął.

I Perdu... roześmiał się.

Śmiejąc się potem i dziwiąc jednocześnie, wymamrotał:

– Niech pan przyniesie talerz. Niech pan przeczyta list. Niech pan nigdy niczego nie chce. Niech pan obieca. Umrzyj przede mną. Obiecuj!

Obietnice. Wszystkie kobiety chcą zawsze obietnic.

– Ja niczego już nie obiecuję. Nigdy!

Wykrzyknął te słowa na całą klatkę, stojąc nagi i ogarnięty nagłym gniewem.

W odpowiedzi usłyszał jedynie obojętną ciszę.

Zatrzasnął więc za sobą drzwi z wściekłością, ciesząc się z wywołanego hałasu. Miał nadzieję, że tym trzaśnięciem wyrwał wszystkich ze swoich ciepłutkich łóżek.

Potem znów je uchylił i lekko zawstydzony zabrał z podłogi mokry ręcznik.

Łup! Znów trzasnął od serca.

Teraz na pewno już nikt nie śpi.

Przemierzając potem rue Montagnard szybkimi krokami, miał wrażenie, że kamienice wokół mają tylko frontowe fasady. Są jak atrapy z teatru lalek – pozbawione czwartej ściany.

Znał każdą bibliotekę w każdym tutejszym domu. W końcu to on je tworzył. Rok po roku.

Kamienica numer 14: Clarissa Menepeche. Jakaż subtelna dusza zakłęta w tak ciężkim ciele! Kochała wojowniczkę Brienne z *Pieśni lodu i ognia*.

Za firankami, w kamienicy numer 2: Arnaud Silette, która najchętniej przeniosłaby się do lat dwudziestych minionego wieku. Do Berlina. Jako artystka.

A naprzeciwko pod piątką siedząca wyprostowana jak struna przed laptopem: tłumaczka Nadira del Pappas. Uwielbiała powieści historyczne, w których kobiety przebierały się za mężczyzn i przerastały ich swoimi możliwościami.

A dalej? Zabrakło już książek. Rozdał wszystkie.

Perdu zatrzymał się i podniósł głowę na fasadę kamienicy z numerem 5.

Osiemdziesięciodwuletnia wdowa Margot. Kiedyś zakochana w pewnym niemieckim żołnierzu, który miał tyle lat co ona, kiedy wojna zrabowała im młodość – szesnaście. Chciał się z nią kochać, zanim wróci do okopów. Wiedział, że nie przeżyje. Ona wstydziła się przed nim rozebrać... do dziś pragnęła, by wtedy owego wstydu nie czuć. Przez sześćdziesiąt siedem lat bolała nad utraconą szansą. Z każdym rokiem jej pamięć coraz bardziej skupiała się na wspomnieniu tamtego popołudnia: ona i ten chłopiec leżą obok siebie, drżąc i trzymając się za ręce.

Widzę, że się zestarzałem, choć wcale tego nie dostrzegłem. Jak ten czas leci. Ten przeklęty, stracony czas. Boję się, Manon, że popełniłem straszne głupstwo.

Zestarzałem się przez jedną noc i brak mi ciebie.

Ale przede wszystkim brak mi siebie.

Nie wiem, kim jestem.

Ruszył dalej wolnym krokiem. Zatrzymał się potem przed witryną sklepu z winem Liony. Oto on w odbiciu szyby. Naprawdę? Ten wysoki mężczyzna w drobnomieszczańskim marynarce, z tym nieużywanym, niewzruszonym ciałem, poruszający się tak, jak gdyby chciał stać się niewidoczny?

Kiedy zobaczył, że z tyłu sklepu wychodzi mu na spotkanie Liona, by wręczyć mu jak co sobota torbę dla jego ojca, Perdu przypomniał sobie, jak często przechodził tędy, odmawiając sobie nawet małego kieliszka wina. Albo dobrego słowa ze strony sklepikarki lub innego przyjaznego, normalnego człowieka. Jak często w ciągu tych dwudziestu jeden lat wolał przejść obok, zamiast zatrzymać się, sprawić sobie radość, zbliżyć się do jakiejś kobiety?

Pół godziny później stanął przy stoliku zamkniętego jeszcze baru Ourcq przy Bassin Valette. To tu gracze w petankę napełniali swoje butelki wodą i przygotowywali bagietki

z szynką i serem. Pewien niewysoki, korpulentny jegomość spojrzął na niego zaskoczony.

– Co robisz tu tak wcześnie. Coś nie tak z mademoiselle Bernier? No mów, czy Lirab...

– Nie. *Maman* ma się dobrze. Dyryguje całym pułkiem Niemców, którzy chcą się nauczyć konwersacji od prawdziwej paryskiej intelektualistki. Możesz być spokojny.

– Niemców, powiadasz? O tak, mademoiselle Bernier jeszcze przez kilkadziesiąt lat w doskonałym zdrowiu będzie pouczać innych. Tak jak kiedyś nas.

Ojciec i syn zamilkli, oddawszy się wspomnieniom o tym, jak Lirabelle Bernier, w czasach, kiedy Perdu chodził jeszcze do szkoły, już przy śniadaniu objaśniała elegancję zdystansowanego trybu przypuszczającego w odróżnieniu od przesadnie emocjonalnego trybu łączącego. Z uniesionym w górę palcem wskazującym, którego pomalowany na złoto paznokieć przydawał jeszcze wagi jej słowom.

– Subjonctif, tryb łączący jest wtedy, gdy przemawia się sercem. Zapamiętaj.

Lirabelle Bernier. Jego ojciec zwracał się do niej, znów używając jej panińskiego nazwiska, choć przez osiem lat małżeństwa mówił do niej najpierw pani Kociczka, a następnie madame Perdu.

– No, i co ci kazała powiedzieć tym razem? – zapytał syna Joaquin Perdu.

– Że musisz pójść do urologa.

– Powiedz jej, że już chodzę. Nie musi mi o tym przypominać co sześć miesięcy.

Pobrali się w wieku dwudziestu jeden lat, by zrobić na złość swoim rodzicom. Ona, wywodząca się z rodziny filozofów i ekonomistów intelektualistka, spotykająca się z prostym tokarzem – skandal, *dégoûtant*. I on, plebejusz, syn policjanta i pobożnej szwaczki chodzący z dziewczyną z wyższej klasy – zdrajca.

– Coś jeszcze? – chciał wiedzieć Joaquin, wyjmując z przyniesionej torby butelkę muskatu.

– Potrzebuje kolejnego używanego samochodu. Ale nie w takim dziwnym kolorze jak ostatnio.

– Dziwnym? Przecież był biały. Naprawdę twoja matka...

– Załatwisz to?

– Jasne. Sprzedawca samochodów znów nie chciał z nią rozmawiać?

– Właśnie. Wiecznie pyta o męża. To ją doprowadza do pasji.

– Wiem, Jeanno. Coco to mój znajomek, gra w naszej drużynie petanki. Całkiem nieźle rzuca. – Joaquin wyszczerzył zęby.

– Mama kazała spytać, czy twoja mała przyjaciółeczka potrafi gotować, czy też 14 lipca jesz u niej?

– Możesz przekazać swojej matce, że moja, jak ją nazwała, mała przyjaciółeczka gotuje znakomicie, tylko że co innego nam w głowie, kiedy się spotkamy.

– Chyba lepiej tego mamie nie mówić, papo.

– Sam mogę powiedzieć to mademoiselle Bernier 14 lipca. Ostatecznie dobrze gotuje. Pewnie poda mózdzek na ozorkach. – Omal nie oblał się winem ze śmiechu.

Od wczesnego rozvodu swoich rodziców Jean Perdu odwiedzał ojca w każdą sobotę z butelką muskatu i różnymi zapytaniami od matki. Potem w niedzielę szedł do matki, przynosząc jej odpowiedzi eksmałżonka oraz skromny raport o stanie jego zdrowia i relacji damsko-męskich.

– Mój drogi synu, wychodząc za mąż, popada się bezapelacyjnie w niekończący się system nadzoru. Należy uważać na wszystko: co twój mąż robi, jak się miewa. A potem, kiedy pojawiają się dzieci, uważasz też na nie. Zostaje się nadzorczynią, służącą i dyplomatką jednocześnie. I nie kończy tego bynajmniej coś tak trywialnego jak rozwód. O nie. Miłość może

przeminać, wszelako troska pozostaje.

Perdu przeszedł się z ojcem kawalek wzdłuż kanału. Joaquin, niższy, wyprostowany i barczysty, w koszuli w fioletowo-białą kratkę, rzucający ogniste spojrzenia niemal każdej mijanej kobiecie. Jasne włoski na jego przedramionach połyskiwały w słońcu. Choć był już dobrze po siedemdziesiątce, trzymał się jak dwudziestolatek, głośno gwizdał melodie szlagierów i pił tyle, ile miał ochotę.

Młodszy pan Perdu szedł ze spuszczoną głową.

– No dobrze, Jeanno – odezwał się ojciec. – Jak ona ma na imię?

– Co? Skąd? Ależ papo, czy zawsze musi chodzić o kobietę?

– Zawsze chodzi o kobietę. Nic innego nie jest w stanie wytrącić mężczyzny z równowagi. A ty wyglądasz mi na porządnie wytrąconego z równowagi.

– Może u ciebie to kwestia kobiety. I zresztą chyba nie jednej.

Joaquin uśmiechnął się pogodnie.

– Lubię kobitki – powiedział, wyciągając z kieszonki na piersi paczkę papierosów. – Ty nie?

– Owszem, w pewnym sensie...

– W pewnym sensie? Jak dajmy na to słońce? A może ty wolisz chłopów?

– Daj spokój. Nie jestem gejem. Porozmawiajmy lepiej o koniach.

– Dobrze, synu, jak sobie życzysz. Kobiety i konie mają ze sobą wiele wspólnego. Chcesz wiedzieć co?

– Nie.

– Świetnie. A więc, kiedy koń mówi nie, to po prostu źle zadałeś pytanie. Dokładnie tak samo jest z kobietami. Nie pytaj ich: „Może pójdziemy coś zjeść?”, tylko „Czy mógłbym coś dla ciebie ugotować?”. Czy może wtedy odmówić? Nie, nie może.

Perdu czuł się jak sztubak. Ojciec udziela mu teraz jeszcze nauk na temat kobiet.

A co ja mam ugotować wieczorem dla Catherine?

– Zamiast szeptać im coś do ucha jak koniowi, połóż się. A ty, kobieto, odłóż zmywanie. Trzeba ich wysłuchać. I słyszeć to, co chcą powiedzieć. A chcą najczęściej być wolne i biec przed siebie.

Catherine ma zapewne dosyć jeźdźców, którzy ją tresują i chcą odstawić do drugiej ligi.

– Zranić potrafi je byle słówko, wystarczy chwilka, jakieś głupie, niecierpliwe machnięcie biczem. Za to odzyskiwanie zaufania trwa całymi latami. Czasem nawet nie udaje się to na czas.

To zdumiewające, jak małe wrażenie robi na ludziach świadomość, że są kochani, jeśli nie wpisuje się to w ich plany. Miłość staje się dla nich tak wielkim balastem, że wymieniają zamki w drzwiach albo odchodzą bez uprzedzenia.

– Kiedy kocha nas koń, Jeanno... to zasługujemy na tę miłość tak samo mało, jak na miłość kobiety. To lepsze istoty niż my, mężczyźni. Ich miłość to prawdziwa łaska, bo rzadko kiedy dajemy im powody, by nas kochały. Twoja matka mi to uświadomiła i niestety miała rację.

I dlatego tak to boli. Kiedy kobiety przestają kochać, mężczyźni wpadają we własną pustkę.

– Jeanno, kobiety potrafią kochać o wiele mądrzej niż my! One nie kochają mężczyzny dla jego wyglądu. Nawet jeśli on się im bardzo podoba. – Joaquin westchnął błogo. – Kobiety kochają cię przez wzgląd na twój charakter. Twoją siłę. Twoją mądrość. Albo dlatego że

potrafisz zaopiekować się dzieckiem. Bo jesteś dobrym człowiekiem, masz honor i godność. One kochają cię inaczej niż mężczyzna kobietę. Nie z powodu kształtnych łydek ani nie dlatego że w swoim garniturze budzisz zazdrość u jej koleżanek z pracy. Owszem istnieją też takie kobiety, ale są tylko jak zły przykład dla innych.

Podobają mi się nogi Catherine. Czy ona chciałaby się gdzieś ze mną pokazać? Czy jestem wystarczająco... mądry? Czy jestem honorowy? Czy mam w sobie cokolwiek wartościowego w oczach kobiet?

– Koń podziwia po prostu całą twoją osobowość.

– Koń? Jaki znów koń? – rzucił Perdu szczerze poirytowany. Dotąd słuchał ojca tylko jednym uchem.

Skręcili i znaleźli się znów w pobliżu graczy w petankę nad brzegiem Canal de l'Ourcq. Joaquina przywitano uściskiem dłoni, Jeanowi musiały wystarczyć skinienia.

Przyglądał się potem, jak ojciec przyłącza się do rzucających. Jak pochylony robi zamach prawą ręką.

... Miałem szczęście, ojciec nie był może ideałem, ale przynajmniej zawsze mnie lubił.

Usłyszał metaliczny odgłos. Joaquin swoją bulą po mistrzowsku wytrącił z pozycji bulę przeciwnika.

Rozległ się pomruk uznania.

Mógłbym teraz tu usiąść i płakać bez końca. Dlaczego, idiota, nie mam już przyjaciół? Przestraszyłem się, że odejdą któregoś dnia jak mój najlepszy przyjaciel Vijaya? A może bałem się, że mnie wyśmieją, bo nie skrzywdziłem Manon?

Popatrzył na ojca, chcąc powiedzieć: *Manon cię lubiła. Pamiętasz ją?* Ale ojciec go uprzedził:

– Jeano, powiedz matce... Powiedz jej, że nie ma takiej drugiej jak ona. Nie ma.

Na jego twarzy odmalował się żal, że miłość nie zdołała jej powstrzymać od pozbycia się męża, który po prostu tylko działał jej na nerwy.

Catherine obejrzała przyniesione przez niego barweny, świeże zioła i śmietanę od zażywnych normandzkich krów, po czym wskazawszy na swoje drobne młode ziemniaki, ser, aromatyczne gruszki i wino, zapytała:

– Da się z tego coś zrobić?

– Owszem. Ale raczej osobno, nie wszystko razem – odparł.

– Przez cały dzień cieszyłam się na to spotkanie – zdradziła. – I odrobinę się go obawiałam. A pan?

– Na odwrót – powiedział. – Bardzo się bałem i odrobinę cieszyłem. Muszę panią przeprosić.

– Nie. Wcale pan nie musi. Coś pana teraz bardzo zajmuje. Nie ma powodu zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie działo.

Mówiąc to, rzuciła mu jedną z kuchennych ściereczek w niebiesko-szarą kratę jako fartuch. Miała na sobie niebieską sukienkę, a swoją ściereczkę-fartuch wetknęła za czerwony pasek. Perdu zauważył teraz, że jej jasne włosy mienia się przy skroniach srebrnawym nalotem. Ale w jej spojrzeniu nie było już bezradności i strachu.

Niedługo potem szyby zaszyły parą, palniki na kuchence posykiwały zastawione garnkami i rondelkami, perkotał sos z białego wina, szalotek i śmietany, w brytfance rumieniły się ziemniaki z rozmarynem i solą polane oliwą.

Rozmawiali, jak gdyby znali się od lat i tylko przez krótki czas nie widzieli. O Carli Bruni i o konikach morskich, których samce noszą młode w specjalnej kieszeni na brzuchu. Rozprawiali o modzie, o tym, by sprzedawać sól smakową, no i naturalnie o mieszkańcach kamienicy.

Gdy tak stali obok siebie, sącząc wino, sprawiając ryby, do głowy przychodziły im właśnie takie lżejsze i cięższe tematy. Perdu miał wrażenie, że z każdym kolejnym zdaniem on i Catherine odkrywają swoje duchowe pokrewieństwo.

Podczas gdy on pracował dalej nad sosem, ona zajęła się smaženiem ryb. Jedli prosto z patelni, na stojąco, bo w mieszkaniu Catherine brakowało jeszcze drugiego krzesła.

Nalała do kieliszków wina. Lekkie, słomkowe Le Tapie z Gaskonii. A on wypił je małymi, ostrożnymi łyżkami.

Podczas swojej pierwszej od 1992 roku randki najbardziej zaskoczyło go, jak bezpiecznie poczuł się, przekroczywszy próg mieszkania Catherine. Jak gdyby wszystkie dręczące go dotąd myśli zostały na zewnątrz powstrzymane magiczną mocą drzwi.

– Czym się teraz pani zajmuje? – zapytał, kiedy już omówili kwestie Boga, świata i prezydenckiego krawca.

– Ja? Szukaniem – odparła i sięgnęła po kawałek bagietki. – Szukam siebie. Przed... gdy to się stało, byłam asystentką, sekretarką, reprezentantką i wielbicielką swojego męża. Teraz poszukuję tego, co potrafiłam, zanim go spotkałam. A dokładnie, sprawdzam, czy jeszcze coś z tego zostało. Tym się zajmuję. Sprawdzaniem.

Wydlubywała biały miękisz i ugniatała go placami.

Ksiągarz czytał w Catherine jak w otwartej księdze. A ona pozwalała mu przewracać kolejne stronicie i poznawać kolejne historie.

– Dziś, mając czterdzieści osiem lat, czuję się jak ośmiolatka. Wtedy nienawidziłam być ignorowana. A równocześnie czułam zakłopotanie, kiedy ktoś się mną choć trochę zainteresował.

Poza tym chciałam, żeby zwróciły na mnie uwagę te „właściwe” osoby. Na przykład bogata, gładko uczesana dziewczynka. Aby się ze mną zaprzyjaźnić. Albo żeby dobrotliwy nauczyciel zauważył, jaka jestem skromna pomimo swojej ogromnej wiedzy. No i matka. Właśnie, matka. – Catherine przerwała, w dalszym ciągu gniotąc miększą bagietki. – Chciałam zawsze zwrócić uwagę największych egoistów. Reszta się nie liczyła. Ani mój kochający ojciec, ani gruba, spocona Olga z parteru. Mimo że byli o wiele miłsi. Tylko że ja czułam wstyd, kiedy lubili mnie mili ludzie. Głupie, prawda? I taką głupią gęsią byłam też w swoim małżeństwie. Chciałam, żeby ten idiota mój mąż mnie zauważał. Wszystkich innych wykreśliłam z życia. Ale teraz jestem gotowa na zmianę. Poproszę o pieprz.

Swoimi drobnymi palcami ulepiła z chlebowego ciasta figurkę – to był konik morski, któremu dokleiła jako oczy dwa ziarenka pieprzu i wręczyła go Perdu.

– Byłam rzeźbiarką. Kiedyś. Teraz mam czterdzieści osiem lat i zaczynam uczyć się wszystkiego od początku. Nawet nie wiem, ile lat temu ostatni raz spałam z mężem. Byłam mu wierna, głupia. I tak strasznie samotna, że mogłabym pana teraz pożreć, jeśli będzie pan dla mnie zbyt miły. Albo zabić, bo nie mogę tego znieść.

Perdu sam był zaskoczony – on, sam na sam z taką kobietą, za zamkniętymi drzwiami.

Zapatrzył się w twarz Catherine, jej głowę, jak gdyby chciał się tam wślizgnąć i rozejrzeć za kolejnymi odkryciami.

Catherine miała przekłute uszy, ale nie nosiła kolczyków. (*Te z rubinami nosi teraz ta nowa. Szkoda, miałabym ochotę rzucić mu je pod nogi* – pomyślała Catherine). Chwilami sięgała dłonią do zagłębienia na szyi, jak gdyby szukała tam noszonego niegdyś łańcuszka.

– A pan? Czym pan się teraz zajmuje? – zapytała w końcu.

Opisał jej więc swoją Aptekę Literacką.

– Barka o pękatym kadłubie, z kambuzem, dwiema kojami, łazienką i ośmioma tysiącami książek. To całkiem osobny świat. – I poskromiony żywioł, jak każdy statek przykuty do lądu. Ale to wolał przemilczeć.

– A władcą owego królestwa jest monsieur Perdu, literacki farmaceuta przepisujący lekarstwa na nieszczęśliwą miłość.

Catherine wskazała na stos książek, które przyniósł jej poprzedniego wieczora.

– Skuteczne lekarstwa.

– Kim chciała pani zostać, kiedy była małą dziewczynką? – zapytał szybko, żeby ukryć zakłopotanie.

– Och. Chciałam być bibliotekarką. I piratką. Pańska barka z książkami jest dokładnie tym, czego mi potrzeba. Całymi dniami czytając, zgłębiałabym tajemnice tego świata.

Perdu słuchał z rosnącą sympatią.

– A nocami okradałabym złych ludzi z ich majątków zbitych na kłamstwach.

Zostawiałabym im tylko jedną książkę, która by ich oświeciła, zmusiła do żalu za swe postęпки i zmieniła ich w dobrych obywateli. I tak dalej naturalnie. – Roześmiała się.

– Naturalnie – przytaknął z ironią. Na tym polega tragizm czytania. Książki zmieniają ludzi. Ale nie tych złych. Ci nie stają się naraz lepszymi ojcami, sympatyczniejszymi mężami i miłszymi przyjaciółkami. Pozostają tyranami, dalej gnębią swoich podwładnych, dzieci czy psy. Nadal są złośliwi w drobnych sprawach i tchórzliwi w sprawach wielkich. I cieszą się, kiedy ich ofiary czują wstyd.

– Książki były moimi przyjaciółmi – odezwała się Catherine, chłodząc zaczerwienione od jedzenia wargi kieliszkiem z winem. – Wydaje mi się nawet, że wszystkich swoich uczuć nauczyłam się z książek. To w nich kochałam i śmiałam się. To z nich dowiedziałam się więcej niż w całym realnym życiu.

– Ja też – powiedział Perdu.

Popatrzyli na siebie i to stało się tak po prostu.

– Co właściwie znaczy to J? – zapytała nieco niższym tonem.

Chrząknął, zanim odpowiedział.

– Jean – wyszeptał potem. Język uderzył o zęby, tak rzadkie było to słowo w jego ustach.

– Nazywam się Jean. Jean Albert Victor Perdu. Albert po dziadku ze strony ojca. Victor po dziadku ze strony matki. Moja matka jest profesorem, jej ojciec, Victor Bernier był toksykologiem, socjalistą i burmistrzem. Mam pięćdziesiąt lat, Catherine, i nie znałem zbyt wielu kobiet, że nie wspomnę o sypianiu z nimi. Kochałem jedną. Opuściła mnie.

Catherine przyglądała mu się uważnie.

– Wczoraj. Wczoraj minęło dokładnie dwadzieścia jeden lat. Ten list jest od niej. Boję się tego, co zawiera.

Spodziewał się, że teraz go wyrzuci, spoliczkuje, odwróci wzrok. Nic takiego nie nastąpiło.

– Ach, Jean – wyszeptała zamiast tego ze współczuciem.

Jean.

Wróciło.

Wróciła słodycz brzmienia tego imienia w kobiecych ustach.

Spojrzeni na siebie. Zauważył lekkie drżenie jej powiek. On sam czuł, jak topnieje, pozwala jej wejść, wnikać w siebie – o tak, wnikliwi w siebie nawzajem spojrzeniem i niewypowiedzianymi słowami.

Dwie łódeczki na oceanie, które myślały, że będą samotnie błąkać się na falach, odkąd straciły kotwice, ale teraz...

Musnęła dłonią jego twarz.

Jej delikatność podziałała na niego niczym policzek, cudowny, bajeczny policzek.

Jeszcze. Jeszcze.

Kiedy odstawiała kieliszek, ich odsłonięte przedramiona dotknęły się.

Skóra. Puszek. Ciepło.

Nie do końca wiadomo, kto wystraszył się bardziej – oboje zrozumieli jednak natychmiast, że to nie strach przed nieznanym, lecz przed nagłą bliskością, dotykiem.

Przestraszyli się, bo poczuli się tak dobrze.

Jean podszedł do Catherine i stanąwszy za nią, poczuł zapach jej włosów, a na piersi ucisk jej łopatek. Serce waliło mu jak szalone. Bardzo powoli i spokojnie położył swoje dłonie na jej wąskich nadgarstkach. Oplótł je delikatnie palcami, tworząc dwa ciepłe pierścienie, i przesunął w górę wzdłuż jej ramion.

Zdyszany głosem wypowiedziała cichutko jego imię.

– Jean?

– Tak, Catherine.

Czuł, jak stopniowo po całym jej ciele rozchodzi się drzenie. Dygot i pulsowanie mające swoje źródło gdzieś w okolicy pępka. Jak rozprzestrzenia się falami niczym kręgi na wodzie. Objął ją od tyłu, by zatrzymać przy sobie.

Jej ciało dygotało. Zdradzało, że tak długo, bardzo długo nikt jej nie dotykał. Była niczym zawiązek kwiatu ściśnięty pod grubą łuską.

Taka samotna, taka niczyja.

Catherine oparła się o niego lekko. Jej krótkie włosy pachniały tak przyjemnie. Jean dotykał ich jeszcze subtelniej, muskał zaledwie ich końcówki, przesuwając palcami ponad jej odkrytymi ramionami.

To takie piękne.

Jeszcze – prosiło ciało Catherine – proszę, jeszcze, minęło już tyle czasu, usycham z pragnienia. I proszę nie, nie tak mocno, to za wiele, za wiele. Nie wytrzymam! Tak mi tego brakowało. Radziłam sobie jakoś aż do teraz. Byłam dla siebie bezwzględna. Ale nie teraz. Teraz się kruszę, rozsypuję niczym ziarnka piasku. Znikam. Pomóż mi, nie przestawaj.

Czyżbym potrafił usłyszeć, co czuje?

Z jej ust słyszał tylko swoje imię wymawiane wciąż inaczej.

Jean. Jean! Jean?

Teraz Catherine oparła się cała, oddając się w jego ręce. Do jego palców napłynęła fala gorąca, poczuł, że wszystko, czym jest – ręką, i członkiem, i uczuciem, i ciałem, i duszą, i mężczyzną i wszystkimi mięśniami naraz – skupiło się teraz całkowicie w koniuszkach jego palców.

Dotykał tylko nagich części jej ciała, do których mógł dotrzeć bez sięgania pod sukienkę. Jej ręk, opalonych i jędrnych, aż po brzegi rękawów. Obejmował je, raz za razem odtwarzając pod palcami ich kształt. Głaskał jej brązowy kark, szyję delikatną i miękką oraz cudowne, hipnotyzujące łuki obojczyków. Koniuszkami palców, opuszką kciuka rysował kontury jej mięśni, raz ostrzej, raz subtelniej. Wyłącznie opuszką kciuka.

Jej skóra stawała się coraz cieplejsza. Czuł, jak mięśnie pod nią coraz bardziej się naprężają, jak całe ciało Catherine nabiera witalności, gibkości i ognia. Gęsty i ciężki kwiat rozwijający się z pąka. Królowa nocy.

Wymówił jej imię, badając językiem jego brzmienie.

– Catherine.

Jego spychane długo w zapomnienie uczucia strząsnęły z siebie skorupę czasu. Perdu poczuł napięcie w podbrzuszu. Jego dłonie odbierały teraz nie tylko to, jak dotykał Catherine, ale także odpowiedź jej skóry, odpowiedź jej ciała pieszczącego jego ręce, całującego jego otwarte

dłonie, koniuszki palców.

Jak ona to robi? Co ona ze mną wyprawia?

Czy może ją zanieść tam, gdzie odpoczną jej drżące kolana? Gdzie chciałby zbadać dotyk jej skóry na łydkach i pod kolanami? Może usłyszałby dalsze melodie jej duszy?

Pragnął zobaczyć, jak leży przed nim wpatrzona w jego oczy. Pragnął dotknąć palcami jej ust, jej twarzy. Pragnął, by całe jej ciało, każdy jego skrawek, całowało jego dłonie.

Catherine obróciła się do niego, z oczami niczym burzowe niebo, szeroko otwartymi, o dzikim, poruszonym spojrzeniu.

Wziął ją na ręce, a ona przyłgnęła do niego. Zaniósł ją do sypialni, kołysząc delikatnie. Pokój odzwierciedlał dokładnie jego życie. Materac na podłodze, w rogu stojak na ubrania, książki, lampka. I gramofon.

W szybach wysokich okien dostrzegł swoje odbicie. Sylwetka bez twarzy. Ale wyprostowana, silna. I z kobietą na rękach – „taką kobietą”.

Jean Perdu czuł, że jego ciało coś z siebie zrzuca. Jakieś otepienie, wewnętrzną ślepotę. Pragnienie bycia niewidzialnym.

Jestem mężczyzną... znowu.

Ułożył Catherine na prostym pościeliu, na gładkim białym prześcieradle. Leżała tam z rękami wzdłuż ciała i złączonymi nogami. Ułożył się obok niej na boku, przyglądając się, jak oddycha, jak jej ciało gdzieś pulsuje, jak gdyby gdzieś pod skórą płynęły niewidoczne strumyki.

Na przykład tu, w zagłębieniu na szyi. Pomiędzy piersią a brodą, gdzieś pod krtanią.

Nachylił się i złożył pocałunek na owym źródelku.

Znów westchnęła, wymawiając jego imię.

– Jean...

Czuł jej pulsowanie, bicie jej serca, jej ciepło.

Czuł jak, poprzez usta, Catherine wnika w niego. Jak wnika w niego jej zapach i jak się w nim koncentruje.

Żar jej ciała udzielił się także i jemu.

A potem – *Umieram!* – ona dotknęła jego.

Sunęła palcami zrazu po materiale, potem po skórze.

Rozluźniła węzeł krawata, ruszyła pod koszulę.

Kiedy go dotknęła, poczuł, że w jego głowie ożywa jakieś bardzo stare uczucie.

I rozprzestrzenia się w nim, nadając mu wewnętrzny kontur, docierając do każdego skrawka ciała, aż do gardła, by odebrać dech.

Znieruchomiał więc i przestał oddychać, starając się nie spłoszyć owego wspaniałego, a zarazem strasznego i całkowicie obezwładniającego doznania.

Pożądanie. I taka błogość. I jeszcze coś...

By nie zdradzić się, jak paraliżuje go ten zachwyty, ale także by nie zaniepokoić Catherine tym swoim bezwładem, przemógł się i powoli, bardzo powoli odetchnął.

Miłość.

To słowo zadźwięczało w nim podobnie jak wspomnienie owego uczucia. Do oczu napłynęły mu łzy.

Tak mi jej brakuje.

Z kącika oka Catherine również potoczyła się łza. Czy płacze nad sobą? Czy razem z nim?

Wysunęła rękę spod jego koszuli, odpięła jej guziki i zdjęła mu krawat. Aby jej to ułatwić, podniósł się, nachylając ku niej.

Potem położyła dłoń na jego karku. Nie naciskając, nie przyciągając go do siebie.

W jej ustach zarysowała się szczelina, z której padło:

– Pocałuj mnie.

Obrysował jej wargi palcami, gładził ich to mniej, to bardziej miękką powierzchnią.

Byłoby tak prosto pójść dalej.

Jednym gestem przezwyciężyć ostatnią barierę. Pocałować Catherine. Poigrać językiem, nieznane przemienić w znajome, ciekawość w pożądanie, szczęście w...

Wstyd? Nieszczęście? Podniecenie?

Sięgnąć pod jej sukienkę, rozbierać ją powoli, zdejmując najpierw bieliznę, potem resztę. O tak, tak by zrobił. Pragnął widzieć ją nagą.

Ale nic z tego.

Catherine, po raz pierwszy, odkąd się dotknęli, zamknęła oczy. Przymknęła powieki w tym samym momencie, kiedy otworzyła usta.

Wyłączyła Perdu ze swoich doznań. Nie był już w stanie zobaczyć, czego chce.

Poczuł, że coś wydarzyło się w jej duszy. I tylko czyhało, by sprawić jej ból.

Czy to wspomnienie pocałunków jej męża? (I tego, jak strasznie dawno to było? Czy wtedy miał już kochankę? Czy już wtedy nie mówił jej tych rzeczy, tych paskudnych rzeczy: „Brzydzę się tobą, kiedy chorujesz” albo „Jeżeli mężczyzna nie chce już widzieć w łóżku swojej żony, to ona musiała się do tego przyczynić”). Może jej ciało przypomniało sobie, jak bardzo było ignorowane? Znikła czułość, znikły masaże, znikły pytania. A może było to wspomnienie tego, jak ją brał (Nigdy tak, by dać jej zaspokojenie. Nie ma jej co rozpieszczać, jak mawiał mąż – rozpieszczone kobiety przestają kochać, a poza tym czego ona jeszcze chce, on już skończył). Wspomnienie owych nocy, kiedy wątpiła, że jeszcze będzie kobietą, że kiedyś jeszcze ktoś jej dotknie, powie, że jest piękna. Że kiedyś jeszcze znajdzie się sam na sam z mężczyzną.

Demony Catherine obudziły też złe wspomnienia pana Perdu.

– Nie jesteśmy już sami, Catherine.

Catherine otworzyła oczy. Burza, jaka w nich wezbrała, przemieniła się teraz ze srebrzystego blasku w wyblakły obraz poświęcenia.

– Tak. Ach, Jean. Ten idiota zjawił się akurat wtedy, kiedy już pomyślałam, że w końcu, w końcu jakiś mężczyzna dotknie mnie tak, jak zawsze pragnęłam. Nie tak jak... ten gbur. – Odwróciła się na bok, tyłem do Jeana. – I nawet moje dawne ja. Ta głupiutka, mała, pokorna Cati. Która, kiedy mąż zachowa się obrzydliwie albo matka ignoruje ją całymi dniami, zawsze szuka winy w sobie. Musiałam coś przeoczyć... coś zaniedbać... nie byłam dość cicho. Nie dość szczęśliwa. Chyba nie kochałam ich wystarczająco, skoro byli dla mnie tacy...

Rozpłakała się.

Najpierw cicho. Potem zaś, kiedy okrył ją kołdrą i mocniej przytulił, gładząc delikatnie po głowie, zaszlochała głośno i rozdzierająco.

Czuł, jak w jego ramionach wędruje przez wszystkie te miejsca, które przemierzała w myślach już tysiące razy. Bojąc się, że upadnie, że straci panowanie i zatonie w bólu – tak jak teraz.

Zatonęła. Pokonana przez smutek, żal i upokorzenie Catherine sięgnęła dna.

– Straciłam przyjaciół... mówił, że oni chcą tylko pławić się w jego blasku. Jego blasku.

Nie mieściło mu się w głowie, że oni interesują się mną. Mówił „potrzebuję cię”, ale wcale mnie nie potrzebował, chciał tylko mnie... Chciał sam być artystą... ja swoją twórczość porzuciłam z miłości do niego, ale to było za mało. I co? Miałam umrzeć, żeby mu udowodnić, że jest dla mnie wszystkim? I że jest czymś więcej, czym ja nigdy nie będę? – Na koniec dodała zachrypłym szeptem: – Dwadzieścia lat, Jean. Dwadzieścia lat pozornego życia... Podeptałam i pozwoliłam jemu podeptać moje własne życie.

Po jakimś czasie znów mogła oddychać swobodniej.

A potem zasnęła.

Jej ciało w objęciach Perdu stało się miękkie i wiotkie.

Ona też. Dwadzieścia lat. Najwyraźniej istnieje więcej wariantów zniszczenia sobie życia.

Wiedział, że teraz jego kolej. Teraz to on będzie musiał dotknąć dna.

W salonie, na jego starym, pomalowanym na biało stole kuchennym, leżał list od Manon.

W pewnym sensie czuł pocieszenie, że nie jest jedynym, który marnował swój czas.

Przez krótką chwilę myślał, co by było, gdyby Catherine zamiast tego Le P. poznała jego.

Jednak znacznie dłużej zastanawiał się, czy jest gotów na otwarcie tego listu.

Oczywiście, że nie.

Złamał pieczęć i powąchał papier. Wąchał długo. Zamknął oczy i spuścił głowę.

A potem usiadł na kawiarnianym krześle i zaczął czytać liczący dwadzieścia jeden lat list od Manon.

Bonnieux, 30 sierpnia 1992 roku

Tysiące razy pisałam już do Ciebie, Jean, i za każdym razem musiałam zacząć jednym i tym samym słowem, bo ono jest najprawdziwsze ze wszystkich. „Kochany”.

Kochany Jeanie, mój ukochany, daleki Jeanie.

Popelniałam głupstwo. Nie powiedziałam Ci, dlaczego Cię opuściłam. Teraz tego żałuję – i tego, że odeszłam, i tego, że zrobiłam to bez słowa.

Proszę, czytaj dalej, nie pal mnie – opuściłam Cię nie dlatego, że nie chciałam z Tobą być.

Chciałam. O wiele bardziej niż tego, co teraz się ze mną dzieje.

Jean, ja umrę, wkrótce. Mówią, że na Boże Narodzenie.

Kiedy odeszłam, tak bardzo pragnęłam, abyś mnie znienawidził.

Już widzę, jak kręcisz głową, mon amour. Ale ja chciałam postępować zgodnie z prawami miłości. Czyż nie mówią one: Zrób to, co najlepsze dla tej drugiej osoby? Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli gniew pozwoli Ci o mnie zapomnieć. I nie będziesz po mnie płakał ani się o mnie martwił, bo nie będziesz wiedział o mojej śmierci. Cios, wybuch złości – i życie potoczy się dalej.

Ale myliłam się. Tak się nie da, muszę Ci jeszcze powiedzieć, co mnie, co Tobie, co nam się przytrafiło. To coś pięknego i strasznego równocześnie, i zbyt wielkiego na tak krótki list. Kiedy przyjedziesz, porozmawiamy o tym wszystkim.

O to właśnie Cię proszę, Jean: Przyjedź do mnie.

Tak się boję umierać.

Ale zaczekam z tym, aż będziesz przy mnie.

Kocham Cię

Manon

PS Jeżeli nie zechcesz przyjechać, bo nie czujesz się na siłach, zrozumiem. Nie jesteś mi nic winien. Współczucia także.

PPS Lekarze nie pozwalają mi już nigdzie podróżować. Luc na Ciebie czeka.

Perdu siedział w ciemności i czuł się jak zbity pies.
Czuł w piersi bolesny skurcz.
To niemożliwe.

Za każdym razem, kiedy przymykał oczy, widział pod powiekami samego siebie. Ale tego sprzed dwudziestu lat. Jak skamieniały siedzi dokładnie przy tym samym stole i wzbrania się przed otwarciem listu.
Niemożliwe.

Przecież ona nie mogła...

Zdradziła go dwa razy. Był tego pewien jak niczego innego. Na tym wniosku zbudował całe swoje życie.
Poczuł mdłości.
Musiał przyjąć do wiadomości, że to on zdradził ją. A Manon na próżno czekała, żeby przyjechał do niej, kiedy...
Nie. Proszę, proszę, nie.

Wszystko źle.

Ten list, postscriptum – musiała pomyśleć, że zabrakło mu serca. Jak gdyby Jean Perdu nie kochał Manon dostatecznie mocno, by spełnić to jej ostatnie – tak intymne, tak żarliwe – życzenie.

Wraz z tą świadomością rosło w nim poczucie wstydu. W nieskończoność.
Widział ją oczyma duszy wtedy i potem, po wysłaniu listu. Jak czeka, aż przed dom zajedzie samochód i Jean zapuka do jej drzwi.
Minęło lato, jesień pomalowała szronem opadłe liście, zima ogołociła drzewa do reszty.
Ale on nie przyjechał.
Ukrył twarz w dłoniach. Choć najchętniej dałby sobie raczej w twarz.
A teraz jest za późno.

Perdu złożył drżącymi palcami zleżały papier, który w jakiś cudowny sposób nadal pachniał Manon, i włożył go do koperty. Następnie w zaciętym skupieniu zapiął guziki koszuli, nerwowo szukając przy tym butów. Patrząc na swoje odbicie w nocnym oknie, poprawił włosy.
Skocz, ty beznadziejny idioto. To byłoby przynajmniej jakieś rozwiązanie.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył stojącą w drzwiach Catherine.
– Ona mnie... – zaczął, wskazując na list. – Ja ją... – Nie był w stanie odnaleźć odpowiednich słów. – Wszystko było zupełnie inaczej.
Jak brzmi to słowo?

– Kochała? – spytała Catherine po jakimś czasie.
Skinął głową.
Właśnie. To to słowo.

– To chyba dobrze.

– Jest już za późno – powiedział.
Wszystko przypadło. Wszystko zniszczyłem.

– Ona chyba...
No powiedz to!

– ... opuściła mnie z miłości. Tak, z miłości. Opuściła.

– Spotkacie się? – zapytała Catherine.

– Nie. Ona nie żyje. Manon umarła dawno temu.

Zamknął oczy, żeby nie patrzeć na Catherine, żeby nie widzieć, jak rani ją tak samo.

– A ja ją kochałem. Tak bardzo, że przestałem żyć, kiedy odeszła. Ona umarła, ale ja myślałem tylko o tym, jaka była podła. Byłem głupim człowiekiem. Wybacz mi, Catherine, ale nadal nim jestem. Nawet nie potrafię o tym rozmawiać jak trzeba. Pójdę, zanim jeszcze bardziej cię skrzywdzę. Dobrze?

– Naturalnie. Możesz iść. I wcale mnie nie krzywdzisz. Takie jest życie, a my nie mamy po czternaście lat. Człowiek dziwacznie, kiedy nie ma kogo kochać. a w każdym nowym uczuciu odzywa się najpierw to stare. Już tacy jesteśmy – wyszeptała Catherine ze spokojem i zdecydowaniem. Popatrzyła na stół kuchenny. Sprawcę tego wszystkiego. – Chciałabym, żeby mój mąż opuścił mnie z miłości. To chyba najpiękniejsza forma odejścia.

Perdu podszedł sztywno do Catherine i objął ją. Ale poczucie bliskości już gdzieś uleciało.

Zdążył zrobić sto pompek, zanim zabulgotała kawiarka. Upiwszy pierwszy łyk kawy, zmusił się jeszcze do dwustu przysiadów, aż mięśnie odmówiły w końcu posłuszeństwa.

Wziął prysznic, polewając się zimną, potem gorącą wodą, a następnie ogolił się, zacinając się przy tym mocno kilka razy. Odczekał, aż krwawienie ustanie, po czym wyprasował białą koszulę i związał krawat. Do kieszeni spodni włożył parę banknotów i na koniec przełożył przez ramię marynarkę.

Wychodząc z mieszkania, rzucił okiem w stronę drzwi Catherine. W jego ciele odezwała się tęsknota za jej objęciami.

A co potem? Ja się pocieszę, ona się pocieszy, a potem będziemy jak dwie zużyte chustki do nosa.

Z należących do sąsiadów skrzynek na listy wyjął ich zamówienia na książki.

Pozdrowił Thierry'ego, który wycierał stoliki z porannej rosy. Zjadł omlet z serem i nawet tego nie zauważył ani nie poczuł jego smaku, bo tak zawzięcie zaczytał się w porannej gazecie.

– I jak? – zapytał Thierry, kładąc mu rękę na ramieniu.

Błahy, przyjacielski gest, jednak pan Perdu musiał użyć całej siły woli, by nie stracić jego dłoni.

Jak umarła? Na co? Czy to bolało, czy mnie wzywała? Czy patrzyła codziennie w stronę drzwi? Dlaczego byłem taki nieprzejednany?

Dlaczego to musiało się tak skończyć? Na jaką karę zasługuję? Może najlepiej będzie się zabić. Raz zrobić to, co należy.

Przejrzał recenzje książek w gazecie. Zagłębił się w nich z niemal maniakałnym skupieniem, nie chcąc uronić ani jednego słowa, ani jednej opinii czy informacji. Robił podkreślenia, dopisywał komentarze i zapominał, co czyta.

Czytał więc od nowa...

I nawet nie podniósł głowy, kiedy Thierry odezwał się:

– Widzi pan tamto auto? Stało tu przez pół nocy. Może ktoś tam śpi? Może to znowu ci od tego pisarza?

– Maksa Jordana?

Oby ten chłopak nie popełniał w życiu takich błędów.

Kiedy Thierry ruszył w stronę samochodu, ten czym prędzej odjechał.

Bała się, kiedy poczuła zbliżającą się śmierć. Pragnęła, żebym ją ochronił. Ale mnie nie było. Bo woląłem uważać się nad sobą.

Perdu poczuł wzbierające mdłości.

Manon. Jej dłonie.

Jej list, jej zapach,

jej pismo. Było w niej tyle życia. Tęsknię za nią.

Nienawidzę siebie. Nienawidzę jej!

Dlaczego musiała umrzeć? To jakieś nieporozumienie. Ona jeszcze żyje, gdzieś tam.

Zerwał się i pobiegł do łazienki, żeby wymiotować.

To nie była spokojna niedziela.

Zamiótł podłogę, odniósł na miejsce książki, których w ostatnich dniach nie chciał sprzedać. Ustawił je na półkach z aptekarską precyzją. Potem włożył jeszcze do kasy nową rolkę papieru, byle zająć czymś ręce.

Jeżeli przeżyję ten dzień, przeżyję też jakoś resztę moich dni.

Obsłużył pewnego Włocha.

– Widziałem niedawno taką książkę z krukiem w okularach na okładce. Została już może przetłumaczona?

Potem zrobił sobie zdjęcie z parą turystów, przyjął zamówienie na tytuły krytyczne wobec islamu wydane w Syrii, sprzedał rajstopy przeciw zylakom pewnej Hiszpance i napełnił miseczki Kafki i Lindgren. Później, kiedy najedzone koty wałęsały się po pokładzie, przejrzał katalog z artykułami biurowymi oferujący nie tylko słynne składające się z sześciu słów opowiadania znanych autorów od Hemingwaya do Murakamiego, ale również solniczki, pieprzniczki i pojemniczki na przyprawy. W formie głów. Schiller, Goethe, Colette, Balzac czy Virginia Woolf sypali z przedziałków hojnie pieprzem, solą albo cukrem.

Co to ma być?

Absolutny bestseller w dziale NonBook: nowe zakładki w każdej księgarni. A jako dodatek: *Stopnie* Hessego – kultowa podpórka do książek z poezją!

Perdu patrzył na stronę katalogu szeroko otwartymi oczami.

Wiecie co? Dosyć. Mam was gdzieś z tymi solniczkami w kształcie Goethego. Mam was gdzieś z kryminalami na papierze toaletowym. I jeszcze te Stopnie Hessego – „W każdym początku wielki czar się chowa” – bibelot na półkę! Dosyć!

Księgarz popatrzył na Sekwanę za oknem. Jak woda mieni się w słońcu, jak faluje odbijające się w niej niebo.

Jak ładnie, w sumie.

Czy Manon miała mi za złe, że opuszcza mnie w ten sposób? Bo jestem, jaki jestem, i nie ma innego wyjścia? Choćby porozmawiać ze mną? Powiedzieć mi po prostu, jak jest. Poprosić mnie o pomoc. Powiedzieć mi prawdę.

– Czy ja się do tego nie nadaję? Jakim w ogóle jestem człowiekiem? – zapytał na głos.

Jean Perdu złożył katalog i zwinąwszy go w rolkę, wetknął do tylnej kieszeni szarych spodni.

Poczuł, jak gdyby przez ostatnich dwadzieścia jeden lat czekał tylko na tę chwilę. Na ten moment, w którym zrozumie, co musi zrobić. Co powinien być zrobić i bez listu od Manon.

Otworzył skrzynkę z ułożonymi w pedantycznym porządku narzędziami, wyjął z niej wkrętarce, wsadził do kieszonki na piersi nasadkę do niej i podszedł do burty. Rozpostarł katalog na metalowym poszyciu, następnie uklękąwszy na kolorowym arkuszu nałożył nasadkę na

wkrętarce i zaczął odkręcać wielkie śruby przytrzymujące trap. Jedną po drugiej.

Na koniec odłączył przewód do pobierania wody pitnej z portu, wyciągnął wtyczki z rozgałęźnika od skrzynki prądowej i odcumował liny od dwudziestu lat łączące Aptekę Literacką z łodem.

Kopnął pomost parę razy z całej siły, aby ostatecznie odłączyć go od barki. Podniósł leżącą na nim deskę i wsunął na pokład, następnie wskoczył za nią i zamknął drzwi burtowe.

Przeszedł na rufę do stanowiska sternika i przesławszy w myślach przeprosiny Catherine, włożył kluczyk do stacyjki silnika.

Potem, po dziesięciu sekundach odliczonych z rozbawieniem od tyłu, przekręcił go.

Silnik zaskoczył bez najmniejszej zwłoki.

– Monsieur Perdu! Monsieur Perdu! Halo! Proszę zaczekać!

Obejrzał się przez ramię.

Jordan? Tak, to on. Oprócz nauszników miał teraz na sobie jeszcze okulary przeciwsłoneczne, które księgarz zidentyfikował jako własność madame Bomme. Jeden z tych wysadzanych diamentami modeli, w których wygląda się jak mucha.

Jordan biegł w stronę barki z zarzuconym na plecy workiem żeglarskim podskakującym przy każdym kroku oraz ze zwieszającymi się z ramion rozmaitymi torbami. W ślad za nim gnała jakaś para – oboje z aparatem fotograficznym.

– Gdzie się pan wybiera? – wrzasnął spanikowany młodzieniec.

– Jak najdalej stąd! – odkrzyknął Perdu.

– Wspaniale, to ja płynę z panem!

I czym prędzej rzucił na pokład swoje bagaże, choć Lulu, trzęsąc się i chybocząc pod wpływem niecodziennych wibracji, oddaliła się już od brzegu o dobry metr. Oczywiście połowa wylądowała w wodzie, między innymi torba z komórką i portfelem.

Silnik pracował z charkotem, produkując gęste kłęby spalin. Niebieskawy dym pokrywał już sporą część rzeki. Perdu zauważył biegnącego w jego stronę z pianą na ustach kapitana portu.

Przesunął wajchę gazu na „cała naprzód”.

W tej samej chwili pisarz wziął rozbieg.

– Nie! – krzyknął Perdu. – Panie Jordan! Nie, nie ma mowy! Ja bardzo...

Max skoczył.

* H. Hesse, *Im dojrzalsi, tym młodszy*, tłum. A. Kryczyńska, R. Reszke, Warszawa 2000, s.

– ... proszę!

Jean Perdu patrzył, jak Max Jordan podnosi się, rozcierając kolano i oglądając się za swoim utraconym dobytkiem, który jeszcze jakiś czas unosił się na wodzie, po czym poszedł na dno, a potem z szerokim uśmiechem kuśtyka w jego stronę. Naturalnie w nausznikach.

– Dzień dobry – powiedział radośnie ścigany autor. – Pan też płynie tą łodzią?

Perdu tylko przewrócił oczami. Później zajmie się reprimendą i grzecznym wyproszeniem intruza. Teraz trzeba się skupić. Tyle niebezpieczeństw na drodze! Statki wycieczkowe, barki transportowe, barki mieszkalne, ptaki, muchy, piana spod śrub... Jak to było, kto ma pierwszeństwo i z jaką w ogóle prędkością... I co znaczą te żółte romby przed mostami?

Max tymczasem spoglądał wciąż na niego, jakby na coś czekał.

– Jordan, niech pan sprawdzi, co z kotami i książkami. I proszę nam zrobić kawy. Ja tymczasem postaram się nikogo nie zabić tym tutaj.

– Co? Kogo chce pan zabić? Jakie koty? – odezwał się zdezorientowany pisarz.

– I niechże pan zdejmie to z głowy – Perdu wskazał na nauszniki – i zrobi nam tej kawy.

Kiedy jakiś czas później Max umieścił w uchwycie obok wielkiego koła sterowego blaszany kubek z mocną kawą, Perdu zdążył już nieco oswoić się z wibracjami i płynięciem pod prąd. Minęły wieki od czasu, kiedy kierował barką. A tu w dodatku ten dziób z przodu! Długi jak co najmniej trzy przyczepy ciężarówki. A przy tym taki dyskretny, bo statek sunął po wodzie bardzo cicho.

Czuł strach i radość jednocześnie. Miał ochotę śpiewać i krzyżeć. Zaciskał kurczowo palce na kole. To, co zrobił, było szalone, było głupie, było... ba-jecz-ne!

– Gdzie pan nauczył się prowadzić barki i tego tutaj? – zapytał pisarz, patrząc z nabożeństwem na urządzenia w kokpicie.

– Mój ojciec mi pokazał. Miałem wtedy dwanaście lat. W wieku szesnastu lat zrobiłem patent sternika lądowego, bo myślałem, że w przyszłości będę tak woził węgiel na północ.

I zostanę spokojnym człowiekiem, który nigdy z niczym nie będzie się musiał mierzyć, aby być szczęśliwy. Mój Boże, jak to życie szybko mija.

– Naprawdę? Mój ojciec nie pokazał mi nawet, jak robi się statki z papieru.

Obrazki Paryża przesuwają się wzdłuż kanału jak klatki na filmowej kliszy. Pont Neuf, katedra Notre-Dame, port Arsenal.

– To było odejście jak z Bonda. Słodzi pan, *mister Bond*? – zapytał Jordan. – A dlaczego właściwie pan to zrobił?

– Co takiego? I dziękuję za cukier, MoneyPENNY.

– No, dał pan nogę. Zwiął. Wsiadł na tratwę niczym Huckleberry Finn. Niczym Ford Prefect...

– Z powodu kobiety.

– Kobiety? Myślałem, że one pana nie...

– Większość nie. Z wyjątkiem jednej. Ona obchodzi mnie szczególnie. Jadę do niej.

– Aha. Świetnie. Ale dlaczego na przykład nie autobusem?

– A co pan myśli, że tylko bohaterowie książek robią szalone rzeczy?

– Nie. Akurat myślę o tym, że nie umiem pływać, a pan prowadził podobnego potwora, kiedy jeszcze był smarkaczem. No i myślę jeszcze o tym, że pięć puszek z karmą dla kotów

poukładał pan w kolejności alfabetycznej. Najprawdopodobniej jest pan wariatem. Dobry Boże! Miał pan kiedyś dwanaście lat? Był takim prawdziwym małym chłopakiem? To niepojęte! Przecież pan zachowuje się tak, jak gdyby zawsze był pan taki.

– Taki?

– Taki dorosły. Taki... opanowany. Taki kompletnie zimnokrwisty.

Gdyby tylko wiedział, jaki ze mnie dyletant.

– Nie dotarłbym do dworca. Miałbym po drodze za dużo czasu na myślenie, monsieur Jordan. I znalazłbym sto powodów, by nigdzie nie jechać. Nic by z tego nie wyszło. A wtedy zobaczyłby mnie pan tam. – Pokazał na most ponad Sekwaną, z którego machały im teraz dziewczęta jadące na holendrach. – I zostałbym tam, gdzie byłem od zawsze. Nie wyrwałbym się ze swojego życia, ze swoich przyzwyczajęń. Ono jest wprawdzie gówniane, ale bezpieczne.

– Czy pan powiedział „gówniane”?

– I co z tego?

– Super. Teraz przynajmniej przestałem się martwić tymi puszczkami.

Perdu sięgnął po kawę. Ciekawe, co Max by powiedział, gdyby dowiedział się, że kobieta, przez którą tak definitywnie zerwał z dotychczasowym życiem, od dwudziestu jeden lat nie żyje? Wyobraził sobie, jak mu o tym mówi. *Zaraz, teraz. Tylko jak?*

– A pan? – zapytał w zamian. – Co panu kazało się stąd wyrwać?

– Chcę... poszukać jakiejś historii – wyjaśnił, jękając się, Jordan. – Bo tu w środku... we mnie nie ma nic. Zamierzam tak długo przebywać poza domem, aż ją znajdę. Właściwie przyszedłem nad kanał, żeby się pożegnać, pan tymczasem właśnie odbijał od brzegu... Czy mogę płynąć z panem, proszę? Mogę?

Popatrzył na Perdu z taką nadzieją w oczach, że ten, choć zamierzał wysadzić Maksa na ląd w najbliższym większym porcie po drodze, po raz pierwszy się zawahał.

Przed sobą ma cały świat, za sobą nielubiane życie. Znowu czuł się jak chłopiec, którym – naprawdę – kiedyś był. Nawet jeśli Maksowi, z jego młodzieńczej perspektywy, trudno było w to uwierzyć.

Teraz czuł się na przykład tak, jakby znowu miał dwanaście lat. Kiedy rzadko, choć chętnie, bywał sam albo spędzał czas z Vijayą, chuchrowatym Hindusem z mieszkającej po sąsiedzku rodziny matematyków. Kiedy jeszcze był na tyle mały, by wierzyć w sny jako drugi, tak samo realny świat oraz miejsce prób. O tak, wierzył, że w snach można otrzymywać zadania, których wykonanie przyczyniało się do przejścia do kolejnego etapu w życiu na jawie.

Znajdź wyjście z labiryntu! Naucz się latać! Pokonaj złego psa! A wtedy, jak się obudzisz, spełni się twoje marzenie.

Wtedy potrafił jeszcze wierzyć w moc swoich marzeń. Naturalnie w powiązaniu z rezygnacją z czegoś ulubionego albo ważnego.

Spraw, żeby rodzicie popatrzyli na siebie podczas śniadania! Oddam za to oko, to lewe. Bo prawego potrzebuję do prowadzenia barki.

O tak, takie miał pragnienia, kiedy był jeszcze chłopcem i nie był taki... jak to określił Jordan? Taki zimnokrwisty? Pisywał też listy do Boga i pieczętował je krwią z własnego kciuka. Teraz tymczasem, po niemal wiekach, stoi za sterem tego giganta i znowu czuje, że ma jeszcze jakiegokolwiek marzenia.

– Ha! – wykrzyknął z radością i wyprężył pierś.

Jordan majstrował przy pokrętlach radia, aż w końcu udało mu się odszukać częstotliwość

nawigatorów z VNF Seine odpowiadających za ruch na rzece.

– ... powtórka komunikatu dla dwóch pajaców, którzy zasmrodzili port Champs-Élysées.

Serdeczne pozdrowienia od kapitana portu, sterburta to tam, gdzie kciuk jest po lewej.

– Czy oni mówią o nas? – zapytał chłopak.

– No skąd – zachnął się Perdu.

Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się pod nosem.

– A kim pan chciał zostać w dzieciństwie, monsieur... eee, Jordan?

– W dzieciństwie? To znaczy jeszcze wczoraj? – Max uśmiechnął się zawadiacko. Potem odezwał się bardzo cichym głosem: – Chciałem zostać mężczyzną, którego ojciec będzie traktował poważnie. Chciałem też objaśniać sny, co stało niejako w sprzeczności z tym pierwszym – dodał.

Perdu chrząknął.

– Proszę nam znaleźć drogę do Awinionu. Niech pan wyszuka jakąś ładną trasę kanałami południa. Taką, gdzie może... przyśni się nam coś ważnego. – I wskazał mu stos map, które przedstawiały gęstą, niebieską sieć tras wodnych, kanałów, portów i śluz. – Jordan popatrzył na niego pytająco. Perdu dodał tylko gazu, a potem spoglądając na wodę, dodał: – Sanary pisze w swojej książce, że trzeba popłynąć na południe, żeby poznać odpowiedź na nasze sny. Że można się tam znowu odnaleźć, ale tylko wówczas, kiedy wcześniej się zagubimy, kompletnie zagubimy. Przez miłość. Przez tęsknotę. Przez strach. Na południu słucha się morza, aby zrozumieć, że śmiech i płacz brzmią tak samo, a dusza musi czasem popłakać, żeby być szczęśliwa.

W jego piersi zbudził się ptak i ostrożnie – zaskoczony, że jeszcze żyje – rozłożył skrzydła. Chciał się wydostać. Chciał otworzyć jego pierś i zabrać jego serce. Chciał wzlecieć do nieba.

– Jadę – wymamrotał Jean. – Jadę, Manon.

Dziennik podróży Manon

*W drodze do swojego życia,
gdzieś między Awinionem a Lyonem,
30 lipca 1986 roku*

To cud, że oni wszyscy (rodzice, ciotka Julia ze swoim „kobiety wcale nie potrzebują mężczyzn”, kuzynki Daphne „jestem za gruba” i Nicolette „ciągle jestem taka zmęczona”) nie wsiedli jeszcze razem ze mną. Dostatecznie irytujące było już to, że zeszli w dolinę ze swojego Tymiankowego Wzgórza i pojechali razem z nami do Awinionu, żeby na własne oczy przekonać się, że wsiadam do pośpiesznego z Marsylii do Paryża. Podejrzewam, że po prostu chcieli wybrać się znowu do prawdziwego miasta, pójść do kina czy kupić płyty Prince’a.

Luc nie pojechał. Martwił się, że jak będzie na peronie, to nigdzie nie pojedę. To prawda, nawet z daleka rozpoznam, co z nim, nawet po tym, jak chodzi albo siedzi, chowając głowę w ramiona. Nieodrodny mieszkaniec południowej Francji, o duszy z ognia i wina. Nigdy nie bywa obojętny, we wszystko wkłada uczucie, jemu nigdy nie jest wszystko jedno. Z kolei w Paryżu, jak twierdzi, wszyscy najczęściej są zblazowani.

Teraz, stojąc przy oknie pociągu, wydaję się sobie młoda i dorosła jednocześnie. Po raz

pierwszy naprawdę opuszczam swoją ojczyznę. Oddalając się od niej z każdym kolejnym kilometrem, właściwie po raz pierwszy ją dostrzegam. Niebo przeniknięte światłem, odgłosy cykad w sękatych drzewach, wiatry zmagające się z każdym listkiem migdałowców. Upał, który jest jak gorączka. Złociste iskierki w rozedrganym powietrzu, kiedy słońce zachodzi i zabarwia strome zbocza i dachy różowo-miodową poświatą. Wszędzie przyroda, nieustanny wzrost. Rozmaryn i tymianek wyglądające spod kamieni, wiśnie tryskające sokiem, pękate nasionka lipy pachnące jak śmiech dziewcząt, kiedy w cieniu platanów odwiedzają je chłopcy pasający gęsi. Rzeki jak turkusowe, cienkie sznureczki rozrzucone pomiędzy skalami. I morze na południu, tak wściekle błękitne, tak błękitne jak plamy na skórce oliwek, kiedy kochało się w gaju pod jednym z drzew... Przyroda nieustannie zbliża się do człowieka, podchodzi na wyciągnięcie ręki, jest nieubłagana. Ciernie. Skąły. Zapach. Papa mawia, że Prowansja stworzyła ludzi z drzew, barwnych skał i źródeł, po czym ochrzciła ich jako Francuzów. Są czerstwi i gibcy, twardzi i silni, mówią z głębi swojego jestestwa i burzą się równie szybko jak woda w garnku postawionym na piecu.

Czuję już, że upał odpuszcza, że niebo obniża się i traci swój kobaltowy blask... widzę, jak kontury krajobrazu słabną i łagodnieją, im dalej na północ docieramy. Zimną, cyniczną północ! Czy ona w ogóle jest zdolna do miłości?

Maman boi się oczywiście, że w Paryżu może mnie spotkać coś złego. A przy tym nie ma na myśli, dajmy na to, wybuchu jakiejś bomby podłożonej przez libańskich terrorystów – jak w galerii Lafayette czy na Champs-Élysées – lecz zetknięcie się z mężczyzną. Lub, nie daj Boże, z kobietą. Na przykład jedną z tych intelektualistek z Saint Germain, które mają sporo w głowie, za to nic a nic w sercu. Które mogłyby mnie namówić do życia w nienagannym domu z artystą, gdzie na koniec i tak kobiecie przypada jedynie czyszczenie pędzli dla jaśnie pana twórcy.

Myślę, że mamam obawia się, że z dala od Bonnieux i jego cedrów atlaskich, szczepów Vermentino i różowych zachodów słońca odkryję coś, co zagrozi mojemu przyszłemu życiu. Słyszałam, jak ubiegłej nocy, siedząc w kuchni letniej, płacze z rozpacz. Lęka się o mnie.

Z ich perspektywy w Paryżu trwa walka szczerów, a mężczyźni uwodzą kobiety swoją oziębłością.

Bo każda kobieta chce wówczas usidlić takiego mężczyznę i przemienić tę zimną skorupę w namiętność... każda kobieta. Szczególnie taka z południa. Tak mówi Daphne, ale ja myślę, że ona zwariowała. Najwyraźniej diety mogą wywoływać zwidy.

Papa to typowy, opanowany Prowansalczyk. „Cóż oni mogą ci zaoferować tam w mieście?” Uwielbiam, kiedy w humanistycznym uniesieniu upatruje w Prowansji kolebki naszej całej kultury narodowej. Mamrocze pod nosem oksytańskie frazy i uważa, że to cudownie, że od czterech stuleci prosty chłop uprawiający oliwki lub pomidory mówi językiem artystów, filozofów, muzyków i młodzieży. W przeciwieństwie do paryżan, którzy swoją kreatywność i ukochanie dla rzeczy doczesnych czerpią wyłącznie ze swojej mieszczańskości...

Ach, papo, Platonie ze szpadlem w ręku tak nietolerancyjny wobec nietolerancji!

Będzie mi brakowało jego wyrazistego zapachu, ciepła jego piersi. No i jego głosu jak pomruk burzy na horyzoncie.

Wiem, że zatęsknię też za górzystym krajobrazem, za błękitem, za mistralem przeczesującym winnice... Zabrałam ze sobą woreczek z ziemią i pęczek ziół. A oprócz tego pestkę nektaryny, ssaną tak długo, aż stała się idealnie gładka, krzemień, który wkładam pod język zupełnie jak Pagnol, kiedy czuję tęsknotę za swoimi korzeniami.*

Czy będzie mi brakowało Luca? Był przy mnie zawsze, jeszcze nigdy za nim nie tęskniłam. Podobałoby mi się, gdybym odczuła jego nieobecność. Nie znam bowiem wcale tej ciąży, o której kuzynka Daphne „jestem za gruba” rozprawia z takim namaszcczeniem: „To tak, jak gdyby mężczyzna zarzucił w twoim sercu kotwicę, a kiedy go przy tobie nie ma, czujesz, jak jej łańcuch pręży się i naciąga”. Brzmiało to strasznie, choć ona się przy tym uśmiechała.

Ciekawe, jak to jest tak pragnąć mężczyzny? I czy taki hak w sercu też mu doskwiera, czy może mężczyźni łatwiej zapominają? Daphne pewnie wyczytała o tym w którymś ze swoich romansideł.

Wiem wszystko o mężczyznach, ale nie wiem nic o mężczyźnie. Jaki jest, gdy ma u boku kobietę? Czy jako dwudziestolatek wie, jak będzie ją kochał, kiedy skończy sześćdziesiątkę – bo planując, dajmy na to, swoją karierę, wie już przecież dokładnie, co w wieku sześćdziesięciu lat będzie myślał, robił i jak będzie wyglądało jego życie.

Wrócę za rok i wyprawimy z Lukiem huczne wesele. A potem będziemy robić dzieci i wino, latami. Jestem wolna na rok i pozostanę wolna w przyszłości. Luc nie będzie mnie wypytywał, kiedy będę wracać późno do domu albo kiedy, wiele lat później, wybiorę się do Paryża czy gdzie indziej. To jego prezent na nasze zaręczyny: wolne małżeństwo. Taki już jest.

Papa nie zrozumiałby tego – w imię uczucia zwolnić drugą stronę z wierności? Powiedziałby: „Deszczu nie wystarczy dla całego kraju”. Gdzie miłość jest deszczem, a mężczyzna krajem. A czym jesteśmy my, kobiety? „Wy doglądacie mężczyzny, on w waszych rękach rozkwita. Oto wasza kobieca moc”.

Nie wiem jeszcze, czy przyjmę ten deszczowy podarunek od Luca. Jest wielki, ale ja być może do niego nie dorastam.

Jednak czy mogę mu go zwrócić? Luc powiedział, że nie będzie się przy tym upierał i że nie jest to żaden warunek.

Wyrosłam z wielkiego i krzepkiego pnia. Moje tkanki staną się budulcem statku, ale on ma kotwicę, ma banderę. Wypływam w poszukiwaniu światła i cienia, upajam się wiatrem i zapominam o portach. Skazana na wolność, nieważne, czy podarowaną czy wziętą. Zawsze sam na sam z rozterkami.

Ach, powinnam jeszcze wspomnieć o jednym, zanim moja wewnętrzna Joanna d’Arc znów rzuci koszulę i będzie dalej recytować. Rzeczywiście poznałam kogoś. Mężczyznę, który widział, jak płaczę, pisząc swój dziennik. W przedziale pociągu. Zobaczył moje łzy, a ja ukryłam je szybko i stłumiłam to dziecinne pragnienie powrotu, które dopadło mnie, jeszcze zanim w ogóle opuściliśmy moje rodzinne strony...

Zapytał, czy bardzo tęsknię.

– Przecież równie dobrze mogę płakać z powodu złamanego serca – odpowiedziałam.

– Tęsknota za domem jest rodzajem miłosnego zawodu. A nawet gorzej.

Jest dosyć wysoki jak na Francuza. Prowadzi księgarnię, ma białe i przyjazne zęby, a jego oczy są zielonego, ziołowego koloru. Trochę jak te cedry za oknem mojej sypialni w Bonnieux. Usta ma jak czerwone winogrona, włosy gęste i mocne jak gałązki rozmarynu.

Na imię ma Jean. Teraz zajęty jest przebudową flamandzkiej barki, jak mówi, chce na niej zasadzić książki. „Papierowe łódeczki dla duszy”. Wyjaśnił, że to ma być apteka, Pharmacie Littéraire, gdzie znajdują się lekarstwa na wszystkie uczucia, których nie uświadczy się w żadnej innej aptece. Na przykład na tęsknotę za domem. Jego zdaniem ma ona także wiele odmian. Pragnienie bliskości, rodzinna nostalgia, strach przed pożegnaniem albo tęsknota za miłością.

– Tęsknota za tym, by pokochać jakieś miejsce, jakiegoś człowieka albo na przykład to, a nie inne łóżko.

Mówi o tym w taki sposób, że jego słowa wcale nie brzmią niedorzecznie, lecz bardzo logicznie.

Jean obiecał, że podaruje mi książki, które złagodzą mój smutek. Powiedział to tak, jak gdyby mówił o wprowadzie na wpół magicznym, jednak oficjalnym leku.

Przypomina mi białego kruka, mądrego, silnego, szybującego ponad wszystkimi sprawami. Jest jak wielki, dumny ptak czuwający nad całym niebem.

I, nie, byłam nieprecyzyjna – on nie obiecał mi książek, bo nie znosi obietnic, jak mówi. Jean to zaproponował:

– *Mogę pani pomóc. Gdyby chciała pani jeszcze więcej popłakać albo już przestać. Albo śmiać się po to, żeby płakać mniej. Wówczas pani pomogę.*

Mam ochotę go pocałować, żeby sprawdzić, czy oprócz wiedzy i umiejętności opowiadania ma także uczucia i wiarę.

I jak wysoko potrafi latać ten biały kruk, który widzi wszystko, co noszę w sercu.

* Marcel Pagnol (1895–1974) – dramaturg, prozaik, reżyser filmowy i teatralny (przyp. tłum.).

- Jestem głodny – mówił Max.
- Mamy dosyć wody pitnej? – pytał Max.
- Ja też chcę poprowadzić! – domagał się Max.
- Czy nie ma tu ani jednej wędki? – marudził Max.
- Bez telefonu i kart kredytowych czuję się trochę jak wykastrowany – żalił się Max. –

Pan nie?

– Nie. Ale może pan wysprzątać łódź – odezwał się w końcu Perdu. – To rodzaj medytacji w ruchu.

– Sprzątanie? Poważnie? O, niech pan spojrzy, znów nadciąga paru szwedzkich żeglarzy – powiedział pisarz. – Zawsze płyną środkiem rzeki, jak gdyby to oni ją wymyślili. Za to Anglicy są inni. Ci robią wrażenie, jak gdyby rzeka była wyłącznie ich domeną, a reszta ma co najwyżej stać na brzegu i podziwiać ich, machając chorągiewkami. No tak, Trafalgar. Nadal ich to gryzie.

Opuścił lornetkę.

– Czy my w ogóle mamy na tyle naszą banderę narodową?

– Na rufie, Max. Tył statku nazywamy rufą.

Im dłużej pruli w górę krętej Sekwany, tym bardziej podekscytowany stawał się Max, a Jean coraz bardziej wyciszony.

Rzeka, łagodnie i ze spokojem wiała się szerokimi zakolami pośród lasów i parków. Wzdłuż niej ciągnęły się jedna za drugą rozległe posiadłości arystokratów z zabudowaniami przywodzącymi na myśl dawne fortuny i rodzinne tajemnice.

– Proszę zajrzeć do skrzyni z narzędziami. Powinna tam być bandera i trójkolorowy wimpel – zarządził Jean. – I niech pan poszuka też dużych gwoździ do wbijania w ziemię i gumowego młotka. Będą nam potrzebne do przycumowania, jeżeli nie znajdziemy portu.

– Aha. A skąd będę wiedział, jak się cumuje?

– Ee... przeczyta pan o tym w książce o wakacjach na łodzi.

– A jak się wędkuje?

– W dziale „Jak mieszkańcy mogą przeżyć na prowincji”.

– A gdzie jest wiadro? Też w jakiejś książce?

Max roześmiał się, pochrząkując, i nasunął nauszniki z powrotem na uszy.

Perdu tymczasem spostrzegł nadciągającą z naprzeciwka grupkę kajakarzy i dał energiczny sygnał dźwiękowy, aby ich ostrzec. Niski, donośny ton przeniknął na wskroś jego pierś i trzewia.

– Och – wyszeptał i ponownie pociągnął za dźwignię.

Coś takiego mogli wymyślić tylko mężczyźni.

Dźwięk syreny i echo grające w jego wnętrzu wywołało wspomnienie Catherine i dotyku jej skóry pod jego placami. Jej skóry opinającej mięśnie na krągłych ramionach. Miękkiej, cieplej, gładkiej. Pamięć dotyku Catherine oładnęła nim na dobrą chwilę.

Dotykać kobiety, prowadzić statki, po prostu iść przed siebie.

Naraz ożyły w nim miliony komórek, zamrugały zaspane, przeciągnęły się i powiedziały: Hej! Tego nam brakowało. Chcemy jeszcze. Dodaj gazu!

Sterburta z prawej, bakburta z lewej, farwater, czyli tor wodny, wyznaczają kolorowe

boje. Ręce jeszcze o tym pamiętały i zręcznie sterowały wzdłuż szlaku. A kobiety są mądrzejsze. One nigdy nie widzą sprzeczności między myśleniem a czuciem i kochają bezgranicznie. O tak, to zapamiętał jego brzuch.

I uwaga na wiry przed służą.

Uwaga na kobiety, które demonstrują, jakie są słabe. Bo one nigdy nie wybaczą słabości mężczyźnie.

Ale ostatnie słowo należy do skippera.

Lub do kobiety.

Kiedyś trzeba będzie przybić znowu do brzegu. Zaparkowanie tym kolosem wydaje się równie proste jak odegnanie wszelkich myśli nocą.

Nonsens. Jeszcze dziś wieczorem skieruje się ku jakiemuś szczególnie pięknemu, długiemu i wyrozumiąlemu nabrzeżu, włączy łagodnie ster boczny, o ile go znajdzie i... co potem?

Może lepiej mierzyć w jakieś zarośla.

Albo płynąć bez przerwy, aż do końca życia.

Z wypielegnowanego ogrodu na brzegu przyglądała się mu grupka kobiet. Jedna mu pomachała. Pewnie rzadko widywały tu barki towarowe albo flamandzkie frachtowce, dalekich krewnych Lulu, kierowane przez kapitanów trzymających beznamiętnie nogi na kokpicie i sterujących wielkim kołem tylko za pomocą kciuka.

Potem nagle cywilizacja gdzieś zniknęła. Za Melun zanurzyli się w letniej zieleni.

Jak tu pachniało! Tak czysto, tak świeżo i czysto.

I było też zupełnie inaczej niż w Paryżu. Czegoś tu brakowało. Czegoś, do czego Perdu zdążył tak bardzo przywyknąć, że kiedy znikło, w uszach zaczęło mu szumieć i poczuł lekkie zawrót głowy.

Kiedy po chwili dotarło do niego, co to takiego, ogarnęło go poczucie ulgi.

Nie było tu bowiem warkotu samochodów, łoskotu metra i szumu klimatyzatorów. Pomruku i kołatania milionów maszyn, urządzeń, wind i ruchomych schodów. Nie było odgłosów biegu wstecznego, hamowania i stukotu obcasów na żwirze i kamiennych płytach. I przeładowanej basami muzyki z okna tego palanta dwie kamienice dalej, turkotu deskorolek, brzęczenia skuterów.

Był za to spokój niedzielnego popołudnia, jakiego Perdu po raz pierwszy doświadczył świadomie i w pełni, kiedy rodzice zabrali go do krewnych w Bretanii. Tam, gdzieś na końcu świata, w Finistère, leżącym pomiędzy Pont-Aven a Kerdruc, owa cisza wydała mu się prawdziwym życiem, które skrywa się z dala od miast. Zobaczył wtedy Paryż jako gigantyczną pomrukującą maszynę, która produkuje dla swoich mieszkańców świat iluzji. Usypia ich laboratoryjnymi zapachami imitującymi naturę, otumania dźwiękami, sztucznym światłem i nieprawdziwym tlenem. Zupełnie jak w książkach E.M. Forstera, którego uwielbiał w dzieciństwie. A kiedy pewnego dnia ta maszyna przestanie działać, ludzie komunikujący się dotąd wyłącznie za pośrednictwem ekranu komputera, umrą z powodu nagłej ciszy, czystego słońca i intensywności własnych, nieprzefiltrowanych doznań. Umrą na nadmiar życia.

I dokładnie tak samo czuł się teraz Jean Perdu – przygnieciony nadmiarem intensywnych impulsów, z jakimi nigdy nie zetknął się, żyjąc w mieście.

Jak bolą płuca, gdy zaczerpnie się tchu całą piersią! Jak pstryka w uszach w obliczu nieznanego dotąd wyciszenia! Jak odpoczywają oczy oglądające żywe formy.

Woń rzeki, jedwabiste powietrze i przestworza ponad głową. Podobnego spokoju

i przestrzeni doświadczył ostatnio, kiedy pewnego późnego, pastelowobłękitnego lata podróżowali konno z Manon przez Camargue. Dni były wtedy jeszcze przesycone światłem i gorące jak rozżarzony piec. Jednak nocami trawy na łąkach i lasy wokół bagnistych jezior pokrywały się już rosą. Powietrze było przeniknięte aromatem jesieni i solą z salin. Pachniało ogniskami Romów obozujących po cichu gdzieś pośród pastwisk, kolonii flamingów i starych, zapomnianych sadów.

Wzdłuż rozszanych samotnie jezior i krętych traktów urywających się gdzieś w lesie Jean i Manon zmierzali ku zapomnianym plażom, siedząc na smukłych, niezawodnych siwkach. Tylko te pochodzące właśnie z Camargue wierzchowce – jedyne konie, które potrafią jeść z pyskiem pod wodą – znały drogę w tej bezkresnej, wilgotnej ostoji samotności.

Tyle tam było bezludnej przestrzeni. Tyle nieskażonego człowiekiem spokoju.

– Pamiętasz, Jean? Ty i ja. Adam i Ewa na krańcach świata.

Ile śmiechu zawierało się w głosie Manon. Śmiejąca się płynna czekolada.

Miała rację, jak gdyby gdzieś poza własnym światem odkryli tu jakiś nowy, przez dwa tysiące lat nienaruszony przez człowieka i jego manię przemieniania natury w miasta, ulice i supermarkety.

Wokół ani jednego wysokiego drzewa, ani jednego pagórka, ani jednego domu. Tylko niebo, a pod nim jedynie własna głowa. Po drodze widzieli też dzikie konie ciągnące nieopodal stadami. Czaple i dzikie gęsi polujące na ryby. Węże ścigające się z zielonymi jaszczurkami. Docierały do nich wszystkie modlitwy tysięcy wędrowców, niesione Rodanem od jego źródeł u stóp lodowca aż do tej potężnej delty i mieniające się teraz pośród janowców, wierzb i niskich drzew.

Poranki były tu tak rześkie i niewinne, że nie znajdował słów na wyrażenie wdzięczności, że jest na tym świecie. Każdego dnia kąpał się w morzu w blasku wschodzącego słońca, nagi i rozwrzeszczany biegł tam i z powrotem po białych, piaszczystych plażach, czując jedność z ową przenikniętą naturą samotnością. Miał tyle sił.

Manon zaś była pełna podziwu dla tego, jak on pływa i jak zwinnie łowi małe rybki. Zaczęli zrzucać z siebie cywilizację. Jeanowi urosła broda. Manon rozpuściła włosy: opadały jej na nagie piersi, gdy pędziła na swoim pokornym i wyrozumiałym rumaku o niedużych uszach. Zbrązowieli jak dwa kasztany, a kiedy wieczorem kochali się na cieplej jeszcze plaży przy trzaskających płomieniach ogniska, Jean rozkoszował się słodko-gorzkim posmakiem jej skóry. Wyczuwał sól morza, sól jej potu, sól otaczającej ich delty, gdzie rzeki i morze spletały się ze sobą niczym ciała kochanków.

A kiedy zbliżał się do czarnego puszku pomiędzy jej udami, do jego nozdrzy docierał hipnotyzujący zapach kobiecości i życia. Manon pachniała klaczą, na której z taką pewnością i zażyłością jeździła. Pachniała wolnością. Bił od niej aromat orientalnych przypraw zmieszanych ze słodyczą kwiatów i miodu – o tak, pachniała kobietą!

Bezustannie szeptała jego imię, wymawiała je z westchnieniem, otulając każdą z tworzących je liter swoim dyszącym rozkoszą oddechem.

– Jean! Jean!

W tamte noce był mężczyzną bardziej niż kiedykolwiek dotąd. A ona otworzyła się na niego szeroko, nacierała na niego, na jego usta, na jego jestestwo, na jego członek. W jej oczach niespuszczających z niego wzroku odbijał się zawsze księżyc. Z początku jako cienki sierp, potem jako półkole, a w końcu jako pełna, czerwonawa kula.

Spędzili w Camargue pół księżycowego miesiąca, zostali dzikusami, Adamem i Ewą mieszkającymi w trzcinowym szalasie. Uciekinierami i odkrywcami. Nigdy nie zapytał, kogo i jak Manon musiała okłamać, by śnić na jawie tu, na końcu świata, pomiędzy bydłem,

flamingami i końmi.

Nocą jedynie jej oddech wypełniał absolutną ciszę panującą pod gwiazdzistym niebem. Słodki, spokojny, głęboki oddech Manon.

Była oddechem świata.

Dopiero kiedy wolno – tak wolno, jak gdyby spuszczał na wodę papierową łódeczkę – pozwolił odpłynąć obrazowi oddychającej we śnie Manon na tamym dzikim, nieznanym krańcu południa, zorientował się, że przez cały czas spogląda w dal szeroko otwartymi oczyma. I że potrafi wspominać swoją ukochaną, nie czując jednocześnie tylko rozpaczy.

- Niechże pan w końcu zdejmie te nauszniki, Jordan. Proszę posłuchać tej ciszy.
- Cii. Nie tak głośno! I proszę nie wymieniać mojego nazwiska. Chyba wymyślę sobie jakiś pseudonim.
- Aha. A jaki?
- Będę nosił teraz imię Jean. Jean Perdu.
- O przepraszam. To ja jestem Jean Perdu.
- Właśnie. Genialne, prawda? Może przejdziemy na ty?
- Nie. Nie przejdziemy.
- Jordan zsunął nauszniki na tył głowy i zaczął węszyć.
- Czuję rybią ikrę.
- Wącha pan uszami?
- A co jeśli wpadnę w tę ikrę i zjedzą mnie młodociane sumy?
- Monsieur Jordan, ludzie najczęściej wypadają za burtę, kiedy po pijaku sikają przez reling. Proszę korzystać z toalety, a zachowa pan życie. Poza tym sumy nie żywią się ludźmi.
- Doprawdy? A gdzie tak piszą? Również w którejś z pańskich książek? Dobrze pan wie, że ludzie piszą w książkach tylko to, co wydaje im się prawdą z perspektywy ich własnego biurka. W końcu świat był kiedyś płaską płytą trwającą we wszechświecie niczym zapomniana barowa taca. – Max przeciągnął się, a jego żołądek zaburczał przy tym głośno i z wyrzutem. – Powinniśmy pomyśleć o czymś do jedzenia.
- W lodówce znajdzie pan...
- ... głównie karmę dla kotów. Podroby i kurczaka, nie, dziękuję.
- Zapomniał pan o puszcze z białą fasolą.
- Trzeba koniecznie zrobić zakupy. Tylko za co? W kasie było zaledwie kilka groszy, a karty Jordana spoczywały na dnie Sekwany. Mają przynajmniej zbiorniki z wodą. Wystarczy na jakiś czas do splukiwania toalety i mycia. No i były jeszcze dwie skrzynki wody mineralnej. Jednak to za mało, by pokonać całą drogę na południe.
- Pan Perdu westchnął. Dopiero co czuł się jak korsarz, teraz był tylko żółtodziobem.
- Jestem prawdziwym odkrywcą! – zawołał za to triumfalnie Jordan, wylaniając się nieco później z wnętrza statku ze stosem książek i wielką tubą pod pachą. – Co my tu mamy: podręcznik do nawigacji z wszystkimi znakami, jakie mogły przyjść do głowy jakiemuś znudzonemu urzędnikowi w Brukseli. – Rzucił książkę obok koła sterowego. – Poza tym... *Węzły żeglarskie*. To dla mnie. A tu proszę, wimpel na tył, *o pardon*, rufę, oraz, uwaga, uwaga, bandera! I uniósłszy dumnie tubę w górę, wyjął z niej wielką flagę.
- Przedstawiała złoto-czarnego ptaka z rozpostartymi skrzydłami na krwistoczerwonym tle. Choć gdy dobrze się przyjrzeć, można było zobaczyć książkę. Jej grzbiet stanowił korpus, a okładki i otwarte strony skrzydła. Ptak miał głowę orła i nosił przepaskę na oku jak pirat.
- I co? To nasza bandera?
- Perdu poczuł gwałtowne ukłucie z lewej strony klatki piersiowej. Skulił się.
- Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Max. – Czy to zawał? A jeśli tak, to niech pan tylko nie mówi, że mam zajrzeć do jakiejś książki, żeby sprawdzić, jak się zakłada cewnik.
- Perdu nie mógł mimo woli powstrzymać śmiechu.
- Już dobrze – powiedział zdyszczanym głosem. – To tylko... zaskoczenie. Proszę mi dać jeszcze chwilę.

Próbował zignorować ból.

Przesuwał palcami po delikatnym hafcie, tkaninie, dziobie książkowego ptaka. I po jego jedynym oku.

To Manon uszyła tę banderę na otwarcie księgarni, pracując jednocześnie nad swoją prowansalską ślubną kołdrą. Jej palce, jej oczy ślizgały się po tej materii...

Manon, to jedyna rzecz, jaka mi po tobie została.

– Dlaczego właściwie wychodzisz za tego winiarza?

– On ma na imię Luc. I jest moim najlepszym przyjacielem.

– Moim najlepszym przyjacielem jest Vijaya, ale nie mam wobec niego matrymonialnych planów.

– Kocham Luca i będzie cudownie zostać jego żoną. On pozwala mi być taką, jaka jestem. Bez żadnych warunków.

– Mogłabyś wyjść za mnie i też byłoby cudownie.

Manon przerwała na chwilę haftowanie, oko ptaka było skończone dopiero w połowie.

– Znalazłam się w jego planach życiowych, zanim jeszcze zorientowałeś się, że jedziemy tym samym pociągiem.

– I teraz nie chcesz mu tych planów pokrzyżować.

– Nie, Jean. Nie chcę pokrzyżować swoich planów. Tęskniłabym za Lukiem. Za jego bezwarunkową miłością. Chcę go. Chcę ciebie. Chcę północy i południa. Chcę życia ze wszystkim, czym ono jest! Nie chcę „albo, albo”. Wybieram „i to, i to”. Luc na to pozwala. A czy ty potrafiłbyś tak, gdybyśmy zostali mężem i żoną? Gdyby pojawił się ktoś jeszcze, drugi Jean, drugi Luc albo obaj naraz albo...

– Wolałbym, żebyś była tylko moja.

– Ach, Jean. Wiem, że moje pragnienia są egoistyczne. I mogę cię jedynie prosić, żebyś ze mną pozostał. Potrzebuję cię, by przeżyć.

– Przez całe twoje życie, Manon?

– Przez całe moje życie, Jean.

– To mi wystarczy.

Manon nakłuła palec igłą, jakby składała przysięgę krwi, i odcisnęła szkarłatną pieczęć na oku ptaka.

Może chodziło tylko o seks.

Tego się obawiał. Że dla niej liczy się tylko seks.

Choć przecież kiedy ze sobą sypiali, to nie był „tylko seks”. Raczej podbój świata.

Żarliwa modlitwa. Poznawali się nawzajem, swoje dusze, swoje ciała, swój głód doznań i lęk przed śmiercią. To było święto życia.

Znów był w stanie głębiej oddychać.

– Tak. To nasza bandera. Jest doskonała. Proszę ją podnieść na dziobie statku. Niech wszyscy ją zobaczą. A barwy narodowe na rufę. No, niech się pan pośpieszy!

Max przechylił się przez rufę, aby sprawdzić, na której ze stalowych linek zawiesza się wimpel, następnie przemierzył księgarnię w kierunku dziobu. Perdu tymczasem poczuł pieczenie w oczach. Wiedział jednak, że nie może teraz zapłakać.

Młody pisarz przymocował banderę i zaczął podnosić ją w górę. Przy każdym pociągnięciu serce Jeana kurczyło się boleśnie. W końcu flaga załopotowała dumnie na wietrze. Ptak wzbił się do lotu.

Wybacz mi, Manon. Wybacz mi.

Byłem młody, głupi i dumny.

– O, o. Gliny! – zawołał Max.

Łódź żandarmerii wodnej była coraz bliżej. Perdu zredukował prędkość, a zwrotna motorówka przycumowała do knag z boku Lulu.

- Myśli pan, że trafimy do jednej celi? – zastanawiał się Max.
- Może poproszę o status świadka koronnego – rozważał Max.
- To pewnie moja wydawczyni ich nasłala – martwił się Max.
- Może pójdzie pan jednak umyć parę okien albo poćwicz węzły – zamruczał Perdu.

Na pokład wskoczył dziarsko żandarm w okularach przeciwsłonecznych, jakie lubią nosić lotnicy, i wspiął się zwinnie na mostek.

– *Bonjour, messieurs. Service de la navigation de la Seine*, starszy szeregowy Levec – zaburczał. Od razu było widać, że kocha swoje stanowisko.

Perdu był już niemal przekonany, że ów starszy szeregowy Levec doniesie zaraz na niego za niedozwolone oddalenie się z własnego życia.

– Pańska winieta „Voies-navigables-de-France” jest niestety słabo widoczna. Czy mogę zobaczyć, gdzie trzyma pan przepisowe kapoki? Dziękuję.

– To ja lepiej pójdę umyć okna – powiedział Jordan.

Kwadrans później, po otrzymaniu upomnienia i mandatu, pan Perdu wyjął na stół pieniądze z kasy oraz banknoty z kieszeni w spodniach. Potrzebował winiety zezwalającej na pływanie po francuskich wodach terytorialnych, kompletu obowiązkowych podczas przepływania przez śluzy na Rodanie kamizelek ratunkowych w odbłaskowych kolorach oraz uwierzytelnionej kopii umowy z VNF*. Pieniądzy było za mało.

– Tak – odezwał się starszy szeregowy Levec. – I co teraz?

Czyżby w jego oczach czały się iskierki satysfakcji?

– Może... eee. Czy lubi pan czytać? – zapytał Perdu, słysząc jednocześnie, że zawstydzony mamrocze tylko niewyraźnie.

– Oczywiście. Uważam nawet, że to niestosowne pakować czytających mężczyzn do jednej przegródki z mięczakami czy innymi powiernikami kobiet – odparł żandarm i zaczął głaskać Kafkę, ale kot czmychnął czym prędzej z nastroszonym ogonem.

– Wobec tego czy mogę zaproponować spłatę reszty należności w postaci książki albo książek?

– Cóż. Mogę je wziąć na poczet kapoków. Ale co zrobimy z mandatem? No i jak zamierza pan potem zapłacić za postojowe? Nie jestem pewien, czy właściciele mariny są... amatorami czytelnictwa. – Starszy szeregowy Levec zastanawiał się przez chwilę. – Niech pan płynie za Holendrami. Oni mają nosa do darmowych okazji i wiedzą, gdzie można przybić nieodpłatnie.

Kiedy znaleźli się we wnętrzu Lulu, przy regałach, gdzie Levec mógł sobie wyszukać ekwiwalent opłaty, żandarm zwrócił się do Maksa polerującego okna obok fotela do czytania i unikającego jego wzroku.

– Czy pan nie jest może tym sławnym pisarzem?

– Ja? Nie. Skąd. Jestem... – rzucił ukradkowe spojrzenie na Perdu – jego synem. Zajmują się sprzedażą skarpet sportowych.

Perdu popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Tak po prostu Jordan dał się nagle usynowić?

Levec tymczasem wziął do ręki *Noc* leżącą na samej górze sterty książek, po czym ją

studiować fotografię pisarza na okładce.

– Na pewno?

– No dobrze. To ja.

Levec wzruszył ramionami z wyrozumiałością.

– To jasne. Ma pan pewnie mnóstwo fanów?

Max skubał nerwowo nauszniki, które opuścił na szyję.

– Nie wiem – wymamrotał. – Możliwe.

– No więc moja była narzeczona uwielbiała pana książkę. W kółko zawracała mi tym głowę. *Pardon*, mam oczywiście na myśli książkę tego faceta, do którego jest pan podobny. Może... napisałby mi pan tutaj dedykację?

Max kiwnął głową.

– Dla Frédérica – podyktował Levec. – Z wyrazami głębokiej przyjaźni.

Jordan pisał, zacisnąwszy zęby.

– Wspaniale – powiedział żandarm i uśmiechnął się promiennie do pana Perdu. – Ale pański syn zapłaci mandat?

Jean pokiwał głową.

– Na pewno. To dobry chłopak.

Kiedy Max wywrócił także i swoje kieszenie i odnalazł w nich jeszcze kilka drobnych na poczet grzywny, obaj pozostali bez grosza. Levec, ciężko westchnąwszy, wziął więc sobie jeszcze kilka nowości

– Dla kolegów.

Oraz książkę kucharską *Kuchnia singla*.

– Proszę zaczekać – poprosił Perdu i po chwili wrócił, niosąc *Kochanie dla idiotów*, autobiografię Romaina Gary'ego.

– A to po co?

– Nie po co, tylko na co – poprawił go łagodnie księgarz. – To na rozczarowanie, że żadna kobieta nie potrafi nas pokochać tak jak ta, która nas urodziła.

Levec poczerwieniał jak burak i zmył się czym prędzej z pokładu Lulu.

– Dziękuję – szepnął Max.

Kiedy łódź odpływała, Perdu był pewien jak nigdy dotąd, że powieści o outsiderach i amatorach wodnych wypraw przemilczają złośliwie coś tak banalnego jak winiety i grzywny za brak kapoków.

– Myśli pan, że nie wygada nikomu, że tu jestem? – zapytał Jordan, kiedy motorówka zdążyła się już oddalić.

– Panie Jordan. Co straszego w porozmawianiu z kilkoma fanami albo z prasą?

– Mogą zapytać, nad czym teraz pracuję.

– I co? Niech pan powie prawdę. Że pan rozmyśla, że potrzebuje pan czasu, że szuka pan odpowiedniej historii. I że poinformuje pan, kiedy skończy.

Młody pisarz popatrzył na niego tak, jak gdyby nigdy dotąd nie wziął pod uwagę takiej możliwości.

– Zadzwońłem przedwczoraj do ojca. On nie czyta za wiele. Czasopisma sportowe i na tym koniec. Opowiedziałem mu o przekładach na inne języki, o tantiemach i że niebawem sprzedam pół miliona książek. A wtedy będę mógł coś dorzucić do jego raczej skromnej renty. Wie pan, o co mnie zapytał? – Pan Perdu w milczeniu czekał na odpowiedź. – Czy nie mógłbym wreszcie zająć się czymś poważnym. Dotarło już do niego, że napisałem jakąś perwersyjną historię. Cała dzielnica będzie go teraz obgadywać. I czy ja w ogóle wiem, co mu zrobiłem tymi swoimi głupotami.

Max wydawał się bardzo zraniony i zagubiony.

Perdu poczuł mało znane mu pragnienie, by go przytulić. Kiedy w końcu się na to zdecydował, potrzebował dwóch przymiarek, żeby zorientować się, gdzie położyć ręce, by ostrożnie objąć chłopaka. Stali potem obaj przez chwilę nachyleni ku sobie.

Potem księgarz szepnął w głąb jego nauszników:

– Pański ojciec jest małostkowym ignorantem. – Max wzdrygnął się, ale Perdu przytrzymał go przy sobie. Przemawiał cicho, jak gdyby zdradzał młodemu człowiekowi jakąś tajemnicę: – Może tylko sobie wmawiać, że ludzie będą mówić o nim. Ale oni będą mówić o panu. I zastanawiać się, jakim cudem ktoś taki, jak pana ojciec ma tak wspaniałego i zdumiewającego syna. Bodaj jedyne, co mu się w życiu udało.

Max przełknął z trudem ślinę.

Głos miał znacznie cieńszy, kiedy odpowiedział również szeptem.

– Moja matka powtarzała, że on wcale tak nie myśli. Po prostu nie potrafi inaczej wyrazić miłości. Jak gdyby każde jego wyzwisko czy cios miały mi mówić, jak bardzo mnie kocha.

Perdu chwycił teraz młodego towarzysza za ramiona, zajrzał mu głęboko w oczy i powiedział:

– Monsieur Jordan. Max. Pana matka kłamała, bo chciała pana pocieszyć. Ale to niedorzeczne tłumaczyć złe traktowanie miłością. Chce pan wiedzieć, co powiedziała moja matka?

– Nie zadawaj się z obdartusami?

– Nie. Nigdy nie wynosiła się ponad innych. Mówiła, że o wiele za dużo kobiet staje się współniczkami brutalnych i nieczułych mężczyzn. Kłamią dla nich. Okłamują własne dzieci. Bo kiedyś były tak samo traktowane przez swoich ojców. Takie kobiety chcą nadal wierzyć, że za tą brutalnością kryje się miłość. Inaczej ich własny ból doprowadziłby je do szaleństwa. Ale fakt pozostaje faktem. To nie ma nic wspólnego z miłością. – Max otarł łzę w kąciu oka. – Niektórzy ojcowie nie potrafią kochać swoich dzieci. Są dla nich nieczuli i opryskliwi. Albo odpychający. Tacy ojcowie złością się na dzieci, że nie spełniają ich oczekiwań. Złością się, bo to ich żony pragnęły dziecka, aby scementować ich związek, choć tu nigdy nie było co cementować. Dziecko miało być sposobem na udane, wynikające z miłości małżeństwo, podczas gdy miłości nigdy nie było. Tym wszystkim ojcowie obarczają potem swoje dzieci. Nie ma znaczenia, co dziecko robi, ojciec zawsze będzie je traktował paskudnie i podle.

– Niech pan przestanie.

– A dzieci, te małe, delikatne, stęsknione istotki – kontynuował Perdu nieco łagodniej, bo wewnętrzna udręka Maksa bardzo go poruszała – zrobią wszystko, żeby być kochane. Wszystko. Myślą, że pewnie zasłużyły na to, że ich ojciec nie potrafi ich pokochać. Ale Max – Perdu podniósł głowę Jordana – one nie mają z tym nic wspólnego. Przecież doszedł już pan do tego w swojej wspaniałej powieści. Miłość to nie kwestia decyzji. Nie możemy nikogo zmusić, aby nas kochał. I nie ma na to żadnej recepty. Jest tylko sama miłość. A my jesteśmy na jej łasce i niełasce. Nic na to nie poradzimy.

Max rozplakał się. Osunął się na kolana, objął nogi pana Perdu i płakał gwałtownie.

– No, no – mruczał Jean. – Już dobrze. Chce pan już jechać?

Max wczepił palce w jego nogawki.

– Nie! Chcę palić! Chcę chlać! Chcę siebie w końcu odnaleźć! Chcę pisać! Chcę decydować, kto mnie kocha, a kto nie, chcę osądzać, czy miłość boli, chcę całować kobiety, chcę...

– Tak, Max, ciii. Już dobrze. Przybijemy do brzegu i załatwimy coś do palenia i do chlania, a tę resztę z kobietami... Jeszcze zobaczymy.

Perdu podciągnął chłopaka do góry. Max zaraz oparł się o niego, a wyprasowana koszula księgarza szybko przesiąkła łzami i śliną.

– Rzygać się chce! – szlochał młody pisarz.

– Tak, ma pan rację. Tylko mam prośbę, proszę rzygać za burtę, nie na pokład, bo znów będzie pan miał co czyścić.

W szlochy Jordana wmieszał się wybuch śmiechu. Płakał i śmiał się, jednocześnie trwając w objęciach pana Perdu.

Nagle statek przeszył wstrząs, a jego tylny pokład z całej siły zarył w brzeg rzeki. Obaj mężczyźni runęli najpierw na pianino, a potem na podłogę. Z regałów posypały się książki.

. Hmpf – stęknął Max, kiedy wyjątkowo ciężki tom spadł mu prosto na brzuch.

– Nief pan wabiefsze kolano f mojej tfafszy – zażądał Perdu.

Potem wyjrzał za okno. To, co zobaczył, bynajmniej mu się nie spodobało.

– Zboczyliśmy z kursu!

* Voies Navigables de France – francuski zarząd ds. żeglugi śródlądowej (przyp. tłum.).

Perdu próbował zniesioną z kursu barką odbić od brzegu. Niestety rufa Lulu uciekła w bok, tak że jej długi kadłub ustawił się w poprzek rzeki, jak korek w butelce tamując ruch i wywołując nieprzyjemne pohukiwanie syren z pozostałych statków. Niemal w ostatnim momencie uniknęli zderzenia z brytyjską, szeroką zaledwie na dwa metry, za to niską i bardzo długą barką mieszkalną zwaną *narrowboat*.

– Wy osły rzeczne! Skrzekliwe bekasy! Ślepawe leszcze! – rzucił wiązką Anglik z pokładu ciemnozielonej łodzi.

– Monarchiści! Wiarołomcy! Obkrawacze skórek od chleba! – odwzajemnił mu się Max nosowym od płaczu głosem, po czym wysmarkał się energicznie w chusteczkę dla wzmocnienia efektu.

Kiedy panu Perdu udało się w końcu obrócić Aptekę Literacką tak, by znów znalazła się wzdłuż, a nie w poprzek rzeki, usłyszeli aplauz. Klaskały trzy kobiety w podwiniętych podkoszulkach ze stojącej nieopodal barki turystycznej.

– Ahoj, literaccy medycy. Porywający balet na wodzie!

Perdu dał trzy razy sygnał syreną, pozdrawiając je uprzejmie. One zaś, wymijając pływającą księgarnię, pomachały im na pożegnanie.

– Proszę płynąć za tymi damami, *mon capitaine*. A potem przy Saint-Mammès będziemy musieli odbić w prawo. To znaczy na sterburtę, mówiąc fachowo – dodał Max. Swoje zaczerwienione od płaczu oczy skrył pod muszymi okularami madame Bomme. – Poszukamy tam filii mojego banku i zrobimy zakupy. Bo w pańskiej lodówce literackiej myszy wieszają się już z głodu i rozpaczy.

– Ale dziś jest niedziela.

– Och. No cóż. Musimy się więc liczyć z jeszcze większą liczbą mysich samobójstw.

Po czym obaj, bez zbędnych uzgodnień, postanowili zachowywać się tak, jak gdyby wcześniejszego wybuchu rozpaczy w ogóle nie było.

Im bliżej było nocy, tym więcej ptaków przecinało niebo ponad ich głowami – roztrajkotane dzikie gęsi, kaczki, ostrygojady udawały się powoli do swoich noclegowni na groblach i rozlewiskach. Perdu był zafascynowany tysiącem odmian zieleni, jakie tu dostrzegał. I to wszystko przez cały czas kryło się tuż za Paryżem?

Zbliżali się do Saint-Mammès.

– O nieba – wymamrotał Perdu. – Tam się coś dzieje.

W porcie rzeczonym tłoczyły się wszelkiej wielkości statki z porpczykami z kilkunastu państw. Na łodziach siedziało mrowie posilających się właśnie ludzi, a oczy wszystkich bez wyjątku skierowane były teraz na ich barkę.

Perdu spróbował dodać gazu.

Max tymczasem studiował mapę.

– Z tego miejsca można płynąć we wszystkich kierunkach. Na północ aż do Skandynawii, na południe do Morza Śródziemnego, na wschód i potem do Niemiec. – Popatrzył w stronę mariny.

– To jak parkowanie tyłem pod jedyną lodziarnią w mieście w samym środku lata. I wszyscy się na ciebie gapią. Łącznie z królową balu i jej bogatym narzeczonym, o jego gangu nie wspominając.

– Dziękuję, teraz jestem już zupełnie spokojny.

Wpływał do portu, prowadząc Lulu z najmniejszą możliwą prędkością.

Wszystko, czego potrzebował, to miejsce, dużo miejsca.

I znalazł je na samym końcu portu, gdzie na razie cumowała tylko jedna łódź. Mianowicie brytyjski *narrowboat*.

Udało się już za drugim podejściem i tylko raz, względnie lekko, gruchnęli o angielską barcę.

Z kabiny wychynął zdenerwowany jegomość z pustym do połowy kieliszkiem wina.

Druga połowa trunku wylądowała na jego szlafroku. Razem z porcją ziemniaków i sosu.

– Cośmy wam, do licha, zrobili, że wciąż dybiecie na nasze życie? – zaryczał.

– Przepraszam – odkrzyknął Perdu. – My... eee... może lubi pan czytać?

Max zabrał ze sobą na przystań podręcznik wiązania węzłów. Następnie przymocował cumę rufową i szpring dziobowy do dalb, tak jak pokazywały obrazki w książce. Zabrało mu to sporo czasu, ale odmówił zaoferowanego mu wsparcia.

Perdu zajął się więc w tym czasie wyszukaniem paru anglojęzycznych powieści i wręczył je Brytyjczykowi. Ten przekartkował je, po czym podał dłoń księgarzowi.

– Co mu pan zaniósł? – zamruczał Max.

– Literaturę uspokajającą z biblioteki uczuć średnio ciężkich. – szepnęła księgarz w odpowiedzi. – Na napady złości nie ma nic bardziej kojącego jak powieść z dreszczykiem, gdzie krew tryska raczej umiarkowanie.

Obaj, idąc potem kładką na pontonach w stronę kapitanatu, czuli się jak sztubacy, którzy właśnie pierwszy raz w życiu pocałowali dziewczynę i uszli z tego nie tylko cało, ale też zyskując pewne szalenie ekscytujące doświadczenie.

Kapitan portu, człowiek o ogorzałej skórze legwana, wskazał im, gdzie znajdą skrzynkę prądową, świeżą wodę oraz zbiornik na nieczystości. Zażądał również piętnastu euro zaliczki na poczet opłat za postój. Nie było innego wyjścia – pan Perdu rozbił skarbonkę na napiwki w kształcie kota, do której przez szparę między kocimi uszami trafiały czasem drobne monety.

– Pana syn może się zająć opróżnieniem zbiorników z toalety, to nieodpłatna usługa.

Księgarz westchnął tylko ciężko.

– Oczywiście. Mój... syn lubi szczególnie to zajęcie.

Co spotkało się z niezbyt życzliwym spojrzeniem Jordana.

Kiedy potem Max udał się z kapitanem po węże do zbiornika na ścieki, Jean odprowadził go wzrokiem. Co za sprężysty krok! I jeszcze wszystkie włosy na głowie. No i zapewne może jeść do woli, nie zaprzatając sobie myśli krągłym brzuchem czy biodrami. Tylko czy wie, że ma przed sobą jeszcze całe życie, by popełniać straszne błędy?

O nie, nie chciałbym mieć znów dwudziestu jeden lat – pomyślał Jean. – Chyba że wiedziałbym to, co wiem teraz. Do licha! Nie da się zmądrzeć, jeśli wcześniej nie przeżyje się durnej młodości.

Jednak im dłużej myślał o tym, czego już nie ma w przeciwieństwie do Maksa, tym większą czuł złość. Jak gdyby wszystkie te lata uciekły mu jak piasek przez palce – a im był starszy, tym szybciej płynęły. I nim się obejrzy, będzie łykał tabletki na nadciśnienie i szukał mieszkania na parterze.

Przypomniał sobie Vijayę, swojego przyjaciela z młodych lat. Ich życie toczyło się podobnie – aż do chwili, kiedy jeden stracił ukochaną, a drugi swoją znalazł.

Tamtego lata, kiedy Manon go opuściła, Vijaya miał niegroźny wypadek – objeżdżał w żółtym tempie na wypożyczonym skuterze place de la Concorde i nie miał odwagi przedrzeć się przez zatłoczone jezdnie na zewnątrz. W takich okolicznościach poznał swoją przyszłą żonę. Kiraii była mądrą, ciepłą i stanowczą osobą posiadającą wyraźną wizję swojego życia. Vijaya bez

problemu wpasował się w jej życiowe plany. Na swoje potrzebował zaledwie paru godzin między dziewięcią a osiemnastą. Pracował jako naukowiec, specjalizował się w budowie i podatności na reakcje komórek ludzkich i ich receptorów. Chciał się dowiedzieć, dlaczego człowiek odczuwa miłość, jeśli zje jakąś konkretną potrawę, albo dlaczego zapachy przywodzą na myśl dawno zapomniane wydarzenia z dzieciństwa. Dlaczego brzydzimy się śluzem lub pajakami. Jak zachowują się komórki, kiedy człowiek jest ludzki.

– Ty po prostu poszukujesz duszy – stwierdził Perdu podczas którejś z ich rozmów telefonicznych.

– No, sir. Ja poszukuję mechanizmu. Wszystko opiera się na akcji i reakcji. Starzenie się, strach, seks, to wszystko kontroluje twoją wrażliwość. Dajmy na to, pijesz kawę, a ja mogę ci wyjaśnić, dlaczego ci smakuje. Zakochujesz się, a ja tłumaczę ci, dlaczego twój mózg zaczyna działać jak u neurotyka – wyłuszczył mu Vijaya.

To Kiraii oświadczyła się nieśmiało biologowi, na co on wymamrotał: „Tak”, sam nie wierząc we własne szczęście. Naturalnie pomyślał wówczas o swoich receptorach, które wirowały niczym srebrna kula w dyskotecie. Wyjechał potem z ciężarną żoną do Ameryki i regularnie przysyłał mu wizerunki swoich bliźniaków – najpierw odbitki, a potem załączniki do e-maili. Prezentowali się na nich wysportowani, otwarci młodzieńcy o łobuzerskim spojrzeniu, bardzo podobni do matki. Teraz mieli tyle samo lat co Max.

Tylko jakże inaczej przeżył ten czas Vijaya!

Maks, pisarz, wielbiciel nauszników, przyszedł objaśnić snów. Mój »syn« mimo woli. Czy wyglądam już na podtatusiałego pana? Ale... ale co w tym złego?

Stojąc pośrodku rzecznej mariny, poczuł nagły przypływ tęsknoty za własną rodziną. Za kimś, kto kiedyś będzie lubił go wspominać. Za powrotem do momentu, kiedy jeszcze nie przeczytał listu.

Pozbawiłeś Manon tego, za czym sam teraz tęsknisz – nie chciałeś jej wspominać. Wymawiać jej imienia. Myśleć o niej każdego dnia z sympatią i miłością. Wolaleś ją przegnać. Wstydz się, Jean. Wstydz się, że wybrałeś strach.

– Strach przemienia twoje ciało jak nieudolny rzeźbiarz doskonały kamień – powiedział kiedyś Vijaya. – Tyle że rzeźbi cię od środka i nie widać ani odprysków ani kolejnych obtłukiwanych warstw. A ty stajesz się wewnątrz coraz cieńszy i coraz bardziej niestabilny, aż nawet najdrobniejsza emocja jest w stanie powalić cię na kolana. Jeden serdeczny uścisk i już myślisz, że się rozpadasz i giniesz.

Gdyby Jordan potrzebował kiedyś jakiejś ojcowskiej rady, powiedziałby mu właśnie to. *Nigdy nie kieruj się strachem! Strach oghupia!*

– I co teraz? – zapytał Max, kiedy wrócili z rekonesansu.

Zarówno prowadzący mały sklepik spożywczy w marinie, jak i właściciel bistra z naleśnikami odmówili przyjęcia książek jako formy zapłaty. Ostatecznie ich dostawcy też mają pracować, a nie czytać.

– Fasolka z podrobami i kurczakiem – zaproponował Perdu.

– Błagam, nie. Fasolę mogę polubić, dopiero wówczas gdy wcześniej przeprowadzi pan skomplikowaną operację na moim mózgu.

Młody pisarz omiółł port wzrokiem. Gdzie okiem sięgnąć ludzie siedzieli na pokładach swoich łodzi, posilali się, pili i prowadzili beztróskie rozmowy.

– Będziemy musieli uaktywnić się towarzysko – uznał w końcu. – Wprosimy się gdzieś. Na przykład do tego dżentelmena z Anglii.

– Nie ma mowy! To żebractwo! To...

Ale Max był już w drodze do upatrzonej barki.

– Ahoj, miłe panie! – zawołał. – Nasze zapasy wylądowały za burtą i pożarły je sumy. Może znajdzie się tu jakaś odrobinka sera dla dwóch zdrożonych wędrowców?

Perdu najchętniej zapadłby się pod ziemię. Jak można być tak bezpośrednim wobec dam! A już z pewnością nie wtedy, gdy potrzebuje się pomocy. To... nie wypada!

– Jordan – syknął więc, ciągnąc młodego człowieka za rękaw jego niebieskiej koszuli – proszę, okropnie się z tym czuję. Nie możemy się tak naprzykrzać tym paniom.

Max popatrzył teraz na niego, jak wszyscy inni, którzy kiedyś patrzyli na Jeana i Vijayę, kiedy byli jeszcze młodzieńcami. W obecności książek czuli się jak ryba w wodzie, natomiast wśród ludzi, a szczególnie dziewcząt i kobiet, stawali się nieśmiali i małowówni jak smarkacze. Wszelkie przyjęcia były niczym tortura, a rozpoczęcie rozmowy z dziewczyną równało się niemal popełnieniu harakiri.

– Monsieur Perdu, zjemy coś wreszcie, a zrewanżujemy się dowcipem i niewinnym flirtem – powiedział Max i zajrzawszy mu w oczy, dodał: – Chyba pamięta pan jeszcze, jak to się robi? Albo czytał pan o tym w którejś ze swoich książek? – Wyszczrzył zęby.

Jean nic nie odpowiedział. Młodym mężczyznom nie przychodziło do głowy, że można zwątpić w kobiety. A dokładnie mówiąc, że z wiekiem jest coraz gorzej. Im więcej wie się o kobietach i o tym, co w ich oczach mężczyzna robi nie tak... Zaczyna się od butów i z całą pewnością nie kończy na właściwym sposobie słuchania.

Dowiedział się o tym jako mimowolny świadek podczas spotkań z rodzicami w swojej księgarni.

Kobieta potrafi całymi latami drwić ze swoimi przyjaciółkami ze sposobu, w jaki się witasz. Albo ze spodni. Albo z zębów. Albo z oświadczeń.

– Uważam, że fasolka smakuje znakomicie – oznajmił.

– Och, błagam. Kiedy ostatnio był pan na randce?

– W 1991 roku. – Ewentualnie przedwczoraj, bo nie był pewien jak traktować kolację u Catherine. Randka czy raczej nie?

– W 1991 roku? Ja się wtedy urodziłem. To... niewiarygodne. – Jordan zastanawiał się chwilę, po czym powiedział: – OK. Obiecuję, żadnych randek. Pójdziemy po prostu zjeść u mądrych babek. A pan rzuci tylko parę komplementów i jakichś damskich tematów do rozmowy. To chyba niezbyt trudne zadanie dla księgarza? Może pan też dodać jakiś cytat.

– No dobrze – powiedział Perdu. Po czym przesadził niewysoki płótek, pobiegł na pobliską łąkę i wrócił po chwili z naręczem polnych kwiatów.

– To będzie cytat – oświadczył.

Trzy kobiety w podwiniętych podkoszulkach miały na imię Anke, Corinna i Ida. Pochodziły z Niemiec, wszystkie były po czterdziestce, uwielbiały czytać. Ich francuszczyzna brzmiała przezabawnie. Wybrały się w podróż po rzekach, „aby zapamiętać”, jak powiedziała Corinna.

– Poważnie? A co? Chyba nie o mężczyznach? – chciał wiedzieć Max.

– Nie o wszystkich. Tylko o jednym – odpowiedziała Ida o piegowatej twarzy gwiazdy Hollywood z lat dwudziestych okolonej rudymi puklami, a jej usta na jedno mgnienie oka rozciągnęły się w uśmiechu. Spojrzenie jej oczu wyrażało smutek i nadzieję jednocześnie.

Anke zajęła się przyrządzeniem risotta po prowansalsku. Wkrótce po maleńkim kambuzie rozszedł się aromat grzybów. Panowie z Idą i Corinną usiedli na tylnym pokładzie barki o wdzięcznej nazwie Baluu, popijając czerwone wino lane z pękatej trzylitrowej butli albo miejscowe, białe Auxerrois o mineralnym posmaku.

Jean zdradził im, że zna niemiecki, pierwszy język wszystkich księgarzy. Od tego momentu porozumiewali się za pomocą zabawnej mieszanki. Odpowiadał po francusku, a pytał, wydając dźwięki mające przypominać niemiecki.

Jak gdyby otworzył drzwi, za którymi miał czaić się strach. Lecz zorientował się z zaskoczeniem, że za nimi nie czeka żadna otchłań, tylko kolejne drzwi, jasne korytarze i przyjazna przestrzeń. Odchylił głowę i dostrzegł nad sobą coś na wskroś kojącego – niebo. Nieograniczone domami, masztami czy światłami, gęsto usiane gwiazdami o różnej wielkości i intensywności, świecącymi tak jasno, jak gdyby na granatowe tło spadł rześisty gwiazdny deszcz. Widok niedostępny żadnemu paryżaninowi, dopóki nie opuści miasta.

O, a tam Droga Mleczna. Tę kleistą chmurę z gwiazd zobaczył po raz pierwszy jako dziecko, opatulony kurtką i wełnianym kocem, stojąc na łące porośniętej mleciami. Całymi godzinami wpatrywał się w nocne niebo, podczas gdy rodzice próbowali po raz kolejny ratować swoje małżeństwo podczas bretońskiego Fest-noz w Pont-Aven. Za każdym razem, gdy spadała gwiazda, Jean wypowiadał życzenie, by Lirabelle Bernier i Joaquin Perdu znów śmiali się ze sobą, a nie z siebie. By zamiast stać w milczeniu, z założonymi rękami gdzieś z boku sceny, zatańczyli gawota do dźwięków dud, skrzypiec i bandoneonu.

Mały Jean patrzył w ciemne przestworza zachwycony, że niebo stopniowo przesuwa się nad jego głową. Pośród tej letniej, niekończącej się nocy czuł się tak bezpiecznie.

W tamtych godzinach rozumiał wszystkie zagadki i powinności życia. Serce wypełniał mu spokój, a wszystko było na swoim miejscu.

Wiedział, że nic naprawdę się nie kończy. Że wszystko w życiu się ze sobą splata. Że nie ma niczego, co można zrobić nie tak.

Poczuł to ponownie jeden jedyny raz, kiedy był dorosły. U boku Manon.

Razem szukali gwiazd, jechali jak najdalej od miast, by odnaleźć najciemniejsze miejsce w całej Prowansji. Gdzieś w górach otaczających Sault odkryli opuszczone zagrody, skryte gdzieś pośród kotlin, przepaści i skał porośniętych tymiankiem. Dopiero tam otworzył się przed nimi letni nieboskłon, przejrzysty i niezmierny.

– Czy wiesz, że wszyscy jesteśmy dziećmi gwiazd? – szepnęła mu do ucha niemal bezgłośnie, by nie zakłócić górskiej ciszy. – Kiedy miliardy lat temu gwiazdy implodowały, z nieba spadło żelazo, srebro, złoto i węgiel. Do dziś nosimy w sobie żelazo z tamtego gwiazdnego pyłu. W naszych mitochondriach. Matki przekazują dzieciom gwiazdy i ich żelazo. Kto wie, Jean, może ty i ja pochodzimy z pyłu tej samej gwiazdy i rozpoznaliśmy się po jej

światle. Szukaliśmy siebie. Jesteśmy gwiazdnymi poszukiwaczami.

Popatrzył w górę, zastanawiając się, czy naprawdę są w stanie dojrzeć światło obumarłej gwiazdy żyjącej teraz w nich samych.

Potem odszukali z Manon jedną z migoczących niebiańskich pereł. Gwiazdę, która jeszcze świeciła, choć może już dawno przestała istnieć.

– Śmierć nic nie znaczy, Jean. Na zawsze pozostaniemy dla siebie tym, czym byliśmy.

Niebiańskie perły odbijały się w wodach Yonne. Gwiazdy tańczyły na rzece, kołysząc się każda z osobna i pieszcząc tylko wówczas, gdy fale nachodziły na siebie i na jedno mgnienie oka świetliste perły zlewały się w jedno.

Teraz nie odnalazł na niebie ich wspólnej gwiazdy.

Kiedy zorientował się, że Ida mu się przygląda, skierował na nią wzrok. Nie patrzyli na siebie jak mężczyzna i kobieta, lecz jak dwoje ludzi, którzy podróżują po rzekach w poszukiwaniu czegoś. Czegoś określonego.

Perdu dostrzegł kryjący się w oczach Idy smutek. Zobaczył, że rudowłosa jest właśnie na etapie rozważań nad nowym początkiem, choć na razie postrzega go jako ten gorszy fragment życia. Ktoś ją opuścił albo sama odeszła, zanim została odtrącona. Człowiek, wokół którego toczyło się dotąd jej życie i dla którego najprawdopodobniej zrezygnowała z samej siebie, wciąż jeszcze był obecny w jej uśmiechu. Jak całun.

Przechowujemy stare czasy. Przechowujemy stare wydania osób, które nas opuściły. My sami jesteśmy takim starym wydaniem, pod skórą, pod warstwą zmarszczek, doświadczenia, śmiechu. Tam jesteśmy jeszcze dawnymi osobami. Dawnym dzieckiem, dawną kochanką, dawną córką.

Tutaj na rzece Ida nie szukała wcale pocieszenia. Szukała samej siebie. Swojego miejsca w tej nowej, nieznanej i jeszcze drugogatunkowej przyszłości. Sama.

A ty, nieznajomy? – pytały jej oczy. – Czego ty szukasz?

Perdu wiedział, że chce tylko jednego. Dotrzeć do Manon i błagać ją o wybaczenie swojej próżności.

Potem kobieta odezwała się nieoczekiwanie:

– Wcale nie chciałam być wolna. Nie chciałam martwić się, co będzie dalej z moim życiem. Było mi dobrze. Może nie kochałam męża tak, jak to opisują w romansach, ale nie było też tak źle. A nieźle to całkiem dobrze. Wystarczy, by być ze sobą. By się nie zdradzać. I niczego nie żałować. Nie, nie żałuję. To była mała miłość mojego życia.

Anke i Corinna popatrzyły na swoją przyjaciółkę z sympatią, a Corinna zapytała potem:

– Czy to odpowiedź na moje wczorajsze pytanie? Dlaczego go nie porzuciłaś, skoro nie był wielką miłością twojego życia?

Mała miłość. Wielka miłość. Czyż to właściwie nie przerażające, że może występować w kilku formatach?

Kiedy Jean spojrział na Idę, która naprawdę nie żałowała swojego minionego życia, poczuł się lekko zbity z tropu.

– A jak... on postrzega wasze dawne życie? – zapytał po chwili.

– Jemu po dwudziestu pięciu latach ta mała miłość przestała wystarczać. Teraz znalazł wielką. Ona jest ode mnie młodsza o siedemnaście lat. I jest gibka. Paznokcie u stóp potrafi pomalować pędzelkiem trzymanym w ustach.

Corinna i Anke parsknęły śmiechem, wkrótce dołączyła do nich też sama Ida.

Potem grali w karty. O północy z radia popłynęły swingujące melodie. Radosne, rozmarzone jak *Cape Cod* oraz melancholijne jak *We have all the time in the world* Louisa

Armstronga.

Max tańczył z Idą – a przynajmniej przesuwiał stopy to tu, to tam o kilka milimetrów – zaś Corinna i Anke tańczyły ze sobą. Jean wołał pozostać w pozycji siedzącej.

Wszystkie te melodie słyszał ostatnim razem, kiedy Manon jeszcze żyła. Mój Boże, jak to brzmi: „kiedy jeszcze żyła”.

Ida, spostrzegłszy jego zafrasowanie, szepnęła coś do ucha Maksowi, po czym odsunęła go na bok.

– No, chodź – powiedziała do Jeana.

Dobrze, że nie był sam podczas tego ponownego spotkania z muzyką budzącą tyle wspomnień.

Wciąż bowiem nie docierało do niego, że Manon już nie ma, podczas gdy te piosenki, książki, życie istnieją nadal.

Jak to możliwe?

Jak to wszystko może tak po prostu... dalej trwać!

Tak bardzo boi się śmierci. I życia. I wszystkich tych dni bez Manon, które są jeszcze przed nim.

Przy każdej melodii widział ją przed oczami, jak chodzi, jak leży i czyta, jak tańczy dla siebie, jak tańczy dla niego. Widział, jak śpi, jak marzy i jak podkrada mu z talerza ulubiony ser.

To dlatego chciałeś przeżyć resztę życia bez muzyki? Ależ Jean! Przecież tak kochałeś muzykę! Śpiewałeś dla mnie, nawet wtedy, kiedy bałam się zasnąć, by nie uronić ani jednej chwili z tobą. Układałeś słowa piosenek o moich palcach u dłoni i stóp, o moim nosie. Jean, jesteś muzyką. Żyjesz nią. Jak mogłeś tak się zabijać?

Ba, ćwiczenie czyni mistrza. Oczywiście.

Jean czuł podmuchy wiatru na twarzy, słyszał śmiech kobiet. Był lekko wstawiony i czuł niewysłowioną wdzięczność wobec Idy, że go podtrzymuje.

Manon mnie kochała. A gwiazdy tam w górze widziały nas razem.

Śniło mu się, że wcale nie śpi.

Był na swojej barce, na której wszystko wciąż ulegało zmianie. Koło sterowe się łamało. Szyby w oknach zachodziły parą, wiosła zawodziły. A powietrze było tak gęste jak śmietana. Perdu co rusz gubił się w labiryncie wodnych tuneli. Łódź trzeszczała i zaczęła pękać.

Obok niego stała Manon.

– Ale ty nie żyjesz – wyjąkał.

– Naprawdę? – spytała. – Jaka szkoda.

Statek się rozpadł i Jean znalazł się w wodzie.

– Manon! – wołał. A ona patrzyła, jak walczy z wirem, wodnym lejmem, który utworzył się na powierzchni. Patrzyła na niego, ale nie wyciągnęła ręki. Patrzyła, jak tonie.

On zaś opadał coraz niżej.

Jednak się nie obudził.

Oddychał zawzięcie. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Potrafię oddychać pod wodą.

Potem dotknął dna.

A wtedy się ocknął. Leżąc na boku, spostrzegł, jak promienie słońca igrają na biało-rudym futrze Lindgren. Kotka leżała pomiędzy jego stopami. Teraz poniosła się, przeciągnęła i pomrukując, pomaszzerowała wprost do twarzy Jeana, by połaskotać go swoimi wąsami.

I co? – pytało jej spojrzenie. – Co ci mówiłam?

Jej mruczenie rezonowało delikatnie, jak odległy odgłos silnika na statku.

Przypomniał sobie, że już kiedyś obudził się z uczuciem takiego wypełnionego obawą zdumienia. To było w dzieciństwie, kiedy po raz pierwszy śniło mu się, że musi uciekać. Skoczył z dachu i z rozpostartymi ramionami poszybował w stronę zamkowego dziedzińca. I wiedział, że aby nauczyć się latać, musi skoczyć.

Wyszedł na pokład. Ponad wodą, niczym pajęcza sieć, unosiła się mgła i przesuwała się ku łąkom. Światło zdradzało, że jest jeszcze dość wcześnie, a dzień dopiero się zaczyna. Perdu upajał się rozległym widokiem nieba. I wielością barw dookoła. Biała mgła. Szare obłoki. Delikatny róż, mleczny oranż.

Nad łodziami stojącymi w marinie unosiła się cisza uspienia. Na pokładzie Baluu także panował całkowity spokój.

Perdu po cichutku zajrzał do Maksa. Młody pisarz umościł sobie posłanie na sofie w dziale z książkami, który Perdu ochrzcił zbiorczym mianem „Jak się zostaje mężczyzną”. Znajdowała się tam między innymi także książka Sophie Marcelline, koleżanki jego piątkowego klienta terapeuty Erica Lansona. Sophie w przypadku złamanego serca radziła, by na każdy rok spędzony z ukochaną osobą przeznaczyć miesiąc żałoby. Zaś w przypadku zawiedzionej przyjaźni dwa miesiące na jeden rok. Natomiast w odniesieniu do tych, którzy odeszli na dobre, w odniesieniu do zmarłych, sugerowała: „Przeznaczcie na to całe życie. Ponieważ zmarłych, których kochaliśmy, nigdy kochać nie przestaniemy. Pustka po nich będzie nam towarzyszyć aż po kres naszych dni”.

Max spał zwinięty w dziecięcej pozycji z podciągniętymi kolanami i nadąsaną miną, która mówiła: „Ale dlaczego ja?”. Obok niego leżała *Zorza południowa* Sanary’ego.

Perdu wziął do ręki cienką książeczkę. Max podkreślił w niej ołówkiem kilka zdań, gdzieś gdzie zapisał pytania. Przeczytał tę książkę tak, jak książkę czytać należało.

Czytanie – niekończąca się podróż. Długa, ba, wieczna podróż, w trakcie której stajemy się łagodniejsi, czulsi i bardziej ludzcy.

Młody pisarz rozpoczął właśnie tę podróż. a z każdą kolejną książką będzie miał w sobie coraz więcej świata, spraw i ludzi.

Przewertował powieść od końca. O, to miejsce także lubił szczególnie:

„Miłość jest jak mieszkanie. W mieszkaniu zaś należy korzystać ze wszystkiego, niczego nie zakrywać, ani nie »chronić«. Żyje naprawdę tylko ten, kto na dobre zamieszkał w miłości i nie boi się żadnego z pomieszczeń, nie lęka się żadnych drzwi. Kłótnia czy czuły uścisk – jedno i drugie jest tak samo ważne. Przyciągać się i odpychać. Kluczowe jest, by korzystać z każdego pokoju miłości. Inaczej zadomowią się w nim duchy i złe zapachy. Zaniedbane pomieszczenia i domy bywają wszak upiorne i cuchnące”...

Czy miłość ma mi za złe, że nie chciałem otworzyć drzwi do tamtego pokoju, żeby... no właśnie co? Co mam zrobić? Wnieść Manon ołtarzyk? Pożegnać się? Co, na litość boską, mam zrobić?

Odłożył powieść koło śpiącego Maksa. Po chwili wahania pogłaskał go po czuprynie.

Potem wyszukał parę tytułów. Wykorzystanie ich jako waluty nie przyszło mu łatwo, bo dobrze znał ich wartość. Księgarze nigdy nie zapominają, że książka już od dawna bywa środkiem wyrazu, sposobem na odmianę świata i strącenie tyranów.

Patrząc na stojące na półkach tomy, pan Perdu widział nie tylko zawarte w nich historie, ceny netto czy ich duchowo-medyczne przeznaczenie. Widział także wolność niesioną na papierowych skrzydłach.

Jakiś czas później wypożyczył jeden z rowerów należących do poznanych wczoraj kobiet i wyruszył wąską drogą wijącą się pośród pól, pastwisk i wybiegów dla koni do sąsiedniej wsi.

W *boulangerie* na placu przed kościołem córka piekarza, promienna dziewczyna o rumianych policzkach, wyjmowała właśnie z pieca bagietki i croissanty.

Wyglądała na zupełnie zadowoloną ze swojego miejsca na ziemi – w małej piekarence, do której latem wpadali szyprowie, a przez resztę roku rolnicy, właściciele winnic, rzemieślnicy, rzeźnicy i uciekinierzy z miast Burgundii, Ardenów i Szampanii. A do tego od czasu do czasu tańce w młynie, dożynki, konkursy pieczenia ciast, spotkania koła gospodyń. Dorabianie jako gosposia u artystów zamieszkujących przerobione remizy i stajnie. Życie w zieleni i ciszy, pod niebem pełnym gwiazd i czerwonych księżyców.

Czy to wystarcza, by żyć pełnią życia?

Perdu nabrał powietrza i wszedł do sklepiku o staroświeckim wystroju. Nie ma wyjścia, trzeba jej zaproponować tę nietypową transakcję.

– *Bonjour, mademoiselle*. Przepraszam, czy lubi pani czytać?

Po krótkich pertraktacjach „sprzedała” mu gazetę, znaczki i kartki pocztowe z wizerunkiem maryny w Saint-Mammè, do tego bagietki i croissanty – a wszystko w zamian za jedną jedyną książkę *Zaczarowany kwiecień* o czterech angielskich damach uciekających do włoskiego raj.

– To całkowicie pokryje wszystkie koszty – zapewniła solennie. Następnie otworzyła książkę, wetknęła nos między kartki i głęboko wciągnęła powietrze. Po czym uniosła rozognioną z rozkoszy twarz.

– Pachnie naleśnikami. Chyba. – Włożyła starannie książkę do kieszeni fartucha. – Mój ojciec twierdzi, że czytanie czyni zuchwałym. – Uśmiechnęła się przepaszająco.

Jean usiadł jakiś czas potem opodal przykościelnej studni i rozerwał jeszcze ciepłego croissanta. Jak rozkosznie parował, jak cudownie pachniało jego złociste miękkie wnętrze. Zajadając go nieśpiesznie, przyglądał się, jak wieś budzi się do życia.

Czytanie czyni zuchwałym. O tak, nieznamy ojcz. W samej rzeczy.

Potem skreślił starannie kilka zdań do Catherine, wiedząc doskonale, że madame Rosalette zechce także rzucić na nie okiem. Napisał więc:

Ma chère Catherine, droga Madame Rosalette (Nowy kolor na włosach? Uroczy! Mokka?), szanowna Madame Bomme i pozostali Mieszkańcy kamienicy, na razie proszę zamawiać książki u mojego kolegi w Voltaire Et Plus. Nie porzuciłem Was ani o Was nie zapomniałem. Jest jednak kilka niedokończonych rozdziałów, które muszę raz jeszcze przeczytać... i dokończyć. Trzymajcie duchy na wodzy.

J.P.

Czy to aby nie zabrzmiało zbyt oschle? Nie będzie zgrzytu?

Jego myśli poszybowały ponad polami i rzeką do Paryża. Tam gdzie uśmiech Catherine, jej szept. Naraz zrobiło mu się tak ciepło na sercu. Choć sam nie bardzo wiedział, do kogo właściwie zaadresowany był ten raptowny przypływ tęsknoty za dotykiem, za ciałem, nagością i ciepłem pod jedną kołdrą. Za przyjaźnią, za rodzinnymi stronami, za miejscem, gdzie mógłby osiąść i poczuć pełnię życia. Czy to tęsknota do Manon? Czy do Catherine? Wstydził się, że myśli o nich obu. Choć z drugiej strony wcale nie żałował. To dobrze, że spędził tamten wieczór z Catherine. Dlaczego miałby sobie tego odmawiać? Czy tak byłoby sprawiedliwie?

Wolałem już nikogo więcej nie pragnąć... tchórz.

Ruszył w drogę powrotną odprowadzany tym razem przez myszołowy i kowaliki balansujące pomiędzy prądami powietrza wysoko ponad polami pszenicy. Czuł, jak i jego gnają do przodu podmuchy wiatru.

Czuł też, że wraca na statek odmieniony, że jest kimś innym niż ten mężczyzna, który wyruszył z niego godzinę wcześniej.

Na kierownicy od roweru Idy zawiesił torbę ze świeżymi croissantami, bukietem polnych maków i trzema egzemplarzami *Nocy*, które Max opatrzył wyczerpującymi dedykacjami, zanim udał się na spoczynek.

Potem w swoim kambuzie zaparzył kawę w dzbanku, nakarmił koty, sprawdził wilgotność powietrza w pomieszczeniach z książkami (dostateczna), stan oleju (prawie budzący obawy) i przygotował Lulu do odbicia od brzegu.

Kiedy statek-księgarnia sunął już po gładkich wodach rzeki, Perdu spostrzegł Idę wychodzącą na tylny pokład Baluu. Pomachał jej i trzymał dłoń uniesioną w górę, dopóki nie skryli się za zakolem. Życzył jej z całego serca, by pewnego dnia odnalazła swoją wielką miłość, która wynagrodzi jej utratę tej małej.

Ze spokojem płynął ku budzącemu się do życia porankowi. Wcześniejszy chłód już gdzieś uleciał, ustępując miejsca ciepłej, jedwabistej letniej bryzie.

– Czy wie pan, że pomysł na *Drakulę* przyszedł Bramowi Stokerowi we śnie? – zwrócił się z ożywieniem do Maksa, kiedy ten godzinę później z wdzięcznością sięgnął po przygotowaną kawę.

– We śnie? Drakula? Gdzie my jesteśmy, w Transylwanii?

– Na kanale du Loing. A płyniemy w kierunku kanału de Briare trasą Bourbonnais, którą pan dla nas wybrał. Dotrzemy nią aż do Morza Śródziemnego. – Perdu upił łyk kawy. – Wszystko przez sałatkę z krabów. Stoker zjadł nieświeżą sałatkę, potem przez pół nocy męczyły go objawy zatrucia. Wtedy też po raz pierwszy przyśnił mu się książę wampir. W ten sposób zakończył się też jego kryzys pisarski.

– Poważnie? Mnie nie przyśnił się żaden bestseller – wymamrotał Max, maczając croissanta w kawie i pilnując potem, by nie uрониć ani okruszka. – Chciałem poczytać swoją książkę, ale wszystkie literki ulatywały z kartek. – I dodał z ożywieniem: – Myśli pan, że gdybym się czymś zatrul, też zobaczyłbym we śnie jakąś nową historię?

– Kto wie?

– Don Kichot też był koszmarem, dopóki nie trafił do klasyki literatury. A panu nie przyśniło się nic pożytecznego?

– Śniłem, że potrafię oddychać pod wodą.

– No, no. Wie pan, co to znaczy?

– Że we śnie potrafię oddychać pod wodą.

Max wyduł usta w uśmiechu Elvisa, po czym oznajmił uroczyście:

– Otóż nie. To znaczy, że uczucia nie pozbawiają już pana tchu. Zwłaszcza te pod spodem.

– Pod spodem? A gdzie tak napisano? W jakimś kalendarzu naściennym dla szanujących się gospodyń z roku 1905?

– Nie. W *Wielkim senniku* z 1992 roku. To moja biblia. Moja matka zamazała w nim na czarno wszystkie brzydkie wyrazy. Za jego pomocą tłumaczyłem sny wszystkim, moim rodzicom, sąsiadom, dzieciakom z klasy... Freud w pełnej odsłonie.

Przeciągnął się i wykonał kilka pozycji tai chi.

– Miałem z tego powodu same kłopoty. A szczególnie wtedy, kiedy zinterpretowałem dyrektorce szkoły jej sen o koniach. Mówię panu, kobiety i konie to osobna historia.

– Mój ojciec też tak twierdzi.

Perdu przypomniał sobie, że kiedy poznał Manon, śniła mu się jako samica orła, którą on próbował schwytać i usidlić. Zapędził ją do wody, bo nie mogła latać z mokrymi skrzydłami.

W snach, które śnią ukochane przez nas osoby, jesteśmy nieśmiertelni. W naszych snach zmarli żyją nadal. Sny są jak obrotowy pomost pomiędzy wszystkimi światami, pomiędzy czasem i przestrzenią.

Max wystawił twarz do wiatru, by przegnać z niej resztki snu.

– Niech pan patrzy. Nasza pierwsza śluza – rzekł Perdu.

– Co? Ta dziecinna wanienka obok tych domków dla lalek? Nigdy się tamtędy nie przedostaniemy.

– Nie taki diabeł straszny.

– Przecież statek jest na to za długi.

– To peniszówka. Mniejsza niż reszta francuskich śluz zbudowanych zgodnie z normą Freycineta.

– Ale nie ta. Ona jest za wąska!

– Nasza szerokość wynosi pięć koma cztery metra, co oznacza, że mamy jeszcze co najmniej sześć centymetrów wolnej przestrzeni. Trzy centymetry z jednej i trzy z drugiej strony.

– Chyba zwymiotuję.

– Proszę mnie o wszystko wypytać. To pan będzie nas przeprowadzał przez tę śluzę.

Popatrzyli na siebie, po czym wybuchli śmiechem.

Strażnik śluzy zamachał do nich niecierpliwym gestem, by podплыnęli bliżej. Jego pies obszczekał barkę, a żona przyniosła blachę świeżo upieczonego ciasta ze śliwkami, które gotowa była wymienić na nową powieść Johna Irvinga.

– I całusa od młodego pana pisarza.

– Błagam, niech jej pan da jeszcze jedną książkę – wycodził przez zęby Jordan. – Ona ma wąsik.

Ostatecznie stanęło na całusie w policzek.

Strażnik nazwał przy tym żonę potworem, a ich kostropaty pies rozszczekał się jeszcze bardziej, po czym obsikał rękę Maksa, którą ten trzymał na drabince. Wąsata połowica nie pozostała dłużna, nazywając męża fanfaronem i cieciem. Na co ten krzyknął do nich pośpiesznie:

– No, wpływajcież w końcu!

Obrót korbą, zamknięcie lewego skrzydła wrót tylnych. Zamknięcie prawego skrzydła. Podплыnięcie do przodu, zabezpieczenie górnych krawędzi – woda wpływa do komory. Otwarcie prawego skrzydła wrót przednich, otwarcie lewego skrzydła.

– Wpływać! – krzyknął surowy strażnik. Pewnie umie tak wykrzykiwać komendy w co najmniej kilkunastu językach.

– Ile śluz zostało nam do Rodanu?

– Jakież sto pięćdziesiąt. Czemu pan pyta?

– Może w drodze powrotnej popłyniemy kanałem między Szampanią a Burgundią – poprosił młodzieniec.

W drodze powrotnej? Nie będzie żadnego powrotu.

Tafla rzeki Loing była niemal na równi z otoczeniem. Na promenadach widać było od czasu do czasu grupki rowerzystów, przysypiających wędkarzy lub samotnych biegaczy. Wzdłuż kanału ciągnęły się łąki z pasącymi się na nich krępymi, białymi krowami rasy charolaise, pola słoneczników, przetykane od czasu do czasu lasami. Mijane miejscowości miały dobre przystanie, często darmowe, bo jak już ktoś przybije do brzegu, to zostawi też trochę grosza w miejscowych sklepikach.

Potem krajobraz się zmienił. Kanał górował ponad okolicą. Dzięki temu mogli zaglądać z góry do mijanych ogrodów.

Kiedy około południa znaleźli się pośród rybnych stawów i grobli Szampanii, Max potrafił już pokonywać śluzę jak wytrawny burboński szyper.

Kanał co rusz rozgałęział się na pomniejsze odnogi zasilające stawy. Z szuwarów i sitowia wzbijały się w górę rozkrzyczane i ciekawskie mewy, które krążyły potem ponad pływającą apteką z książkami.

– Gdzie mamy najbliższą większą przystań? – zapytał Perdu.

– W Montargis. Kanał przepływa przez sam środek miasteczka. – Max przewracał kartki w dzienniku okrętowym. – Miasto słynące z kwiatów, kolebka pralinek. Trzeba będzie poszukać tam banku. Oddam duszę za kawałek czekolady.

A ja za pudełko proszku do prania i czystą koszulę.

Max prał swoje koszule w wodzie z mydłem i teraz obie roztaczały woń różanych odświeżaczy do powietrza.

Perdu wpadł na pewien pomysł.

– Montargis? Wobec tego na samym początku odwiedzimy tam Pera Davida Olsona.

– Olsona? Tego P.D. Olsona? Jego też pan zna?

Znajomość to może zbyt wielkie słowo. Kiedy Per David Olson został, obok Philipa Rotha i Alice Munro, nominowany do literackiej Nagrody Nobla, pan Perdu był dopiero początkującym księgarzem.

Ile lat mógł wtedy mieć Olson, osiemdziesiąt dwa? Przybył do Francji trzydzieści lat wcześniej. Dla potomka wikingów La Grande Nation okazała się o niebo znośniejsza aniżeli jego ojczyzna Ameryka.

„Naród bez choćby tysiącletniej kultury, nieposiadający żadnych swoich mitów, żadnych przesądów, żadnych kolektywnych wspomnień, wartości czy poczucia wstydu, a jedynie chrześcijańsko-militarne pseudomorały, samopylną pszenicę, pozbawione moralności lobby strzeleckie i podszyty seksizmem rasizm” – grzmiał na łamach „New York Timesa” przed opuszczeniem USA.

Jednak najważniejsze było co innego. P.D. Olson znajdował się na liście jedenastu kandydatów pana Perdu, jako potencjalny autor *Zorzy południowej*. Mieszkał w Cepoy, wiosce pod Montargis, tuż przy kanale.

– I co? Zapukamy i tak po prostu zapytamy: „Dzień dobry, P.D., stary druhu. Czy to ty napisałeś *Zorzę południową*?” – dociekał Max.

– Tak jest. A jak inaczej?

Max wydał policzki.

– Cóż, normalni ludzie piszą maile – powiedział.

Jean Perdu musiał mocno panować nad sobą, aby nie odpowiedzieć czegoś w rodzaju „wcześniej nie pisaliśmy maili i tak było dużo lepiej”.

W Cepoy zamiast przystani znaleźli jedynie dwa wielkie żelazne pierścienie leżące w trawie, do których następnie solidnie przywiązali barkę.

Niedługo potem właściciel nadrzecznego schroniska – ogorzały chłop z nabrzmiętym czerwonym karkiem – wskazał im starą plebanię. Tam zamieszkał P.D. Olson.

Otworzyła im kobieta rodem z obrazów Pietera Bruegla. Płaska twarz, włosy jak przędza na kądzieli, szara suknia z białym kołnierzykiem. Nie powiedziała ani „Dzień dobry”, ani „Słucham panów?” czy choćby „Niczego nie kupimy” – po prostu stała przed nimi w wyczekującym milczeniu. Milczeniu dobitnym jak skała.

– *Bonjour, madame*. My do monsieur Olsona – odezwał się w końcu pan Perdu.

– Nie byliśmy umówieni – dodał Max.

– Przyłączyliśmy się statkiem, z Paryża. Niestety nie mamy telefonu.

– Ani pieniędzy.

Perdu szturchnął Maksa.

– Ale nie z tego powodu tu jesteśmy.

– Czy on w ogóle jest w domu?

– Jestem księgarzem, poznaliśmy się z panem Olsonem na targach. We Frankfurcie, w 1985 roku.

– Ja zajmuję się objaśnianiem snów. Piszę też książki. Max Jordan, bardzo mi miło. Może znajdzie się u państwa jakaś resztką z wczorajszej kolacji? Mamy na pokładzie tylko jedną puszkę z fasolą i żarcie dla kotów.

– Drodzy panowie, możecie spowiadać się jej do woli, nie będzie ani odpuszczenia grzechów, ani resztek z kolacji – dobiegł ich głos z głębi domu. – Margareta straciła słuch, kiedy jej narzeczony spadł z kościelnej wieży. Chciała go ratować i trafiła akurat na południowe bicie dzwonów. Potrafi czytać z ust, ale jedynie u osób, które zna. Przeklęty kościół! Przynosi tylko nieszczęście tym, którzy mają jeszcze nadzieję.

I stanął przed nimi. Głośny krytyk Amerykanów P.D. Olson, niewyrośnięty wiking w sztruksach, koszuli ze stójką i prążkowanej kamizelce kelnera.

– Monsieur Olson, proszę nam wybaczyć ten napad, ale mamy pewne niecierpiące zwłoki pytanie...

– Tak, tak. Naturalnie. W Paryżu wszystko jest niecierpiące zwłoki. Ale tutaj, moi panowie, jest inaczej. Tu czas toczy się zgodnie ze swoją miarą. Tu wrogowie ludzkości nie mają żadnych szans. Zatem najpierw napijemy się po kieliszeczkę i poznamy bliżej – zarządził gospodarz.

– Wrogowie ludzkości? – powtórzył Max. Nietrudno było się zorientować, że ma obawy, czy aby nie trafili do domu jakiegoś szaleńca.

– Mówią, że jest pan legendą – spróbował mimo to podjąć konwersację, gdy Olson zdejmował z wieszaka kapelusz, a potem prowadził ich w kierunku pobliskiego baru.

– Niech mnie pan tak nie tytułuje, młody człowieku. To brzmi tak, jakby zwracał się pan do trupa.

Max zamilkł, a Jean poszedł za jego przykładem.

Olson zaś szedł przed nimi przez wieś, a jego krok zdradzał przebyty, choć nierozległy udar.

– Rozejrzyjcie się tylko! – powiedział. – Tutaj od wieków ludzie walczą o swoją ojczyznę. O, patrzcie, jak posadzono te drzewa. Jak wyglądają dachy. I jak szerokim łukiem wokół wsi poprowadzone są szosy. To wszystko przemyślana strategia. Na całe stulecia. Tutaj

bowiem nikt nie myśli tylko o tym, co teraz. – Pozdrowił mężczyznę przejeżdżającego rozklekotaną renówką z kozą na przednim siedzeniu. – Tutaj pracuje się i myśli na rzecz przyszłości. Na rzecz tych, którzy przyjdą po nas. A oni potem również postąpią tak samo. Jednak kiedy któreś pokolenie przestanie myśleć o następnym i zapragnie zmieniać wszystko teraz, zaraz, nastąpi kres tej krainy.

Dotarli do baru. W środku w telewizorze umieszczonym nad kontuarem leciały wyścigi konne. Olson zamówił trzy kieliszki czerwonego wina.

– Wyścigi, las i kapka wina. Czego można chcieć więcej? – Westchnął ukontentowany.

– Mielibyśmy pytanie... – zaczął Max.

– Spokojnie, chłopcze – przerwał mu Olson. – Pachniesz odświeżaczem do powietrza i w swoich nausznikach wyglądasz jak didżej. Ale ja cię znam, napisałeś coś. Niebezpieczne prawdy. Niezgorszy początek. – Trącił się z Jordanem kieliszkiem.

Max splonął się, pękając z dumy. Perdu zaś poczuł ukłucie zazdrości.

– A pan? Pan jest tym książkowym farmaceutą? – Olson zwrócił się teraz do niego. – Na jakie przypadłości przepisuje pan moje książki?

– Na syndrom męża na emeryturze – odparł Jean nieco uszczypliwiej, niż zamierzał.

Jego rozmówca przyjrzał mu się bliżej.

– Aha. A jak to działa?

– Kiedy małżonek po przejściu na emeryturę staje się tak uciążliwy, że żona miałaby ochotę go zamordować, podaje jej pana dzieła. A wtedy ma ochotę zamordować pana. To klasyczne przeniesienie agresji.

Max popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Olson także zmierzył go wzrokiem, po czym ryknął gromkim śmiechem.

– *Oh my God*. Pamiętam. Mój ojciec łaził za matką krok w krok i wiecznie ją krytykował. Dlaczego gotujesz kartofle w łupinach? Cześć, kochanie, poukładałem wszystko na nowo w lodówce. Koszmar. W dodatku nie miał żadnego hobby. Był pracoholik. Z powodu nudy i utraty poważania zamierzał szybko zwinąć się z tego świata, ale moja matka mu na to nie pozwalała. Wiecznie go gdzieś wysyłała, a to z wnukami, a to na kurs rzemiosła, a to do ogrodu. Jestem pewien, że w przeciwnym razie trafiłaby za kratki za zabójstwo. – Wyszczrzył zęby szyderczo. – My, mężczyźni, stajemy się upierdliwi, jeśli poza pracą nie mamy czegoś, w czym moglibyśmy się wykazać. – I wypił wino trzema haustami. – No, pijcie szybciej – zarządził i położył na barze sześć euro. – Koniec pogawędki.

Oni zaś, licząc, że odpowie na ich pytanie dopiero wówczas, kiedy pozna ich bliżej, wychylili duszkiem swoje kieliszki i ruszyli za nim.

Niedługo potem dotarli pod stary budynek szkoły. Na dziedzińcu stało mnóstwo aut z rejestracjami z całego obszaru Loary, a nawet z Orleanu czy Chartres.

Olson zdecydowanym krokiem skierował się ku sali gimnastycznej.

Po wejściu do środka znaleźli się nieoczekiwanie w samym Buenos Aires.

Po prawej stronie pod ścianami mężczyźni. Po lewej na krzesłach kobiety. Pośrodku parkiet do tańca. W głębi sali, przy drążkach, rozlokowała się orkiestra grająca tango. A przy wejściu, tam gdzie stali, ustawiono bar, za którym krępy jegomość o muskularnych ramionach i okazałych czarnych wąsach mieszał drinki.

P.D. Olson obrócił się i zawołał przez ramię:

– Tańczcie! Obaj. Potem odpowiem wam na pytanie, z którym przychodzicie.

Kiedy parę sekund później kroczył przez salę w kierunku upatrzonej młodej jasnowłosej kobiety w surowym koku i spódnicy z wysokim rozcięciem, był zupełnie innym mężczyzną. Wiek przestał się liczyć. Pisarz stał się gibkim *tanguero*, który przycisnąwszy mocno swoją

młodą partnerkę, poprowadził ją zwinnym, tanecznym krokiem.

Podczas gdy Max ze zdumieniem przyglądał się tym zaskakującym scenom, Jean od razu zorientował się, dokąd naraz się przenieśli. Jac. Toes opisał to kiedyś w jednej ze swoich książek. Sekretne milongi w aulach, salach gimnastycznych, niegdysiejszych stodołach. Spotykali się tam tancerze o najprzeróżniejszym stopniu umiejętności, w najprzeróżniejszym wieku i najprzeróżniejszej narodowości. Niektórzy musieli pokonywać setki kilometrów, by tylko spędzić tu raptem parę godzin. Wszystkich zaś łączyło jedno – swoją pasję do tanga musieli ukrywać przed zazdrosnymi małżonkami lub rodziną, w której owe lubieżne, melancholijne i frywolne taneczne ruchy wzbudzały jedynie wstręt i święte oburzenie. Nikt jednak nie wiedział, gdzie owi potajemni *tangueros* spędzają popołudnia. Wychodzili z domu pod pozorem treningu, dodatkowych lekcji, spotkania czy zakupów. Jednak szli tańczyć, tańczyć o życie. Tańczyli, by w ogóle móc żyć.

Tylko nieliczni wykorzystywali te okazje, by spotkać się z kochankami. W tangu bowiem nigdy nie chodzi o jedno. Chodzi o wszystko.

Z pamiętnika Manon

*W drodze do Bonnieux,
11 kwietnia 1987 roku*

Od ośmiu miesięcy wiem, że jestem jeszcze inną osobą niż ta dziewczyna, która w sierpniu wyruszyła na północ i tak bardzo bała się, czy potrafi kochać dwóch naraz.

A jednak to nadal dla mnie wstrząsające przeżycie, że miłość, która nie ogranicza się do jednej osoby, wcale nie musi być mniej prawdziwa.

W maju wychodzę za Luca, pośród tysiąca kwiatów i zapachu, który niesie ze sobą nowy początek i poczucie bezpieczeństwa.

Nie zerwę z Jeanem. To jemu pozostawię decyzję, by on to zrobił ze mną – żarłokiem, patrzącym łakomym wzrokiem na wszystkie przejawy życia.

Czy to poczucie przemijania tak mnie przeraża, że chcę zaznać w życiu wszystkiego, tak na wszelki wypadek, gdyby następnego dnia miał mnie trafić szlag?

Małżeństwo. Tak? Nie? Gdybym w to zwątpiła, zwątpiłabym i w całą resztę.

Chciałabym być jak to światło Prowansji, kiedy zachodzi słońce. Mogłabym wtedy być wszędzie, w każdym żyjącym elemencie. Taka byłaby moja natura i nikt by mnie za to nie znienawidził.

Muszę coś zrobić z twarzą, zanim dojadę do Awinionu. Mam nadzieję, że odbierze mnie tata, a nie Luc czy maman.

Za każdym razem, kiedy jestem w Paryżu dłuższy czas, moja twarz chce dopasować swój wyraz do tego, jaki mają te wielkomięjskie istoty tłoczące się na ulicach – jak gdyby nie zauważały, że nie są same. Twarze mówiące: „Ja? Ja nic nie chcę. Niczego nie potrzebuję. Nic

nie jest w stanie zrobić na mnie wrażenia, zaszokować mnie, zaskoczyć, a nawet ucieszyć. Zresztą radość to domena prostaczków z prowincji cuchnących gnojem stajni. Niech się cieszą, skoro tak bardzo chcą. Człowiek ma ważniejsze rzeczy na głowie”.

Ale to nie moja obojętna twarz jest problemem.

To moja dziewiąta odsłona.

Maman mówi, że dołączyła do moich pozostałych twarzy. Zna wszystkie moje miny, odkąd byłam jeszcze pomarszczonym niemowlakiem. Ale Paryż wyrzeźbił mi nowe rysy. Nie uszło to jej uwagi, kiedy przyjechałam ostatnim razem. Kiedy myślałam o Jeanie, o jego ustach, jego śmiechu, jego „Musisz to przeczytać, dobrze ci zrobi”.

– Gdybyś była moją rywalką, bałabym się ciebie – powiedziała wtedy. Sama przy tym przestraszyła się tych słów.

Z prawdą zawsze obchodzimy się w ten stanowczy i przejrzysty sposób. Jako dziewczyna usłyszałam, że najlepsze związki to te, które są „klarowne jak woda”. Jeśli powie się na głos o najtrudniejszych sprawach, utracą one swoją uśmiercającą moc.

Chyba jednak nie zawsze tak jest.

Moja mama czuje się nieswojo z moją „dziewiątą” twarzą. Wiem, o co jej chodzi. Widziałam ją w lustrze Jeana, kiedy wycierał mi plecy ogrzanym ręcznikiem. Za każdym razem, gdy się spotkamy, bierze w opiekę jakąś część mnie i ogrzewa ją, abym nie zmarniała jak przemarznięte drzewko cytrynowe. Byłby bardzo troskliwym ojcem.

To była twarz wyrażająca pożądanie skrywane pod maską dystansu, co czyniło ją jeszcze bardziej niesamowitą.

Maman wciąż jeszcze się o mnie boi. Zaszczepia mi ten strach, więc myślę: „Dobrze, gdyby naprawdę coś miało mi się stać, to wołę do tego momentu żyć najintensywniej, jak się da. I nie chcę słyszeć żadnych uwag”.

Ona mało pyta, a ja mam wiele do powiedzenia. Jeśli chodzi o tygodnie spędzane w stolicy, muszę opisać każdy szczegół. Jednak Jean pozostaje ukryty za tą podzwaniającą, barwną kotarą nieprzejrzystych detali. Klarowne jak woda.

– Paryż oddalił nas od ciebie, ale przybliżył cię do ciebie samej, prawda? – mówi mama, a wymawiając słowo „Paryż”, wie, że ja wiem, że ma na myśli to jedno męskie imię, którego ja nie jestem jeszcze gotowa przed nią wymówić.

Nigdy nie będę na to gotowa.

Sama sobie wydaję się tak obca. Jak gdyby Jean zdarł ze mnie jakąś skorupę, pod którą widać moje głębsze, prawdziwsze ja uśmiechające się do mnie drwiąco.

– I co? – pyta. – Naprawdę myślałaś, że jesteś kobietą bez właściwości?

(Jean twierdzi, że cytowanie Musila wcale nie jest oznaką czytania, tylko treningu pamięci).

Co takiego nam się przydarzyło?

Przekłęta wolność! Wymaga, abym milczała jak kamień o tym, co się ze mną dzieje, kiedy podczas zajęć na Sorbonie albo wieczorem pomyślę o rodzinie albo o Lucu. Wymaga, abym nad sobą panowała, abym siebie niszczyła, kryła, wyrzekła się Bonnieux i broń Boże nikogo nie obciążała swoimi zwierzeniami o moim sekretnym życiu.

Czuję się, jak gdybym stała na szczycie Ventoux wystawiona na podmuchy mistralu, słońce, deszcz i przestrzeń. Widzę więcej, oddycham głębiej niż kiedykolwiek dotąd – ale straciłam oparcie. Wolność to utrata bezpieczeństwa – mówi Jean.

Jednak czy on naprawdę wie, co ja tracę?

I czy ja wiem naprawdę, z czego on rezygnuje, wybierając mnie? Powtarza, że nie chce żadnej innej kobiety oprócz mnie. Wystarczy, że ja prowadzę już podwójne życie. On nie chce tego samego. Z wdzięczności mam ochotę płakać, że tak mi to ułatwia. Żadnych wyrzutów, żadnych niebezpiecznych pytań. Daje mi za to poczucie bycia darem, a nie tylko złym człowiekiem z wybujalym apetytem na życie.

Gdybym zwierzyła się komukolwiek w moich rodzinnych stronach, on lub ona byłiby potem zmuszeni razem ze mną kłamać, przemilczać i taić. Ale to tylko moje brzemię, nie innych, takie są reguły pokonanych.

Ani razu nie wypowiedziałam imienia Jeana, bo martwię się, że po sposobie, w jaki bym je wymówiła, mama, tata albo Luc od razu by mnie przejrzeni.

Być może zrozumieliby – każde z nich na swój sposób.

Maman, bo zna kobiece tęsknoty drzemiące w nas już od dzieciństwa, kiedy jeszcze bawimy się pluszowymi misiami w kącie kuchni i rozmawiamy z białymi koźmi.

Papa, bo zna zwierzęce pożądanie. Zrozumiałby ten animalistyczny, wypływający z naszej natury element i nawet potrafił wymyślić inny rodzaj takich biologicznych popędów, wymieniając choćby okres godowy ziemniaków. (To jego będę błagać o pomoc, kiedy nie będę już wiedziała co dalej. Albo mamotę, jak u Sanary'ego, którego czytał mi Jean).

Luc też okazałby zrozumienie, bo mnie zna. Bo się zdecydował. I jest bardzo przywiązany do swoich decyzji. To, co raz postanowione, musi obowiązywać, nawet jeśli sprawia ból lub później może się okazać błędem.

Co jeśli po trzydziestu latach okaże się, jak bardzo go zraniłam, bo nie umiałam dochować milczenia?

Dobrze znam swojego przyszłego męża – przeżyłby ciężkie godziny i noce. Patrząc na mnie, widziałby gdzieś z tyłu tego drugiego. Spałby ze mną i zastanawiał się jednocześnie: „Czy ona myśli teraz o nim? Czy lepiej jej ze mną czy z nim?”. Za każdym razem przy okazji festynu we

wsi albo parady straży pożarnej 14 lipca, widząc, jak rozmawiam z jakimś mężczyzną, zastanawiałby: się „Czy to jej następny? Kiedy wreszcie będzie miała dość?”.

I sam biłby się z tymi myślami. Mnie nie powiedziałby ani jednego złego słowa.

– Mamy tylko to jedno życie – mawia. – Chcę swoje przeżyć z tobą, ale nie chcę cię sobą obarczać.

Muszę więc milczeć dla Luca.

I dla siebie. Ale chcę też dla siebie Jeana.

Nienawidzę się za tę zachłanność. Chcę wszystkiego, choć wszystko to dużo więcej, niż mogę znieść...

Przekłęta wolności, nadal mnie przerastasz!

Wymagasz, bym wątpiła w siebie, wstydziła się, a zarazem była dumna, że biorę życie ze wszystkim, czego pożądam.

Pewnie, kiedy już będę stara i niedołężna, będę się rozkoszować wspomnieniami tych wszystkich przeżyć.

Te noce, kiedy szukaliśmy gwiazd, leżąc w forcie w Buoux. Te tygodnie, kiedy dziczeliśmy w Camargue. Ach, i te cudowne wieczory, kiedy Jean wtajemnicza mnie w życie z książkami, leżymy na sofie we trójkę z Castorem i Jean wykorzystuje moją pupę jako pulpit do czytania.

Nawet nie wiedziałam, że istnieje tak nieskończenie wiele myśli, poglądów i cudowności. Właściwie wszyscy rządzący na świecie powinni dochodzić do władzy dopiero po otrzymaniu czytelniczego prawa jazdy. Kto wie, może bowiem dopiero po przeczytaniu pięciu, nie, lepiej dziesięciu tysięcy książek byłiby w stanie zrozumieć ludzkość i jej zachowania. A kiedy Jean czytał mi na głos o tym, jak dobrzy ludzie robili złe rzeczy powodowani miłością, biedą albo głodem życia, czułam się lepsza, nie taka... zła, fałszywa i wiarołomna.

– Myślałaś, że jesteś jedyna, Manon? – pytał. O tak, to paskudne uczucie. Być jedyną osobą, która nie potrafi zachować umiaru.

Często, w przerwie w kochaniu, Jean opowiada mi o książce, którą właśnie przeczytał, zamierza przeczytać lub też chce, abym to ja ją przeczytała. Nazywa książki wolnościami. I ojczyznami, bo też nimi są. Przechowują w sobie wszystkie te dobre pojęcia, których tak rzadko używamy. Łagodność, dobroć, sprzeczność, uważność.

On tyle wie. I potrafi kochać tak bezinteresownie. Żyje, gdy kocha. Za to traci pewność siebie, gdy czuje się kochany. Czy to stąd bierze się ta jego nieporadność? Przecież on nawet nie wie, co gdzie mieści się w jego ciele! Smutek, strach, śmiech – gdzie one mieszkają? Wciskałam więc pięść na wysokości jego żołądka. „Tu, czy tutaj jest trema?” Dmuchałam na jego podbrzusze. „Czy tu jest męskość?” Kładłam palce na jego szyję. „A tu są łzy?”

Lecz jego ciało było jak zamrożone, sparaliżowane.

Któregoś wieczoru poszliśmy potańczyć. Tango Argentino. Koszmar! Jean przesuwiał mnie z zawstydzeniem to w tę, to w tamtą stronę, zgodnie z sekwencją kroków wyuczoną w szkole tańca. Trzymał mnie, ale pracowały tylko ręce. A on? Obecny, ale jak gdyby nie potrafił zapanować nad swoją cielesną powłoką.

O nie, tak nie może być! Nie on, nie ten mężczyzna! Przecież on jest inny niż reszta mężczyzn z północy, z Pikardii, Normandii albo Lotaryngii, cierpiąca na kolosalną bezpłodność duszy. Wprawdzie wiele paryżanek uważa to za erotyczny atrybut, jak gdyby obudzenie w mężczyźnie choćby iskierki uczucia było nie lada wyzwaniem seksualnym! Liczą, że pod tą zimną skorupą kryje się doza szczególnie gorącej, brutalnej namiętności, każąca porwać kobietę w ramiona i przycisnąć do ziemi...

Musieliśmy dać sobie spokój. Wróciliśmy do domu, napiliśmy się wina i udawaliśmy, że nic się nie stało. Podczas wspólnej zabawy w kotkę i kota był bardzo czuły. Ale mnie przepelniała bezbrzeżna rozpacz. Co dalej, jeśli nie mogę z nim tańczyć?

Jestem moim ciałem. Wargi mojej waginy uśmiechają się soczyście, kiedy czuję pożądanie, moja pierś poci się, kiedy zostanę poniżona, a w moich palcach mieszka strach przed własną odwagą, drżą zawsze, kiedy chcę chronić lub bronić. Jednak kiedy boję się realnych rzeczy, choćby tego guzka, który wykryli mi pod pachą, a teraz chcą go wyciąć i zrobić biopsję, staję się skonsternowana i spokojna jednocześnie. Skonsternowanie każe mi się czymkolwiek zająć, ale spokój, ten całkowity spokój sprawia, że nie jestem w stanie ani czytać poważnych książek, ani słuchać bogatej w dźwięki muzyki. Chcę tylko siedzieć i patrzeć na jesienne światło skapujące na żółto-czerwone liście. Chcę czyścić kominek. Umęczona splątanymi, bezprzedmiotowymi, głupimi myślami, które wirują mi w głowie, chcę po prostu położyć się i zasnąć. O tak, kiedy się boję, chcę spać. Sen to ratunek duszy przed atakiem paniki.

Ale co z Jeanem? Jego ciało służy mu jedynie jako wieszak, na który nakłada koszule, spodnie i marynarki.

Wstałam, podszedł do mnie – spoliczkowałam go.

Pieczenie dłoni. Jak gdybym dotknęła płomienia.

– Hej! – powiedział. – Dlaczego...

Dałam mu w twarz ponownie, teraz czulam, jak gdybym trzymała w ręku rozżarzone węgle.

– Przestań myśleć! Czuj! – nakrzyczałam na niego.

Potem podeszłam do gramofonu i włączyłam Libertango. Dźwięki akordeonu jak uderzenia pejsza, jak ciosy pałki, jak trzask polan w ognisku. Piazzolla i struny skrzypiec naciągnięte do granic wytrzymałości.

– Nie, ja...

– *Właśnie tak. Tańcz ze mną. Tańcz, jak czujesz! Co teraz czujesz?*

– *Czuję złość! Uderzyłaś mnie, Manon!*

– *Więc tańcz ze złością! Znajdź w tym utworze instrument, który odzwierciedli twoją złość, i podążaj za jego dźwiękiem. I złap mnie ze złością, jaką czujesz.*

Ledwie skończyłam mówić, już mnie chwycił, uniósł moje ręce i przycisnął mnie do ściany. Jego uścisk był mocny, bardzo mocny. Skrzypce się rozkrzyczały.

Tańczyliśmy nago. Jean jako instrument oddający jego uczucia wybrał właśnie skrzypce. Jego złość przemieniła się w pożądanie, potem w czułość. A kiedy gryzłam go, drapałam i wzbraniałam się przed jego objęciami, przed podążaniem za nim, mój kochanek stał się tanguero. Powrócił do swojego ciała.

Kiedy tak poruszaliśmy się serce przy sercu, a on dopuścił mnie do swoich uczuć, zobaczyłam na ścianie nasze cienie. Nasze cienie tańczące na fioletowej ścianie lawendowego pokoju. Na tle okna. Były jak jedna istota. Castor obserwował nas, siedząc na szafie.

Od tamtego wieczoru tańczyliśmy już zawsze tango. Z początku nago, by czuć każdy balans, napieranie czy zatrzymanie naszych ciał. Tańczyliśmy każde z dłonią przyłożoną do serca, by potem zamienić się, kładąc dłonie na sercu partnera.

Tango jest narkotykiem prawdy. Demaskuje twoje problemy, twoje kompleksy. Ale też odsłania twoje atuty, które ukrywasz przed innymi, by ich nie urazić. I pokazuje, czym może być dla siebie para tańczących razem ludzi, jak mogą wzajemnie się słuchać. Bo jeśli ktoś chce słuchać tylko samego siebie, będzie nienawidził tanga.

Jean musiał zdać się na emocje zamiast uciekać przed tańcem w abstrakcyjne idee. Czuli mnie. Włoski na łonie. Moje piersi.

Nigdy nie odczuwałam w swoim ciele tak intensywnej kobiecości, jak w tamtych godzinach, tańcząc z Jeanem, Kochając się z nim potem, na sofie, na podłodze, na krześle, wszędzie. Mówił: „Mam poczucie, jak gdybyś była źródłem, z którego wypływam, kiedy przy mnie jesteś, i które wysycha, kiedy odchodzisz”.

Później włóczyliśmy się po wszystkich barach Paryża, gdzie tańczono tango. Jean nauczył się, jak pozwolić mi poczuć energię jego ciała i jakiego tanga on chce ode mnie. Nauczyliśmy się też hiszpańskiego. Przynajmniej kilku strof i zwrotów, jakie tanguero szepcze do ucha swojej partnerce. Jakież rozkoszne, niewytłumaczalne gry wówczas prowadziliśmy. Nauczyliśmy się zwracać do siebie w łóżku per pan i pani. A grzecznościowe formy służyły nam do żądania od drugiej strony bardzo niegrzecznych rzeczy.

Och, Luc! Z nim jest inaczej... nie tak rozpaczliwie. Ale też nie tak naturalnie. Jeana nigdy nie okłamałam. Przed Lukiem przemilczam swoje pragnienia, by był brutalniejszy albo delikatniejszy, śmielszy albo rozpoczął ze mną jakąś grę. Wstydę się, bo chcę więcej, niż on potrafi mi dać. Chociaż kto wie – może potrafiłby, gdybym go choć raz zapytała. Ale jak?

– Kiedy będziesz tańczyć z inną kobietą, to nie zdradź tanga swoją wstrzeźliwością – powiedział nam kiedyś Gitano uczący tanga w paryskich barach.

Powiedział też, że Jean mnie kocha. A ja jego. Poznaje to po każdym naszym tanecznym kroku. Stanowimy wtedy jedność – może tak jest w rzeczywistości?

Muszę być z Jeanem, bo stanowi męski element mnie samej. Patrzymy na siebie i widzimy to samo.

Z Lukiem stoimy obok siebie i patrzymy w tym samym kierunku.

My jednak, w przeciwieństwie do nauczyciela tanga, nie mówimy na głos o miłości.

„Kocham cię” mogą mówić tylko ci, którzy są całkowicie wolni i czysti. Romeo i Julia.

A nie Romeo, Julia i dajmy na to Stefan.

Zawsze brakuje nam czasu. Wszystko musimy robić naraz. Spać ze sobą i jednocześnie rozmawiać o książkach, a jeszcze gdzieś pomiędzy jeść, sprzeczać się i godzić, tańczyć, czytać na głos, śpiewać i dalej szukać naszej gwiazdy – wszystko w pośpiechu. Już tęsknię do lata, kiedy Jean będzie w Prowansji i wspólnie poszukamy gwiazd.

Widzę, jak Pałac Papieski złoci się w słońcu. Nareszcie to światło. Nareszcie ludzie niezachowujący się tak, jak gdyby byli sami – w windzie, na ulicy, w autobusie. Nareszcie morele zrywane prosto z drzewka.

Och, Awinionie! Dawniej zastanawiałam się, dlaczego w tym mieście ze złowrogo, zimno i posepnie wyglądającym pałacem jest tyle sekretnych przejść i niewidzialnych drzwi. Teraz już wiem. Ten dygot pożądania musiał być obecny już od zarania ludzkości. Te wszystkie altany, séparées, loże, ogrodowe labirynty służyły tej samej grze!

Znają ją wszyscy, jednak udają, że albo nie istnieje, albo jest im zupełnie obca, niegroźna lub nierzeczywista.

Akurat.

Odczuwam bezbrzeżny wstyd w moich wargach, czuję brak w moich kolanach, a między moimi łopatkami mieszka kłamstwo i rozdrapuje je do krwi.

Kochany Mamotato, błagam, spraw, abym nie musiała wybierać.

I spraw, aby to ziarenko pod moją pachą okazało się tylko zwapnieniem, kamyczkiem takim jak te, które czasami wylatują z kranu tam w Valensole, gdzie mieszka lawenda i najbardziej nieprzejednane z kotów.

Pan Perdu poczuł na sobie spojrzenie rzucone spod wymalowanych rzęs. Odszukał je, przytrzymał i odwzajemnił zgodnie z *cabeceo*, niepisaną zasadą tanga, zgodnie z którą tancerze wyszukują się i zapraszają do tańca, wymieniając tylko nieme spojrzenia.

– Niech pan spuści wzrok, Jordan. Proszę nie patrzeć kobietom w oczy – szepnął. – Jeżeli będzie pan patrzył na którąś przez dłuższą chwilę, pomyśli, że zaprasza ją pan do tańca. Umie pan tańczyć tango?

– Kiedyś byłem dobry w tańcu dowolnym z wachlarzem.

– *Tango Argentino* to coś podobnego. Nie ma zbyt wielu kroków. Stykacie się z partnerką tylko tułowiem, serce przy sercu. A potem trzeba usłyszeć, jak kobieta chce być poprowadzona.

– Usłyszeć? Przecież tu się wcale nie rozmawia.

Miał rację. Ani między kobietami, ani między mężczyznami, ani też parami na parkiecie nie padały żadne słowa. A mimo to wszystko odbywało się tak, jakby nieustannie toczyli dialog. „Trochę mocniej! Nie tak szybko! Zostaw mi trochę miejsca! Daj się skusić! Bawmy się!” Kobiety korygowały ruchy mężczyzn – pocierając na przykład spodem stopy o łydkę „Skup się!” albo kreśląc na parkiecie ósemki „To ja jestem księżniczką!”.

Gdzie indziej mężczyźni na przykład przy czwartym z kolei tańcu sięgali do mocy słów, by jeszcze bardziej roznamiętnić partnerkę. Szeptali jej miękko po hiszpańsku do ucha, dotykając szyi, włosów, wszędzie tam, gdzie ich oddech mógł pobudzić: „Szaleję za tobą. Twój taniec budzi we mnie wszystkie zmysły. Moje serce sprawi, że twoje rozśpiewa się wolnością”...

Tutaj jednak nie było żadnych słownych zakłęk. Tu wszystko odbywało się za pośrednictwem spojrzeń.

– Mężczyźni zerkają dyskretnie – wyluszczał Maksowi reguły *cabeceo*.

– Skąd pan to wszystko wie? Też z jakiejś...

– Nie. Nie z książki. Niech pan lepiej słucha. Proszę się powoli, ale nie za wolno, rozejrzeć dookoła, wyszukać kogoś, z kim chciałby pan zatańczyć następną tandę, czyli serię czterech tańców z rzędu, lub wy badać, kto chciałby zatańczyć z panem. Zaprasza pan przeciągłym spojrzeniem prosto w oczy. Jeśli zostanie odwzajemnione, a nawet potwierdzone skinieniem głowy lub półuśmiechem, będzie to oznaczać, że zaproszenie zostało przyjęte. Gdyby jednak kobieta odwróciła wzrok, to tak, jakby powiedziała „Nie, dziękuję”.

– Dobrze – odparł także szeptem Max. – Taka odmowa jest na tyle dyskretna, że nikt nie musi się obawiać blamażu.

– Otóż to. Elegancko jest podejść do wybranki, by poprowadzić ją na parkiet. A przy okazji po drodze można się przekonać, czy aby na pewno wybrała nas, a nie kogoś stojącego za nami.

– A co po zakończeniu tańca? Zapraszam ją na drinka?

– Nie. Odprowadza ją pan na miejsce, dziękuje i odchodzi na męską stronę sali. Tango do niczego nie zobowiązuje. Przez trzy–cztery utwory dzielicie razem tęsknoty, nadzieje, a nawet pożądanie. Niektórzy twierdzą, że to jak seks, tylko znacznie lepsze. I częstsze. Ale na tym koniec. Byłoby nawet wysoce niekulturalnie zatańczyć z jedną kobietą więcej niż jedną tandę. Zostanie to odebrane jako grubiaństwo.

Przyglądali się parom spod spuszczonej powiek. Po chwili Perdu wskazał brodą kobietę mogącą liczyć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i prawie siedemdziesiąt lat. Czarne włosy poprzetykane siwymi kosmykami były upięte w kok jak u tancerki flamenco. Miała na sobie

suknię taneczną i trzy obrączki na palcu. Trzymała się prosto niczym balerina, była szczupła i gibka jak gałązka jeżyny. Znakomita tancerka, pewna i dokładna, a przy tym tak wyrozumiała, że swoimi krokami z prawdziwą gracją potrafiła ukryć niedostatki swoich czasami mało pojętych partnerów. Poruszała się tak, że wszystko wydawało się dziecinnie proste.

– Oto pana partnerka, panie Jordan.

– Ona? Jest dla mnie za dobra. Boję się!

– Niech pan zapamięta to uczucie. Któregoś dnia zechce je pan opisać, a wtedy dobrze będzie już wiedzieć, jak to jest bać się zatańczyć. A mimo to się zdecydować.

Podczas gdy Max, walcząc mężnie z napadami paniki, próbował przyciągnąć wzrokiem spojrzenie dumnej królowej tanga, Jean powlókł się do baru, gdzie kazał sobie nalać naparstek pastis zmieszanego z wodą i lodem. Był... podniecony. Tak, naprawdę podniecony.

Jak gdyby zaraz musiał wyjść na scenę.

Jak on szalał przed każdym spotkaniem z Manon! Ręce trzęsły mu się tak, że gołenie zamieniało się w krwawą jatkę. Nigdy nie był pewien, co ma włożyć. Chciał wyglądać męsko, szczupło i elegancko, a zarazem nie chciał wypaść na sztywniaka. To wtedy zaczął biegać i odchudzać się. Wszystko, żeby się jej spodobać.

Upił łyczek anyżówki.

– *Grazie* – powiedział wiedziony intuicją.

– *Prego, signor capitano* – odparł mały wąsacz po włosku z neapolitańskim zaśpiewem.

– To zbyt wielki zaszczyt. Nie jestem prawdziwym kapitanem...

– Ależ jest pan. Barman Salvatore Cuneo ma nosa do ludzi.

Z głośników popłynął sygnał. *Cortina* – czas na zmianę partnerów. Za trzydzieści sekund orkiestra zacznie grać do następnej tandy.

Perdu zobaczył, że jeżynowa tancerka ulitowała się i pozwoliła poprowadzić się na parkiet Maksowi, który choć błąd jak ściana, trzymał głowę mężnie uniesioną w górę. Wystarczyło parę kroków, a przeistoczyła się w prawdziwą królową, Max także zdawał się odmieniony, mimo że nadal trzymał jeszcze zbyt kurczowo jej wyciągniętą w bok rękę. Zdjął jednak nauszniki i rzucił je w kąt. Wydawał się teraz roślejszy i szerszy w ramionach. Piers wypiął do przodu niczym toreador.

Kobieta popatrzyła na Perdu swoimi błękitnymi oczami. Choć były niemłode, jej spojrzenie emanowało młodością, a całe jej ciało jakby pozbawione wieku śpiewało teraz słodką, namiętną pieśń tanga. On także zaznał już *saudade*, owego stanu łagodnej, ciepłej melancholii i nieokreślonej tęsknoty.

Saudade.

Tęsknota do czasów dzieciństwa, kiedy dni zlewały się w jedno, a przemijalność nie miała najmniejszego znaczenia. Stan bycia kochanym, którego już nigdy nie odnajdziemy. Stan oddania. To wszystko, czego nie umiemy wyrazić słowami.

Trzeba ją będzie wpisać do encyklopedii uczuć.

Do baru zbliżył się Olson. Zszedłszy z parkietu, znów poruszał się jak starzec.

– To, czego nie potrafisz objąć, musisz zatańczyć – wymamrotał pod nosem Jean.

– A to, czego nie potrafisz wypowiedzieć, musisz zapisać – odpowiedział mu tubalnym głosem wiekowy amant.

Kiedy orkiestra zagrała *Por una Cabeza*, jeżynowa tancerka opadła na pierś Maksa, jej usta jęły mu szeptać do ucha jakieś zaklęcia, zaś jej dłoń, jej stopa i biodro korygowały co jakiś czas dyskretnie jego postawę. W końcu osiągnęła swój cel. Wyglądali tak, jak gdyby to on ją

prowadził.

Jordan z początku tańczył z szeroko otwartymi oczami, potem jednak, na wydany szeptem rozkaz, przymknął powieki. Niebawem stali się jak zgrana para kochanków, nieznajoma i młody chłopak.

P.D. skinął w stronę zażywnego barmana, który teraz także wypuścił się na parkiet. Wydawał się tam lżejszy. Lekki i rycerski w swoich subtelnym i pełnym oddania tanecznych ruchach. A jego partnerka, choć przewyższająca go o głowę, tuliła się do niego z ufnością.

Następnie Olson nachylił się ku panu Perdu.

– Wspaniała literacka postać z tego Salva Cuneo. Przybył do Prowansji, żeby pomagać w zbiorach wiśni, brzoskwiń, moreli, tego wszystkiego, co wymaga delikatnych dłoni. Pracował razem z Rosjanami, Arabami z Maghrebu i Algierczykami. Spędził kiedyś noc z pewną młodą szypką. Zniknęła następnego dnia, odpłynęła na swojej barce z księżycem w nazwie. Od tamtej pory szuka jej na wszystkich rzekach. Od dwudziestu lat. Zaczepi się to tu, to tam, potrafi chyba wszystko. Zwłaszcza jeśli chodzi o kuchnię. Ale nieźle też maluje, naprawia cysterny, układa horoskopy... poradzi sobie ze wszystkim, cokolwiek przyjdzie panu do głowy. A reszty nauczy się w zawrotnym tempie. Ten człowiek to geniusz zaklęty w ciele neapolitańskiego kucharza. – Olson pokręcił głową. – Dwadzieścia lat. Niewiarygodne. Z powodu jakiejś kobiety!

– A co? Czy może być jakiś lepszy powód?

– Niech pan mi powie, Johnie Lost.

– Słucham? Jak się pan do mnie zwrócił?

– Słyszał pan. Jean Perdu, John Lost, Giovanni Perdito. Śniłem już nawet o panu.

– Czy to pan napisał *Zorzę południową*?

– A czy pan już zatańczył?

Jean wychylił duszkiem resztę pastis, po czym obrócił się i przesunął wzrokiem po stojących kobietach. Niektóre natychmiast spoglądały w bok, inne opierały się jego spojrzeniu.

Jedna zaś popatrzyła wprost na niego. Mogła mieć dwadzieścia kilka lat. Drobne piersi, stabilne ramiona. I płomień w oczach zdradzający wygłodzenie, ale też odwagę, by je uśmierzyć. Wstała, nadal z poważną twarzą, i wyszła mu naprzeciw. Zatrzymała się w połowie dzielącego ich dystansu. Minus jeden krok. Chciała, aby to on zrobił go w jej kierunku. Czekala. Rozzłoszczona, choć jeszcze opanowana kotka.

W tej samej chwili orkiestra skończyła grać pierwszy utwór. Perdu ruszył w stronę głodnej życia kobiety kocicy.

„Walczmy” – mówiła jej mina.

„Ujarmij mnie, jeśli zdołasz, ale nie waż się mnie poniżyć” – mówiły jej usta.

„I biada, gdybyś wzbraniał się zadać mi ból. Jestem miękka, ale miękkość czuję, dopiero doświadczając twardej namiętności. I potrafię się bronić!” – mówiły jej mała, lecz silna dłoń i napięcie wibrujące w jej ciele i jej uda, które teraz przyłgnęły do jego ud.

Przywarła do niego cała, jednak już przy pierwszych dźwiękach muzyki Jean jednym pchnięciem przekazał jej swoją energię drżącą w splocie słonecznym. Naparł na nią z góry i cisnął coraz mocniej, coraz mocniej w dół, aż przysiedli całkiem na ugiętym kolanie, z drugą nogą wyciągniętą do tyłu.

Pośród stojących pod ścianą kobiet rozszedł się szmer, który jednak zamarł wkrótce, kiedy Perdu podniósł swoją młodą partnerkę, owijając przy tym z wyrafinowaniem jej wyprostowaną w tył nogę wokół swojego kolana. Ich nogi złączyły się czule. Splotły się tak ściśle, jak to zdarza się tylko nagim kochankom.

Jean poczuł w sobie siłę, która przez bardzo długi już czas pozostawała uszpiąta.

Czy jeszcze potrafi? Czy naprawdę potrafi jeszcze powrócić do swojego tak dawno

nieużywanego ciała?

– Nie myśl, Jean! Czuj!

Dobrze, Manon.

Nie myśleć podczas miłości, miłosnej gry, podczas tańca i rozmowy o uczuciach – tego właśnie nauczył się od Manon. Nazywała go typowym „człowiekiem północy”, bo wszystkie niepokoje uczuciowe próbował przed nią skrywać za słowami i kamienną twarzą. Bo podczas seksu zanadto uważał na przyzwoitość. Bo w tańcu targał Manon niczym wózką na zakupy, zamiast tańczyć tak, jak naprawdę pragnął. W zgodzie z impulsami własnej woli, w zgodzie ze swoimi reakcjami i swoim pożądaniem.

Manon skruszyła jednak tę sztywność jak orzech między swoimi dłońmi, swoimi nagimi dłońmi, swoimi nagimi palcami, swoimi nagimi nogami...

Wyzwolila mnie od wszystkiego, co wrogie człowiekowi. Od milczenia i od zahamowań. Od przymusu, by robić tylko to, co należy.

Mówi się, że mężczyźni żyjący w zgodzie z własnym ciałem wyczuwają wszystkimi zmysłami, kiedy kobieta pragnie od życia więcej, aniżeli dostaje. Ta dziewczyna w jego ramionach tęskniła za nieznanym, za wiecznym pielgrzymem, wyczuł to węchem, kiedy poczuł na swojej piersi uderzenia jej serca. Za nieznanym księciem na białym koniu, który na jedną noc podaruje jej niezapomnianą przygodę, rzuci jej do stóp to wszystko, czego brakuje tutaj, w tej wsi pośród niemych łąnów pszenicy i starych puszczy. To jedyny protest, na jaki sobie pozwala, by nie zgorzknąć w tej wiejskiej sielance, gdzie od wieków najważniejsze są ziemia, rodzina i potomstwo. Nie ona.

Jean ofiarował jej to, czego pragnęła. Objął ją tak, jak tego nie zrobiłby nigdy żaden z tutejszych stolarzy, robotników z winnicy czy drwali. Tańczył, traktując jej ciało i jej kobiecość, jak nie byłby w stanie potraktować ich ktoś, kto znał ją od dzieciństwa, dla kogo była od zawsze Marie, „córka starego kowala, co podkuwa nasze kobyły”.

W każdy taneczny ruch wkładał całego siebie, swój oddech, swoją koncentrację. Szeptał jej do ucha, w języku tanga, po hiszpańsku – nauczyli się niegdyś z Manon tego języka i w nim wymieniali się w łóżku czułymi słówkami albo uszczypliwościami. Zwracali się przy tym do siebie *per pan*, *pani* jak szacowne pary małżeńskie w dawnej Hiszpanii.

Wszystko zlało się teraz w jedno – przeszłość, teraźniejszość, ta młoda kobieta i ta druga o imieniu Manon. I ten młody człowiek, którym był kiedyś. Kiedy nie wiedział, jak bardzo może być męski. Oraz ten drugi, nie stary jeszcze, lecz starszy, który zapomniiał, jak to jest czegoś pragnąć. Pragnąć trzymać w ramionach kobietę.

I oto teraz był w objęciach owej kociej tancerki lubiącej walczyć, ulegać i znów walczyć.

Manon, Manon, ty też tak tańczyłaś. Pragnąc tak zachłannie zdobyć coś tylko dla siebie. Z dala od rodziny i ziemi przodków. Tylko ty. Ani słowa o przyszłości. Tylko ty i tango. Ty i ja, twoje usta, moje usta, twój język, moja skóra, moje życie, twoje życie.

Nagle, kiedy akurat wybrzmiał trzeci utwór, *Libertango*, z impetem otworzyły się drzwi ewakuacyjne.

– Tu są te świny! – rozległ się rozjuszony męski głos.

Do sali wpadło pięciu mężczyzn. Kobiety podniosły krzyk.

Pierwszy z intruzów doskoczył do partnerki barmana, odciągnął ją od niego i zamierzył się, jak gdyby chciał ją spoliczkować. Jednak krzepki Włoch był szybszy i przytrzymał w porę jego rękę. Wtedy włączył się drugi napastnik i uderzył Salva w brzuch, podczas gdy pierwszy szarpał się z kobietą.

– Zdrada – syknął P.D. Olson, kiedy wraz z Jeanem odprowadzali w bezpieczne miejsce jego kocią partnerkę, z dala od wyraźnie rozsierdzonej i równie wyraźnie pijanej zgrai napastników.

– Tam jest mój ojciec – wyszeptała pobladła ze strachu dziewczyna, wskazując na jednego z agresorów stojącego z groźną miną i siekierą w garści.

– Proszę tam nie patrzeć. Niech pani idzie przede mną w stronę wyjścia! – nakazał jej Perdu.

Max tymczasem stawiał czoła jednemu z owych gniewnych intruzów, którzy widzieli w neapolitańczyku uosobienie seksualnych pokus, jakie rzekomo odkryły ich żony, córki i siostry. Z kącika ust Salvatore ciekła krew po uderzeniu. Max kopnął jednego z napastników w kolano, drugiego zaś rozłożył na łopatki obrotem kung-fu.

Następnie pośpieszył ku swojej jeżynowej partnerce stojącej dumnie i ze spokojem w samym środku tego chaosu. i z galanterią ucałował jej dłoń.

– Dziękuję ci, królowo tej niedopełnionej nocy, za najpiękniejszy taniec w całym moim życiu.

– Chodź już, żeby się nie okazało, że będzie to też ostatni taniec w twoim życiu! – krzyknął Olson i pociągnął chłopaka za rękę.

Perdu dostrzegł uśmiech na ustach królowej, kiedy odprowadzała wzrokiem swojego młodego partnera. Podniosła potem z ziemi jego nauszniki i przycisnęła do piersi.

Tymczasem Jordan, pan Perdu, Olson, dziewczyna i Cuneo pobiegli do niebieskiej dostawczej renówki. Barman wcisnął swój brzuch za kierownicę, P.D., oddychając ze świstem, usiadł obok, zaś reszta wczołgała się na pakę i usadowiła pomiędzy skrzynką z narzędziami, skórzaną walizką, pustą skrzynką na butelki, w której teraz stały przyprawy, octy i krzaczkiziół, oraz istnymi górami najrozmaitszych podręczników po włosku. Wszystkie one runęły, kiedy Cuneo nacisnął na gaz, uchodząc przed wygrażającymi pięściami mężczyznami, którzy nie chcieli już znosić owego sekretnego pociągu swoich kobiet do tanga i gonili za tancerzami aż do końca parkingu.

– Durne capy! – zachnął się P.D., rzucając na tył album o motylach. – Myślą tylko o jednym. Mają nas za bandę swingerów, którzy tańczą najpierw w ubraniach, a potem na golasa. A tu nie ma na co patrzeć, same pomarszczone, brodate orzeszki, zamiast jaj, pękate kałduny i chude sflaczałe nóżki.

Dziewczyna parsknęła dyskretnie, za to Max i Salvatore ryknęli śmiechem – śmiechem przesadnym, bo dopiero co najedli się jednak trochę strachu.

– Przepraszam... czy nie moglibyśmy jednak mimo wszystko zatrzymać się przy banku? – zapytał Max tęsknie, kiedy na złamanie karku pędzili z powrotem szosą do Cepoys.

– Tylko jeżeli rozważa pan zawód kastrata! – zagrzemiał P.D. Olson.

Niedługo potem dotarli do pływającej księgarni. Kafka i Lindgren wylegiwały się leniwie na parapecie w późnopołudniowym słońcu i za nic miały parkę rozgorączkowanych wron

usadowionych w bezpiecznej odległości na starej jabłoni i rzucających stamtąd w ich stronę zaczepne krakanie.

Perdu zauważył tęskne spojrzenie Włocha na barkę.

– Chyba nie będzie pan mógł tu dłużej zostać – powiedział do niego.

Cuneo odparł z westchnieniem:

– Nawet się pan nie domyśla, *capitano*, ile już razy słyszałem to zdanie.

– Niech pan płynie z nami. Płyniemy aż do Prowansji.

– Ten stary bazarz opowiedział wam moją historię, *si*? O tym, że szukam na rzekach pewnej signoriny, która skradła moje serce.

– Tak, tak, znów ten zły Amerykanin nie umiał trzymać języka za zębami. I co? Jestem już stary, prawie stoję nad grobem, muszę sobie jeszcze trochę poszaleć. W każdym razie jeszcze nie napisałem o tym na Facebooku.

– Ma pan profil na Facebooku? – zdumiał się Max zajęty zrywaniem jabłek do koszuli.

– A co? Przecież to jak stukanie przez ścianę w pierdło. – Olson zachichotał. – Jasne, że mam profil. Jak inaczej mam wiedzieć, co się dzieje z ludzkością? I jak taki wiejski lincz może się roznieść po całym świecie.

– A... tak... OK – wydukał Max. – Przyślę panu zaproszenie do znajomych.

– Nie krępuj się, mój synu. Siedzę w sieci w każdy ostatni piątek miesiąca, między jedenastą a piętnastą.

– Jest nam pan winien jeszcze odpowiedź na pytanie – przypomniał mu pan Perdu. – Zatańczyliśmy w końcu, obaj, nieprawdaż? Poproszę o szczerość, nie cierpię kłamstwa. Czy to pan napisał *Zorzę południową*? Czy to pan jest Sanary?

Olson odwrócił pomarszczoną twarz ku słońcu i zdjawszy swój okropny kapelusz, przeczesał siwe włosy.

– Ja, Sanary... skąd taki pomysł?

– Technika. Dobór słów.

– Ach, wiem, co ma pan na myśli! „Wielki mamotata”, coś wspaniałego. Uosobienie tęsknoty każdego człowieka za opiekuńczymi skrzydłami kwoki, za matczynym ojcem. Albo „różana miłość”, kwitnąca i wonna, pozbawiona kolców, co jednak kłóci się z naturą. To wszystko takie cudowne. Ale niestety nie moje. Moim zdaniem Sanary jest wielkim przyjacielem człowieka, kimś dalekim od wszelkich konwencji. A ja nie mogę tego powiedzieć o sobie. Nie przepadam za ludźmi i za każdym razem, kiedy muszę się trzymać reguł towarzyskich, dostaję sraczkę. Nie, mój przyjacielu Johnie Lost. To nie ja. Wyznaję z całą szczerością.

P.D. z trudem wysiadł z auta i oparł się o maskę.

– Słuchaj, Cuneo, zajmę się twoim wozem, dopóki nie wrócisz. Chyba że już się nie spotkamy, kto wie?

Włoch z początku był w rozterce, jednak kiedy Max zabrał się do przenoszenia na barkę jego książek i skrzynki na butelki, sięgnął sam po walizkę i skrzynię z narzędziami.

– *Capitano Perduto*, czy wolno wejść na pokład?

– Proszę. To będzie dla mnie zaszczyt, signor Cuneo.

Następnie Jordan rzucił cumy. Kocia tancerka stała z nieprzeniknionym wzrokiem oparta o samochód. Perdu pomachał Olsonowi na pożegnanie.

– Czy naprawdę się panu przyśniłem, czy to tylko słowne gierki? – zapytał jeszcze.

P.D. uśmiechnął się łobuzersko.

– Świat zbudowany ze słów nigdy nie może być prawdziwy. Przeczytałem to kiedyś u jakiegoś Niemca. Gerlach. Nazywał się Günter Gerlach. Umysł nie dla maluczkich. – I dodał po chwili: – Płynicie do Cuisery nad Seille. Może tam spotkacie Sanary. O ile ona jeszcze żyje.

– Ona? – zapytał Perdu.

– Ach, co ja tam wiem. Po prostu wszystkiego, co najciekawsze, upatruję zawsze raczej w kobiecej połowie ludzkości. Pan nie? – Olson wyszczerzył zęby i wsiadł nie bez wysiłku do samochodu. Po czym zaczekał, aż dołączy do niego dziewczyna.

Ta jednak chwyciła Perdu.

– Mnie też jesteś coś winien – powiedziała ochrypłym głosem i przyłgnęła ustami do jego warg.

Pierwszy pocałunek od dwudziestu lat. Jean nie przypuszczał, że to tak oszałamiające uczucie.

Wpiła się w niego, swoim językiem dotknęła jego.

Następnie z płonącymi oczami odepchnęła go od siebie.

A gdybym chciała cię posiąść, obeszłoby cię to? – pytało jej dumne spojrzenie.

Alleluja. Czym sobie na to zasłużyłem?

– Cuisery? – zaciekawiał się tymczasem Max. – Co to takiego?

– Raj – odparł Perdu.

Cuneo zajął drugą kajutę, po czym zaanektował kambuz jako swój rewir. Z walizki i skrzynki na butelki wydobył przyprawy, oleje i *blends* – skomponowane wedle własnego pomysłu mieszanki do przyprawiania potraw, do podkręcania smaku dipów albo po prostu do „uszcześliwiania się zapachem”.

Widząc jednak sceptycyzm malujący się na twarzy Perdu, zapytał:

– Coś z tym nie tak?

– Nie, signor Cuneo. Tylko...

Tylko nie jestem przyzwyczajony do miłych zapachów. Są za przyjemne. Nieznośnie przyjemne. I nie są „szczęśliwe”.

– Znałem kiedyś kobietę – zaczął, rozpakowując się dalej i oglądając pieczołowicie swoje kuchenne noże – która na zapach róż reagowała zawsze płaczem. A inną podniecało, kiedy piekłem paszteciki. Zapachy potrafią zasiać prawdziwy zamęt w naszej duszy.

Pasztecikowe szczęście – przyszło do głowy panu Perdu. Pod P albo pod J jak język zapachów. Ciekawe, czy naprawdę napisze któregoś dnia encyklopedię uczuć.

A właściwie dlaczego nie jutro? Nie – zaraz!

Wszystko, czego potrzebuje, to papier i ołówek. I pewnego dnia, litera za literą, spełniłby swoje senne marzenie. Spełniłby, zrobiłby, mógłby...

Na co czekać. Zawsze jest tylko tu i teraz. No dalej, tchórze. Zaczynj oddychać pod wodą.

– W moim przypadku to lawenda – powiedział z ociąganiem.

– I co, płacze pan wtedy czy to drugie?

– I to, i to. Tak pachnie moja wielka porażka. I moje szczęście.

Cuneo wysypał z plastikowego woreczka kilka kamyków i zaczął układać je na półce.

– A to moja porażka i moje szczęście – oznajmił. – Wszystko przez czas. To on wygładza wszystkie ostre krawędzie. A ponieważ często o tym zapominam, trzymam te kamienie zebrane z każdej z rzek, po których dotychczas pływałem.

Kanał du Loing przeszedł tymczasem w kanał de Briare, jeden z najciekawszych odcinków trasy burbońskiej, z akweduktem poprowadzonym ponad dziką w tym miejscu i niezeglowną Loarą. Kotwicę rzucili w porcie dla sportowych łodzi w Briare, ukwieconym z takim przepychem, że dookoła siedziały dziesiątki malarzy pragnących uwiecznić tę barwną scenę.

Marina przypominała drugie, mniejsze Saint-Tropez. Stało tu mnóstwo drogich jachtów, na promenadach tłoczyli się turyści. Apteka Literacka była tu największym obiektem. Wielu kapitanów z innych jednostek zaglądało więc na pokład, by przyjrzeć się przeróbkom i rzucić okiem na załogę. Perdu zdawał sobie sprawę, że prezentują się dość osobliwie. I nawet nie jak nowicjusze, lecz znacznie gorzej.

Jak amatorzy.

Cuneo każdego gościa pytał bez ogródek, czy spotkał gdzieś po drodze frachtowiec o nazwie Księżycowa Noc. Pewne szwajcarskie małżeństwo podróżujące po Europie od blisko trzydziestu lat na swojej holenderskiej barce typu Luxe Motor twierdziło, że owszem. Dziesięć,

może dwanaście lat temu. Kiedy Włoch chciał się później zabrać do przygotowania kolacji, zastał w spizarce ziejącą pustkę, a w lodówce tylko karmę dla kotów i wspomnianą fasolkę.

– Nie mamy pieniędzy, signor Cuneo. I zapasów też nie – zaczął się tłumaczyć Perdu, po czym opowiedział mu o swoim spontanicznym opuszczeniu Paryża i związanych z nim perypetiach.

– Wodniacy to najczęściej uczynni ludzie. A ja mam nieco oszczędności – powiedział neapolitańczyk. – Mogę wam trochę dać w ramach opłaty za podróż.

– To bardzo szlachetne z pana strony, ale nie wchodzi w rachubę – odparł Perdu. – Musimy jakoś zarobić parę groszy.

– A ta kobieta nie czeka tam gdzieś na pana? – zapytał Max niewinnie. – Chyba nie powinniśmy tracić czasu.

– Nie, nie czeka na mnie. Mamy tyle czasu, ile zechcemy – zbył go pośpiesznie Jean.

O tak. We have all the time in the world. Ach, Manon... pamiętasz jeszcze... tamten bar, Armstrong i my.

– Chce jej pan zrobić niespodziankę? To nadzwyczaj romantyczne... ale i ryzykowne.

– Kto nie ryzykuje, ten nie żyje – włączył się Cuneo. – Lepiej pogadajmy o pieniądzach. Perdu posłał mu uśmiech wdzięczności.

Obaj pochylili się nad mapą tras wodnych, a Włoch zakreślił na niej kilka wiosek.

– Tu, w Apremont-sur-Allier, tuż za Nevers, mam znajomych. Javier zawsze potrzebuje pomocników przy renowacji nagrobków... tu, we Fleury, pracowałem jako kucharz domowy... w Digoin u jednego malarza... a tutaj, w Saint-Satur, hm, jeśli ona już się nie gniewa, że wtedy nie... – Zaczerwienił się. – Nieważne. No więc znajdzie się parę osób, które pomogą nam z zaopatrzeniem i paliwem. Albo podpowiedzą, gdzie szukać pracy.

– A w Cuisery też pan kogoś zna?

– W mieście książek nad rzeką Seille? Nigdy tam nie byłem. Ale może tam odnajdę to, czego szukam.

– Tę kobietę?

– Tak, tę kobietę. – Cuneo westchnął. – Wie pan, mało jest takich jak ona. Może jedna na sto. Jest wszystkim, o czym marzy mężczyzna. Piękna, myśląca, mądra, wyrozumiała, namiętna. Po prostu doskonała.

To zdumiewające – pomyślał Perdu. Mógłby tak samo opisać Manon. Ale opowiadać o niej znaczyło dzielić się nią. Zwierzać się. Na to Jean nie był jeszcze gotów.

– Najważniejsze teraz – myślała na głos Max – to szybko zdobyć kasę. Oświadczam od razu, że na żigolaka się nie nadaję.

Cuneo rozejrzał się wokół.

– A książki? – zapytał wolno. – Zamierza je pan wszystkie zatrzymać?

Że też sam na to nie wpadł.

Salvatore poszedł do wsi kupić za swoje pieniądze owoce, warzywa i mięso. Udało mu się też wytargować od pewnego wędkarza cały jego dzienny połów. W tym czasie Jean otworzył księgarnię, a Max pognał na brzeg jako żywa reklama. Przechadzał się po promenadzie tam i z powrotem, wołając: „Mamy książki na pokładzie! Mnóstwo nowości! Swawolne, mądre i tanie! Książki, piękne książki!”

A przechodząc obok dam przy kawiarnianym stoliku, kuśił: „Czytanie to najlepsza kuracja upiększająca! Czytanie najlepiej odchudza!”. Stawał też co jakiś czas pod restauracją Le Petit St Trop i skandował: „Macie złamane serce? My mamy na to książkę! Pokłóciliście się ze skipperem? Mamy na to książkę! Złowiliście rybę i nie wiecie, jak ją wypatroszyć? W naszych książkach znajdziecie wszystko!”

Jedni rozpoznali w nim pisarza, którego konterfekt widzieli wcześniej w czasopiśmie. Inni z kolei odwracali głowy z urażoną miną. Kilka osób faktycznie zaglądnęło do Apteki z prośbą o poradę.

W ten sposób Max, Jean i Salvatore doszli do pierwszych paru euro. Oprócz tego pewien rosły i posępny mnich z Rogny wymienił kilka słoików z miodem i pudełeczek z ziołami na parę pozycji o agnostycyzmie.

– Ciekawe, po co mu akurat te?

– Żeby zakopać – orzekł Cuneo.

U kapitana portu, którego naturalnie nie omieszkał zapytać o Księżycową Noc, neapolitańczyk załatwił trochę sadzonek ziół i z kilku półek z regałów zbił koryto, ustawił je na rufie i założył w nim ogródek. Ku szczególnej uciechy kotów, które niezwłocznie rzuciły się na kocimiętkę. Niedługo potem ganiały po pokładzie z ogonami najeżonymi jak szczotki.

Wieczorem Włoch odziany w fartuszek w kwiaty i w równie kwiecistych rękawicach na rękach wniósł kolację.

– Panowie, oto turystycznie uproszczona odmiana ratatouille. Bohémienne de légumes – zaanonsował, stawiając potrawę na prowizorycznym stole na pokładzie.

Okazało się, że miał na myśli pokrojone w drobną kosteczkę i upieczone czerwone warzywa doprawione szczydrami tymiankiem, następnie wtłoczone do okrągłej foremki i przełożone z niej na talerz, gdzie zostały jeszcze skropione oliwą z oliwek. Do tego podał trzykrotnie opiekane na żywym ogniu kotlety jagnięce oraz rozpluwający się wprost na języku flan czosnkowy.

Kiedy Perdu wziął do ust pierwszy kęs, stało się coś dziwnego.

W jego głowie eksplodowały obrazy.

– To niesamowite, Salvatore. Gotujesz tak, jak pisze Marcel Pagnol.

– Ach, Pagnol. Pocciwy człowiek. Wiedział, że tylko językiem da się wszystko dobrze zobaczyć. Oraz nosem i żołądkiem – Cuneo westchnął błogo. Po czym, między jednym a drugim kęsem, dodał: – *Capitano Perduto*, jestem głęboko przekonany, że aby zrozumieć ducha jakiegoś kraju, trzeba poznać jego strawę. Tylko tak można poznać mieszkających w nim ludzi. Duch zaś to to wszystko, co tam rośnie. Co ludzie każdego dnia mogą zobaczyć, powąchać i dotknąć. Co w końcu zapuszcza korzenie w nich samych i formuje ich od środka.

– Tak jak makaron formuje Włochów? – rzucił znad talerza Max.

– Uważaj, co mówisz, Massimo. *Pasta* nadaje piękny kształt kobietom! – Cuneo nakreślił w powietrzu kobiecy kontur.

Jedli, śmiali się. Z prawej strony zachodziło słońce, z lewej wschodził księżyc w pełni. A zewsząd docierał do nich kwiatowy aromat portu. Koty, przeprowadziwszy ostrożny rekonesans po okolicy, przyszły, by dotrzymać im towarzystwa, i rozsiadły się łaskawie na odwróconej skrzynce na książki.

Na Jeana spłynęło nieznanne ukojenie.

Czy jedzenie potrafi uzdrawiać?

Zdawało się, że z każdym kolejnym kęsem, nasączonym ziołami i olejami Prowansji, coraz bardziej otwiera się na krainę, do której zmierzał. A jednocześnie chłonał też region, w którym teraz przebywał. Rozpoznał smak tych dzikich okolic nad Loarą, ich wina, ich lasy.

Tej nocy spał spokojnie, a nad jego snem czuwały Kafka i Lindgren. Kocur ułożył się pod drzwiami, a kotka przyłgnęła do jego ramienia. Od czasu do czasu czuł, jak jej łapki dotykają jego policzka – jak gdyby chciała sprawdzić, czy dalej tu jest.

Następnego ranka postanowili, że zabawią w Briare nieco dłużej. Sezon właśnie się

zaczął, a tutejszy port był ulubionym miejscem spotkań i bazą wypadową do wycieczek po okolicy. Niemal bez przerwy zawijały tu nowe barki, a na nich potencjalni klienci księgarń na wodzie.

Max zaproponował Jeanowi, że podzieli się z nim resztkami swojej garderoby, jako że Perdu wypłynął z Paryża tylko z tym, co miał na sobie. Zakup nowej odzieży nie znajdował się bowiem zbyt wysoko na liście najpotrzebniejszych spraw.

Perdu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów włożył dżinsy i zwykły, nieco sprany podkoszulek. Z trudem rozpoznał się w lustrze. Trzydniowy zarost, lekka opalenizna, jakiej dorobił się, stojąc za sterem, swobodny ubiór... nie wyglądał starzej. Może też nie tak nobliwie jak dotąd. Choć też niekoniecznie młodziej.

Max z kolei zapuścił sobie zawadiacki czarny wąsik, który stale przyczesywał, chcąc wyhodować z niego wkrótce istic piracki, błyszczący wąs. Codziennie rano, na bosaka, ubrany jedynie w lekkie spodnie trenował na deskach pokładu kung-fu i tai chi. Zaś w południe i wieczorem, kiedy Cuneo przygotowywał posiłki, czytał mu na głos. Włoch najczęściej życzył sobie powieści napisanych przez kobiety.

– One opowiadają bardziej o świecie. Mężczyźni opowiadają tylko o sobie.

Otwierali też Aptekę Literacką, która była czynna do późna w nocy. Dni stawały się coraz cieplejsze.

We wnętrzu Lulu całymi godzinami przesiadywały dzieciaki ze wsi i z innych barek, czytając o przygodach Harry'ego Pottera, detektywa Blomkvista, słynnej piątki przyjaciół z książek Enid Blyton, kocich wojowników czy o perypetiach opisanych w *Dzienniku cwaniaczka*. A raczej słuchając książek czytanych na głos. Nieraz pan Perdu uśmiechał się dumnie pod nosem, widząc otoczonego gromadką szkrabów Maksa z książką na kolanach siedzącego po turecku na podłodze. Chłopak był coraz lepszy, a jego interpretacje zamieniały się w prawdziwe słuchowiska. Księgarz już widział, jak ta dzieciarnia siedząca teraz skupiona z szeroko otwartymi oczami wyrośnie kiedyś na ludzi, dla których czytanie i magia własnej wyobraźni staną się tak niezbędne jak powietrze.

Każdemu poniżej czternastego roku życia sprzedawał książki na kilogramy. Dwa kilo książek w cenie dziesięciu euro.

– Czy to aby nie za duża strata? – zapytał Max.

Pan Perdu wzruszył tylko ramionami.

– W tej chwili tak. Ale jak powszechnie wiadomo, czytanie czyni zuchwałym. A świat przyszłości z całą pewnością będzie potrzebował paru osób, które potrafią mówić nie. Nieprawdaż?

Nastolatki z kolei tłoczyły się, z początku chichocząc, potem zaś zachowując się podejrzanie cicho, w okolicach działu z erotyką. Księgarz był przy tym zawsze na tyle uprzejmy, że zbliżając się w tamtą stronę, mówił nadzwyczaj głośno albo hałasował przesadnie, aby młodzież w porę zaprzestała uścisków i skryła zarumienione twarze za jakąś niewinną lekturą.

Max przyciągał też klientów, grywając na pianinie.

Perdu wysyłał codziennie kartkę do Catherine. Każdego też dnia, z myślą o przyszłych farmaceutach literackich, zapisywał w zeszycie kolejne noty do swojej encyklopedii uczuć wagi lekkiej do średnio ciężkiej.

Wieczorami siadywał na rufie i wpatrywał się w niebo. Droga Mleczna była wciąż dobrze widoczna, niekiedy obok niej przelatowały spadające gwiazdy. Wokół rozlegały się koncerty żab przeplatane cykaniem świerszczy, cichym kołatanem lin o maszty i rozlegającymi się od czasu do czasu uderzeniami pokładowego dzwonu.

Jeana przepełniały zupełnie nowe uczucia. I należało o nich donieść Catherine, ponieważ

to od niej wszystko się zaczęło. Choć nie wiedział jeszcze, dokąd go to doprowadzi.

Droga Catherine, dziś Maks zrozumiał, że powieść jest jak ogród, który potrzebuje czasu. Po to, by czytelnik naprawdę dobrze się w niej poczuł. Kiedy na niego patrzę, przenika mnie mnóstwo ojcowskich emocji.

Pozdrowienia, Perdito

Droga Catherine, obudziłem się dziś rano i przyszło mi do głowy, że jesteś rzeźbiarką dusz. Że jesteś osobą, która potrafi okiełznać strach. Pod Twoimi palcami kamień przemienia się znów w człowieka.

John Lost, menhir

Droga Catherine, rzeki są inne niż morze. Morze bierze, rzeka daje. Tutaj robimy zapasy radości, spokoju, melancholii, tu chłoniemy niczym niezmaczoną ciszę wieczoru, kładącą się szarym welonem na dniu, który dobiega końca. Mam wciąż tego konika morskiego, którego ulepiłaś z chleba. Tego z oczkami z ziarenek pieprzu. Bardzo brakuje mu towarzystwa.

Zdaniem Jeanno P.

Droga Catherine, wodniaków można naprawdę poznać, dopiero kiedy jest się w drodze. Oni wprost uwielbiają opowieści o odległych wyspach. Unieszczęśliwiłoby ich, gdyby wiedzieli, gdzie przybiją następnego dnia.

Rozumiejący to J.P. z P., a obecnie znikąd

Perdu odkrył nad rzeką coś jeszcze: oddychające gwiazdy. Jednego dnia świeciły jaśniej, następnego stawały się wyblakłe. I tak na przemian. A przy tym wcale nie zależało to od przejrzystości powietrza ani okularów, lecz od tego, by oderwać oczy od ziemi i poświęcić czas na obserwację.

Gwiazdy wyglądały tak, jak gdyby oddychały głęboko w jakimś nieskończenie długim, regularnym rytmie. Oddychając zaś, spoglądały na świat i obserwowały, jak się staje i jak przemija. Niektóre z gwiazd widziały zapewne dinozaury i neandertalczyków, przyglądały się, jak wznosiły się w górę piramidy i jak Kolumb odkrywał Amerykę. Dla nich Ziemia to tylko kolejna wysepka na niezmiernym oceanie wszechświata, a jej mieszkańcy są tacy zadziwiająco... mali.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w Briare jeden z miejscowych urzędników poinformował ich po cichu, że albo zgłoszą w merostwie swoją działalność jako zajęcie sezonowe albo będą musieli odpłynąć. Był zapalonym czytelnikiem amerykańskich thrillerów.

– A na przyszłość uważajcie, do jakiego portu zawijacie. Francuska biurokracja z natury nie toleruje żadnych luk.

Zgromadziwszy niezbędne zapasy żywności, prądu i wody oraz nazwisk i numerów telefonów do życzliwych mieszkańców barek i nadrzecznych okolic, postanowili więc wyruszyć w dalszą trasę po kanałach Loary. Niebawem na ich drodze pojawiły się zamki oraz gęste, pachnące żywicą lasy i winnice, na których dojrzewały szczepy Sancerre Sauvignon, Pouilly Fumé czy Pinot Noir.

Im dalej na południe, tym ciepłej się robiło. Od czasu do czasu mijały ich statki z opalającymi się w bikini pasażerkami.

Na mijanych rozlewiskach olchy, jeżynowe zarośla i dzika winorośl tworzyły magiczną puszcę, pośród której migotały gdzieniegdzie zielonkawe prześwity. Pomiędzy pniami drzew błyskały kępki mchu, jagody dzikiego bzu i pochylone buki.

Cuneo co rusz z mieniającej się wody wyciągał kolejną rybę. Na ciągnących się długimi połączeniami nadbrzeżnych łachach odpoczywały czaple, rybołowy i rybitwy. Tu i ówdzie z nadrzecznych zarośli wyłaniały się bobry polujące na nutrie. Otaczała ich teraz stara, bujna przyroda Francji – wyborna, wspaniała, soczyście zielona i samotna.

Którejś nocy przybili do brzegu jakiejś dzikiej, opuszczonej łąki. Wokół panowała doskonała cisza. Nie było słychać ani chłopotu wody, ani nawet najcichszego odgłosu aut. Byli zupełnie sami, nie licząc kilku pohukujących co jakiś czas puszczyków.

Po kolacji w świetle świec wynieśli na pokład poduszki i koce, po czym ułożyli się głowa przy głowie w kształcie trójramiennej gwiazdy.

Droga Mleczna na ciemnogramatowym niebie przypominała jasną smugę, świetliste pasmo gęsto utkane planetami.

Panujący spokój był wręcz obojętny i zdawało się, że wchłania ich w siebie ciemność.

Max wyczarował skądś cienkiego jointa.

– Stanowczo protestuję – wymamrotał błogo Jean.

– Tak jest, skipperze. Sprzeciw zanotowany. Dał mi go pewien Holender, nie miał czym zapłacić za Houellebecqa.

Zapalił. Cuneo pociągnął nosem.

– Pachnie jak palona szałwia – uznał, po czym z nabożeństwem przejął skręta i pociągnął ostrożnie.

– Brr. Smakuje jak żywica zlizywana wprost z jodłowej kory.

– Musisz się porządnie zaciągnąć, aż do płuc, a potem zatrzymać tam dym tak długo, jak się da – pouczył go Max. Cuneo poszedł więc za jego radą.

– O święta bazylio. – Zakasłał.

Jean pociągnął minimalnie, pozwalając, by dym rozszedł mu się po podniebieniu. Jakaś jego część obawiała się utraty kontroli, jednak inna właśnie do tego tęskniła.

Czuł, że nadal tkwi w nim gruby czop uformowany z czasu, przyzwyczajęń i zgorzkniałego lęku, który nie pozwala mu wyzwolić się ze smutku. Jak gdyby wypełniały go

skamieniałe łyzy niepozostawiające miejsca na nic innego.

Nie wyznał dotąd ani Maksowi, ani Salvatore, że kobieta, dla której rzucił wszystkie cumy łączące go z dotychczasowym życiem, już dawno obróciła się w proch. A także tego, że się wstydzi. Że to wstyd tak go teraz gna, choć nie wie, co miałby począć, przybywszy do Bonnieux, oraz czy zazna tam spokoju. Zresztą czy na niego zasługuje?

Jednak z drugiej strony nie zaszkodzi spróbować.

Gorący dym ze skręta gryzł gardło. Tym razem wciągnął go głęboko do płuc. Miał wrażenie, jak gdyby znalazł się na dnie morza, morza wypełnionego ciężkim powietrzem. Było tak cicho jak pod wodą. Nawet puszczyki umilkły.

– Totalne wygwieżdzenie – wymamrotał Cuneo.

– Prawdopodobnie lecimy nad niebem. Ziemia ma kształt spodka. Tak się sprawy mają – pośpieszył z objaśnieniem Max.

– Albo deski do krojenia. – Neapolitańczyk czknął. Obaj parsknęli śmiechem, a ich śmiech niósł się ponad wodą, strasząc ukryte w zaroślach młode zające, które z kołaczącym sercem wciskały się jeszcze głębiej do swoich nerek.

Na powiekach Jeana zaległa rosa. On się nie śmiał. Jak gdyby owo powietrzne morze ponad nim nie pozwalało mu odetchnąć.

– Jaka ona była? Ta, której szukasz, Cuneo? – zapytał Max, kiedy już trochę ochłonęli.

– Piękna, młoda. I bardzo opalona – odpowiedział Cuneo i dodał po chwili: –

Z wyjątkiem jednego miejsca. Tam była jasna jak śmietanka. I tak też słodko smakowała. – Westchnął.

Obserwowali, jak co rusz któraś gwiazda rozbłyśka jaśniejszym światłem, po czym przelatuje po niebie i gaśnie.

– Najpiękniejsze są błędy miłości. Choć płaci się za nie najdrożej – wyszeptał Cuneo i podciągnął koc aż po brodę. – I za te małe i za te wielkie.

Znowu westchnął.

– To była tylko jedna noc. Vivette była zaręczona, choć nawet jeśli było inaczej, miała być niedostępna dla mężczyzn. Zwłaszcza takich jak ja.

– Cudzoziemców? – chciał się upewnić Max.

– Nie, Massimo, nie w tym rzecz. Dla ludzi ze statków. To było zakazane. – Cuneo pociągnął jointa i przekazał go dalej. – Vivette spadła na mnie jak gorączka, która trzyma mnie do dziś. Kiedy o niej pomyślę, moja krew zaczyna wrzeć. Jej twarz spogląda na mnie z każdego cienia i z każdego promienia słońca na wodzie. Śnię o niej, ale z każdą nocą ubywa dni, które moglibyśmy ze sobą przeżyć.

– W pewnym sensie czuję się stary i zasuszony – odezwał się Max. – Te wasze namiętności! Jeden od dwudziestu lat szuka dziewczyny, z którą spędził tylko jedną noc, drugi w jednej chwili rzuca wszystko, żeby... – i urwał. – W ciszy, która zapadła po tych słowach, w głowie Jeana mignęło coś, ale zanotował to jedynie szczątkowo gdzieś na obrzeżach swojej świadomości owianej dymem z trawki. O czym to niby chciał powiedzieć Max? Jednak chłopak mówił dalej, a Jean zdążył już zapomnieć, o co mu chodzi. – Nie wiem, czego ja mam chcieć. Jeszcze chyba nigdy nie byłem tak naprawdę zakochany. Zawsze zwracałem uwagę bardziej na to, czego dziewczynie... brakuje. Jedna była ładna, ale arogancka wobec tych, którzy zarabiali mniej od jej ojca. Druga była może miła, ale potrzebowała tak strasznie dużo czasu, żeby zrozumieć jakiś dowcip. Jeszcze inna była zjawiskowo piękna, ale za każdym razem, gdy się rozbiierała, okropnie płakała, a ja nie wiedziałem dlaczego. W końcu wołałem więcej nie próbować, zapakowałem ją w mój największy sweter i przez całą noc tylko obejmowałem. Mówię wam, kobiety uwielbiają przytulać się na łyżeczkę, ale od tego tylko cierpną ręce i prawie

pęka pęcherz.

Perdu zaciągnął się kolejny raz.

– Massimo, twoja ukochana chodzi już gdzieś po świecie – oświadczył z przekonaniem Cuneo.

– Ale gdzie?

– Być może już jesteś na jej tropie, tylko jeszcze o tym nie wiesz – szepnął Jean.

Tak właśnie było z nim i Manon. Wracał wtedy z Marsylii, wsiadł do pociągu, nie przeczuwając nawet, że pół godziny później spotka kobietę, która odmieni jego życie oraz wszystkie filary, na jakich się opierało. Miał wtedy dwadzieścia cztery lata, był niewiele starszy od Maksa. Przeżył z Manon zaledwie pięć lat wypełnionych potajemnymi schadzками. A zapłacił za tę garstkę szczęścia dwoma dziesiątkami lat bólu, tęsknoty i samotności.

– A mimo to było warto.

– *Capitano?* Mówiłeś coś?

– Nie. Myślałem. Czyżbyście potrafili już usłyszeć moje myśli? Chyba was stąd przegonię.

Jego kompani czknęli jeden po drugim.

Nocna cisza zdawała się coraz bardziej nierzeczywista. Wydawało im się, że unoszą się ponad czasem.

– A twoja ukochana, *capitano?* – zapytał Cuneo. – Jak ma na imię? – Jean zwlekał z odpowiedzią. – *Scusami*, nie chciałem...

– Manon. Ma na imię Manon.

– Na pewno jest piękna.

– Piękna jak kwitnące drzewko wiśni.

Jakże łatwo jest przymknąć oczy i odpowiadać po prostu na rzeczowe pytania Włocha, zadawane łagodnym, przyjaznym tonem.

– I mądra, *si?*

– Ona zna mnie lepiej niż ja sam. Ona... nauczyła mnie czuć. I tańczyć. Dawała się kochać tak bez trudu.

– Dawała? – usłyszał pytanie zadane tak cicho, że nie wiedział, skąd padło. Czy to Max, Salvatore, a może wewnętrzny głos jego samego?

– Ona jest moim miejscem na ziemi. Ona jest moim śmiechem. Ona... – Zamilkł. *Nie żyje.* Nie był w stanie wypowiedzieć tych słów na głos. Tak bardzo bał się żalu, który stał tuż za nimi.

– I co jej powiesz, kiedy dotrzesz na miejsce?

Jean zawahał się. Po czym postanowił odpowiedzieć szczerze, choć przemilczając śmierć Manon.

– Wybacz mi.

Cuneo o nic więcej już nie pytał.

– Naprawdę wam zazdroścę – mruknął Max. – Wy żyjecie swoją miłością. Swoją tęsknotą. Nieważne, że to wariactwo. A ja czuję, jak gdybym marnował swój czas na ziemi. Oddycham, moje serce bije, krew krąży. Ale nie radzę sobie z tym, z pisaniem. Świat wokół się wali, a ja rozczulam się nad sobą jak rozpieszczony smarkacz. Życie jest niesprawiedliwe.

– Tylko śmierć dzieli wszystkim po równo – skwitował Perdu.

– Prawdziwa demokracja – dodał Cuneo.

– Moim zdaniem śmierć jest politycznie przereklamowana – uznał Max, przekazując Jeanowi resztkę skręta.

– Czy to prawda, że mężczyźni, szukając swojej ukochanej, kierują się tym, żeby przypominała im ich matkę?

– Hm. – Perdu pomyślał o Lirabelle Bernier.
– *Si, certo!* Wobec tego ja musiałbym poszukać sobie takiej, która wiecznie nazywałaby mnie beczelnym gówniarzem i dawała w twarz, kiedy czytam albo używam niezrozumiałych dla niej słów. – Cuneo uśmiechnął się z goryczą.
– A ja takiej, która dopiero po pięćdziesiątce zdobywa się na to, by powiedzieć „nie” albo zjeść to, co lubi, a nie to, co jest tanie – rzucił Max.
Włoch zdusił niedopałek.
– Salvo – zapytał jeszcze Max, zanim usnął. – czy mogę opisać twoją historię?
– Ani mi się waż, *amico* – odparł Salvatore. – Poszukaj sobie, z łaski swojej, jakiejś własnej, mały Massimo. Jeśli zabierzesz mi moją, co mi pozostanie?
Max westchnął ciężko.
– No dobrze – sapnął sennie. – A macie dla mnie przynajmniej... jakichś parę słów? Takich ulubionych? Na dobranoc?
Cuneo mlasnął.
– Na przykład suflet śmietankowy? Albo makaronowy całus?
– Mnie podobają się słowa, które brzmią jak to, co opisują – wymamrotał Perdu z zamkniętymi oczami. – Wieczorna bryza. Nocny biegacz. Dziecko lata. Przekora. Widzę małą dziewczynkę w fantazyjnej zbroi, która walczy ze wszystkim, co jej przeszkadza. Dzielna, drobna i cicha. Mała wojownicza Przekora naprzeciw ciemnej mocy rozumu.
– To są słowa, o które się można skaleczyć – mruknął Cuneo. – Jakby ktoś włożył do ucha i na język żyletkę. Dyscyplina. Dryl. Albo generał Rozum.
– Rozum wymawia się tak ściśle, że inne słowa po prostu już nigdzie się nie mieszczą – poskarżył się Max. A potem się roześmiał. – Wyobraźcie sobie, jak by to było, gdyby piękne słowa trzeba było kupować.
– Niektórzy cierpiący na słowotok szybko by splajtowali.
– Do głosu doszliby tylko bogaci, bo wykupiliby wszystkie ważniejsze wyrazy.
– Najdrożej kosztowałoby „kocham cię”.
– A użyte jako kłamstwo kosztowałoby podwójnie.
– Biedni musieliby zostać rabusiami słów. Albo wykazać się czynami zamiast nich.
– Tak chyba powinni robić wszyscy. Kochać to czasownik, określa czynność... zatem trzeba ją wykonać. Mniej gadać, więcej robić. Nieprawdaż?
Ten skręt miał kopa.

Niedługo później Salvatore i Max przenieśli się do swoich łóżek pod pokładem. Ten drugi, zanim zniknął, odwrócił się jeszcze w stronę Jeana.
– O co chodzi, monsieur? Chce pan jeszcze jedno słówko na dobranoc?
– Ja... Nie. Chciałem tylko powiedzieć... Naprawdę pana lubię. Nieważne, co... – Max chciał jeszcze coś dodać, ale chyba nie wiedział, jak to powiedzieć.
– Ja też pana lubię, monsieur Jordan. Nawet bardzo. Bardzo bym się ucieszył, gdybyśmy zostali przyjaciółmi, monsieur Max.
Popatrzyli w swoje twarze osrebrzone księżycową poświatą. Oczy młodego człowieka kryły się w ciemności.
– Tak – szepnął. – Tak, Jean. Bardzo chętnie zostanę... pana przyjacielem. I postaram się być dobrym...
Perdu nie zrozumiał tego do końca, ale przypisał to działaniu jointa.
Kiedy został sam, dalej leżał na deskach pokładu. Noc zaczęła zmieniać swój zapach. Do jego nozdrzy dotarła jakaś nowa nuta... Czy to lawenda?

Poczuł, że cały drży.

Przypomniawszy sobie, że kiedyś, jako bardzo młody człowiek, jeszcze zanim poznał Manon, doznał już czegoś podobnego, czując zapach lawendy. To był jakiś wewnętrzny dreszcz. Jak gdyby serce już wtedy wiedziało, z czym będzie się wiązała ta woń. Z tęsknotą, z bólem. Z miłością. Z kobietą.

Wciągnął powietrze i pozwolił wspomnieniu rozprzestrzenić się po wszystkich zakamarkach świadomości. Tak, może istotnie już w wieku Maksa poczuł ten dreszcz, który wiele lat później wyzwoliła w nim ta kobieta.

Zdjął banderę wyhaftowaną niegdyś przez Manon i wygładził ręką. A potem zgniół i przyłożył czoło do miejsca, gdzie widniało oko książkowego ptaka, tam gdzie spadła kropla krwi Manon.

Dziękuję ci, Manon.

Opadłszy na kolana, ze spuszczoną głową zaczął szeptać:

– Noce i dnie, lądy i morza. Tysiące istnień przychodziły i odchodziły, a ty na mnie czekasz.

W pokoju, gdzieś obok.

Wiedząca i kochająca.

W moich myślach nadal mnie kochasz.

Jesteś strachem, który we mnie rozcina kamienie.

Jesteś życiem, które we mnie z nadzieją czeka na mnie.

Jesteś śmiercią, której się lękam.

Przydarzyłaś mi się, a ja zataiłem przed tobą moje słowa. Mój żal. Moje wspomnienia.

Twoje miejsce w moim sercu i cały nasz czas.

Zgubiłem naszą gwiazdę.

Wybaczysz mi?

Manon?

– Max! Przed nami następna komora tortur.

Jordan bez entuzjazmu powłókł się do przodu.

– Mogę się założyć, że znów jakiś kundel nasika mi na rękę, jak przy tysiącu poprzednich służowań. Poza tym od kręcenia korbą mam już zdartą całą skórę na rękach. Czy te dłonie będą jeszcze w stanie kiedyś dopieścić jakąkolwiek literę? – Max z wyrzutem wyciągnął przed siebie zaczerwienione dłonie z ledwie widocznymi drobnymi bąbelkami.

Przemierzywszy trasę wzdłuż niezliczonych pastwisk, skąd pasące się krowy mogły bez przeszkód zejść, by chłodzić się w przybrzeżnych wodach, i szacownych posiadłości niegdysiejszych królewskich kochanek, zbliżali się do służy La Grange, nieopodal Sancere.

Wieś usytuowana była na widocznym już z oddali wzgórzu i królowała ponad południowymi odnogami dzikiego rezerwatu doliny Loary, ciągnącego się przez kolejne dwadzieścia kilometrów.

Wierzby płaczące zwieszały swoje gałęzie niczym palce igrające z wodą. Pływająca księgarnia sunęła pośród coraz bardziej napierającego na nią zielonego korytarza o ruchomych ścianach.

Rzeczywiście przy każdej służie obszczekiwał ich jakiś gniewny pies. I rzeczywiście każdy z tych zapiekłych szczekaczy obsikiwał właśnie ten poler, do którego Max przywiązywał liny, aby ustabilizować statek podczas spuszczenia wody z komory służy, a potem jej napełniania. Teraz wziął liny samymi koniuszkami palców i rzucił je na pokład.

– Hej, *capitano!* Cuneo się tym zajmie, nie ma problemu.

Krótkonogi Włoch odłożył na bok składniki przyszłej kolacji, wspiął się po drabince w swoim kwiecistym fartuchu i założywszy na ręce swoje kolorowe rękawice kucharskie, pokręcił cumą na wszystkie strony jak lassem. Widząc tego wijącego się niczym boa intruza, pies uskoczył i umknął jak niepyszny.

Cuneo jedną ręką przekręcił żelazny drąg służący do otwierania wrót służy, a jego mięśnie wybrzuszyły się krągło pod rękawami pasiastej koszuli. Przy okazji zanucił tenorem gondoliera: *Que sera, sera*, puszczając oko do żony strażnika, kiedy mąż nie patrzył. Jemu samemu wręczył zaś, przepływając, puszkę piwa w zamian za uśmiech i informację, że wieczorem w Sancerre będzie potańcówka, a strażnikowi przy kolejnej służy skończyła się ropa. No i za przeczącą odpowiedź na najważniejsze pytanie Salva, czy aby nie przepływał wtedy niedawno frachtowiec Księżycowa Noc. Ostatnim razem strażnik widział go jeszcze za Mitterranda. Chyba.

Perdu patrzył, jak Cuneo przyjmuje te wieści.

Przez cały tydzień wszędzie słyszał tylko „Nie, nie”.

Rozpytywali strażników przy służach, kapitanów portu, skipperów, ba, nawet klientów Apteki Literackiej.

Włoch dziękował ze spokojem na twarzy. Z kamiennym spokojem. Doprawdy muszą w nim drzemać nieprzebrane pokłady nadziei. A może szuka po prostu z przyzwyczajenia?

Przyzwyczajenie to niebezpieczne i próżne bóstwo. Nie pozwoli, by coś przerwało jego panowanie. Uśmierci raczej każdą tęsknotę. Tęsknotę za podróżowaniem, za inną pracą, za nową miłością. Nie pozwala żyć tak, jak chcemy. Bo z przyzwyczajenia przestajemy się zastanawiać, czy w ogóle chcemy tego, co robimy.

Cuneo dołączył teraz do pana Perdu przy sterze.

– O jej, *capitano*. Ja swoją miłość zgubiłem. A ten chłopak? – zapytał. – Co on zgubił?

I obaj spojrzeli w stronę Maksa, który stał oparty o reling i wpatrywał się w wodę.

Zdawało się, że jest myślami gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Ostatnio zrobił się małomówny. Przestał też grywać na pianinie.

„Staram się być dobrym przyjacielem” – powiedział panu Perdu. Tylko co oznacza owo „staram się”?

– Brak mu jego muzy, signor Salvatore. Max zawarł z nią pakt i zrezygnował z normalnego życia. Ale muza znikła. A on został z niczym, nie ma życia ani zwykłego, ani artystycznego. Dlatego teraz jej szuka, gdzieś tutaj.

– *Si, capitano*. Może nie kochał swojej muzy wystarczająco mocno. Może powinien jeszcze raz się zadeklarować.

Czy pisarze mogą jeszcze raz poślubić swoją muzy? I co, mają teraz we trzech zatańczyć nago wokół ogniska na jakiejś kwietnej łące?

– Jakie właściwie są muzy? Przypominają na przykład koty? – chciał wiedzieć Cuneo. – Takie nie znoszą żadnych umizgów. A może są jak psy? Czy on może wzbudzić w takiej dziewczynie-muzie zazdrość, jeśli będzie się kochał z inną dziewczyną?

Zanim jednak Perdu zdążył mu odpowiedzieć, że muzy są raczej jak konie, usłyszeli ryk Maksa.

– Sarna! Tam, w wodzie!

Rzeczywiście. Była tam, przed nimi. Młoda, kompletnie wycieńczona łania szamocząca się w samym środku rzeki. Wpadła w panikę na widok zbliżającej się barki.

Próbowała wciąż wdrapać się na skarpe, ale gładkie i niemal pionowe ściany kanału uniemożliwiały uwolnienie się ze śmiertelnej pułapki.

Max wychylił się przez reling i próbował pochwycić wymęczone zwierzę za pomocą koła ratunkowego.

– Massimo, daj spokój, jeszcze sam wypadniesz.

– Przecież musimy jej jakoś pomóc! Sama nie zdoła wyjść, utonie!

Teraz zawiązał pętlę na jednej z lin i rzucał ją w kierunku sarny. Ale ona tylko jeszcze bardziej się miotła, znikając co chwila pod wodą.

Bojaźń widoczna w oczach zwierzęcia przeszła Jeana dreszczem.

Uspokój się – błagał je w myślach. – *Uspokój się, zaufaj nam... zaufaj*. Zredukował prędkość Lulu, wrzucił wsteczny bieg, by całkiem ją zatrzymać, choć i tak siłą bezwładu przemieści się jeszcze kilkanaście metrów do przodu.

Sarna znalazła się obok burty. Rzucała się tym rozpaczliwiej, im bliżej uderzała o wodę ratunkowa pętla. Kiedy podnosiła na nich wzrok, jej brązowe, szeroko rozwarte oczy wyrażały panikę i śmiertelne przerażenie.

A potem krzyknęła.

Było to chrapliwe kwilenie pomieszane z błagalnym piskiem.

Cuneo zaczął się szykować do skoku do kanału, w okamgnieniu zdjął już nawet buty i koszulę.

Łania nie przestawała krzyczeć.

Perdu rozmyślał gorączkowo. Może przybić do brzegu? Może udałoby się dojść do niej od strony łądu i tak ją wyciągnąć?

Skierował więc barkę ku brzegowi, usłyszał, jak szoruje bokiem o ścianę kanału.

I wciąż ten krzyk sarny, jej rozpaczliwy, chrapliwy kwik. Opadała z siłą, jej przednie nogi coraz wolniej próbowały znaleźć oparcie na skarpie. Bezskutecznie.

Cuneo stał przy relingu w samej bieliźnie. Chyba zrozumiał, że nie pomoże łani, dopóki sam nie będzie w stanie wydostać się na brzeg. Ściany Lulu były z kolei za wysoko, aby wciągnąć miotające się zwierzę na pokład lub zejść do niego po drabince.

Kiedy wreszcie przycumowali, Max i Jean wyskoczyli na brzeg i pognali poprzez zarośla tam, gdzie została sarna.

Ona zaś tymczasem oddaliła się od ich strony i usiłowała wydostać się na drugi brzeg kanału.

– Dlaczego ona nie da sobie pomóc? – szepnął Max ze łzami w oczach. – Chodź tu! – ryknął ochryple. – Wracaj tu, głupia!

Teraz mogli już tylko patrzeć.

Sarna kwiliła i popiskiwała, próbując wspiąć się na przeciwległą skarpe.

W końcu jednak dała za wygraną i zsunęła się z powrotem w dół.

Spoglądali w milczeniu, jak z trudem utrzymuje jeszcze łeb ponad powierzchnią wody. Co rusz patrzyła w ich stronę, po czym próbowała jeszcze bardziej się od nich oddalić. Jej bojaźliwe spojrzenie, pełne nieufności i oporu wstrząsnęło Jeanem do szpiku kości.

Jeszcze raz krzyknęła. Długo i bardzo rozpaczliwie.

A potem umilkła.

Znikła pod wodą.

– O Boże, proszę – wyszeptał Max.

Kiedy się wynurzyła, leżała już na boku, z głową zanurzoną w wodzie, jej przednimi kończynami wstrząsały drgawki.

Słońce świeciło, komary tańczyły nad taflą rzeki, w gęstwinie skrzeczał jakiś ptak. Ciało łani unosiło się bezwolnie na wodzie.

Po twarzy młodego człowieka potoczyły się łzy. Zsunął się do wody i podpłynął do martwego zwierzęcia.

Jean i Salvatore obserwowali w milczeniu, jak ciągnie je za sobą aż do brzegu. A potem z nadspodziewaną siłą podnosi mokre i szczupłe ciało w górę, by Jean mógł je chwycić i wyciągnąć. Z trudem.

Sarna pachniała wodą brakiczną, leśnym podszytem i powietrzem jakiegoś nieznanego, starego świata z dala od miast. Jej wilgotna sierść była twarda i sztywna. Kiedy Perdu ułożył jej ciało na ogrzanej słońcem ziemi, z łbem na swoich kolanach, miał nadzieję, że oto zaraz nastąpi cud i łania otrząśnie się, podniesie na chwiejnych nogach, po czym umknie w leśne ostępy.

Pogładził jej pierś. Pogładził grzbiet i głowę, jak gdyby dotykiem można było odwrócić zły los. Czuł jeszcze pod palcami ciepło gasnące w jej szczupłym ciele.

– Proszę – szeptał. – Proszę.

Nie przestawał głaskać sarny po głowie. Jej brązowe, zmatowiałe oczy spoglądały w dal.

Max leżał na plecach na wodzie, z rozrzuconymi w bok rękami. Cuneo na barce stał z twarzą ukrytą w dłoniach. Żaden z nich nie odważył się spojrzeć na drugiego.

Dalszą drogę na południe odbyli w milczeniu. Płynęli teraz Loarą przez Burgundię, pod zielonymi, katedralnymi sklepieniami drzew rosnących wzdłuż rzeki. Mijane winnice ciągnęły się niekiedy aż po horyzont. I wszędzie kwitły kwiaty, nawet na śluzach i mostach.

Jedli w milczeniu, w milczeniu sprzedawali książki klientom z nabrzeży. Starali się nie wchodzić sobie w drogę. Wieczorem czytali, każdy w innym kącie łodzi. Koty biegały zdezorientowane od jednego do drugiego, jednak nawet one nie były w stanie wyrwać ich z marazmu i nagłego osamotnienia. Ich łaszenie, natarczywe spojrzenia i pytające pomiaukiwanie pozostały bez odzewu.

Śmierć sarny zburzyła ich trójramienne przymierze. Teraz każdy z nich dryfował osobno przez czas, przez ten żalony, skomplikowany czas.

Jean przesiadywał nad swoim zeszytem w linie, opracowując encyklopedię uczuć. Wyglądał przez okno, jednak nie widział gry kolorów na przedwieczornym niebie. Jak gdyby brodził w gęstym syropie własnych myśli.

Następnego wieczoru minęli Nevers i po krótkiej, acz burzliwej dyskusji („A dlaczego nie Nevers? Przecież moglibyśmy sprzedać tam trochę książek”. „W Nevers jest wystarczająco dużo księgarń. Za to nie ma nikogo, kto mógłby nam sprzedać paliwo”) przybili nieopodal maleńkiej miejscowości Apremont-sur-Allier, przycupniętej pośród meandrów rzeki Allier. Cuneo miał tu znajomych, pewnego rzeźbiarza z rodziną, który mieszkał w oddalonym domu gdzieś pomiędzy swoim atelier a wsią.

Stąd, z „ogrodu Francji”, było już niedaleko do Digoin i odnogi prowadzącej do kanału centralnego, którym kierując się ku Rodanowi, dopłyną rzeką Seille do Cuisery, miasta książek.

Kafka i Lindgren śmignęły do przybrzeżnego lasku na polowanie. Niebawem w górę wbiło się stadko ptaków.

Idąc z towarzyszami przez wieś, Jean miał wrażenie, jak gdyby przenieśli się do piętnastego wieku.

Wysokie, rozłożyste drzewa, nieutwardzone drogi, garstka domów z żółtego piaskowca pomalowanych w kolorze ochry i krytych czerwonym gontem, ba, nawet kwiaty w przydomowych ogródkach i pnący się wszędzie bluszcz wyglądały jak żywcem przeniesione z epoki rycerzy i czarownic. Nad dawną wioską kamieniarzy i murarzy górował niewielki zameczek, którego fasada połyskiwała złościście w blasku zachodzącego słońca. Ów archaiczny obrazek burzył jedynie widok rowerów należących do turystów urządzających pikniki nad brzegiem Allier.

– Aż mnie mdli, tak tu ślicznie – odezwał się marudnym tonem Max.

Minęli masywną, starą basztę i przemierzali właśnie ogród, mieniący się barwami różowych, czerwonych i białych kwiatów, od których widoku i woni Jeanowi zakręciło się w głowie. Ponad ścieżkami zwieszały się potężne glicynie, tworząc rodzaj pergoli. Po środku stawu królowała zaś japońska pagoda, do której można się było przedostać, idąc po kamieniach.

– A mieszkają tu prawdziwi ludzie czy statyści? – zachnął się Max. – To jakaś szopka dla Amerykanów?

– Owszem, mieszkają tu zwyczajni ludzie. Choć tacy, którzy trochę bardziej niż reszta przeciwstawiają się rzeczywistości. I nie, Apremont nie żyje myślą o amerykańskich turystach. To wszystko z miłości do piękna – odpowiedział mu Cuneo.

Następnie rozchylił gałęzie wielkiego rododendronu, odsłaniając furtkę w wysokim,

starym murze.

Znaleźli się w rozległym ogrodzie z wypielęgnowanym trawnikiem, na tyłach posiadłości z okazałym, wytwornym pałacem z wieżyczką, wysokimi, dwuskrzydłowymi oknami, dwoma bocznymi skrzydłami i obszernym tarasem.

Jean poczuł się tu okropnie skrępowany i nie na miejscu. Minęły wieki, odkąd składał wizyty. Kiedy podeszli bliżej, usłyszeli dźwięki fortepianu i śmiechy, gdy zaś przemierzyli trawnik, Perdu spostrzegł pod jednym z buków nagusieńką kobietę w wymyślnym kapeluszu, siedzącą na krześle i malującą obraz na sztaludze. Obok niej za fortepianem na kółkach siedział mężczyzna w staromodnym, angielskim letnim garniturze.

– Hej! Ty z tą ładną buźką, umiesz grać na pianinie? – zawołała kobieta, dostrzegłszy trzech przybyszów.

Max oblał się rumieńcem i pokiwał głową.

– No to zagraj coś dla mnie, farby uwielbiają tańczyć. Mój brat nie odróżnia nawet a od h.

Młody pisarz wcisnął się więc posłusznie przed klawisze, próbując przy tym nie gapić się na biust swojej nagiej rozmówczynie. Zwłaszcza że miała tylko lewą pierś. Czerwonawa rysa po prawej stronie zdradzała, że kiedyś znajdowała się tu jej bliźniaczka, równie krągła, pełna i jędrna.

– Patrz do woli, aż zaspokoisz ciekawość – powiedziała. Po czym zdjęła kapelusz, pokazując się w całej krasie z łysą głową. Ukąszone przez raka ciało powracające do życia.

– Ma pani jakąś ulubioną melodię? – zapytał Max, uporawszy się z zakłopotaniem, fascynacją oraz przyływem współczucia.

– Mam, mój pięknousty. Mnóstwo. Tysiące melodii! – I nachyliwszy się, szepnęła mu coś do ucha, potem znów założyła kapelusz i wymownym gestem zanurzyła pędzel w czerwonej farbie na swojej palecie.

– Jestem gotowa – powiedziała. – Ach, i mów mi Elaia!

Chwilę później rozległy się dźwięki *Fly me to the moon*. Max zinterpretował utwór na cudownie jazzową nutę. Malarka wodziła pędzlem po płótnie w nadawanym przez niego rytmie.

– To córka Javiera – szepnął Cuneo. – Już od dziecięcych lat walczy z chorobą. Cieszę się, że na razie, jak widać, wciąż wygrywa.

– No nie! To niemożliwe, jak możesz się zjawiać znowu dopiero teraz?

Z tarasu wprost w objęcia Salvatore sfrunęła jakaś kobieta w wieku Jeana. Miała niewiarygodnie roześmiane oczy.

– Ty przekłety makaroniarzu! Javier, zobacz, kto przyszedł! Ten głaskacz kamieni!

Z wnętrza domu wyłonił się teraz mężczyzna w znoszonych sztruksach i koszuli ze stójką. Dom zaś, po dokładniejszym przyjrzeniu, nie prezentował się już tak okazale. Raczej jak miejsce, którego czas przepychu, złotych żyrandoli i rzeszy służących minął już dawno, dawno temu.

Kobieta o śmiejących oczach skierowała je teraz na Jeana.

– Dzień dobry – powiedziała. – Witamy u Flinstonów.

– Dzień dobry – zaczęła Perdu. – Nazywam się...

– Ach, dajmy spokój z nazwiskami. Niepotrzebne nam one. Tutaj każdy nazywa się tak, jak chce. Albo wedle tego, co potrafi. Znasz się na czymś szczególnie dobrze? A może jesteś kimś szczególnym?

W jej brązowych oczach pojawiły się iskierki.

– Jestem... – odezwał się Jean.

– Nie słuchaj go, Zelda. On potrafi czytać w duszy, na tym się zna – wtrącił Cuneo. – Ma na imię Jean. Załatwi ci każdą książkę, jakiej ci potrzeba, żeby dobrze sypiać. – Odwrócił się,

kiedy mąż Zeldy klepnął go w ramię.

Gospodyni tymczasem przyjrzała się bliżej panu Perdu.

– Naprawdę? – zapytała. – Potrafisz to? Wobec tego jesteś cudotwórcą.

Teraz przez jej roześmianą twarz przeleciał cień, a jej spojrzenie powędrowało w stronę Elai.

Max tymczasem grał brawurową wersję *Hit the Road*, Jack zadedykowaną śmiertelnie chorej córce Javiera i Zeldy.

Zelda musi być już bardzo zmęczona – pomyślał Perdu. – *Zmęczona śmiercią mieszkającą tyle lat razem z nimi w tym przepięknym domu.*

– Mają państwo... macie jakieś imię dla niego? – zapytał.

– Dla kogo?

– Dla tego, który mieszka i śpi w ciele Elai. Albo przynajmniej udaje, że śpi.

Kobieta przesunęła dłonią po jego nieogolonym policzku.

– Znasz się na śmierci, hm? – Uśmiechnęła się smutno. – On, rak, ma na imię Lupo. To Elaia tak go nazwała. Miała wtedy dziewięć lat. Lupo, jak ten pies z komiksów. Wyobraża sobie, że oboje żyją w jej ciele jak we wspólnym domu. Rozumie, że czasami potrzebuje on więcej uwagi. Powiedziała mi, że dzięki temu może lepiej spać, niż gdyby myślała o tym, że ją wyniszcza. W końcu kto niszczyłby własny dom?

Zelda popatrzyła z miłością na swoją córkę.

– Lupo mieszka z nami od ponad dwudziestu lat. Wydaje mi się, że powoli zaczyna się starzeć i słabnąć. – Następnie, jak gdyby pożałowała swojej otwartości, odwróciła się na pięcie w stronę Salva. – Teraz twoja kolej. Gdzie się podziewałeś, znalazłeś Vivette, będziecie tu dziś nocować? Opowiedz mi wszystko. I pomóż w kuchni – zarządziła i wzięwszy neapolitańczyka pod rękę, poprowadziła go do domu. Z drugiej strony Javier objął go wpół, a za nimi podreptał brat Elai Leon.

Jean poczuł się zbędny. Ruszył więc nieśpiesznie przez ogród. Gdzieś w ocienionym rogu odkrył stojącą pod bukiem kamienną ławkę. Tu nikt go nie zauważy, za to on będzie miał widok na wszystko.

Widział dom, patrzył, jak zapalają się światła w kolejnych oknach i mieszkańcy chodzą po pokojach. Widział Salva pichącego w kuchni z Zeldą i Javiera siedzącego z Leonem za kuchennym stołem – gospodarz palił i pytał o coś syna.

Max skończył koncertowanie i rozmawiał teraz cicho z Elaia. A potem się pocałowali.

Niedługo potem dziewczyna zabrała go ze sobą w głąb obszernego domu. Po chwili w jednym z wykuszków zapłonęło światło świecy. Jean widział cień Elai – siadła na Maksie, położyła jego dłonie tam, gdzie biło jej serce, a następnie zaczęła się rytmicznie poruszać. Wydierała Lupo jedną noc, która nie należała do niego.

Max pozostał w jej pokoju, kiedy później Elaia w koszulce nocnej zeszła do kuchni tanecznym krokiem i – jak dostrzegł Perdu – usiadła na ławie obok ojca.

Wkrótce dołączył też Max. Pomógł nakryć do stołu, otworzył wino. Jean ze swego ukrycia widział dokładnie, że Elaia wodzi za nim wzrokiem, kiedy ten stoi odwrócony do niej plecami. Miała przy tym taką minę, jak gdyby spletała mu nie lada figła. Z kolei, kiedy ona odwracała wzrok, on posyłał w jej stronę nieśmiały i rozbrajający uśmiech.

– Tylko nie zakochaj się w umierającej kobiecie. To nie do zniesienia – szepnął pod nosem Jean.

Naraz poczuł w piersi dziwny skurcz, który szybko zaczął przemieszczać się w górę ku krtani. Po czym wyrwał się w postaci przejmującego szlochu.

Jak ona krzyczała. Jak ta sarna krzyczała! O Manon.

A potem pojawiły się one. Łzy.

Zdołał jeszcze tylko oprzeć się o pień drzewa i przycisnąć doń obie dłonie.

Jęczał. Płakał. Płakał jak nigdy wcześniej.

Uczepił się drzewa. Pocił się. Słyszał dźwięki wydobywające się ze swojego gardła – jak gdyby pękła w nim jakaś tama.

Nie wiedział, jak długo to trwało.

Parę minut? Kwadrans? Może dłużej?

Płakał, ukrywając twarz w dłoniach, szlochając głęboko i żałośnie. A potem przyszło ukojenie. Jak gdyby przeciął wrzód, z którego wypłynęła krwawa ropa. Pozostało puste, oczyszczone miejsce. I ciepło, jakieś nieznane dotąd ciepło jak od silnika uruchomionego płaczem. To ono kazało mu wstać, przejść, prawie przebiec przez ogród i wkroczyć do obszernej kuchni.

Nie zaczęli jeszcze jeść. Przez ułamek sekundy poczuł się dziwnie uszczęśliwiony, bo ci obcy ludzie zaczęli jednak na niego, bo mimo wszystko nie był zbędny.

– Oczywiście, że pasztet może przypominać obraz... – usłyszał jeszcze rozmarzony głos Włocha. A potem wszyscy popatrzyli na niego.

– Jest pan wreszcie! – zawołał Max. – Gdzie się pan podziewał?

– Max, Salvo. Muszę wam coś powiedzieć – wydusił Jean.

Wypowiedzieć te słowa. Naprawdę je wypowiedzieć i usłyszeć ich brzmienie. Usłyszeć, jak to zdanie pada w kuchni Zeldy i Javiera, gdzieś ponad salaterkami z sałatą i kieliszkami z czerwonym winem. I co ono oznacza.

– Ona nie żyje.

To znaczy, że jest sam.

To znaczy, że śmierć nie robi wyjątków.

Poczuł, że dotyka go czyjaś drobna ręka.

Elaia.

Ciągnęła go w dół na ławę przy stole. Jego kolana drżały. Powiódł wzrokiem kolejno najpierw na Salva, potem na Maksa.

– Nigdzie się nie śpieszę – powiedział – bo Manon od dwudziestu jeden lat nie żyje.

– *Dio mio* – wyrwało się Włochowi.

Max głośno wciągnął powietrze, po czym sięgnął do kieszonki na koszuli. Wyjął z niej złożony we czworo kawałek gazety i podsunął go Jeanowi.

– Znalazłem to, kiedy jeszcze byliśmy w Briare. Leżała między kartkami w którejś z książek Prousta.

Jean rozłożył papier.

To była klepsydra.

Włożył ją kiedyś do pierwszej książki, jaką znalazł pod ręką w swojej Aptece Literackiej, następnie odstaviał na jedną z półek i z czasem zapomniał, która to była pozycja i w którym miejscu pośród tysiąca innych się znajduje.

Pogładził dłonią papier, złożył go i wsunął do kieszeni.

– Ale pan milczał. Wiedział pan, że nie powiedziałem wszystkiego. Zresztą mówmy, jak jest: że pana okłamałem. A jednak zachował pan dla siebie to, że pan wie, że go okłamuję. Że okłamuję też siebie. Dopóki...

Dopóki nie będę na to gotów.

Jordan wzruszył lekko ramionami.

– Oczywiście – powiedział cicho. – Jak inaczej.

Z korytarza dobiegało tykanie zegara.

– Dziękuję... ci, Max – wyszeptał Perdu. – Dziękuję ci. Jesteś dobrym przyjacielem.

Wstał. Max również. I padli sobie w objęcia ponad stołem. Może nie było to zbyt wygodne, ale kiedy Jean objął młodego człowieka, poczuł niezmierną ulgę. Znowu byli razem.

Do jego oczu ponownie napłynęły łzy.

– Ona nie żyje, Max. O Boże! – powiedział stłumionym szeptem, a Max ścisnął go jeszcze mocniej, wszedł kolanem na stół, przesuwając bezceremonialnie na bok talerze, kieliszki i salaterki, byle tylko jeszcze mocniej przytulić Jeana.

Jean Perdu zapłakał po raz drugi.

Zelda z trudem powstrzymała się od szlochu.

Elaia patrzyła na Maksa z bezbrzezną czułością, ocierając łzy toczące się jej po policzkach. Jej ojciec oparł się o ścianę i przyglądał temu spektaklowi, jedną dłonią gładząc brodę, w drugiej zaś trzymając cygaretkę.

Cuneo siedział wpatrzony w swój talerz.

– Już dobrze – wydusił Jean po którymś gwałtownym spazmie. – Już dobrze. Dam radę. Naprawdę. Muszę tylko czegoś się napić.

Głośno odetchnął. Teraz dla odmiany zachciało mu się śmiać. A potem ucałować Zeldę i zatańczyć z Elaia.

Wtedy, po śmierci Manon, bronił się przed żałobą, ponieważ... ponieważ oficjalnie nie istniał w jej życiu. Ponieważ nie było nikogo, z kim mógłby podzielić się smutkiem po jej stracie. Ponieważ był sam, zupełnie sam ze swoją miłością.

Aż do dzisiaj.

Max zszedł ze stołu. Każdy odsunął przy tym przezornie swój talerz i kieliszek, mimo to parę sztućców wylądowało na podłodze.

– No cóż – odezwał się Javier. – Chyba mam jeszcze jedno wino.

Wokół zapanowało ożywienie.

– Zaczekajcie – poprosił Cuneo cichym głosem.

– Co?

– Zaczekajcie, mówię.

Wciąż spoglądał na swój talerz, na który kapnęło coś z jego policzka.

– *Capitano. Mio caro Massimo.* Droga Zeldo. Javier, mój przyjacielu. I ty Elaio, kochana, mała Elaio.

– I Lupo – szepnęła młoda kobieta.

– Chciałbym wam coś... wyznać.

Nadal siedział ze spuszczoną głową.

– No więc, to jest tak... *Ecco.* Vivette jest dziewczyną, którą pokochałem i której szukałem przez dwadzieścia jeden lat na wszystkich wodach Francji, w każdej marinie, w każdym porcie.

Wszyscy pokiwali głowami.

– No i? – zapytał ostrożnie Max.

– I... ona wyszła za burmistrza Latour. Dwadzieścia lat temu. Ma dwóch synów i niewiarygodny, potrójny tylek jak szafa. Odnalazłem ją już piętnaście lat temu.

– Och – wyrwało się Zeldzie.

– Przypomniała mnie sobie. Choć wcześniej pomyliła mnie z jakimś Mariem, Giovannim i Arnaudem.

Javier pochylił się w przód, a w jego oczach coś błysnęło. Nadzwyczaj spokojnie zaciągnął się swoją cygaretką.

Zelda zaśmiała się nerwowo.

– To jakiś żart, tak?

– Nie, Zeldo, to nie żart. A jednak nie przestałem szukać tej Vivette, którą dawno, dawno temu, pewnej letniej nocy spotkałem nad rzeką. Mimo że odnalazłem tę prawdziwą. Właśnie dlatego że ją odnalazłem, musiałem szukać dalej. To jest...

– Chore – przerwał mu Javier ostrym tonem.

– *Papo!* – krzyknęła przestraszona Elaia.

– Javier, przyjacielu, prze...

– Przyjacielu? Okłamałeś mnie i moją żonę! Tu, w naszym domu. Pojawiłeś się tutaj siedem lat temu i... sprzedałeś nam tę bajeczkę. A my daliśmy ci pracę, obdarzyliśmy cię zaufaniem!

– Pozwól mi wytłumaczyć...

– Wyłudziłeś od nas współczucie tym swoim romantycznym przedstawieniem. To

obrzydliwe.

– Niechże pan tak nie krzyczy – włączył się Jean. – Przecież nie zrobił tego, by zrobić panu osobiście na złość. Nie widzi pan, jak trudno mu o tym opowiedzieć?

– Będę krzyczał, kiedy przyjdzie mi na to ochota, jasne? Zresztą pan z tą swoją umarłą ukochaną też ma chyba nie wszystkie klepki w głowie.

– Tego już za wiele, mój panie – zaperzył się Max.

– Lepiej już pójdę.

– Nie, Cuneo, proszę. Javier jest podenerwowany, czekamy właśnie na wyniki badań...

– Nie jestem podenerwowany, jestem zniesmaczony, Zeldo, zniesmaczony.

– Wychodzimy, wszyscy. Natychmiast – zarządził Jean.

– Tak będzie najlepiej – syknął Javier.

Perdu i Max wstali.

– Salvo?

Cuneo dopiero teraz podniósł głowę znad talerza. W jego zalanych łzami oczach odzwierciedlało się bezgraniczne zagubienie.

– Dziękujemy za gościnę, madame Zelda – powiedział Perdu.

W odpowiedzi otrzymał blady, lekko zakłopotany uśmiech.

– Powodzenia, mademoiselle Elaia. Bardzo mi przykro, że musi pani przez to przechodzić – zwrócił się do dziewczyny. – A panu, monsieur Javier, życzę, by pańska żona nadal pana kochała, bo to naprawdę coś szczególnego. Do widzenia.

Spojrzenie Javiera zdradzało, że miałby chęć uderzyć go w twarz.

Elaia podążyła za nimi, kiedy szli przez ciemny, pogrążony niemal w ciszy ogród. Gdyby nie świerszcze, jedynym słyszalnym odgłosem byłyby ich kroki stawiane na pokrytej rosą trawie. Elaia szła boso obok Maksa.

Wziął ją delikatnie za rękę.

Kiedy znaleźli się przy statku, Cuneo odezwał się ochryplym głosem:

– Dziękuję za... podwiezienie, Giovanni Perdito. Jeśli pozwolisz, spakuję się teraz i pójdę w swoją stronę.

– Nie widzę żadnego powodu. Po co miałbyś się błąkać gdzieś po nocy, Salvo? – odpowiedział ze stoickim spokojem Perdu.

Wspiął się po drabince, a Salvatore za nim.

Po wciągnięciu flagi na dziobie, Jean zapytał z lekkim rozbawieniem:

– Potrójny tyłek jak szafa? Co to takiego, u licha?

– No – Włoch odezwał się nieśmiało – wyobraź sobie potrójny podbródek, tylko... z tyłu..

– Lepiej nie – odparł Jean, z trudem hamując wybuch śmiechu.

– Zupełnie nie pojmujesz powagi sytuacji – poskarżył się Cuneo. – Wyobraź sobie, że miłość twojego życia okazuje się ułudą. Bo w rzeczywistości ma koński zad, końską szczękę i umysł nękania prawdopodobnie przez kenofobię.

– Lęk przed otwartą przestrzenią? Brr, coś strasznego.

Teraz obaj uśmiechnęli się lekko.

– Kochanie i niekochanie powinny być jak kawa i herbata. Trzeba mieć wybór. Bo jak inaczej mielibyśmy przeboleć stratę tych, które umarli, albo tych, które straciliśmy? – szepnął Salvo.

– Może wcale nie powinniśmy.

– Tak myślisz? Nie boleć nad ich stratą, tylko co? Co w zamian? Jakie powinności mamy wobec tych, których utraciliśmy?

Na to pytanie Jean przez wiele lat nie potrafił odpowiedzieć.

Aż do dziś. Dziś już wiedział.

– Mamy ich nosić w sobie. To nasza powinność. Zachować w sobie wszystkich naszych zmarłych i wszystkie nasze nieszczęśliwe miłości. Dopiero wraz z nimi tworzymy całość. A gdybyśmy zaczęli zapominać albo odpychać to od siebie, wtedy... wtedy my sami przestaniemy istnieć.

Jean popatrzył na rzekę połyskującą w blasku księżyca.

– Cała miłość. Wszyscy umarli. Wszyscy, z którymi zetknęliśmy się w życiu. Oni są jak rzeki wpadające do oceanu naszej duszy. Jeżeli nie będziemy chcieli o nich pamiętać, ocean wyschnie.

Odczuwał teraz wielkie pragnienie, by chwycić życie, czerpać je pełnymi garściami, zanim czas jeszcze bardziej przyspieszy. Nie chce umrzeć z pragnienia, chce być wolny i otwarty jak ocean, żyć w pełni i głęboko. Zatęsknił za przyjaźnią. Zapragnął kochać. Chce odnaleźć w sobie Manon. Chce poczuć, jak unosi się w oceanie jego duszy, jak się z nim miesza. Manon go odmieniła na zawsze – nie ma sensu temu zaprzeczać. Stał się mężczyzną, któremu Catherine pozwoliła się do siebie zbliżyć.

Jean uświadomił sobie naraz, że Catherine nigdy nie zajmie miejsca Manon.

Bo będzie miała własne.

Ani gorsze, ani lepsze. Inne.

O, jak bardzo chciałby pokazać Catherine cały swój ocean!

Obaj z Salvem patrzyli na całującą się na brzegu parę.

Jean wiedział, że nie będą więcej opowiadać o kłamstwach i złudzeniach. Wszystko, co najważniejsze, zostało już powiedziane.

Minął tydzień.

Ostrożnie i bez nacisków opowiedzieli o najistotniejszych faktach ze swojego życia. Salvatore, „bezczelny gówniarz”, efekt wpadki matki sprzątaczką z żonatym nauczycielem. Jean, owoc przekornej miłości tokarza prekariusza i uczonej arystokratki. Max, ostatnia próba ratowania obumarłego małżeństwa matki zgadzającej się na wszystko i ojca, przeżartego goryczą drobnego sklepikarza.

Sprzedawali książki, czytali na głos dzieciom. W zamian za parę powieści dali do nastrojenia pianino. Śpiewali i śmiali się. Jean zadzwonił z budki telefonicznej do swoich rodziców. Raz wykręcił też numer swojej kamienicy na rue Montagnard.

Nikt jednak nie podniósł słuchawki, choć rozłączył się dopiero po dwudziestym szóstym sygnale.

Ojca zapytał, co się czuje, przemieniając się naraz z kochanka w ojca.

Joaquin Perdu milczał nietypowo długo. Następnie w słuchawce rozległo się pociągnięcie nosem.

– Ach Jeanno... mieć dziecko to jak utracić własne dzieciństwo, na zawsze. Dopiero wtedy naprawdę pojmujesz, co znaczy być mężczyzną. No i boisz się, że teraz wyjdą na jaw wszystkie twoje słabości, bo bycie ojcem wymaga od ciebie więcej, aniżeli potrafisz... Zawsze miałem potrzebę, by zasłużyć na twoją miłość. Bo tak bardzo cię kochałem. Tak bardzo.

Teraz już obaj pociągali nosem.

– Jeanno, dlaczego właściwie o to pytasz? Czy chcesz powiedzieć, że...

– Nie.

Niestety. A byłoby pięknie mieć takiego Maksa i córeczkę, małą, buńczuczną wojowniczkę. Byłoby, chciałoby, miałoby.

Czuł, jak gdyby lzy przelane nad rzeką Allier zrobiły w nim jakiś wyłom, wolne miejsce. Mógł tam teraz przechowywać zapachy. Wspomnienia dotyku. Miłość ojca. I Catherine.

Znalazł miejsce dla sympatii do Maksa i Salva oraz dla zachwyty nad pięknym krajobrazu. Tam, gdzie był smutek, mieszkwały też wzruszenie i radość, czułość i zrozumienie, że dla niektórych jest się kimś, kogo można pokochać.

Kanałem centralnym dotarli teraz do Saony i zmierzali wprost ku nadciągającej burzy.

Mroczne niebo nad Burgundią, gdzieś między Dijon a Lyonem, rozdzierane co rusz błyskawicami, waliło się na nich z łoskotem.

Za to we wnętrzu Lulu koncerty fortepianowe Czajkowskiego rozpraszały ciemność niczym ogarek świecy w brzuchu Jonaszowego wieloryba. Max, trzymając się nogami dzielnie podstawy pianina, wygrywał na nim ballady, walce i scherza, a statek unosił się na spienionych wodach Saony.

Takiej interpretacji Czajkowskiego Perdu jeszcze nie słyszał. W dźwięki pianina wplatały się trąby i altówki burzy, jęki i posapywanie silnika oraz trzeszczenie belek, kiedy wiatr wciskał się w delikatny kadłub barki, chcąc zepchnąć ją w stronę lądu. Z regałów leciały książki. Lindgren skryła się pod przyśrubowaną do podłogi sofą. Kafka zaś, wyglądając z podniesionymi uszami spoza rozdarcia w pokryciu fotela, obserwował kolejne spadające na ziemię tomy.

Zmierzając w górę Seille, dopływu Saony, Jean widział przed sobą jedynie mgłę rodem z łaźni parowej.

Wdychał powietrze pachnące elektrycznością, wdychał też woń spienionej, zielonkawej wody, czuł, jak koło sterowe przesuwają się pod jego opuchniętymi dłońmi. Tak bardzo się cieszył, że żyje. Że jest żywy. Tu i teraz!

Radowała go nawet burza.

5 w skali Beauforta.

Nagle, pokonując kolejną falę, dostrzegł kątem oka kobietę.

Miała na sobie przezroczysty płaszcz przeciwdeszczowy, w rękę zaś trzymała ogromny parasol, z tych, jakie zazwyczaj noszą ze sobą londyńscy maklerzy. Spoglądała gdzieś w dal ponad kołyszącym się na wietrze sitowiem. Podniosła rękę w geście pozdrowienia, po czym – Perdu nie wierzył własnym oczom – odpięła płaszcz, zrzuciła go z siebie, odwróciła się i stanęła z rozpostartymi ramionami, nadal trzymając w dłoni parasol.

A potem, trwając w tej pozie Chrystusa z góry Corcovado w Rio de Janeiro, runęła tyłem w spienione odmęty.

– Co, u licha...? – rzucił Jean pod nosem. – Salvo! Kobieta za burtą! Od strony lądu! – ryknął zaraz potem, a Włoch wystrzelił z kambuza jak z procy.

– *Che?* Czego się opileś? – krzyknął, ale Perdu wskazał mu na ciało unoszące się w kipieli. I na parasol.

Neapolitańczyk zmierzył wzrokiem wzburzone fale.

Parasol poszedł na dno.

Szczęka Salva pracowała zawzięcie.

Wziął liny i koło ratunkowe.

– Bliżej! – zarządził. – Massimo! – krzyknął. – Rzuć to granie! Jesteś mi tu potrzebny...

Subito!

Perdu próbował skierować barkę do brzegu, a Cuneo stanął przy relingu. Obwiązał koło ratunkowe liną i rozstawił szeroko i pewnie swoje krótkie, korpulentne nogi. Następnie cisnął koło w kierunku tonącej. Koniec liny wręczył pobladłemu Maksowi.

– Kiedy będę ją miał, ciągnij. Ciągnij z całej siły, jak koń!

I zdjawszy swoje wypastowane buty wskoczył do wody wyprostowany jak struna.

Niebo nad ich głowami znów rozdarły błyskawice.

Perdu i Max patrzyli, jak Cuneo silnymi ruchami przemieszcza się w odmętach rzeki.

– Cholera, cholera, cholera! – Max podciągnął rękawy kurtki i mocno chwycił linę.

Jean opuścił kotwicę z łoskotem.

Statek unosił się i opadał na falach.

Cuneo dopłynął do kobiety i pochwycił ją.

Max i Perdu zaczęli ciągnąć linę, a potem wciągnęli oboje na pokład. Wąsy Włocha ociekały wodą. Trójkątną twarz topielicy okalały, niczym wodorosty, przemoczone, rudawe loki.

Perdu pośpieszył do sterowni.

Już sięgał po krótkofalówkę, by wezwać lekarza, kiedy poczuł na ramieniu ciężką dłoń Włocha.

– Zostaw! Ona nie chce. Damy sobie radę, ja się tym zajmę. Trzeba ją tylko wysuszyć i ogrzać.

Perdu zdał się więc na niego i o nic więcej nie pytał.

Z mgły wyłonił się zarys mariny w Cuisery. Skierował tam Lulu. Zmagając się z deszczem i falami, Jean i Max przycumowali do pławy.

– Musimy zejść na ląd! – Max próbował przekrzyczeć gwizdzący i wyjący wiatr. – Cholernie tu kołysz.

– Nie zostawię kotów i książek – odkrzyknął Perdu. Woda wdzierała mu się do uszu, za

kołnierz i w rękawy. – Poza tym kapitan nigdy nie opuszcza statku w potrzebie.

– Tak jest! W takim razie ja też zostaję.

Barka zatrzeszczała, jak gdyby chciała dać im do zrozumienia, że obaj są chyba niespełna rozumu. Cuneo tymczasem przygotował w kajucie Perdu posłanie i zdjął z topielicy ubrania. Leżała teraz naga pod całą górą koców z malującą się na trójkątnej twarzy błogością. Włoch przebrał się w swój biały dres, w którym wyglądał trochę głupkowato. Ale tylko trochę.

Uklęknął przy niej i zaczął karmić prowansalskim pistou. Do filiżanki nałożył pastę będącą mieszanką czosnku, bazylii i migdałów i zalał esencjonalnym bulionem warzywnym.

Kobieta uśmiechała się do niego pomiędzy jednym a drugim łykiem.

– Salvo. Salvatore Cuneo. Z Neapolu – upewniła się.

– Sì.

– Jestem Samantha.

– I przepiękna – uzupełnił Salvo.

– Czy tam... czy tam na zewnątrz jest bardzo źle? – zapytała. Miała wielkie granatowe oczy.

– Co tam – pośpieszył z odpowiedzią Max. – Ujdzie.

– Drobnny deszczyk. Wzmoczona wilgotność – uspokajał ją Cuneo.

– Może poczytam coś na głos – zaproponował Perdu.

– Moglibyśmy też coś zaśpiewać – dodał Max. – Jakiś kanon.

– Albo coś ugotować – włączył się Włoch. – Lubi pani daube? Duszone mięso z ziołami prowansalskimi.

Kiwnęła głową.

– Ale z policzkiem wołowym, dobrze?

– No i co jest takie złe? – zapytał ją Max.

– Życie. Woda. Kręczone ryby w puszcze.

Wszyscy trzej popatrzyli po sobie zdezorientowani.

Perdu pomyślał, że ta Samantha może na pierwszy rzut oka mówi i robi rzeczy szalone, ale ani nie wygląda na wariatkę, ani chyba nie jest stuknięta. Jest po prostu... jedyna w swoim rodzaju.

– Moim zdaniem ani jedno, ani drugie, ani trzecie – powiedział. – A właściwie co to są te kręczone ryby?

– Specjalnie wpadła pani do wody? – chciał wiedzieć Max.

– Specjalnie? Oczywiście, że tak – odpowiedziała Samantha. – Przecież nikt nie wyjdzie w taki dzień na spacer i nie wpadnie przypadkiem plecami do rzeki. To byłoby całkiem niedorzeczne, prawda? Nie, coś takiego musiałam zaplanować.

– To znaczy, że chciała pani...

– Powiększyć grono aniołków? Zabrać się na drugą stronę Styksu? Umrzeć? Nie.

Uchowaj Boże. Dlaczego?

Właścicielka trójkątnej twarzyczki popatrzyła na nich ze szczerym zdumieniem.

– Aha. Że tak to wyglądało? Nie, nie. Lubię żyć, choć jak na razie nie jest lekko, a wszechświat ma mnie w głębokim poważaniu. Ale nie. Chciałam po prostu przekonać się, jak to jest wskoczyć przy takiej pogodzie do rzeki. Wyglądała tak interesująco. Jak kipiący sos. Chciałam się dowiedzieć, czy znalazłszy się w tym sosie, poczuję strach i czy ten strach powie mi coś ważnego.

Cuneo pokiwał głową, jak gdyby dobrze ją rozumiał.

– A co miałby powiedzieć? – zapytał Max. – Na przykład: „Bóg umarł, niech żyje sport”?

– Nie. Chodzi o to, żeby przyszło mi wtedy do głowy, jak w inny sposób mogę

zorganizować swoje życie. Mówią, że na końcu żałujemy tego, czego nie zrobiliśmy, nieprawdaż?

Wszyscy trzej kiwnęli głową.

– No i właśnie tego wołałabym uniknąć. Ostatecznie kto chciałby żegnać się ze światem z deprymującym przeświadczeniem, że nie ma już czasu, by zrobić coś naprawdę ważnego?

– Wszystko jasne – odezwał się Jean. – Można oczywiście osiągnąć ten stan, kiedy jesteśmy świadomi wszystkich swoich prawdziwych pragnień. Tylko czy drogą do tego jest skakanie do rzeki?

– A dlaczego nie, zna pan jakiś skuteczniejszy sposób? Może leżąc wygodnie na kanapie? Zostało jeszcze trochę zupki?

Cuneo posłał Samancie zachwycony uśmiech i pogładził się po koniuszkach wąsów.

– Alleluja – wymruczał, po czym dolał jej zupy.

– Kiedy tak igrałam z falami, czując się jak ostatni rodzynek w cieście, rzeczywiście wpadłam na coś istotnego. Dotarło do mnie, czego brakuje w moim życiu – oznajmiła.

I jadła.

Jadła.

I... jadła.

A oni w napięciu czekali na ciąg dalszy.

– Chcę jeszcze raz całować się z mężczyzną, ale tak porządnie – powiedziała kobieta, gdy już wyskrobała z garnka resztki zupy. Kiedy solidnie się jej odbiło, wzięła dłoń Salva, podłożyła pod swój policzek i zamknęła oczy. – Ale najpierw spanie – wymamrotała.

– Chętnie pozostanę do pani dyspozycji – szepnął Włoch z lekko rozmarzonym wyrazem twarzy.

Za odpowiedź musiał mu wystarczyć jej uśmiech. Chwilę później pogrzyła się w głębokim śnie, pochrapując jak mały piesek.

Popatrzyli na siebie skonsternowani.

Max zaśmiał się bezgłośnie i pokazał dwa kciuki wyciągnięte w górę.

Cuneo zaś spróbował usadowić się jakoś wygodnie, ale tak, by nie zakłócić snu nieznajomej. Jej głowa spoczywała na jego wielkiej łapie niczym kotka na miękkiej poduszce.

Podczas gdy nad miastem książek i nad wodami Seille wciąż szalała nawałnica zdolna wyrwać drzewa z korzeniami, przewracać auta i wzniecać pożary w chłopskich zagrodach, męskie trio na barce Lulu robiło wszystko, by nie zwracać na nią uwagi.

– A dlaczego Cuisery to raj, jak powiedziałeś to kiedyś całe lata świetlne temu? – zapytał Jeana cichym głosem Max.

– Och! Cuisery! Ten, kto kocha książki, całkiem straci tam głowę! To wiesz, w której wszyscy szaleją za książkami. Albo tylko szaleją, choć tego nie widać. Niemal każdy lokal to księgarnia, drukarnia, introligatornia, wydawnictwo... Niejeden dom stanowi enklawę artystów. To miejsce tętni wprost kreatywnością i fantazją.

– W tej chwili trudno to stwierdzić – powiedział Max. Wiatr osaczał barkę ze wszystkich stron, szarpiąc jej nieprzytwierdzonymi elementami. Koty przyłgnęły do śpiącej Samantha. Lindgren ułożyła się przy jej szyi, a Kafka w zagłębieniu pomiędzy jej łydkami. „Jesteś już nasza” – mówiły ich pozy.

– Wszyscy tutejsi bukiniści mają swoje specjalizacje. Można tu dostać wszystko. A jeśli mówię wszystko, to naprawdę mam na myśli wszystko – mówił dalej Jean.

W poprzednim życiu, kiedy jeszcze handlował książkami w Paryżu, nawiązał kontakt z kilkoma sprzedawcami białych kruków. Przydawali się, na przykład kiedy jakiś klient z zasobnym portfelem z Hongkongu, Londynu albo Waszyngtonu stwierdzał, że jest gotów wydać sto tysięcy euro, byle zdobyć pierwsze wydanie Hemingwaya w zamszowej oprawie i z dedykacją autora dla swojego starego, dobrego druha Toby’ego Ottona Bruce’a. Albo jakieś dzieło z zasobów Salvadora Dali. Takie, o którym mówiono, że mistrz przeczytał je, zanim zaczął miewać swoje surrealistyczne sny z miękkimi zegarami.

– Czy mają tam także liście palmowe? – zaciekawiał się Cuneo, nadal klęcząc przy Samancie z dłonią podłożoną pod jej głowę.

– Nie. Jest science fiction, opowiadania z pogranicza fantastyki oraz literatura fantasy. Specjalista potrafi odróżnić jedno od drugiego. Poza tym...

– Liście palmowe? O co chodzi? – chciał wiedzieć Max.

Perdu tylko stęknął.

– O nic – rzucił pośpiesznie.

– Nie słyszałeś o Bibliotece Losu? O... – szepnął Włoch. – O Księdze Życia?

– Mniam, mniam – wymamrotała Samantha.

Jean Perdu również znał tę legendę. Magiczna księga nad księgami, Wielka Księga Pamięci Świata powstała pięć tysięcy lat temu, spisana przez siedmiu jasnowidzących niebiańskich mędrców. Wedle mitu owych siedmiu ryszich znalazło te składające się z eteru księgi, w których zawarta była cała przeszłość i przyszłość świata. Scenariusz wszystkich żyć. Napisany przez istoty żyjące poza ograniczeniami czasu i przestrzeni. Zawarte w tych niebiańskich księgach losy, miliony losów, a także najważniejsze wydarzenia w historii ludzkości ryszi przetłumaczyli i zapisali na marmurowych płytach albo właśnie na palmowych liściach.

Oczy Włocha zapłonęły blaskiem.

– Wyobraź to sobie, Massimo. Całe twoje życie jest opisane na jednym jedynym liściu gdzieś w Bibliotece Liści Palmowych. Wszystko o twoich narodzinach, śmierci i tym, co pomiędzy. Kogo pokochasz, z kim się ożenisz, kim zostaniesz, wszystko, łącznie z twoim poprzednim wcieleniem.

– Pff... *king of the road* – to znów Samantha.
– Całe twoje życie łącznie z poprzednimi wcieleniami na jakiejś podkładce pod piwo.
Bardzo wiarygodne – prychnął Perdu.

W trakcie swojej działalności księgarskiej spławiał za każdym razem kolekcjonerów, którzy za wszelką cenę chcieli nabyć tę tak zwaną Kronikę Akaśa.

– Naprawdę? – ożywił się Max. – Hej, może w poprzednim życiu byłem Balzakiem.
– A może porcją cannelloni.
– I datą śmierci. O niej też jest tam mowa. Może nie co do dnia, ale możesz poznać miesiąc i rok. No i to, jak umrzesz – objaśniał dalej Cuneo.

– Piękne dzięki – wymamrotał zrezygnowany Max. – Jaki sens ma poznawanie daty własnej śmierci? Cały czas żyłbym w strachu przed tym dniem. Nie, dziękuję, wołę już tę odrobinę iluzji, że będę żył wiecznie.

Perdu chrząknął.

– Wracając do Cuisery. Większość z tysiąca sześciuset czterdziestu jeden mieszkańców ma coś wspólnego z drukiem, zaś reszta zajmuje się turystyką. Mówi się nawet, że braterskie i siostrzane więzy bukinistów splotły gęstą okołoziemską sieć egzystującą poza normalnymi kanałami komunikacji. Nie używają nawet internetu. Książkowi mędracy chronią swoją wiedzę, zabierając ją ze sobą do grobu.

Samantha westchnęła głośno.

– Dlatego każdy z nich stara się wychować przynajmniej jednego następcę, przekazując mu ustnie to, co wie na temat życia książek. Oni znają mistyczne historie związane z powstaniem słynnych dzieł, wiedzą o tajnych wydaniach, oryginałach manuskryptów, o *Biblii Kobiet*...

– *Cool* – powiedział Max.

– ... albo o książkach, w których między wierszami można odczytać całkiem inną historię – ciągnął Perdu cichym, konspiracyjnym tonem. – Podobno w Cuisery żyje kobieta znająca prawdziwe zakończenia słynnych utworów, ponieważ zbiera wszystkie wersje rękopisów. Zna na przykład pierwsze zakończenie *Romeo i Julii*, to, w którym nie umierają, pobierają się i mają dzieci.

– Okropność – mruknął Max. – Romeo i Julia nie umierają i zostają rodzicami? Przecież to psuje całą dramaturgię.

– Jak tak nie uważam – powiedział Cuneo. – Zawsze bardzo mi było żal małej Giulietty.

– I ktoś z nich wie, kim jest Sanary? – zapytał młody pisarz.

Jean miał taką nadzieję. W Digoin napisał kartkę do mistrza gildii księgarzy z Cuisery Samy'ego le Trequessera, w której zapowiedział swój przyjazd.

Usnęli wyczerpani około drugiej w nocy, ukołysani coraz łagodniejszymi falami ustępującej z wolna zawieruchy.

Kiedy zaś się zbudzili, w samym środku słonecznego dnia, który nie pozwalał uwierzyć w to, co działo się nocą, burza dawno odeszła i kobieta także.

Cuneo popatrzył zdumiony na swoją dłoń, następnie wyciągnął ją z wyrzutem.

– Znowu to samo? Dlaczego za każdym razem znajduję kobiety na rzece? – zapytał żałośnie. – Ledwie pozbierałem się po tamtej.

– Racja, miałeś na to tylko piętnaście lat. – Max wyszczerzył zęby.

– Ach, te kobiety – westchnął Włoch. – Nie mogła przynajmniej zapisać telefonu szminką na lustrze?

– Idę po rogaliki – postanowił Max.

– Idę z tobą, *amico*. Przy okazji rozejrzę się za tą śpiewającą przez sen.

– Przecież wy nie znacie terenu. Ja też pójdę – wtrącił Perdu.

Tak więc wyruszyli we trzech.

Przeszli przez pole namiotowe przy porcie, minęli bramy miasta, a kiedy zbliżali się już do piekarni, zobaczyli zmierzającego z naprzeciwka orka z naręczem bagietek. Towarzyszył mu elf ze wzrokiem utkwionym w swoim iPhone.

Nieopodał, przed niebieską fasadą księgarni La Découverte, Perdu spostrzegł całą chmarę Harrych Potterów klóących się z zastępem straży nocnej z powieści George'a Martina. Dołączyły do nich jeszcze dwie wampirzyce na rowerach górskich, rzucające Maksowi wygłodniałe spojrzenia. Z kościoła wyszło dwóch fanów Douglasa Adamsa w szlafrokach i z ręcznikami na ramionach.

– Konwencja! – zawołał Max.

– Co takiego? – zapytał Salvo, odprowadzając wzrokiem orka.

– Zlot miłośników fantasy. Cała wieś pełna ludzi przebranych za postaci ze swoich ulubionych książek. Cudownie.

– I co? Na przykład za Moby Dicka, wieloryba? – nie dowierzał Cuneo.

Perdu podobnie jak Włoch z zaciekawieniem przyglądał się kolejnym pojawiającym się istotom rodem ze Śródziemia albo z Winterfell. Niewiarygodne, jak inspirujące bywają książki.

Salvatore pytał o pochodzenie kolejnych postaci, a Max z żarliwością fana udzielał mu wyczerpujących odpowiedzi. Jednak, kiedy naprzeciw wyszła im kobieta w szkarłatnym płaszczu i białych kozakach, musiał spasować.

Tym razem z wyjaśnieniem pośpieszył Perdu.

– Ta dama, moi panowie, nie jest postacią z żadnej powieści. To medium rozmawiające z Colette i George Sand. Jak, to już jej tajemnica. Twierdzi, że spotyka je podczas swoich snów, kiedy podróżuje w czasie.

W Cuisery było miejsce dla wszystkiego, co wiązało się z literaturą. Mieszkał tu nawet lekarz specjalizujący się w schizofrenii literackiej. Przychodzili do niego ci, których drugą osobowością była na przykład inkarnacja Dostojewskiego albo Hildegardy z Bingen. Albo tacy, którzy pogubili się już w wielości własnych pseudonimów.

Perdu skierował swoje kroki do mistrza gildii i prezesa stowarzyszenia fundatorów Cuisery, Samy'ego le Trequessera. Jedno jego słowo otwierało wszystkie drzwi oraz usta bukinistów mogących znać tożsamość Sanary'ego. Le Trequesser mieszkał nad starą drukarnią.

– Dostaniemy od niego jakieś hasło czy coś w tym rodzaju? – zapytał Max. Wprost nie mógł oderwać oczu od witryn kolejnych księgarni, oferujących literaturę, albumy czy mapy.

– Raczej „coś w tym rodzaju”.

Cuneo z kolei przystawał co rusz przed menu napotkanych restauracyjek i robił notatki w swoim brulionie z przepisami. Znajdowali się teraz w regionie Bresse, który postanowił zostać kolebką francuskiej kreatywności kuchennej.

Kiedy dotarli do drukarni, w biurze mistrza czekała ich niespodzianka. Okazało się bowiem, że Samy le Trequesser jest mistrzynią, nie mistrzem. I na tym nie koniec.

Za biurkiem zbitym z rozmaitych elementów wyrzuconych przez morze siedziała kobieta, którą Salvo wyłowił poprzedniego dnia z rzeki.

Samy okazało się zdrobnieniem od Samantha.

Miała na sobie białą lnianą suknię. Spod niej zaś widać było stopy... Wielkie jak u hobbitów i owłosione.

– A zatem? – założywszy kształtne nogi jedna na drugą, zaczęła kiwać stopą. – Jak mogę wam pomóc?

– Ee... Tak. Szukam autora pewnego utworu. Pisał pod pseudonimem, bezosobowym i...

– Czy już wszystko w porządku? – wtrącił się Cuneo.

– Ależ tak. – Samy posłała mu promienny uśmiech. – Przy okazji bardzo dziękuję za propozycję pocałowania pana, zanim się zestarzeję. Cały czas ją rozważam.

– Można tu gdzieś w Cuisery dostać takie superstopy? – chciał wiedzieć Max.

– Wracając do *Zorzy południowej*...

– O tak, w Edenie. To centrum informacyjno-turystyczne. Są tam stopy hobbitów, uszy orków, rozplątane brzuchy...

– Możliwe, że tę powieść napisała kobieta...

– Chciałbym dla pani coś ugotować, signorina Samantha. A gdyby chciała pani przedtem popływać, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko.

– Chyba kupię sobie takie stopy. Jako pantofle. Kafka dostanie kota na ich punkcie, prawda?

Perdu, by nie stracić panowania, wyjrzał przez okno.

– Zamknijcie się w końcu! Sanary! *Zorza południowa*! Muszę poznać autora! Tego prawdziwego! Bardzo proszę!

Powiedział to głośniejszym głosem, niż zamierzał. Max i Cuneo popatrzyli na niego zdumieni. Za to Samy rozsiała się wygodnie na fotelu, jakby dopiero teraz naprawdę zaczęła się dobrze bawić.

– Od dwudziestu lat go szukam. Albo jej. Ta książka... to jest... – próbował wyrazić to odpowiednimi słowami. Jednak wszystko rozmywało mu się niczym światło na wodzie. – Ta książka jest jak kobieta, którą kochałem. Jest drogą do niej. Jest płynną miłością. Jest dokładnie taką miarą miłości, jaką byłem w stanie unieść. Jaką byłem w stanie poczuć. Ona była jak słomka, przez którą oddychałem przez ostatnie dwadzieścia lat.

Jean przesunął dłonią po twarzy.

To nie jest cała prawda.

I już nie jedyna.

– Pomogła mi przetrwać. Teraz już jej nie potrzebuję, bo znów potrafię... oddychać. Ale chciałbym mimo to podziękować.

Max patrzył na niego z malującym się na twarzy oszołomieniem i szacunkiem.

Samy uśmiechnęła się szeroko.

– Książka do oddychania. Rozumiem. – Popatrzyła przez okno. Na ulicach roilo się od literackich postaci. – Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś zjawi się ktoś taki jak pan. – Westchnęła. Jean poczuł, jak napinają się mięśnie na jego plecach. – Naturalnie nie jest pan pierwszy. Choć nie było was zbyt wielu. Wszyscy jednak odeszli bez rozwiązania tej zagadki. Nie stawiali właściwych pytań. Zadać właściwe pytanie to sztuka. – Wciąż spoglądała przez okno. Wisiały za nim jakieś drewniane szczątki na sznurkach. Po bliższym przyjrzeniu się można

było rozpoznać kształt skaczącej ryby. I twarz skrzydlatego anioła... – Większość pytała tylko po to, żeby usłyszeć własne słowa albo to, co byliby w stanie znieść. W każdym razie nie stawiali pytań, na które odpowiedź mogłaby ich przerosnąć. Takich jak na przykład „Kochasz mnie?”. Takie powinny być zabronione. – Skrzyżowała swoje stopy hobbita i rozkazała: – Proszę zadać pytanie.

– Tylko... tylko jedno? – chciał się upewnić Perdu.

Samy rozjaśniła się w uśmiechu.

– Oczywiście, że nie. Może pan zadać mnóstwo pytań. Ale tylko takich, na które będę mogła odpowiedzieć tak lub nie.

– A więc zna go pani?

– Nie.

– Właściwe pytanie oznacza, że muszą się zgadzać jego wszystkie elementy – odezwał się Max, trącając Jeana łokciem.

Perdu poprawił się zatem.

– Zna ją pani?

– Tak.

Samy rzuciła Maksowi życzliwe spojrzenie.

– Widzę, monsieur Jordan, że pojął pan zasadę stawiania pytań. Właściwe pytania mogą uszczęśliwić niejednego człowieka. Jak pańska następna powieść? To będzie druga, prawda?

Ach, ta klątwa drugiej książki, te wszystkie rozbudzone oczekiwania... Niech pan sobie da na nią dwadzieścia lat. Najlepiej niech o panu na trochę zapomną. Odzyska pan wtedy wolność. – Max spiekł raka. – Następne pytanie, obserwatorze ludzkich dusz.

– Czy to Brigitte Carno?

– Nie! Litości!

– Ale Sanary jeszcze żyje?

– O tak. – Uśmiechnęła się.

– Czy mogłaby pani... pomóc mi ją poznać?

Samy myślała przez chwilę.

– Tak.

– Jak?

Wzruszyła ramionami.

– To nie jest pytanie zamknięte – przypomniał mu Max.

– Ugotuję bouillabaisse – wtrącił się Cuneo. – Przyjdę po panią o pół do ósmej. Potem będziecie mogli z *capitano* Perdito dalej grać w swoje zgadywanki. *Si?* Ale nie jest pani, jakimś nieszczęśliwym trafem, zaręczona? Nie miałaby pani ochoty na małą podróż barką?

Samy przeniosła wzrok z jednego na drugiego.

– Tak i nie, i tak – odpowiedziała stanowczo. – Dobrze, zatem wszystko jasne. A teraz wybaczcie. Muszę powitać te wszystkie cudowne potwory, powiedzieć im coś miłego w tolkienowskim języku. Trochę ćwiczyłam, ale brzmi, jakby Chewbacca wygłaszał toast noworoczny. – Wstała zza biurka, a wszyscy trzej goście znów z fascynacją popatrzyli na jej naprawdę doskonale dopasowane obuwie w kształcie stóp niziołków. Dotarłszy do drzwi, odwróciła się do nich. – Czy wiedział pan, Max, że gwiazdy od momentu swoich narodzin do osiągnięcia pełnej wielkości potrzebują tylko roku? A potem przez kolejne miliony lat zajęte są tylko tym, by świecić jak najjaśniejszym blaskiem. Osobliwe, prawda? Próbował pan kiedyś wymyślić jakiś nowy język? Albo nowe słowa? Byłabym przeogromnie zobowiązana, gdyby najślawniejszy żyjący pisarz przed trzydziestką zaszczycił mnie dziś wieczór jakimś nowym słowem. Zgoda?

W jej granatowych oczach błysnęły iskierki.

A w Maksie eksplodowała mała bomba, zasiewając pola w sekretnym ogrodzie jego wyobraźni.

Kiedy wieczorem Salvo ubrany w swoją najlepszą koszulę w kratkę, dżinsy i lakierki zjawiał się pod drukarnią, by zabrać Samy na kolację, zastał ją stojącą pod drzwiami z trzema walizkami, paprotką w doniczce oraz płaszczem przeciwdeszczowym przerzuconym przez ramię.

– Mam nadzieję, że naprawdę mnie ze sobą zabierzesz, Salvo. – powitała go. – Choć pewnie, zapraszając mnie, miałeś co innego na myśli. Spędziłam tu już wystarczająco dużo czasu. Prawie dziesięć lat. Cały stopień, w rozumieniu Hessego. Teraz pora wyruszyć na południe i znów nauczyć się oddychać, patrzeć na morze i jeszcze raz całować się z mężczyzną. Dobry Boże, niebawem dobiegnę sześćdziesiątki, będę w kwiecie wieku.

Cuneo zajął w jej ciemne oczy.

– Moja propozycja jest nadal aktualna, signora Samy le Trequesser – powiedział. – Pozostaję wciąż do pani dyspozycji.

– Nie zapomniałam, Salvatore Cuneo z Neapolu.

Włoch zajął się zorganizowaniem taksówki.

– Ehm... czy słusznie domniemywam – odezwał się osłupiały Perdu, kiedy Salvo niedługo potem przerzucił walizki na pokład barki – że pragnie pani nie tylko z nami zjeść, ale i zamieszkać?

– Słusznie, mój drogi. Mogę? Na chwilkę? Dopóki nie przybije pan gdzieś do brzegu i nie każe mi iść precz.

– Oczywiście. Zdaje się, że w dziale literatury dziecięcej mamy jeszcze wolną sofę – odrzekł Max.

– Czy ja też mogę się wtrącić? – zapytał Perdu.

– A po co, zdaje się, że nie zamierzał pan odmawiać.

– No, nie.

– Dziękuję. – Samy wyraźnie się wzruszyła. – Będę cicho jak myszka, śpiewam tylko we śnie.

Kartka, którą tego wieczoru Perdu napisał do Catherine, zawierała słowa i frazy wymyślone po południu przez Maksa, by zaprezentować je Samy przy kolacji.

Tak się jej one spodobały, że powtarzała je w kółko po cichu, delektując się ich kształtem niczym słodkim cukierkiem na języku.

Gwiezdna posypka (gwiazdy odbijające się w lustrze rzeki)

Słoneczna kołyska (ocean)

Cytrynowy calus (już wszyscy wiedzą, o co chodzi!)

Rodzinna kotwica (stół jadalny)

Serce wycięte w sercu (pierwszy kochanek)

Welon czasu (ledwie wyjdiesz z piaskownicy, już jesteś staruszkiem, który robi w gacie za każdym razem, kiedy się roześmieje)

Senniczy

Życzeniść

Ten ostatni wyraz stał się jej ulubionym.

– Wszyscy żyjemy w życzeniści – stwierdziła. – Każdy we własnej.

– Ten Rodan, mówiąc oględnie, to jakiś koszmar – powiedział Max, wskazując na elektrownię atomową. Była to siedemnasta z kolei, jaką mijali, odkąd Saona wpadła do Rodanu. Widok reaktorów przeplatał się z winnicami i autostradami. Cuneo wołał zrezygnować z wędkowania.

W Cuisery i jego literackich katakumbach zabawili trzy dni. Teraz byli coraz bliżej Prowansji. Na horyzoncie majaczyły już wapienne skały pod Orange, które stanowiło przedśrodek południowej Francji.

Zmieniło się także niebo. Nabrało tu barwy głębokiego błękitu, jak nad Morzem Śródziemnym w najbardziej upalne dni, kiedy odbite w wodzie jeszcze wzmacnia swój odcień.

– Jak warstwy w cieście francuskim, niebieski, niebieski i jeszcze raz niebieski. Kraina niebieskiego ciasta – wymamrotał Max.

Uwielbiał teraz zlepić ze sobą różne słowa i bawić się, odkrywając ich nowe znaczenia. Czasami wychodziły mu składanki dość dziwaczne, a wtedy Samy śmiała się z całego serca. Według Jeana jej śmiech przypominał klangor żurawia.

Cuneo całkiem stracił dla niej głowę, mimo że dotąd nie przystała jeszcze na jego propozycję. Chciała z tym poczekać, aż Perdu rozwiąże zagadkę.

Przesiadywała często w jego pobliżu przy kole sterowym i bawiła się z nim w zgadywanki.

– Czy Sanary ma dzieci?

– Nie.

– Męża?

– Nie.

– Dwóch?

Tym razem rozległ się odgłos stada żurawi.

– Czy napisała jakąś inną książkę?

– Nie – odpowiedziała przeciągle Samy. – Niestety.

– Czy *Zorza południowa* powstała wtedy, kiedy była szczęśliwa?

Długie milczenie.

Perdu śledził widoki, a Samantha wciąż rozmyślała nad odpowiedzią.

Za Orange szybko minęli Châteauneuf-du-Pape i wieczorem mogli już wybrać się na kolację w Awinionie.

Gdyby Jean zdecydował się wynająć auto, z niegdysiejszego miasta papieży miałby tylko godzinę drogi do Bonnieux w okręgu Luberon.

To za prędko – pomyślał. – *I co, miałbym, jak mówi Max, dryndnąć do drzwi Luca i powiedzieć: Cześć, Basset, stary zaklinaczu winorośli, jestem dawnym kochankiem twojej żony.*

– Od tak do nie – odpowiedziała w końcu Samy. – Trudne pytanie. Rzadko kiedy przez cały boży dzień obracamy w myślach kwestię poczucia szczęścia jak nie przymierzając kotlet w mące. Szczęście to takie ulotne uczucie. Jak długo bez przerwy byłeś szczęśliwy?

– Jakieś cztery godziny – odparł po chwili zastanowienia. – Jechałem samochodem z Paryża do Mazan. Chciałem się spotkać z kochanką, umówiliśmy się tam w małym hoteliku Le Siècle, naprzeciwko kościoła. Wtedy czułem się szczęśliwy. Przez całą drogę. Śpiewałem. Widziałem w myślach jej ciało i opiewałem je.

– Przez cztery godziny? Okropnie pięknie.

– Tak. Przez te cztery godziny czułem się szczęśliwszy niż w ciągu kolejnych czterech dni. Choć kiedy dziś je wspominam, cieszę się, że mogłem je przeżyć. – Po czym dodał zdziwiony: – Czy szczęście to coś, co dostrzegamy dopiero, patrząc wstecz? Naprawdę nie zauważamy, kiedy jesteśmy szczęśliwi i rozpoznajemy to dopiero dużo później?

– Paskudnie. – Samy westchnęła. – Byłoby strasznie głupio.

Myśl, że to, że jesteśmy szczęśliwi, uświadamiamy sobie dopiero po czasie, nie dawała mu długo spokoju, kiedy pewnie i z wprawą prowadził barkę po wodach Rodanu przypominającego tutaj istną autostradę dla statków. Nikt nie machał z brzegów zainteresowany kupnem książek. Śluzy były w pełni zautomatyzowane i przepuszczały po kilkanaście jednostek naraz.

Ciche i spokojne dni żeglugi na dobre odeszły do przeszłości.

W głowie Jeana, im bliżej byli krainy Manon, tym więcej pojawiało się wspomnień tego, co wspólnie przeżyli. I tego, jaka była w dotyku.

Samy czytała chyba w jego myślach.

– To zdumiewające, jak cielesna jest miłość. Pamięć naszego ciała jest trwalsza, bardziej pamiętamy dotyk tej drugiej osoby niż to, co mówiła. – Powiedziała, skubiąc włoski na swoim przedramieniu. – Mojego ojca zapamiętałam przede wszystkim jako ciało. Pamiętam, jak pachniał, jak chodził. Mój policzek na jego ramieniu albo moja ręka schowana w jego dłoni. Przypomina mi się jego głos, ale tylko kiedy mówił do mnie: „Sasa, moja mała dziewczynka”. Brakuje mi jego ciepła, buntuję się, że już nigdy nie usłyszę go w telefonie, choć tyle ważnych rzeczy chciałabym mu jeszcze powiedzieć. Mój Boże, jestem po prostu wścicka! Jednak najbardziej tęsknię za nim właśnie jako za ciałem. Teraz fotel, w którym siadywał, jest pusty. Nic, głupia pustka!

Perdu pokiwał głową.

– Jedyne błęd, jaki przy tym popełniają głównie kobiety, to przeświadczenie, że ciało musi być idealne, by zasługiwało na miłość. A przecież wystarczy, że samo będzie potrafiło kochać. I pozwolić być kochanym – dodał.

– Och, Jean, powiedz to jeszcze raz głośno. – Samy zaśmiała się i wręczyła mu mikrofon stanowiący wyposażenie barki. – Kochany jest ten, kto kocha. Jeszcze jedna kompletnie zapomniana prawda. Zauważyłeś, że większość ludzi najchętniej chciałaby, aby ich kochano, ale sama niespecjalnie przykłada się do kochania? Diety, pogoń za pieniądzem, czerwona bielizna... ba, gdyby z takim samym zapalem podeszli do miłości, świat byłby stokroć piękniejszy i wolny od majtek korygujących.

Jean zawtórował jej śmiechem, a potem pomyślał o Catherine. Oboje byli zbyt delikatni i zbyt spragnieni by ich kochano. Zabrakło im odwagi i siły, by pokochać. A do kochania potrzeba tylko odwagi i żadnych oczekiwań. Czy będzie potrafił znów kochać?

I czy Catherine w ogóle czyta kartki ode mnie?

Samy potrafiła uważnie słuchać. Słyszała wszystko, a potem odpowiadała. Pracowała kiedyś jako nauczycielka, w Melchnau w Szwajcarii. Potem jako badaczka snu w Zurychu, kreślarka projektująca elektrownie wiatrowe na Atlantyku. No i hodowała też kozy w Vauluse i produkowała sery.

Miała też jedną wrodzoną słabość: nie potrafiła kłamać. Owszem, mogła milczeć, nie odpowiadać, natomiast nie była zdolna do umyślnego kłamstwa.

– Wyobraź to sobie w naszym społeczeństwie – powiedziała. – Jako dziewczyna miałam z tego powodu ciągle kłopoty. Wszyscy myśleli, że jestem chodzącą wredotą, że bycie nieuprzejmą sprawia mi wielką przyjemność. Dajmy na to, na pytanie kelnera w eleganckiej

restauracji, czy mi smakowało, ja odpowiadałam: „Nie, nie bardzo”. Na pytanie mamy którejś z koleżanek z klasy, czy podobało mi się jej urodzinowe przyjęcie, choć za wszelką cenę próbowałam z siebie wykrztusić, że tak, mówiłam: „Nie, było nudno, a pani ma niemiły oddech, bo pije za dużo czerwonego wina”. – Perdu roześmiał się. To ciekawe, że jako dzieci jesteśmy tak blisko swojej natury, a jednak potem, zabiegając o czyjąś miłość, tak bardzo się od niej oddalamy. – Kiedy miałam trzynaście lat, spadłam z drzewa. Podczas prześwietlenia wyszło w końcu na jaw: brakuje mi w mózgu maszynki do produkcji kłamstw. Nie potrafię pisać opowiadań fantasy. Chyba że wcześniej spotkam gadającego jednorożca. Nie, potrafię opowiadać wyłącznie o tym, czego doświadczyłam. Jestem typem, który żeby napisać o smażonych ziemniakach, sam musi położyć się na patelnię.

Cuneo przyniósł im własnoręcznie ukręcone lody lawendowe. Miały cierpki, a zarazem kwiatowy smak.

Nieutalentowana kłamczucha odprowadziła potem wzrokiem neapolitańczyka.

– Jest niski, gruby i obiektywnie patrząc nie trafiłby raczej na plakaty z przystojniakami. Za to jest rozważny, silny i wiele wskazuje na to, że potrafi wszystko, co jest potrzebne, by dobrze i szczęśliwie żyć. Dla mnie jest najpiękniejszym mężczyzną, z jakim będę się całować – powiedziała. – To dziwne, że tacy dobrzy, wspaniali ludzie nie są kochani częściej. Czy ich wygląd tak bardzo ich maskuje, że nikt nie chce dostrzec, jak bardzo ich dusza, ich natura, ich zasady są gotowe do kochania i czynienia dobra? – Odetchnęła przeciągle i z lubością. – Dziwnym trafem mnie również nikt nigdy nie pokochał. Wcześniej myślałam, że to także kwestia mojego wyglądu. Potem przyszło mi do głowy, że zawsze wyszukuję sobie miejsca, w których każdy chłop jest już żonaty. Na przykład ci hodowcy kóz w Vaucluse... dobry Boże, same stare pryki, dla których kobieta to taka dwunożna koza, potrafiąca na dodatek pracować. Komplementem jest już, kiedy powiedzą ci dzień dobry. – Samy polizała w zamyśleniu swojego loda. – Jestem zdania, skoryguj mnie, jeśli zanadto poległam na swoich kobiecych zapatrywaniach, że po pierwsze, istnieje miłość, o której myśli się z perspektywy majtek. I tę znam. Sprawia przyjemność przez piętnaście minut. Po drugie, istnieje miłość czerpiąca z rozumu. Tę znam również, upatrujesz sobie paru facetów pasujących obiektywnie do twojego życia lub niespecjalnie wchodzących w paradę twoim życiowym planom. Tyle że oni nie budzą twojego zachwyty. No i po trzecie, istnieje miłość, rodząca się gdzieś w piersi czy też w głębi splotu słonecznego albo gdzieś w tej okolicy. Tej pragnę. To z niej płynie magia zdolna rozświetlić mój system życiowy aż po ostatnią śrubkę. Co ty na to? – Pokazała mu swój liliowy język.

Pomyślał, że wie już, o co powinien zapytać.

– Samy? – odezwał się.

– Tak, Jeanno?

Rozmawiając, używała innego języka, ale tak zawsze bywa. To, co pisarz zawiera w swoich książkach, jest zapisem w języku serca, języku duszy.

– To ty napisałaś *Zorzę południową*, prawda?

To na pewno był przypadek, że akurat w tym momencie zza chmur zaświeciło słońce, rzucając swój promień, niczym palec wskazujący, wprost na oczy Samy. Rozjaśniając je niezwykłym blaskiem. Jak dwie jasno płonące świece.

Jej twarz ożyła.

– Tak – odezwała się cichutko, po czym powtórzyła głośniejszym głosem: – Tak. Tak! – wykrzyknęła, śmiejąc się i płacząc równocześnie, z uniesionymi w górę rękami. – Chciałam w ten sposób przywołać swojego męża, Jeanno! Tego, kto by pokochał mnie tą miłością płynącą gdzieś spomiędzy przepony i pępka. Chciałam, żeby mnie odszukał, bo mnie sobie wyśnił, bo to wszystko, czym jestem, budzi jego rozkosz, bo potrzebuje tego, czym jestem. Ale wiesz co? – Wciąż śmiała się przez łzy. – Ty mnie w końcu odszukałeś. Ale to nie na ciebie czekam. – I odwróciła się. – Ten muskularny facet w fartuszkach w kwiatki. Ze swoimi wąsami, które będą mnie łaskotać. To on. Ale ty go do mnie przyprowadziłeś. Ty i *Zorza południowa*, to wy go do mnie przywieźliście. W jakiś całkiem magiczny sposób. – Jeanowi udzieliła się jej radość. Choć brzmi to jak bajka, Samy miała rację. Przeczytał *Zorzę południową*, zatrzymał się w Cepoy, gdzie spotkał Salvo i stamtąd jak po sznurku... *presto*, stało się. – Kobieta otarła zapłakaną twarz. – Musiałam napisać tę książkę. A ty musiałeś ją przeczytać. Musiałeś przeżyć i przecierpieć to wszystko, aby w końcu wsiąść na swoją barkę i odpłynąć. Umówmy się, że w to wierzymy, dobrze?

– Oczywiście, Samy. Wierzę w to. Istnieją książki napisane tylko dla jednej osoby. *Zorza...* była przeznaczona dla mnie. – I zebrał się na odwagę. – Przez te wszystkie lata przy życiu trzymała mnie tylko twoja powieść – wyznał. – Rozumiałem wszystko, co chciałaś przekazać. Jak gdybyś poznała mnie, zanim ja sam poznałem siebie.

Sanary-Samy przyłożyła dłoń do ust.

– To niesamowite, co mówisz, Jean. Nigdy nie słyszałam nic piękniejszego. – I zarzuciła mu dłoń wokół szyi. Ucałowała go w oba policzki, potem jeszcze w czoło i w brodę. – Coś ci powiem. Nie zrobię już tego znowu. Nie będę przyzywać miłości za pomocą literatury. Wiesz, ile się naczekałam? Do licha, dwadzieścia lat! A teraz wybacz, idę pocałować mojego mężczyznę, i to jak należy. To ostatnia część eksperymentu. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, dziś wieczorem nie będę raczej w dobrym humorze. Jeszcze raz uściskała Jeana. – Ojej, tak się boję. Okropność! I takie to piękne. Żyję i ty też, prawda? Czujesz to, tu i teraz?

I zniknęła we wnętrzu barki.

– Juhu, Salvo... – dobiegł go jeszcze jej głos.

Stwierdził z zadziwieniem, że rzeczywiście czuje w sobie życie. Co za wspaniałe doznanie!

Dziennik podróży Manon

*Paryż,
sierpień 1992 roku*

Śpisz.

Patrzę na ciebie i nie wstydę się już tak, że gotowa byłabym dać się pogrzebać w tym słonym piasku. Nie wstydę się, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie dla mnie wszystkim. Przestałam już zadręczać się wyrzutami, tak jak przez pięć ostatnich lat w ciągu kobaltowych letnich miesięcy. A ile to było dni, Jeanie Krucze Skrzydło? Gdyby zsumować te wszystkie, kiedy oddychaliśmy tym samym powietrzem, wychodzi mi blisko pół roku, 169 dni. W sam raz na podwójny sznur perłowych dni.

Jednak i te dni, i noce spędzone z dala od ciebie – tak daleko jak smuga kondensacyjna na niebie – liczą się także. Podwójnie i potrójnie, przeżyte z radością i z poczuciem winy. Patrząc w ten sposób, czuję, jakby lat było właściwie piętnaście. Kilka żyć. Śniłam już o tak wielu wariantach...

Często zastanawiałam się, czy nie postępowałam źle, czy nie dokonałam złego wyboru. Czy istnieje jakieś „właściwe” życie, z samym Lukiem albo jeszcze z kimś innym? A może miałam tyle szans i wszystkie zmarnowałam?

W życiu nie ma jednak rzeczy słusznych i niesłusznych. Teraz zresztą nie muszę już zadawać sobie takich pytań. Dlaczego nigdy nie wystarczał mi jeden mężczyzna.

Tyle byłoby odpowiedzi.

I brzmiałyby: głód życia.

Oraz: pożądanie, takie rozżarzone, niespokojne, lepkie pożądanie.

Brzmiałyby: Pozwólcie mi żyć, zanim stanę się siwą, pomarszczoną staruszką, na wpół zamieszkanym domem na końcu ulicy.

Brzmiałyby: Paryż.

Brzmiałyby: Przydarzyłeś mi się jak zderzenie okrętu z wyspą (Ha, ha. To była moja faza „To nie moja wina, to los tak chciał”).

Brzmiałyby: Czy Luc kocha mnie wystarczająco mocno, by to znieść?

Brzmiałyby: Jestem nic niewarta, jestem zła i dlatego wszystko jedno, co robię.

Ach, no i naturalnie: Mogę być tylko z jednym i z drugim. Wami oboma, Lukiem i Jeanem, mężem i kochankiem, południem i północą, miłością i seksem, ziemią i niebem, ciałem i duchem, wsią i miastem. Obaj jesteście tymi dwoma elementami, których brakuje mi do osiągnięcia pełni. Wdech i wydech, a pomiędzy: wreszcie egzystencja.

A więc kulę da się podzielić na trzy.

Wszystkie te odpowiedzi okazały się tymczasem zbędne. Teraz najważniejsze pytanie brzmi: Kiedy?

Kiedy ci powiem, co się ze mną dzieje?

Nigdy.

Nigdy, przenigdy. Albo zaraz, natychmiast. Dotknę twój ramienia, które wystaje zawsze spod koca, w który mnie opatulasz. Gdybym cię dotknęła, natychmiast byś się obudził i zapytał: „Co się stało? Kociątko, co ci?”

Tak bardzo chciałabym, żebyś się teraz obudził i mnie uratował.

OBUDŹ SIĘ!

Ale dlaczego miałbyś to zrobić? Za dobrze cię okłamałam.

Kiedy odejdę?

Wkrótce.

Jeszcze nie dziś w nocy, nie dam rady. Jak gdybym potrzebowała tysiąca prób – odwrócić się, odejść i nie popatrzeć za siebie – by w końcu to zrobić.

Odchodzę na raty. Odliczam skrzętnie i mówię sobie: jeszcze tysiąc pocałunków... jeszcze czterysta osiemnaście pocałunków... jeszcze dziesięć... jeszcze cztery. Trzy ostatnie odkładam na koniec.

Jak trzy migdały na Boże Narodzenie.

Wszystkiego ubywa. Wspólnych nocy. Wspólnych śmiechów.

Pora na ostatnie tańce.

I rzeczywiście da się krzyczeć sercem, tyle że to tak bardzo boli.

Ból.

Ból ogranicza świat. Teraz widzę już tylko ciebie, mnie i Luca, a także to, co zaistniało między naszą trójką. Każdy ma tu swój udział. Spróbuję jeszcze uratować, co się da. I wolę nie myśleć o tym w kategoriach kary. Nieszczęścia. Nieszczęście dotyka demokratycznie każdego.

Kiedy się poddam?

Mam nadzieję, że dopiero potem.

Chcę jeszcze przekonać się, czy akcja ratunkowa się powiedzie.

Lekarze zaoferovali mi ibuprofen albo opiaty, które rzekomo działają tylko w mózgu, odcinając sygnały elektryczne płynące pomiędzy moją pachą, płucami i głową.

Przez to w niektóre noce nie śnię już obrazami. a w inne docierają do mnie zapachy z przeszłości. Odległej przeszłości. Kiedy jeszcze nosiłam podkolanówki. Albo rzeczy pachną zupełnie inaczej. Odchody jak kwiaty. Wino jak spalone opony. A pocałunek jak śmierć.

Ale chcę być całkiem pewna. Dlatego rezygnuję.

Czasami ból jest tak wielki, że wszystkie słowa ulatują mi z głowy i nie mogę się z tobą zobaczyć. Wtedy cię okłamuję. Zapisuję sobie zdania, które mam ci powiedzieć i potem je tobie odczytuję. Bo kiedy nadchodzi ból, nie potrafię pochwycić w myślach nawet jednej litery. Wszystkie zlewają się w jedną breję. Rozgotowane litery, gulasz z abecadła.

Kilka razy poczułam się nawet urażona tym, że pozwoliłeś się okłamać. Kilka razy czułam nawet gniew, że w ogóle mi się przydarzyłeś. Do nienawiści jednak już nie doszłam.

Jean, nie wiem, co mam robić. Nie wiem, czy cię zbudzić i błagać, żebyś mi pomógł. Nie wiem, czy powinnam raczej wyrwać te strony. Albo skopiować i wysłać ci pocztą. Potem. Albo nigdy. Piszę, żeby lepiej myśleć.

Na wszystko inne tak czy inaczej brakuje mi już słów.

Rozmawiam teraz z tobą bardziej za pomocą ciała. Tego umęczonego, schorowanego kawałka drewna z południa, z którego wybija już tylko jeden wąty zielony pęd wyrażający przynajmniej te szczątkowe pragnienia.

Kochaj mnie.

Trzymaj.

Głaskaj.

Kwiaty paniki, mawia papa. Tuż przed uschnięciem łodygi jeszcze raz zakwitają. Pompują resztki sił w kwiaty, które jednak nie przyniosą już owoców. Zachwyciłeś się niedawno, jaka jestem piękna.

Rozkwitam paniką.

Niedawno późnym wieczorem telefonował Vijaya z Nowego Jorku. Byłeś jeszcze na barce, sprzedawałeś najnowsze wydanie Zorzy południowej. Chciałbyś, żeby każdy przeczytał tę małą, przedziwną książeczkę. Powiedziałaś kiedyś, że nie ma w niej ani słowa zmyślenia. Nic nierzeczywistego, nic upiękzonego. Sama prawda.

Vijaya ma nowych pracodawców, dwóch osobliwych badaczy komórek. Ich zdaniem to ciało, nie mózg kształtuje naszą duszę i charakter. Mówią, że to inne komórki, miliardy komórek. I to, co dzieje się z nimi, dzieje się także z duszą.

Ból, powiedział, pain for example, przebiegunowuje wszystkie komórki. Już po trzech dniach trwania. Z komórek receptorowych robią się komórki strachu. Komórki koordynujące

zamieniają się w poduszczeni na szpilki. Na koniec zaś każdy czuły dotyk staje się męczarnią, każdy powiew wiatru, każdy dźwięk muzyki, każdy zbliżający się cień wywołują atak bojaźni. Ból karmi się łapczywie każdym poruszeniem, każdym mięśniem, rodząc kolejne receptory. Twoje wnętrze ulega totalnej przebudowie, wymianie, jednak z zewnątrz nikt tego nie dostrzega.

Na koniec, at least, mówi Vijaya, nie chcesz już być w ogóle dotykany. Popadasz w osamotnienie.

Ból jest rakiem duszy, powiada twój najstarszy przyjaciel. Mówi to tak jak na naukowca przystało, nie myśli o mdłościach, jakie wywołują takie zdania u nienaukowców. Beznamiętnie opowiada mi o tym, co mnie czeka.

Ból otumania twoje ciało i umysł, twierdzi twój Vijaya, zapomina się o wszystkim, nie kierujesz się już logiką, lecz paniką. A wszystkie jasne myśli, wszystkie nadzieje grzęzną w dziurach, które ból drąży w twoim mózgu. Na koniec sam w nie wpadasz i znikasz. Twoje całe ja pochłania pain and panic.

Kiedy umrę?

Ze statystycznego punktu widzenia to pewne.

Ale zamierzam jeszcze zjeść trzynaście wigilijnych deserów. Mama jest mistrzynią w pieczeniu biszkoptów i przygotowywaniu musu, papa zajmie się owocami, Luc wypoleruje najpiękniejsze orzechy. Trzy nakrycia, trzy świeczniki, trzy przełamane chleby. Chleb dla żyjących i spożywających wieczerzę. Chleb na szczęście, które nadejdzie. I chleb, którym dzieli się z ubogimi i ze zmarłymi.

Obawiam się, że wtedy będę już walczyć z kloszardami o okruszki.

Luc błagał mnie, żebym się leczyła.

Nieważne, że szanse są tak słabe jak na wyścigach konnych. Umrę tak czy inaczej. Tak czy inaczej trzeba zamówić nagrobek, odprawić mszę, wyprasować chusteczki.

Czy będę czuła grób?

Papa mnie rozumie. Kiedy powiedziałam mu, dlaczego nie chcę chemioterapii, wyszedł do stodoły i długo płakał. Niemal byłam pewna, że obetnie sobie rękę.

Maman skamieniała. Wygląda jak drzewko oliwne obrócone w kamień. Jej broda sękata i zastygła, oczy jak kora. Rozmyśla, co zrobiła nie tak, dlaczego swojego pierwszego przecucia śmierci nie może zmienić w zły sen, w matczyną miłość, która zawsze się zamartwia, nawet kiedy nie ma powodów do zmartwień.

– Wiedziałam, że w tym przeklętym Paryżu czeka cię śmierć.

Jednak nie potrafi mnie obwiniać. Woli obarczyć tym siebie. Ta surowość pomaga jej działać i przygotować dla mnie mój ostatni pokój, jak ją prosiłam.

Teraz leżysz na plecach jak tancerz wykonujący piruet. Jedna noga wyprostowana, druga podciągnięta. Jedna ręka nad głową, druga wyrzucona w bok.

Zawsze patrzyłeś na mnie, jak gdybym była jedyna w swoim rodzaju. Ani razu w ciągu pięciu lat nie spojrzaleś na mnie z gniewem ani z obojętnością. Jak ci się to udało?

Teraz przygląda mi się Castor. Pewnie dla kotów my, dwunożni jesteśmy dziwolągami.

Wieczność, która czeka mnie niebawem, wydaje mi się przytłaczająca.

Czasami – wiem, że to złe – czasami chciałabym, żeby ten, kogo kocham, odszedł przede mną. Żeby wiedziała, że i ja dam radę.

Czasami myślałam, że powinienes odejść przede mną, abym i ja potrafiła. I miała pewność, że czekasz na mnie...

Adieu, Jeanie Perdu.

Zazdroszczę ci tych wszystkich lat, które masz przed sobą. Udaję się do mojego ostatniego pokoju, a stamtąd do ogrodu. Tak, tak to będzie. Minę wysokie drzwi na taras i wyruszę ku zachodzącemu słońcu. A potem stanę się światłem, będę wszędzie.

To byłaby moja natura, byłabym już na zawsze, każdego wieczoru.

Spędzili razem upojny wieczór. Salvo serwował małże, Max grał na pianinie, wszyscy trzej po kolei tańczyli z Samy.

Potem całą czwórką upajali się widokiem Awinionu i rozślawionego piosenką mostu Saint-Bénézet. Była pełnia lipca i długo po zachodzie słońca na zewnątrz wciąż panowało jedwabiste ciepło.

Tuż przed północą Jean podniósł kieliszek.

– Dziękuję wam – powiedział. – Za przyjaźń. Za prawdę. I za to niesamowicie smaczne jedzenie.

Teraz wszyscy wzięli do ręki kieliszki. Brzęk uderzanego szkła rozległ się jak dzwon oznajmiający koniec wspólnej podróży.

– Teraz jestem szczęśliwa – powiedziała Samy. Po półgodzinie dodała: – Nadal jestem. – I po kolejnych dwóch godzinach... Prawdopodobnie powtórzyła to na mnóstwo sposobów, ale nie słowami, choć Max i Jean już tego nie słyszeli. Postanowili bowiem nie wprawiać zakochanej pary w zakłopotanie i na tę pierwszą spośród zapewne tysiąca nocy pozostawić ich samych na pokładzie Lulu i minawszy najbliższą bramę, poszli się poszwendać po awiniońskiej starówce.

Na wąskich uliczkach roilo się od spacerowiczów. Letnie upały na południu sprawiały, że cała dzienna aktywność przesuwiała się na godziny nocne. Na placu przed okazałym ratuszem Jean i Max kupili sobie lody i obejrzelili występy ulicznych artystów, którzy żonglując pochodniami albo wykonując akrobatyczne popisy, zabawiali publiczność z okolicznych kawiarni i knajpek. Jean stwierdził, że to miasto wcale nie budzi jego sympatii, jest raczej jak zakłamaną dziwka próbująca coś jeszcze ugrać na swojej minionej sławie.

Max polizał szybko topniejącego loda i z pełnymi ustami odpowiedział mu niby mimochodem:

– Będę pisał książki dla dzieci. Mam parę pomysłów.

Jean popatrzył na niego kątem oka.

A więc to ten moment. Moment, w którym Max staje się tym, kim będzie w przyszłości.

– Czy mogę o nich usłyszeć? – odezwał się po chwili poświęconej na przeżywanie zdumienia, że wolno mu uczestniczyć w tym wydarzeniu.

– Myślałem już, że wcale o to nie spytasz.

Max wyciągnął z kieszeni notes i zaczął czytać:

– Stary czarownik zastanawiał się, kiedy w końcu przyjdzie jakaś odważna dziewczynka i wydobędzie go z tego ogrodu, w którym siedzi pośród truskawek zapomniany od stuleci... – Popatrzył na Perdu uradowany i spokojny. – Albo historia o małym świętym o imieniu Bimbam.

– Bimbam?

– No tak. Taki święty, który musi zadbać o to wszystko, na co szkoda innych świętych. Myślę, że nawet Bimbam był dzieckiem, dopóki nie padło sakramentalne pytanie: Ach mój drogi Bimbamie, powiadasz, że kim chcesz zostać? Pisarzem? – Max wyszczerzył zęby. – I jeszcze opowiadanie o Claire, która zamienia się ciałem ze swoim kotkiem Minou. Potem...

Przyszły bohater dziecięcych pokojów – dumiał Jean, słuchając kolejnych pomysłów młodego człowieka.

– ... i jak mały Bruno trafia do nieba i skarży się tam na to, do jakiej rodziny go przydzielono...

Księgarz rozkoszował się wybuchami czułości, jakich doznawał, idąc obok niego. Jak on kocha tego chłopaka! Jego dziwactwa, jego spojrzenie, jego śmiech.

– ... i jak cienie powróciły do dzieciństwa swoich właścicieli, żeby uporządkować tam to i owo.

To cudowne. Poślę mój cień w przeszłość i każę mu zaprowadzić porządek w moim życiu. Co za kusząca myśl. I jak nierealna niestety.

Wrócili późno w nocy, na godzinę przed świtaniem.

Max udał się w swój kąt, zrobił jeszcze kilka notatek i zasnął, Jean tymczasem przechadzał się po swoim kołyszącym się lekko na wodzie królestwie książek. Towarzyszyły mu koty trzymające się blisko jego nóg i co rusz popatrujące w górę na swojego pana. Czuły, że nadchodzi nowy rozdział.

Palce Jeana przesuwające się po grzbietach książek na półkach co rusz trafiały w pustkę. Dobrze znał miejsce każdego tytułu, zanim został sprzedany. Tak jak zna się wszystkie domy i pola w rodzinnych stronach. I widzi je nawet wtedy, gdy ustąpiły już miejsca jakiejś obwodnicy albo centrum handlowemu.

W dalszym ciągu obecność książek traktował jako pancerz ochronny. Miał na swojej barce cały świat, wszystkie uczucia, wszystkie miejsca, wszystkie czasy. Nie musiał nigdy podróżować, a książki wystarczały mu za partnerów do rozmów... czasem nawet cenił je bardziej niż ludzi.

Nie były tak groźne.

Usiadł na fotelu na niewielkim podeście i popatrzył przez wielkie okno na taflę wody. Oba koty natychmiast wskoczyły mu na kolana.

– Teraz już nie wstaniesz – mówiły ich ciepłe ciała. – Musisz już tu zostać.

A więc to jest jego życie. Dwadzieścia pięć metrów długości, pięć metrów szerokości. Zaczął je konstruować, kiedy był w wieku Maksa. Ten statek, zbiory Apteki, swoją renomę, cały ten łańcuch kotwiczny. Kuł go dzień w dzień, hartował ogniwo za ogniwo. I sam się nim pętał.

Coś tu jednak nie pasowało. Gdyby uwiecznić to życie na fotografiach do pamiątkowego albumu, wszystkie zdjęcia byłyby do siebie podobne. Za każdym razem widniałby na tej barce z książką w ręku. Tylko kolor włosów zmieniałby się stopniowo na coraz bardziej srebrzysty. A na końcu byłoby zdjęcie z jego podobizną o szukającym spojrzeniu na pomarszczonej starczej twarzy.

Nie, nie chce tak skończyć – pytanie tylko, czy to już nie nastąpiło.

Istniało tylko jedno rozwiązanie. Trzeba postąpić drastycznie, rozerwać ten ciężący łańcuch.

Trzeba opuścić statek. Ostatecznie.

Już sama myśl o tym wywołała w nim mdłości... potem jednak, kiedy już zaczerpnął tchu i raz jeszcze wyobraził sobie życie bez Lulu, przyszło poczucie ulgi.

Momentalnie jednak odezwały się wyrzuty sumienia. Ma pozbyć się Apteki Literackiej niczym niechcianej kochanki?

– Nie jest nią – mruknął pod nosem. Koty mruczały pod jego palcami. – Co ja zrobię z waszą trójką? – zapytał żałośnie.

Gdzieś z głębi statku dobiegł go głos Samy śpiewającej przez sen.

A wtedy w jego głowie powstała pewna myśl.

Może wcale nie musi porzucać księgarni ani szukać z mozołem nowego właściciela.

– Tylko czy Cuneo będzie się tu dobrze czuł? – zapytał koty, a one podstawily łebki do głaskania.

Podobno mruczenie kotów może sprawić, że zrosną się nawet pogruchotane na miazgę kości albo czyjaś dusza ozdrowieje. Jednak kiedy tak się stanie, koty odchodzą, nie oglądając się nawet za siebie. Miłość kota pozbawiona jest nieśmiałości. Nie stawia warunków, ale też nie składa obietnic.

Przypomniał sobie *Stopnie* Hessego. Większość znała naturalnie tę frazę: „W każdym początku wielki czar się chowa”... Znacznie mniej osób znało jej dokończenie: „co nas ochrania i pomaga żyć”. A już nikt prawie nie rozumiał, że Hessemu wcale nie chodziło o nowy początek.

Lecz o gotowość na pożegnanie

Pożegnanie z przyzwyczajeniami.

Pożegnanie z iluzjami.

Pożegnanie z życiem, które dawno minęło. Pozostała po nim tylko pusta powłoka, w której od czasu do czasu rodzi się westchnienie.

Dzień powitali późnym śniadaniem jedzonym przy ponad trzydziestostopniowym upale. Czekala też na nich niespodzianka od Samy, która zdążyła już wrócić z Salvem z zakupów. Postanowiła zaopatrzyć wszystkich w telefony z kartą prepaid.

Kiedy, gdzieś między croissantem a kawą, podsunęła Jeanowi jego komórkę, popatrzył na nią sceptycznie. Żeby zobaczyć wszystkie te cyferki, potrzebuje okularów do czytania.

– Takie urządzonek funkcjonują już od dwudziestu lat. Możesz im spokojnie zaufać – zadrwił Max.

– Zapisałam ci już nasze numery – pouczyła go Samy. – I masz do nas dzwonić. Kiedy będzie ci dobrze, kiedy nie będziesz wiedział, jak robi się jajka w koszulkach albo kiedy będziesz się nudził tak, że zechcesz wyskoczyć przez okno, żeby poczuć, że żyjesz.

Jean wzruszył się powagą, z jaką to powiedziała.

– Dziękuję – powiedział zmieszany.

Jej otwarta i ufna sympatia do niego wprawiała go w zakłopotanie. Czy to właśnie dlatego ludzie tak lubili przyjaźnić?

Objął ją i mała Samy niemal zniknęła w jego ramionach.

– Chciałbym... chciałbym wam coś dać – zaczął potem i zakłopotany podsunął Salvowi klucze od barki.

– Najdroższa, najmniej utalentowana kłamaczuszko na świecie. Drogi, najlepszy kucharzu na zachód od Włoch. Swoją podróż od tego miejsca muszę kontynuować bez statku. Dlatego niniejszym przekazuję Lulu w wasze ręce. Zachowajcie tylko jakiś wolny kącik dla kotów oraz pisarzy szukających natchnienia. Chcecie? Nie musicie oczywiście, ale jeśli nie zechcecie, to bardzo bym się ucieszył, gdybyście choć się nią zaopiekowali. Taki, rzekłbym, rodzaj dzierżawy na zawsze, co wy na to?

– Nie! – wrzasnęła Samy. – To przecież twój zawód, twoje biuro, twoja praktyka terapeutyczna, twoja ucieczka i twój dom. Księgarnia na wodzie to ty, bęcwale. Czegoś takiego nie oddaje się ot tak obcym ludziom, nawet gdyby bardzo chcieli!

Popatrzyli na nią zdumieni.

– Przepraszam – wymamrotała. – Ja... po prostu... po prostu tak myślę. Tak nie można. A już na pewno nie w zamian za komórkę. Coś takiego. – Zachichotała nerwowo.

– Ta wrodzona prawdomówność to chyba naprawdę dar – zauważył Max. – A gdyby ktoś pytał, to nie, nie potrzebuję statku, ale gdybym mógł się z tobą, Jean, zabrać jeszcze kawałek autem, to bardzo bym się ucieszył.

Cuneo miał łzy w oczach.

– Ach, ach. – Tylko tyle był w stanie wykrztusić. – Ach, *capitano*... Ach, to wszystko. Ja... *cazzo*... i to wszystko.

Rozmowa trwała długo, rozważali wszystkie za i przeciw. Im bardziej Salvo i Samy się wahali, tym bardziej Jean naciskał.

Max trzymał się z boku, wtrącił się tylko raz, pytając:

– To się nazywa harakiri czy jakoś tak, prawda?

Perdu jednak go zignorował. Musi tak być, czuł to. Minęło całe przedpołudnie, zanim wreszcie para się zgodziła.

Wyraźnie poruszony Włoch powiedział z wielkim namaszczeniem:

– Dobrze, *capitano*. Zaopiekujemy się statkiem. Dopóki nie zechcesz go odzyskać.

Nieważne – pojutrze, za rok czy za trzydzieści lat. I zawsze będzie tu miejsce dla kotów i dla piszących.

Cała czwórka przypieczętowała pakt wspólnym, ciepłym uściskiem.

Samy ostatnia wypuściła Jeana z objęć, patrząc na niego z miłością.

– Mój ulubiony czytelnik. – Uśmiechnęła się. – Sama nie mogłabym sobie wyobrazić lepszego.

Na koniec Max i Jean zapakowali swój dobytek do marynarskiego worka i kilku toreb na zakupy, po czym zeszli na ląd. Perdu oprócz ubrań zabrał ze sobą jedynie swoje rozpoczęte dzieło, czyli *Wielką encyklopedię niewielkich uczuć*.

Kiedy Cuneo włączył silnik i zręcznie odbił od brzegu, nie czuł nic.

Słyszał i widział stojącego obok Maksa, jednak i on wydał mu się oddalony. Chłopak machał obiema rękami, wołając: „Ciao” i „Salut”. Jean tymczasem miał nieodparte wrażenie, że nie ma czym machać.

Patrzył za odpływającą księgiarnią, aż zniknęła za zakolem. Nie odrywał wzroku od wody jeszcze dłuższą chwilę, czekając, by ustąpiło to otępienie, by coś poczuł.

Kiedy wreszcie był w stanie się odwrócić, spostrzegł, że Max siedzi na ławce i cierpliwie na niego czeka.

– Chodźmy – powiedział do niego ochryplym, skrzypiącym głosem.

Po raz pierwszy od pięciu tygodni odwiedzili filie swoich banków w Awinionie, by wypłacić pieniądze, choć wiązało się to z dziesiątką telefonów do banku macierzystego, faksami z porównaniem podpisów i sprawdzaniem paszportów. Następnie na dworcu TGV wypożyczyli nieduże, mlecznobiałe autko i wyruszyli w drogę do Luberon.

Na południowy wschód od Awinionu odbili w bok z krajowej drogi D900. Do Bonnieux były tylko czterdzieści cztery kilometry.

Max przez okno z opuszczoną szybą patrzył z zachwytem na okolicę malowaną z obu stron szosy barwami pól słoneczników, szpalerów winorośli i długich rządków lawendy. Żółć, ciemna zieleń i fiolet. A ponad nią intensywny błękit nieba i biel obłoków.

W oddali na horyzoncie majaczył zarys małego i dużego Luberon, wielkiego, podłużnego i płaskiego masywu z górującym po prawej szczytem.

Słońce nie miało litości. Przesączało się w ziemię aż do najgłębszych warstw, zalewając pola i miasteczka swoją uzurpatorską jasnością.

– Musimy sobie sprawić słomkowe kapelusze – stęknął Max z błogością. – I Iniane spodnie.

– Potrzebujemy raczej dezodorantu i kremu do opalania – skwitował rzeczowo Perdu.

Max czuł się tutaj wyraźnie na swoim miejscu. Bez najmniejszego oporu wkomponował się w to otoczenie niczym kolejny element w puzzlach.

W przeciwieństwie do Jeana. Wszystko dookoła wydawało mu się takie odległe i obce. I wciąż jeszcze czuł się otumaniony.

Szczyty wzniesień wieńczyły wiejskie zabudowania. Jasny piaskowiec, jasne dachówki dzielnie stawiające czoła upałowi. Na niebie majestatyczni skrzydlaci drapieżcy szybujący ponad okolicą. Wąskie i puste uliczki.

Manon patrzyła właśnie na te góry, pagórki i kolorowe pola. Dobrze знаła to miękkie powietrze i sędziwe drzewa, w których koronach mieszkały dziesiątki koncertujących głośno cykad. Odgłos ich pocieranych odnóży brzmiał w uszach Jeana jak „Cso? Cso? Cso?”.

Co tu robisz? Co zgubiłeś? Co czujesz?

Nic.

Ta kraina nie mówiła mu zupełnie nic.

Minęli Ménerbes z jego polami w kolorze curry i teraz, jadąc wzdłuż winnic i farm, zbliżali się do doliny Calavon i Bonnieux.

– Bonnieux usadowiło się pomiędzy dużym i małym Luberonem. Jest jak pięciowarstwowy tort – opowiadała Manon. – Na samej górze stary kościół, stuletnie cedry i najpiękniejszy cmentarz w całym okręgu. Na samym dole winnice, sady i domki letniskowe. Pomiedzy warstwy domów i restauracji. A wszystko połączone stromymi drogami i schodkami. To dlatego tutejsze dziewczęta mają takie kształtne łydki. – I pokazała mu własne, a on je pocałował.

– Ładna okolica, prawda? – odezwał się Max.

Thukli się teraz jakimis polnymi drogami, objeżdżając pole słoneczników, przecinając winnicę – wyglądało na to, że zabłądzili. Jean przystanął więc na skraju drogi.

– To Le Petit St Jean, ono musi być gdzieś tutaj – mruknął Max, studiując mapę.

Cykady hałasowały, tylko że teraz ich głosy brzmiały jak „he, he, he, he”. Poza tym, nie licząc postękiwania wyłączzonego silnika, panowała wokół kompletna cisza.

Zakłócił ją dopiero terkot zbliżającego się traktora, który wyłonił się z winnicy. Takiego pojazdu jeszcze nie widzieli. Traktor bowiem był bardzo wąski, a przy tym tak wysoki, że bez trudu mógł pędzić pomiędzy szpalerami winorośli.

Za kierownicą siedział młody człowiek w bejsbolówce na głowie i okularach przeciwsłonecznych na nosie. Miał na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i biały podkoszulek. Pozdrowił ich zdawkowym skinieniem i chciał jechać dalej w swoją drogę, ale Max zaczął do niego energicznie machać, więc zatrzymał się parę metrów dalej. Młody pisarz podbiegł do niego.

– Przepraszam – Jean usłyszał jego głos usiłujący przekrzyczeć hałas silnika. – Gdzie znajdziemy dom Petit St Jean należący do pani Brigitte Bonnet? – Kierowca zgasił silnik, zdjął czapkę i okulary, otarł czoło, a na jego ramiona posypały się długie, czekoladowe pasma włosów. – O, *pardonnez-moi*, proszę wybaczyć, mademoiselle, myślałem, że to... mężczyzna – dukał zakłopotany Max.

– No jasne, od kobiety oczekuje pan pewnie, że będzie chodzić w obcisłej kiecce, a nie jeździć na traktorze – odparła kwaśno nieznajoma, upychając znów włosy pod czapką.

– No, i z dzieckiem na ręku stać przy garach – dorzucił Max.

Kobieta popatrzyła na niego zdziwiona, po czym roześmiała się serdecznie.

Kiedy Jean, siedzący cały czas w aucie, odwrócił głowę w ich stronę, nieznajoma znów miała na nosie wielkie okulary i objaśniała akurat, jak mają trafić na miejsce. Gospodarstwo Bonnetów leżało po drugiej stronie winnicy, wystarczy więc ją tylko objechać.

– *Merci, mademoiselle.*

Pozostałe słowa zagłuszył warkot silnika.

Perdu widział teraz tylko dolną część twarzy nieznajomej i rozbawiony uśmiech, który zagościł na jej ustach.

Potem nacisnęła na gaz i odjechała z terkotem, pozostawiając za sobą smugę kurzu.

– Bardzo ładna okolica – powiedział Max, wsiadając do samochodu. Jean zauważył, że jest rozgorączkowany.

– Coś tam zaszło?

– Z nią? – Max roześmiał się odrobinę zbyt głośno i zbyt piskliwie. – Ach, mówiąc krótko, prosto z mostu, tak to już jest. No w każdym razie wyglądała niesamowicie – Był jak uszczęśliwiony psiak. – Brudna, spocona, a jednocześnie niesamowicie słodka. Jak czekolada prosto z lodówki. Ale poza tym? Nie, nic nie zaszło. Fajny traktorek. Czemu pytasz? – Wciąż

wydawał się oszołomiony.

– Tak tylko – skłamał Jean.

Kilka minut później dotarli do Le Petit St Jean. Wiejski dom z początków osiemnastego wieku wyglądał jak z obrazka. Jasnoszare ściany z kamienia, wąskie, wysokie okna, malowniczy ogród, dziki i kwitnący. Stronę Luberon, a następnie namiary na madame Bonnet, Max znalazł w internecie, to u niej były jeszcze ostatnie wolne pokoje. Nocleg w niegdysiejszym gołębniku, *pigeonnier*, wraz ze śniadaniem.

Brigitte Bonnet, nieduża, krótkowłosa kobietka tuż przed sześćdziesiątką, powitała ich ciepłym uśmiechem i koszyczkiem dopiero co zerwanych moreli. Miała na sobie męski podkoszulek i jasnozielone bermudy, a na głowie kapelusz z szerokim rondem. Była opalona niczym orzech, a jej oczy jaśniały promiennym błękitem.

Morele miały delikatną, słodką skórkę, a przerobiony gołębnik okazał się przybytkiem mierzącym cztery na cztery metry, z balią służącą do kąpieli i toaletą wielkości szafy. W środku na ścianach wisiało kilka wieszaków i stało jedno, raczej wąskie łóżko.

– A gdzie drugie łóżko? – chciał wiedzieć Jean.

– Och, *messieurs*, jest tylko to. Czyżbyście nie byli parą?

– Będę spał na zewnątrz – zaproponował pośpiesznie Max.

Gołębnik był mały i uroczy. Z dużych tarasowych okien rozciągał się widok na całe Plateau de Valensole. Okolony kamiennym murem przypominającym mur zamkowy budynek z wysypanym białym żwirem tarasem stał w otoczeniu sadu i pól lawendy. Obok szemrała niewielka urokliwa fontanna. Można w niej było chłodzić wino, siedząc jednocześnie obok na murku, majtać nogami i patrzeć ponad drzewami w sadach i polami warzywnymi na cały płaskowyż, jak gdyby nie istniały tu ani ulice, ani inne zabudowania. Takie miejsce mógł wyszukać tylko ktoś z wyrobionym poczuciem perspektywy.

Max wskoczył na szeroki mur i przysłoniwszy oczy dłonią, powiódł wzrokiem po okolicy. Wsłuchując się uważnie, można było wyłowić dobiegający z oddali terkot traktora i dostrzec niedużą smużkę kurzu, przemieszczającą się tam i z powrotem wzdłuż krzewów winorośli.

Taras przed gołębnikiem również otaczały kępki lawendy, róże i drzewka owocowe. Pod rozłożystym parasolem stały dwa krzesła wyłożone mięciutkimi, jasnymi poduchami oraz stolik z mozaikowym blatem.

Madame Bonnet przyniosła im tutaj dwie pękate flaszki zmrożonej oranginy oraz jako prezent powitalny butelkę jasnosłomkowego schłodzonego *bong veng*, czyli wymawianego po prowansalsku *bon vin*, dobrego wina.

– To tutejsze *bong veng*, z winnicy Luca Basseta – opowiadała. – Majątek z siedemnastego wieku, po drugiej stronie drogi krajowej D36. Stąd jakieś piętnaście minut na piechotę. W tym roku Manon XVII zdobyło nawet złoty medal.

– Co? Manon? – wykrztusił Perdu.

Max przytomnie zaczął wylewnie dziękować gospodyni.

Potem, kiedy Brigitte Bonnet oddalała się już ścieżką pośród grządek, wrywając tu i ówdzie jakiś chwaścik, spojrzał na etykietę na butelce wina. Nad napisem Manon widniał delikatny piórkowy szkic przedstawiający kobiecą twarz okoloną kręconymi puklami. Usta w półuśmiechu i spojrzenie wielkich oczu skierowane na patrzącego.

– To twoja Manon? – zapytał z zachwytem.

Jean najpierw kiwnął, a potem potrząsnął głową.

Nie, oczywiście, że to nie ona. A już na pewno nie jego.

Jego Manon umarła. Była piękna. Ożywa tylko w snach.

Tymczasem teraz, tak zniemacka, patrzy wprost na niego.

Wyjął butelkę z rąk młodego człowieka i delikatnie przesunął palcami po rysunku z twarzy Manon. Po jej włosach, jej policzkach, jej brodzie, ustach, szyi. Tam, gdzie kiedyś jej dotykał...

Poczuł drżenie.

Najpierw w kolanach. Stąd rozprzestrzeniło się dalej, opanowało od wewnątrz brzuch i pierś, następnie powędrowało do rąk i dłoni, by osadzić się w wargach i powiekach.

Jego krążenie tego nie wytrzyma.

Głos Jeana zabrzmiał płasko, kiedy wydusił:

– Uwielbiała dźwięk, jaki słysząc podczas zrywania świeżych moreli. Trzeba je chwycić delikatnie kciukiem i dwoma palcami, lekko przekręcić, a wtedy słysząc to „knk”. Jej kot nazywał się Miau. Zimą spał na jej głowie niczym futrzana czapka. Manon odziedziczyła palce u stóp, jak mówiła, palce z talią, po ojcu. Bardzo go kochała. Kochała też naleśniki z serem banon i miodem lawendowym. Czasem śmiała się przez sen, Max. Była żoną Luca, a ja byłem jej kochankiem. Luc Basset, *le vigneron*.

Jean podniósł głowę. Drżącą ręką odstawił butelkę na stolik.

Najchętniej wyrzuciłby ją za mur, gdyby nie irracjonalna obawa, że uszkodzi twarz Manon.

Nie wytrzyma. Nie potrafi znieść samego siebie. Jest w najpiękniejszym miejscu na świecie. Z przyjacielem, który stał się jego synem i powiernikiem. Spalił za sobą mosty, wyruszył w drogę na południe, przez wodę i lzy.

Tylko po to, żeby stwierdzić, że nadal nie jest gotowy.

W myślach wciąż stał w korytarzu swojego mieszkania, przed ścianą z książek, przed murem odcinającym go od życia.

Czy naprawdę oczekiwał, że wystarczy tu przyjechać, aby wszystko w jakiś cudowny sposób się odmieniło? Że pozostawi na rzece swoje cierpienie, wymieni nieprzelane lzy na odpuszczenie grzechów przez umarłą kobietę? Że tym, ile przeżył, zasłuży sobie na wybawienie?

Tak, tego oczekiwał.

Tyle że to nie takie proste.

To nigdy nie bywa proste.

Gniewnym gestem odwrócił butelkę tyłem. Niech Manon już na niego nie patrzy.

Nie. Nie może się jej przecież tak pokazać. Nie jako taki nikt z sercem błakającym się bez celu ze strachu przed nową miłością i utratą swojej dawnej ukochanej.

Kiedy Max wsunął swoją rękę w jego dłoń, mocno ją zacisnął. Bardzo mocno zacisnął.

Aksamitne powietrze południa przepływało swobodnie przez samochód. Jean pootwierał korbką wszystkie okna w starej jak świat renówce, podarowanej mu przez Gérarda Bonnetta, męża Brigitte. Wypożyczone auto oddali w Apt.

Drzwi z prawej strony były niebieskie, te po lewej czerwone, beżową resztę gruchota wszędzie zaś ponadgryzała rdza. Perdu wyruszył nim w drogę, zabrawszy tylko niewielką torbę podróżną. Minął Bonnieux, potem Lourmarin, następnie przejechawszy przez Pertuis, skierował się do Aix. Stamtąd prowadziła bowiem najszybsza trasa na południe i nad Morze Śródziemne. W dole, nad zatoką pyszniła się Marsylia, wielka metropolia, w której spotykały się i konkurowały ze sobą Afryka, Europa i Azja. Kiedy, już po zachodzie słońca, minąwszy wniesienia Vitrolles, zjeżdżał do tego portowego miasta drogą A7, przypominało mu ono żywy, pulsujący organizm.

Po prawej bieleły się domy, po lewej rozciągał się błękit morza i nieba. Oszałamiający widok.

Ocean.

Jak on migocze.

– Witaj, oceanie – wyszeptał Jean Perdu. Widok morza fascynował go. Jak gdyby woda zarzuciła jakiś niewidzialny harpun, który wbił się w jego serce, i ciągnęła go teraz ku sobie.

Woda. Niebo. Białe linie kondensacyjne na błękitcie w górze i białe ślady kilwaterów w błękitcie na dole.

O tak, chce znaleźć się w tym bezgranicznym błękitcie. Jadąc wzdłuż stromego wybrzeża. I dalej, dalej, dalej. Aż ustanie to drżenie. Czy na pewno wywołało je pożegnanie z Lulu?

A może raczej pożegnał się z nadzieją, że już uporał się z przeszłością?

Zamierzał jechać, dopóki nie będzie tego pewien. Chciał znaleźć miejsce, gdzie mógłby się zaszyć jak ranne zwierzę.

Wyzdrowieć. Muszę wyzdrowieć.

Nie przewidział tego, wyruszając z Paryża. Jednak zanim na dobre opadły go myśli, czego jeszcze nie przewidział, włączył radio.

– Gdyby mieli państwo powiedzieć, jakie wydarzenie wpłynęło na to, kim teraz jesteście, to co by to było? Zadzwońcie i opowiedzcie o tym mnie i naszym słuchaczom z departamentu Var.

Padł numer telefonu, następnie moderatorka o miłym głosie przypominającym mus czekoladowy włączyła muzykę. Długi powolny, falujący kawałek. Od czasu do czasu odzywał się melancholijny dźwięk gitary, perkusja szemrała niczym fale rozbijające się o brzeg.

Albatross Fleetwood Mac.

Słuchając, Jean widział mewę szybującą po niebie na tle zachodu słońca, gdzieś ponad samotną plażą, gdzie płoną ogniska.

Sunął w letnim upale autostradą miejską przez Marsylię, szukając w pamięci wydarzenia, które go ukształtowało, tymczasem w radiu słuchaczka Margot z Aubagne opowiadała o chwili, jaka zaważyła na jej życiu.

– To były narodziny mojego pierwszego dziecka, córeczki. Ma na imię Fleur. Poród trwał trzydzieści sześć godzin. Ale że ból potrafi prowadzić do takiego szczęścia, takiego spokoju...

byłam potem jak wybawiona. Naraz wszystko nabrało sensu i przestałam się już bać śmierci. Dałam komuś życie, a ból stał się drogą do szczęścia.

Przez moment Jean chyba ją rozumiał. Ale był mężczyzną. Zagadką pozostawało więc dla niego, jak to jest przez dziewięć miesięcy żyć w takiej harmonii z drugim ciałem. Nigdy nie będzie w stanie zrozumieć i poczuć tego, jak jakaś część Ja przechodzi na dziecko i w nim niknie.

Wjechał w tunel prowadzący pod marsylskimi katedrami, mimo to nie stracił zasięgu w radiu.

Kolejnym słuchaczem był Gil z Marsylii. Mówił twardym, kanciastym językiem robotnika.

– Stałem się sobą, kiedy umarł mój syn – powiedział, jękając się. – Żałoba pokazała mi, co jest ważne. Z żałobą jest tak, że na początku jest z nami ciągle. Budzi nas. I chodzi za nami przez cały dzień, wszędzie. I jest z tobą wieczorem, nawet we śnie nie daje ci spokoju. Dusi i trzęsie. Ale i grzeje. A któregoś dnia znika, choć nie na zawsze. Pojawia się co jakiś czas znowu. A potem, na końcu... zrozumiałem, co jest w życiu ważne. To żałoba, żal zdradziły mi ten sekret. Miłość jest ważna. Jedzenie. I żeby stać prosto, nie mówić tak, kiedy chcemy powiedzieć nie.

Znów popłynęła muzyka. Jean opuścił Marsylię.

Czy naprawdę myślałem, że jestem jedynym człowiekiem, który przechodzi żałobę? Który stracił poczucie sensu? Ach, Manon. Zabrakło mi kogoś, z kim mógłbym o tobie porozmawiać.

Pojął, co stało się impulsem do zerwania z Paryżem. Taka właściwie banalna drobnostka. Podpórka do książek ze strofami Hessego. *Stopnie* – ten na wskroś intymny, mądry wiersz wykorzystany jako... marketingowy gadżet.

Docierało też do niego, że on także nie może opuścić żadnego ze stopni.

Tylko na którym z nich był? Czy to jeszcze koniec? Czy jednak już początek? A może upadł, zgubił krok?

Wyłączył radio. Niebawem zobaczył zjazd na Cassis i skręcił.

Opuszczał autostradę jeszcze całkiem zatopiony w myślach, jednak wkrótce dojechał do Cassis, gdzie musiał przeciskać się, używając nieraz klaksonu, przez strome ulice. Tłumy turystów, dmuchane materace w kształcie zwierząt, diamentowe kolczyki do sukni wieczorowej. Jedna z ekskluzywnie wyglądających restauracji kuśliła plakatem. „Przysmaki z Bali”.

To nie miejsce dla mnie.

Przypomniał mu się Eric Lanson, terapeuta paryskich polityków, który lubił literaturę fantasy i zabawiał go często literacką psychoanalizą. Przecież z nim mógłby porozmawiać o swoim żalu i lęku! Lanson przysłał mu kiedyś kartkę z Bali. Tam śmierć była szczytowym momentem życia. Czczono ją tańcem, koncertami gongów i ucztą z owoców morza. Pomyślał od razu, co na takie święto powiedziałaby Max. Coś ironicznego. Coś radosnego.

Na pożegnanie młody pisarz oznajmił Jeanowi dwie rzeczy.

Po pierwsze, że zmarłych należy uszanować, spalić, a ich prochy zakopać, a następnie zacząć opowiadać ich historię.

– Ten, kto nie mówi o swoich zmarłych, nie zazna spokoju.

Po drugie, że okolica Bonnieux naprawdę się mu podoba, że chce zostać w gołębniku i tu pisać.

Perdu mógł się tylko domyślać, że w rachubę wchodzi również właścicielka pewnego czerwonego traktora.

Ale jak on to powiedział? Opowiadać historię zmarłych?

Chrząknął i odezwał się na głos:

– Mówiła, jaka jest natura. Manon okazywała swoje uczucia, zawsze. Kochała tango. Piła życie jak szampana i takie też miała podejście: była świadoma, że życie to coś nadzwyczajnego. Czuł, jak ogarnia go smutek.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni wylał więcej łez niż przez ostatnie dwadzieścia lat. To były łzy z powodu Manon, każda. I już się nie wstydził.

Pokonał pośpiesznie pozostałe strome ulice Cassis, zostawił za sobą Cap Canaille z jego niezwykle czerwonymi klifami i pojechał dalej poprzez wzniesienia i lasy piniowe starą, krętą trasą nadmorską łączącą Marsylię z Cannes. Wsie przechodziły jedna w drugą, szeregi domów ignorowały granice miast, palmy przeplatały się z piniami, a kwiaty ze skałami. La Ciotat. Le Liouquet. Następnie Les Lecques.

Spostrzegłszy parking przy wejściu na plażę, Jean, nie namyślając się długo, postanowił odłączyć się od ciągnącej nieśpiesznie kolumny aut. Poczul głód.

Położone na wąskim wybrzeżu miasteczko składające się ze starych podupadających willi i nowych pragmatycznych kompleksów hotelowych zaludniały teraz liczne rodziny. Letnicy spacerowali po plaży i promenadzie albo okupowali restauracje i bistra z oknami wychodzącymi na morze.

Na tle morza dostrzegł też sylwetki opalonych chłopaków grających we *frisbee*. Na wodzie, za łańcuszkiem żółtych boi, nieopodal latarni morskiej kołysało się stadko małych, jednoosobowych żaglówek.

Jean wybrał miejsce przy barze bistra L'équateur, dwa metry od plaży, dziesięć metrów od łagodnego morskiego brzegu. Wielkie, niebieskie parasole wybrzuszały się na wietrze, ocieniając gęsto poustawiane stoliki, jak wszędzie w Prowansji w sezonie letnim, kiedy turyści tłoczyli się w każdym miejscu niczym sardynki w puszcze. Z baru miał widok na wszystko.

Jedząc potem z wysokiego, czarnego naczynka parujące omułki w ziołowo-śmietanowym sosie i popijając na przemian wodą oraz cierpkawym, białym bandol, nie spuszczał morza z oczu nawet na chwilę.

W świetle późnego popołudnia woda lśniła płowym błękitem, z kolei tam, gdzie zachodziło słońce, miała ciemnoturkusową barwę. Piasek także mienił się wieloma kolorami. Najpierw był pszeniczny, potem w odcieniu ciemnego lnu, a na koniec poszarzał jak skalny łupek. Przechodzące obok knajpki kobiety były coraz bardziej ożywione, ich spódniczki coraz krótsze, a śmiech coraz donośniejszy. Na przybrzeżnym mołu działała dyskoteka na świeżym powietrzu. Zmierały tam teraz trzy- lub czteroosobowe grupki w cienkich sukienkach albo krótkich dżinsowych spodenkach i T-shirtach odsłaniających opalone, gładkie ramiona.

Perdu obserwował młodych ludzi. Ich sposób chodzenia szybkim krokiem z lekko pochylonym w przód tułowiem zdradzał nieokiełznany, młodzieńczy głód przeżyć. Pragnienie, by jak najszybciej znaleźć się tam, gdzie jest szansa na przygodę. Przygodę erotyczną! Śmiech, wolność, taniec boso na chłodnym piasku do białego rana. I ten żar poniżej pępka. Pocałunki, które na zawsze pozostaną niezapomniane.

Saint-Cyr i Les Lecques ożyły po zachodzie słońca.

Letni tryb życia tego regionu. Nadrabianie czasu z upalnego popołudnia, kiedy krew, gęsta i omdlała, ledwie krąży w żyłach.

Stromy cypel po lewej stronie, obsiany domami i piniami, zajaśniał teraz rdzawozłotym blaskiem, niebo aż po horyzont przechodziło z ciemnego błękitu w oranż, morze poniżej falowało słodko i słono.

Akurat kiedy wyjadł już prawie wszystko ze swojego naczynia, a na dnie pozostała

jedynie resztkę ziołowego sosu pachnącego wodą morską i kilka okruchów muszli omułek, na chwilę morze, niebo i ziemia przybrały jednorodną niebieskawą barwę. Chłodny, gołębi odcień, który osiadł teraz w powietrzu, na winie w kieliszku, na białych ścianach i promenadach – wszyscy ludzie wydali się naraz ruchomymi kamiennymi posągami.

Jasnowłosy barman o urodzie surfera zabrał talerze sprzed Jeana i z rutyną podsunął mu naczynie z ciepłą wodą do obmycia rąk.

– Chcesz zamówić deser? – zabrzmiało uprzejmie, choć może należało to rozumieć tak: „Jeśli nie, to już idź, na to miejsce znajdzie się jeszcze paru innych klientów”.

Mimo to Jean czuł się tu dobrze. Zjadł ocean i popił go oczami. Właśnie tego potrzebował, a i drzenie nieco zelzało.

Zostawił niedopite wino, rzucił banknot na talerzyk i nadmorską drogą ruszył z powrotem do swojego malowniczego samochodu, zlizując z ust śmietankowe wspomnienie owoców morza.

Kiedy później widok na morze się skończył, Jean na pierwszym napotkanym skrzyżowaniu skręcił przekornie w prawo i zjechał z trasy. Wkrótce, spoza pinii, cyprysów, wygiętych wiatrem sosen oraz domów, hoteli i willi, znów wyłoniła się morska toń spowita teraz jasną, księżycową poświatą. Jechał pustymi uliczkami uroczego osiedla okazałych, kolorowych willi. Choć nie wiedział za bardzo, gdzie się znajduje, czuł, że chciałby się tu obudzić następnego ranka i wykąpać w morzu. Należało więc rozejrzeć się za jakimś lokum lub przynajmniej kawałkiem plaży, na którym mógłby rozpalic ognisko i spędzić noc pod gwiazdami.

Akurat kiedy zjeżdżał w dół bulwarem Frédéric Mistral, jego renault zaczęło wydawać świst, który wkrótce przeszedł w zgrzyt i kasłanie silnika. Korzystając z nachylenia drogi, Perdu skierował zepsute auto na pobocze, gdzie wydało swoje ostatnie tchnienie. Kiedy próbował je jeszcze raz uruchomić, po przekręceniu kluczyka nie było słycać nawet jednego dźwięku. Najwidoczniej renówka także zapragnęła już tu pozostać.

Wysiadł i rozejrzał się wokół.

Poniżej dostrzegł niewielką zatoczkę, a nad nią wille i domki letnie, które pół kilometra dalej skupiały się w coś w rodzaju centrum skąpanego w niebieskawo-pomarańczowym świetle. Wyciągnął z samochodu torbę i pomaszerował żwawo.

Powietrze emanowało zbawiennym spokojem i ciszą. Żadnych dyskotek na piasku. Żadnych samochodów. Nawet morze szumiało tu jakby ciszej.

Kiedy po dziesięciu minutach spaceru wzdłuż starych, niedużych willi i bujnych ogrodów dotarł do dziwacznej czworobocznej baszty, wokół której ponad sto lat temu dobudowano hotel, domyślił się, gdzie jest.

Akurat tutaj! Choć z drugiej strony to nawet logiczne.

Z nabożeństwem wkroczył na nabrzeże, po czym zamknął oczy, by lepiej poczuć zapach tutejszego powietrza. Sól. Przestrzeń. Świeżość.

Z powrotem uniósł powieki. Stary port rybacki. Dziesiątki barwnych stateczków kołyszących się na aksamitnej toni. Za nimi w oddali białe jachty. Kamienice nie wyższe niż na cztery piętra, o pastelowych fasadach.

Urokliwa, wiekowa wioska rybacka, za dnia rozkwitająca kolorami, nocą spowita blaskiem gwiazd, a wieczorami oświetlona miękkim, różowawym światłem staromodnych latarni. Targ w cieniu platanów ze straganami z żółtymi i czerwonymi markizami. I ludzie uspokojeni słońcem i morzem, patrzący w dal rozmarzonym wzrokiem, siedzący przy niezliczonych stolikach i na stołkach barowych w starych knajpach i nowych kawiarniach.

Miejsce, które poznało i przyjęło niejednego uciekiniera.

Sanary-sur-Mer.

Adresat: Catherine (nazwisko „tego wiadomo” Le P.), rue Mon-tagnard 27, 75011 Paryż

Sanary-sur-Mer, sierpień

Daleka Catherine,

morze objawiło się dotychczas w dwudziestu siedmiu odcieniach. Dziś w mieszance zieleni i niebieskiego, którą właścicielki butików określają mianem petrol. Pewnie wiedzą, co mówią, ja jednak wolę „mokry turkus”.

Morze, Catherine, potrafi wołać. Potrafi drapać jak kot. Łasi się najpierw i przymila, pokazuje najgładszą z możliwych taflę wody, a potem wybucha, przyciągając surferów wielkimi, huczącymi falami. Codziennie jest inaczej. Mewy w dni sztormowe krzyczą jak małe dzieci, a w dni słoneczne jak zwiastuny wspaniałości: „Czar! Czar! Czar!”. Można by umrzeć z nadmiaru piękna i nawet tego nie zauważyć.

Moje studenckie życie w belle bleue, niebieskim pokoju w pensjonacie Beau Séjours prowadzonym przez pana André, dobiegło końca tuż po 14 lipca. Rzeczy do prania nie muszę już pakować do poszewki i zwracać się z potulną miną do madame Pauline o ich wypranie albo wędrować do pralni za centrum handlowym w Six Fours Les Plages. Dorobiłem się własnej pralki. Wyplata w księgarni. M.M., czyli madame Minou Monfrère, właścicielka i pierwsza miejscowa bukinistka, jest ze mnie zadowolona. Jak mówi, nie przeszkadzam. No cóż. Pierwsza szefowa w moim życiu przydzieliła mnie do działów z literaturą dziecięcą, z leksykonami i z klasyką. Poprosiła mnie też, abym zalesił regał z niemieckimi pisarzami emigracyjnymi. Postępuję zgodnie z jej poleceniami i nawet w jakiś osobliwy sposób podoba mi się taka praca w zaprzęgu.

Znalazłem też dom – dla siebie i swojej pralki.

Stoi na wzgórzu, ponad portem, za kaplicą Notre Dame de Pitié, ale przed Portisol, tycieńką zatoczką z plażą, na której tłoczą się letnicy. Mieszkania w paryskich kamienicach są większe niż cały ten dom. Za to nie tak piękne.

Kolor domu waha się gdzieś pomiędzy różem flamingów a żółcią chińskiego curry. Z jednej z sypialń roztacza się widok na palmę, pinię i mnóstwo kwiatów, zaś z drugiej strony widać kaplicę, a dalej ponad krzewami hibiskusów otwarte morze. Kombinacja barw, jakie kochał Gauguin. Róż i petrol. Róż i przesiąknięty wodą turkus. Mam głębokie przekonanie, Catherine, że dopiero tu uczyć się patrzeć.

Nie muszę płacić czynszu. Zamiast tego mam wyremontować ten domek w kolorze flamingo-curry. Należy również do André i jego żony Pauline. Oni sami nie mają ani czasu, ani dzieci, które mogliby zagonić do tej pracy. W sezonie wszystkie dziewięć pokoi w ich pensjonacie Beau Séjours jest zawsze zabukowane do ostatniego dnia wakacji.

Trochę brakuje mi mojego niebieskiego pokoju z numerem trzy na pierwszym piętrze, i dźwięcznego głosu André, przyrządzanych przez niego śniadań, cichego podwórza ocienionego zielonymi pnączami. André przypomina mi mojego ojca. Zajmuje się przygotowywaniem posiłków dla gości. Pauline układa pasjanse, na życzenie dam czasem też tarota, oraz troszczy się o dobrą atmosferę. Widuję ją najczęściej, jak siedzi przy plastikowym stoliku, z papierosem w ręku i cmokając, rozkłada karty. Mnie także proponowała tarota. Czy powinienem się zgodzić?

Ich sprzątaczkę – Aimée, jasnowłosa, korpulentna, bardzo głośna i bardzo zabawna, oraz Süliüm, drobniutka, chudziutka, ale krzepka, pomarszczona jak zeschnięta oliwka, śmiejąca się bezgłośnie i bezzębnie – noszą wiadra z wodą tak jak paryżanki swoje kosztowne torebki od Louisa Vuittona albo Chanel. Aimée widuję często w kościele, tym przy porcie. Śpiewa w chórze i zawsze ma wtedy oczy pełne łez. Nabożeństwa mają tu bardzo ludzki wymiar. Ministranci są młodzi, noszą białe nocne koszule i uśmiechają się serdecznie. W Sanary nie ma ani śladu zwyczajowej hipokryzji spotykanej w wielu innych nadmorskich kurortach południa.

I tak też jest ze śpiewem. Trzeba płakać ze szczęścia. Sam nawet zacząłem znów śpiewać w łazience, podskakując pod zepsutym prysznicem. Czasami jednak powraca blokada. Jak gdybym mieszkał w jakiejś niewidzialnej skrzyni, której ściany odgradzają mnie od świata. Wtedy nawet mój głos wydaje mi się zbyteczny.

Buduję nad tarasem zadaszenie, bo z jednej strony tutejsze słońce jest wprawdzie niezawodne, z drugiej strony przypomina gigantyczny salon w książęcym pałacu. Ogrzewasz się w jego blasku, czujesz bezpiecznie, otacza cię luksus i wygoda, a jednocześnie kiedy upał trwa zbyt długo, przytłacza, zagraża i odbiera oddech. Żaden mieszkaniec Sanary nie wychodzi na zewnątrz pomiędzy godziną czternastą a siedemnastą, a niekiedy nawet dziewiętnastą. Woli wtedy skryć się w najchłodniejszym miejscu swojego domu, ułożyć się, najlepiej nago, na chłodnych kaflach podłogi w piwnicy i czekać, aż piękno i skwar w końcu okażą łaskę. Ja obkładałam się mokrymi ręcznikami.

Z kuchennego tarasu, który właśnie buduję, widać pomiędzy masztami statków kolorowe fasady zabudowań portowych, ale przede wszystkim jednak białe, połyskujące w słońcu jachty i latarnię morską na końcu mola, gdzie 14 lipca pirotechnicy ze straży pożarnej urządzili pokaz sztucznych ogni. Zobaczysz też stąd leżące po przeciwległej stronie góry i pagórki, a pomiędzy nimi Toulon i Hyères. Mnóstwo białych domków rozsianych na skalistych wzgórzach. A jeśli wespnieiesz się na palce, dostrzeżesz także czworokątną basztę na starówce Saint-Nazaire. Przestrzeń wokół niej zabudowano, powstał Hotel De La Tour, gładki klocek – mieszkało w nim paru niemieckich pisarzy, którzy zdecydowali się na emigrację w czasie wojennej zawieruchy.

Mannowie, Feuchtwangerowie, Bertolt Brecht. Państwo Bondy, Ernst Toller. Jeden Zweig i drugi też, Christa Wolf, Anna Seghers i Fritzi Massary. Co za cudowne imię dla kobiety, Fritzi.

(Rozpisałem się, wybacz mi, Catherine! Papier jest cierpliwy. Za to autor nigdy).

Któregoś dnia, kiedy już bynajmniej nie jako zawstydzony nowicjusz grałem w petankę w starym porcie na nabrzeżu Wilsona, zza rogu wyłonił się pewien niewysoki, przysadzisty

neapolitańczyk w panamie na głowie, z wąsem drżącym jak u szczęśliwego kota, trzymając za rękę kobietę, której wielkie serce można poznać już po oczach. Cuneo i Samy! Zabawili tydzień. Barka pozostała w tym czasie pod opieką miasta Cuisery. Lulu, niezrównany przybytek literatury.

Skąd, po co, dlaczego, głośnie powitanie.

– Dlaczego nigdy nie odbierasz telefonu, ty zacofany wielbicielu papieru? – ryknęła Samy. Na szczęście wiedzieli, jak sobie poradzić. Za pośrednictwem Maksa. I oczywiście madame Rosalette zawsze pomocnej, zwłaszcza gdy w grę wchodzi szpiegowanie. Musiała wnikliwie przestudiować stemple na listach pisanych do Ciebie i namierzyła mnie właśnie w Sanary. Ciekawe, jak przyjaciele i kochankowie poradziliby sobie bez konsjerżek? Zresztą może wszystkie nasze zadania zostały już spisane w wielkiej księdze pod tytułem La Vie. Niektórzy potrafią dobrze kochać, inni zaś potrafią nad nimi czuwać.

Wiem oczywiście, dlaczego zapomniałem o telefonie.

Zbyt długo żyłem w świecie papieru. Dopiero uczę się świata „tu i teraz”.

Cuneo przez cztery dni pomógł mi w pracach murarskich, próbując przy tym nauczyć mnie postrzegać gotowanie jak sztukę miłości. Jego wyjątkowe wykłady i ćwiczenia rozpoczynały się na targu, gdzie skrzynki z pomidorami, fasolą, melonami, innymi owocami, czosnkiem, trzema rodzajami rzodkiewki, malinami, ziemniakami i cebulą piętrzyły się ponad głowami sprzedawczyń. W lodziarni za karuzelą jedliśmy lody karmelowe. Lekko słonawe, o słodkim posmaku spalonego cukru, śmietankowe i zimne. Jeszcze nigdy nie jadłem tak doskonałych lodów. Odtąd przychodzę na nie każdego dnia (a czasem i nocą).

Cuneo uczył mnie patrzeć rękami. Pokazał mi, jak rozpoznać, co w jaki sposób potraktować. Uczył mnie wąchać i tego, w jaki sposób zapach zdradza, co do czego pasuje i co z tego można ugotować. Do lodówki wstawił mi filiżankę z mieloną kawą. Ma ona zbierać wszystkie niepożądane zapachy. Dusiliśmy, gotowaliśmy, piekliśmy, grillowaliśmy ryby.

Jeżeli zapytasz mnie jeszcze raz, czy coś dla Ciebie ugotuję, uwiodę Cię tym wszystkim, czego się nauczyłem.

Z kolei Samy przekazała mi ostatnią ze swoich mądrości. Moja wielka, mała przyjaciółeczka. W drodze wyjątku nie wrzeszczała – a najbardziej lubi wrzeszczeć – tylko objęła mnie, kiedy siedziałem wpatrzony w morze, licząc jego kolory. I szepnęła cichutko: „Czy wiesz, że pomiędzy końcem a nowym początkiem istnieje coś jeszcze? To czas zranienia, Jeanie Perdu. Jest jak bagno pochłaniające marzenia, troski i zapomniane zamiary. W tym czasie stąpasz wolniej. Nie lekceważ, Jeano, tego okresu przejścia pomiędzy pożegnaniem a nowym początkiem. Daj sobie czas. Nieraz progi są szerokie, musisz zrobić więcej niż jeden krok”.

O tym, co Samy określiła jako czas zranienia, okres przejścia, myślę często od tamtej pory. O progu, który trzeba pokonać pomiędzy pożegnaniem a nowym początkiem. Zastanawiam się, czy ten mój próg dopiero się rozpoczął, czy może... trwa już dwadzieścia lat.

Czy Ty także znasz ten czas zranienia? Czy zawód miłosny przypomina żalobę? I czy

wolno mi zadawać Ci takie pytania?

Sanary to jedno z niewielu miejsc, gdzie miejscowi uśmiechają się, kiedy polecam im któregoś z niemieckich autorów. Do pewnego stopnia czują się dumni, że to u nich kwiat niemieckiego pisarstwa znalazł schronienie przed faszystowską dyktaturą. Zachowało się jednak niewiele domów niegdysiejszych uchodźców, sześć, może siedem. Dom Mannów został przebudowany. W księgarniach trudno dziś dostać ich dzieła, a przecież kiedyś mieszkali tu tak licznie. Rozbudowuję więc ich dział, M.M. dała mi wolną rękę.

Wyobraź sobie, poleciła mnie też miejscowej elicie. Burmistrzowi, wysokiemu wytwornisiowi o krótkich siwych włosach, który 14 lipca uwielbia prowadzić paradę wozów strażackich. Prezentują się wtedy w całej okazałości. Wozy ciężarowe, czołgi, jeepy, nawet rowery i łodzie na stelażach. Imponująca kawalkada, za którą maszeruje narybek, dumny i emanujący spokojem. Natomiast biblioteka burmistrza to apteczka wyposażona nader mizernie. Same wielkie nazwiska, Camus, Baudelaire, Balzac, wszystko oczywiście oprawne w skórę, chyba po to, by odwiedzający pomyślał od razu: „O, Monteskiusz! I Proust, no, no, co za nuda”.

Zaproponowałem panu burmistrzowi, by czytał to, co chce, zamiast tego, co rzekomo robi wrażenie. I żeby nie układał książek ani kolorami okładek, ani wedle alfabetu czy gatunku, tylko tematycznie. Na przykład na jedną półkę wszystko o Włoszech – książki kucharskie, kryminały Donny Leon, powieści, albumy, literatura fachowa o Leonardzie da Vinci, traktaty religijne świętego Franciszka i tak dalej. Gdzie indziej wszystko na temat morza, od Hemingwaya po gatunki rekinów, wiersze o rybach i potrawy z ryb.

Ma mnie za bardziej przebiegłego, niż jestem w rzeczywistości.

W księgarni M.M. jest jedno miejsce, które lubię szczególnie. Zaraz przy leksykonach. Zaciszny kąt, do którego tylko od czasu do czasu zaglądają małe dziewczynki, by sprawdzić coś po kryjomu, bo wcześniej usłyszały od rodziców „Jesteś jeszcze na to za mała. Wytlumaczę ci to, jak podrośniesz”. Moim zdaniem nie ma pytań, do których trzeba najpierw dorosnąć. Wystarczy znaleźć odpowiedź dostosowaną do wieku pytającego.

Siadam więc sobie w tym kąciku na trójstopniowej drabince, robię inteligentną minę, wciągam i wypuszczam powietrze. Nic więcej.

Z mojej kryjówki widzę odbijające się w szklanych drzwiach niebo i w oddali fragmenty morza. Obraz jest ładniejszy, bardziej miękki, choć z drugiej strony to prawie niemożliwe, żeby coś tutaj było jeszcze piękniejsze. Pośród tych wszystkich miast pudełek, wzdłuż wybrzeża między Marsylią a Toulonem, Sanary to bodaj jedyne miejsce, gdzie życie nie zamiera wraz z wyjazdem turystów. Rzecz jasna od czerwca do sierpnia wszystko i tutaj kręci się wokół nich, wieczorami bez rezerwacji nie uświadczysz ani jednego wolnego stolika. Ale kiedy lato mija, domy i parkingi przed supermarketami nie pustoszeją tak dotkliwie jak gdzie indziej. Życie toczy się dalej. Uliczki są ciasne, a domki małe i kolorowe. Mieszkańcy trzymają się razem, a o świcie rybacy sprzedają wprost z łodzi ogromne ryby. Takie miasteczko, swojskie, dumne, z wiejską atmosferą, mogłoby równie dobrze leżeć w Luberon. Tyle że Luberon to po prostu dwudziesty pierwszy arrondissement Paryża. Sanary zaś to nostalgiczny zakątek.

Teraz także co noc grywam w petankę, ale nie na bulodromie, tylko na nabrzeżu Wilson.

Reflektory pozostają włączone do jedenastej. Bywają tam spokojni mężczyźni (niektórzy powiedzieliby: starzy), nie pada zbyt wiele słów.

To najpiękniejsze miejsce w całym Sanary. Widzisz morze, miasto, światła, bule, łodzie. Jesteś aktywny, ale panuje spokój. Żadnych oklasków, czasem tylko ciche „Aaach!”, słysząc tylko uderzenia kul i jedynie kiedy trafi Tireur, strzelec, który jednocześnie jest moim nowym dentystą, rozlega się „Peng!”. Mój ojciec byłby zachwycony.

W ostatnim czasie myślę często o tym, jak by to było grać razem z nim. I rozmawiać. Śmiać się. Och, Catherine, jest jeszcze tyle rzeczy, o których moglibyśmy porozmawiać albo je obśmiać.

Gdzie podziało się ostatnie dwadzieścia lat?

Południe jest niebiesko-kolorowe.

Brakuje tu Twojego koloru. On wszystko by rozjaśnił.

Jean

Perdu pływał każdego ranka, przed nadejściem upału, i każdego wieczoru tuż przed zachodem słońca. Uświadomił sobie, że to jedyny sposób, by zmyć z siebie smutek. Pozwolić mu ujść z siebie kawałek po kawałku.

Oczywiście próbował też modlić się w kościele. Śpiewać. Przewędrował całe pogórze wokół Sanary. Opowiedział historię Manon, na głos, w samotności, w kuchni, podczas wędrówek o świcie. Wykrzyczał jej imię w stronę mew i myszołowów. Ale to wszystko pomagało tylko niekiedy.

Czas zranienia.

Żal dopadał go często tuż przed zaśnięciem. Zjawiał się akurat wtedy, kiedy czuł się odprężony i lekki. Leżał potem w ciemności i płakał gorzko, a świat stawał się tak mały jak jego pokój, samotny i pozbawiony ojczyzny. W takich chwilach bał się, że już nigdy nie będzie potrafił się uśmiechać, a ból nigdy go nie opuści. W jego sercu i głowie kotłowało się w tych mrocznych godzinach tysiące trwoźnych pytań. Co jeśli ojciec umrze, zanim razem zagrają w petankę. Co, jeśli matka zacznie rozmawiać z telewizorem i uschnie z żalości? Bał się wtedy, że Catherine przeczyta jego listy swoim przyjaciółkom i razem będą się z nich naśmiewać. Bał się, że bez przerwy będzie czuł żal po stracie kogoś, kogo kochał, tak bardzo kochał.

Jak ma to wytrzymać przez resztę życia? Jak ktokolwiek to wytrzymuje?

Gdyby choć umiał sam siebie odstawić gdzieś w kąt niczym miotłę.

Jedynie morze potrafiło zmyć z niego tę żalość.

Po intensywnym treningu pozwalał unosić się falom ze stopami skierowanymi ku plaży. Tam, na morzu, leżąc z rozczapierzonymi palcami, przez które przepływała woda, wydobywał z siebie każdą godzinę spędzoną z Manon. A potem spoglądał na nią tak długo, aż znikał żal, że już przeminęła. Wtedy ją wypuszczał.

Fale kołysały Jeanem, unosiły go i przekazywały jedna drugiej. A on wolno, bardzo, bardzo wolno zaczynał ufać. Nie morzu oczywiście. Tego błędu nie powinien nikt popełniać! Jean Perdu zaczynał znowu ufać sobie.

Nigdy się nie załamie. Nigdy nie utonie w uczuciach.

Za każdym razem, kiedy oddawał się we władanie morza, pozbywał się jakiejś cząsteczki strachu.

To był jego rodzaj modlitwy.

Przez cały lipiec i połowę sierpnia.

Któregoś ranka morze wyglądało na ciche i łagodne. Jean wypłynął dalej niż dotychczas. Tam, z dala od brzegu, po sówitej porcji kraula i nurkowania, pozwolił sobie znów na to słodkie uczucie wytchnienia. Wokół wszystko emanowało ciepłem i spokojem.

Chyba zasnął, a może to było tylko głębokie zamyślenie. Woda gdzieś znikła, on zaś opadł na dół. Morze zastąpiły ciepłe powietrze i miękka trawa. Pachniało świeżą, aksamitną bryzą, wiśniami i majem. Wróble skakały po oparciach leżaka.

A w nim siedziała ona.

Manon. Uśmiechała się do niego delikatnie.

– Co ty tu robisz?

Zamiast odpowiedzi Jean podszedł do niej, ukląkł i objął ją, wtulając głowę w jej ramię, jak gdyby cały chciał się w niej schować.

Manon gładziła jego włosy. Nie postarzała się nawet o jeden dzień. Była taka młoda i promienna jak Manon, którą zapamiętał z tamtego sierpniowego wieczoru dwadzieścia jeden lat temu. Emanowała ciepłem i życiem.

– Przepraszam, że cię zostawiłem. Byłem taki głupi.

– Oczywiście, Jean – szeptała łagodnie.

Coś się zmieniło. Potrafił popatrzeć na siebie oczami Manon. Jak gdyby unosił się gdzieś w górze i widział wszystkie okresy, całe swoje życie. Doliczył się dwóch, trzech, pięciu wydań samego siebie... a wszystkie w różnym wieku.

O, co za wstyd! Perdu pochylony nad puzzlami z mapą, które burzył, zanim jeszcze skończył układać, by zacząć od nowa.

Następny Perdu, sam w swojej spartańskiej kuchni, wpatrzony w gołą ścianę w skąpym świetle marnej żarówki. Przeżuwający zeschnięty ser i chleb z foliowego worka. Bo nie pozwalał sobie na jedzenie tego, co lubił. Z łęku przed wspomnieniami.

Kolejny Perdu, ignorujący kobiety. Ich uśmiechy. Ich pytania. „A co pan robi dziś wieczorem?” albo „Niech pan do mnie zadzwoni”. Ich serdeczność, kiedy wyczuwały swoim kobiecym radarem uczuć, że nosi w sobie jakąś wielką, bolesną zadrę. Z drugiej strony ich zołzowata natura, niezrozumienie, że nie chce oddzielać miłości od seksu.

Znów coś się zmieniło.

Jeanowi wydawało się teraz, że wyciąga się do nieba tak rozkosznie jak młode drzewo. A jednocześnie jest zataczającym kręgi motylem w locie i myszołowem pikującym w dół z wysokiego szczytu. Czuł, jak wiatr przenika pióra na jego brzuchu, kiedy leci. A potem zanurkował w morzu, z całym impetem. I potrafił oddychać pod wodą.

Pulsowała w nim teraz jakaś nieznaną, prężną witalną siłą. Rozumiał, co się z nim dzieje...

Kiedy się ocknął, fale przyniosły go już prawie na sam brzeg.

Z jakiegoś powodu tego ranka, po kąpieli w morzu i śnie na jawie, nie czuł jednak smutku. Lecz złość.

Czuł gniew!

Owszem, zobaczył ją, a jakże, a ona pokazała mu, jak żalosne życie wybrał. Jak nędzna była samotność, w której tak długo trwał, bo nie zdobył się na odwagę, by jeszcze raz komuś zaufać. Zaufać w pełni, bo miłość nie zakłada innego scenariusza.

Czuł gniew nawet większy niż w Bonnieux, kiedy patrzył na twarz Manon na butelce wina. Był wściekły jak nigdy dotąd.

– *Merde!* – krzyknął w kierunku fal. – Ty głupia krowo, dlaczego musiałaś umrzeć w samym środku życia!

Jego krzyk zwrócił uwagę dwóch biegaczek uprawiających jogging na asfaltowej drodze wzdłuż plaży. Zawstydził się, ale tylko na chwilę.

– No co? – ryknął w ich stronę.

Wprost kipiał pieniącą się złością.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś jak normalny człowiek? Jak mogłaś nie powiedzieć mi, że jesteś chora? Jak mogłaś, Manon, jak mogłaś spać obok mnie przez wszystkie te noce i nic nie powiedzieć! Cholera jasna, ty głupia... o Boże!

Sam nie wiedział, skąd ta wściekłość. Miał ochotę w coś uderzyć. Opadł na kolana i zaczął bić piasek i przegarniać go obiema rękami za siebie. Przesypywał piasek, potem wybuchał, następnie znów przesypywał. Bez większego rezultatu. Wstał więc i pobiegł do wody. Walił w fale pięściami i otwartymi dłońmi, raz po raz, na przemian, równocześnie. Słona woda wpadała mu do oczu, czuł, jak pieką. Jednak walił dalej.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego? – Komu zadawał to pytanie, Manon czy śmierci? To bez znaczenia. Nadal czuł się wściekły. – Myślałem, że się znamy, myślałem, że jesteś po mojej stronie, myślałem...

Gniew w końcu odpłynął. Osiadł na tafli morza, stał się jak fragment rozbitego statku niesiony falami, kiedyś ktoś natknie się na niego i wpadnie w taką samą wściekłość z powodu śmierci, która spieprzyła czyjeś życie.

Jean poczuł pod stopami kamienie. I chłód.

– Chciałbym, żebyś mi wtedy powiedziała, Manon – wydyszał spokojnie. Z powagą i rozczarowaniem.

A morze faloowało dalej obojętnie.

Płacz w końcu ustał. Jean nadal wspominał chwile z Manon, nadal odmawiał swoje morskie modlitwy. Jednak później siadał w porannym słońcu, ociekając wodą i rozkoszując się gęsią skórką. O tak, to była prawdziwa przyjemność. Wracać, brodząc stopami w wodzie, kupować przy plaży pierwsze espresso i pić je jeszcze z mokrą głową, ze wzrokiem utkwionym w morzu i jego zmiennych barwach.

Gotował, pływał, pił raczej mało, sypiał regularnie i codziennie grywał w bule. Dalej pisywał listy. Pracował też nad swoją *Wielką encyklopedią niewielkich uczuć*, a wieczory spędzał w księgarni, sprzedając literaturę ludziom w krótkich spodenkach.

Zmienił sposób, w jaki łączył tutaj książkę i czytelnika. Często pytał na przykład: „Jak chciałby pan czuć się przed zaśnięciem?”. Większość chciała się czuć lekko i bezpiecznie.

Innym z kolei zadawał pytanie, jakie są ich ulubione przedmioty lub sytuacje. Kucharze lubili swoje noże. Agenci nieruchomości uwielbiali brzęk kluczy. Dentyści przerażone spojrzenia swoich pacjentów. Wszyscy potwierdzali przypuszczenia Perdu.

Najczęściej jednak pytał: „Jak książka ma smakować? Lodami? Ostro, mięśnie? A może jak chłodne wino?”.

Istniało ściśle pokrewieństwo pomiędzy jedzeniem a książkami. Odkrył to dopiero tutaj, w Sanary. Z tego też względu doczekał się przydomka Zjadacz Książek.

Remont domku dobiegł końca w drugiej połowie sierpnia. Zamieszkał w nim z pewnym kapryśnym kocim przybłądą o tygryziej maści, który nigdy nie miauczał ani nie mruczał, a do domu zaglądał jedynie wieczorami. Kładł się wtedy jednak pełen ufności obok łóżka Jeana i popatrywał groźnie na drzwi. W ten sposób czuwał nad snem swojego nowego pana.

Otrzymał imię Olson, kiedy jednak na jego dźwięk fuknęła z niechęcią, Perdu wołał na niego Psst.

Jean Perdu nie chciał drugi raz popełnić błędu, pozostawiając kobietę w niepewności co do żywionych do niej uczuć. Nawet jeśli owe uczucia do końca pewne nie były. Wciąż jeszcze tkwił w strefie pośredniej, a nowy początek skrywała mgła. Teraz nie byłby w stanie powiedzieć nawet, gdzie znajdzie się za rok o tej samej porze. Wiedział tylko, że musi dalej iść tą drogą, aby dowiedzieć się, jaki jest jej cel. Napisał więc do Catherine. Kontynuując to, co rozpoczął jeszcze w trakcie podróży barką i co robił w Sanary regularnie co trzy dni.

Samy poradziła mu:

– Spróbuj kiedyś zadzwonić. Wierz mi, komórka to ekscytujące urządzenie.

Sięgnął więc któregoś wieczoru po telefon i wybrał paryski numer. Catherine musi wiedzieć, kim teraz jest – człowiekiem zawieszonym pomiędzy światłem a ciemnością. Kiedy ktoś nam umiera, zmieniamy się.

– Kamienica 27, słucham? Halo, kto mówi? No, dalej, proszę mówić!

– Madame Rosalette... zmieniała pani ostatnio kolor włosów? – wydukał.

– Och! Monsieur Perdu, jak...

– Czy zna pani może numer telefonu do madame Catherine?
– Naturalnie, że znam. Znam każdy numer telefonu w tej kamienicy, każdy. Niech pan sobie wyobrazi, ta Gulliver z góry ma znowu...
– Czy mogłaby mi podać...
– Panią Gulliver? Ale po co?
– Nie, moja droga. Numer do Catherine.
– Aha. Tak. Często pan do niej pisuje, nieprawdaż? Wiem, bo ona zawsze nosi te listy przy sobie, raz wypadły jej nawet z torebki, nie było jak nie zauważyć, to było tego dnia, kiedy monsieur Goldenberg...

Postanowił nie naciskać i wysłuchał cierpliwie wszystkich doniesień konsjerżki. O madame Gulliver, jej nowych czerwonych kłapeczkach stukających tak okropnie, niepotrzebnie i chętnie na schodach. O Kofim, który zamierza studiować politykę. O madame Bomme, która przeszła pomyślnie operację oczu i nie potrzebuje już lupy do czytania. O cudownym koncercie balkonowym madame Violette, który ktoś nakręcił kamerą i wrzucił do internetu, gdzie ludzie bardzo często klakali, i teraz madame Violette stała się sławna.

– Chyba klikali.
– No przecież mówię.
Aha, no i madame Bernhard rozbudowała poddasze. Chce je wynająć jednemu artyście. I jego narzeczonemu. Narzeczonemu! Może od razu też konikowi morskemu?
Perdu odsunął telefon od ust, żeby nie zdradzić wybuchu śmiechu. Pani Rosalette paplała dalej, ale Jean myślał teraz tylko o jednym – Catherine zbiera listy od niego i nosi je przy sobie. Ba-jecz-nie, jak skomentowałyby to konsjerżka.

Wreszcie, po jakimś czasie, który wydał mu się wiecznością, podała mu numer telefonu.
– Tęsknimy tu wszyscy za panem – dodała. – Mam nadzieję, że nie jest pan już tak okropnie smutny.

Zacisnął dłoń mocniej na telefonie.
– Nie jestem. Dziękuję – powiedział.
– Nie ma za co – odparła łagodnie i odłożyła słuchawkę.
Wystukał zaraz numer do Catherine i przycisnął telefon do ucha z zamkniętymi oczami. Jeden sygnał, drugi...

– Tak?
– A... to ja.
To ja. Dobrze sobie, skąd ona ma wiedzieć, co to za ja. Litości!

– Jean?
– Tak.
– O mój Boże. – Usłyszał, że Catherine z trudem łapie powietrze i kładzie słuchawkę. Wydmuchała nos, po czym wróciła do rozmowy. – Nie sądziłam, że zadzwonisz.

– Mam się rozłączyć?
– Ani mi się waż!
Uśmiechnął się. Ona chyba też, sądząc po krótkiej pauzie.
– Co...
– Jak...
Teraz oboje się roześmiali, bo zaczęli mówić równocześnie.
– Co teraz czytasz? – zapytał potem miękko.
– To, co mi przyniosłeś. Chyba piąty raz. Nie wyprałam też tej sukienki z naszego wieczoru. Nadal czuję na niej odrobinę twojej wody po goleniu. Zdania z książek za każdym

razem mówią mi coś innego. A nocą kładę sobie sukienkę przy policzku, żeby czuć twój zapach.

Umilkła. On także milczał owładnięty niespodziewanym szczęściem.

Wsluchiwali się w swoje odgłosy, a on miał wrażenie, jak gdyby znalazł się w Paryżu, tuż przy jej uchu. Wystarczy tylko otworzyć oczy, a znajdzie się pod jej zielonymi drzwiami, nasłuchując jej oddechu.

– Jean?

– Tak, Catherine?

– Już ci lepiej, prawda?

– Tak, już mi lepiej. Wiesz, zawód miłosny jest jak żałoba. Bo umierasz, umiera twoja przyszłość... i jest ten czas zranienia, który trwa tak strasznie długo. Ale potem jest lepiej. Teraz już to wiem.

Jej milczenie sprawiało mu przyjemność.

– Nie mogę przestać myśleć o tym, że się nie pocałowaliśmy – wyszeptła potem pośpiesznie.

Zamilkł stropiony.

– Do jutra – powiedziała i rozłączyła się.

Czy to znaczy, że ma znowu do niej zadzwonić? Siedział w ciemnej kuchni i uśmiechał się niemrawo.

Pod koniec sierpnia poczuł, że schudł. Pasek u spodni musiał teraz zapinać o dwie dziurki dalej, za to rękawy koszuli opinały się na bardziej muskularnych ramionach.

Ubierając się, widział w lustrze swoje odbicie, tak różne od tego paryskiego. Miał przed sobą wyprostowanego, wysportowanego i opalonego mężczyznę. Ciemne, nieco szpakowate włosy były teraz dłuższe i zaczesane swobodnie do tyłu. Piracka bródka, luźna, często prana liniana koszula. Miał pięćdziesiąt lat.

Prawie pięćdziesiąt jeden.

Podszedł bliżej do lustra. Słońce spowodowało nowe zmarszczki. Ale również śmiech. Podejrzewał też, że niektóre ciemne kropki to nie piegry, lecz plamki starcze. Co z tego... żyje. To jedyne, co się liczy.

Słońce nadało też jego ciału zdrowy, połyskujący brązowy odcień. Na jego tle zielone oczy wydawały się jaśniejsze.

M.M., jego szefowa, była zdania, że z trzydniowym zarostem przypomina drania dżentelmena. Gdyby nie te okulary...

Któregoś sobotniego wieczoru wzięła go ze sobą. Panował spokój, kolejny turnus dopiero się rozpoczął i letnicy wciąż jeszcze byli oszołomieni zastanymi atrakcjami. Nie mieliby teraz głowy do czytania. Ściągną do księgarni za tydzień, może dwa, żeby kupić kartki przed wyjazdem.

– A pan? – zapytała M.M. – Jak smakuje pana ulubiona książka, która wybawia pana od złego? – Roześmiała się, bo wypytywały ją o to jej przyjaciółki, którym ten Zjadacz Książek wydawał się intrygujący.

Dzieło autorstwa Sanary wciąż dobrze wpływało na jego sen. Jego ulubiona książka musiałaby chyba pachnieć ziemniaczkami z rozmarynem, które jadł podczas kolacji z Catherine.

A która mnie wybawia?

Odpowiedź na to pytanie wywołała uśmiech na jego twarzy.

– Książki potrafią wiele, ale nie są wszechmocne. Najważniejszych rzeczy trzeba zaznać. A nie o nich przeczytać. Muszę... przeżyć swoją fabułę.

M.M. rozciągnęła wielkie, szerokie usta w uśmiechu.

– Jaka szkoda, że pana serce jest ślepe na kobiety takie jak ja.

– Na inne również, madame.

– Tak, to pewna pociecha – odparła. – Choć raczej marna.

Popołudniami, kiedy upał stanowił wręcz zagrożenie, Perdu kładł się na łóżku w szortach obłożony mokrymi ręcznikami.

Drzwi na taras były otwarte, zasłony tańczyły na wietrze. Ciepłe poduchy głąskały jego ciało. Dobrze było do niego wrócić. Stać się ponownie żywym, czującym organizmem. Nie otepiałym i zwiędłym jak wcześniej. Bezużytecznym. Wrogim.

Nauczył się myśleć ciałem, spacerować w myślach po jego wszystkich zakamarkach.

Żał, tak, żał mieszkał w klatce piersiowej. Kiedy go nawiedzał, pętał pierś, nie pozwalał nabrać tchu, a świat robił się wtedy taki mały. Jednak już się go nie bał. Kiedy się zjawiał, pozwalał mu po prostu się przetoczyć.

Strach miał swoją kryjówkę w gardle. Jednak wciągając powietrze spokojnie i długo, Jean

mógł sprawić, że nie rozprzestrzeniał się dalej. Każdy kolejny wdech powodował, że strach malał, kurczył się jak kulka papieru, którą można było rzucić Psst, by się nią pobawił i wyniósł w końcu z domu.

Radość z kolei mieszkała w splocie słonecznym. Pozwalał jej tańczyć. Myślał o Samy i Salvie, o przezabawnych listach od Maksa, w których coraz częściej przewijało się imię Vic. Należące zapewne do tej powabnej traktorzystki. Wyobraził sobie, jak chłopak biega po całym Luberon za czerwonym traktorem, i nie mógł powstrzymać śmiechu.

Co zadziwiające, miłość u Jeana upodobała sobie jego język. Miała smak szyi Catherine. Uśmiechnął się, leżąc z zamkniętymi oczami. Tu w świetle i ciepłe południa wróciło coś jeszcze. Wigor. Wrażliwość. Żądza.

W niektóre dni, kiedy siedział na murku za portem zapatrzony na otwarte morze albo w kartki książki, wystarczało niekiedy ciepło słonecznych promieni, aby obudzić w nim owo przyjemne, niespokojne i pulsujące napięcie. I w tej sferze jego ciało otrząsnęło się już ze smutku.

Przez dwadzieścia lat nie przespał się z żadną kobietą.

Teraz tak do tego zatęsknił.

W myślach pozwalał sobie na schadzki z Catherine. Jego dłonie przechowywały wciąż pamięć dotyku jej ciała, jej włosów, skóry, mięśni.

Wyobrażał sobie też dotyk jej ud. Jej piersi. To, że Catherine na niego patrzy i jak ciężko oddycha. Że są coraz bliżej – swojej skóry i swojego ja. Że brzuch napiera na brzuch, a radość styka się z radością.

Wszystko sobie wyobrażał.

– Wróciłem – wyszeptał.

Wiódł więc spokojne życie, jadł, pływał, sprzedawał książki, odwirowywał pranie w swojej nowej pralce. Dopóki nie nadeszła godzina, w której dokonał kolejnego kroku.

Tak po prostu. Gdzieś pod koniec wakacji, 28 sierpnia.

Siedział właśnie nad sałatką, zastanawiając się, czy potem pójść zapalić dla Manon świecę w kaplicy Notre Dame de Pitié czy raczej iść do Port Issol i popływać w morzu.

W pewnej chwili spostrzegł jednak, że nie ma już w nim ani trochę złości. Zranienia. Niczego, co mogłoby doprowadzić go do łez z powodu przerażenia lub straty.

Wstał i wyszedł niespokojnym krokiem na taras.

Czy to możliwe?

Czy to może być prawda?

A może strach tylko zabawia się jego kosztem i zaraz wpadnie tu frontowymi drzwiami? Czyżby zobaczył wreszcie dno swojej kwaśnej, żalobnej zgryzoty? Wylewał ją, wylewał, bez końca. I naraz pokazało się dno, wolne miejsce.

Wbiegł z powrotem do pokoju. Obok kredensu trzymał zawsze papier i ołówek. Usiadł i skreślił niecierpliwie:

Catherine,

nie wiem, czy wygramy i nigdy nawzajem się nie zranimy. Pewnie nie, jesteśmy tylko ludźmi.

Jednak w tej chwili, na którą tak bardzo czekałem, uświadomiłem sobie, że wybierając życie z Tobą, będę lepiej zasypiał. I budził się. I lepiej kochał.

Chcę dla ciebie gotować, kiedy wpadniesz w zły humor z głodu, każdego rodzaju głodu,

głodu życia, ale także głodu światła, oceanu, podróży, czytania czy snu.

Chcę smarować Twoje dłonie kremem, gdy staną się zbyt szorstkie od rzeźbienia w twardym kamieniu. Widzę Cię w snach jako wybawicielkę kamieni potrafiącą dostrzec pod ich kolejnymi warstwami strużki serca i życia.

Chcę patrzeć, jak idziesz piaszczystą drogą, jak oglądasz się i czekasz na mnie.

Chcę wszystkich tych małych i wielkich rzeczy – chcę się z Tobą kłócić i zaraz potem śmiać z tego, chcę nalewać zimne kakao do Twojej ulubionej filiżanki, chcę otwierać przed Tobą drzwi od samochodu po przyjęciu z miłymi, wesołymi przyjaciółmi.

Chcę czuć, jak wciskasz swoją małą pupkę w mój brzuch.

Chcę tysiąca małych i wielkich rzeczy z Tobą, z nami. Ty, ja, my razem, Ty we mnie, ja w Tobie.

Catherine, proszę: Przyjedź! Przyjedź jak najprędzej!

Przyjedź do mnie!

Miłość jest większa niż jej sława.

Jean

PS Naprawdę!

4 września Jean wyszedł wcześniej, by mimo swojego zwyczajowego spaceru rue de Colline i dalej wokół portu wioski rybackiej być na czas w księgarni.

Nadchodzi jesień, a wraz z nią klienci, którzy zamiast zamków z piasku wolą stawiać góry z książek. To był zawsze jego ulubiony okres. Nowe tytuły, a co za tym idzie nowe przyjaźnie, nowe poglądy, nowe przygody.

W obliczu zbliżającej się jesieni ostre słoneczne światło nieco złagodniało. Stało się miłsze. Było jak ekran odgradzający Sanary od wysuszonej na wiór głębi kraju.

Śniadanie zjadał na przemian w Lyon, Nautique albo Marine przy porcie. Wprawdzie już od dawna nie wyglądało tu tak, jak za czasów Brechta, który wygłaszał tu swoje prześmiewcze teksty o narodowym socjalizmie. Jednak emigracyjny duch gdzieś się tu jeszcze unosił. Kafajki stanowiły dla Jeana oazy gwaru w cichym, samotniczym życiu dzielonym jedynie z kotem Psst. Zastępowały mu poniekąd życie rodzinne, a zarazem dawały posmak Paryża. Były jak konfesjonał i ambona w jednym. Można się tu było dowiedzieć dokładnie, jak toczy się zakulisowe życie Sanary, jak przebiega połów ryb w porze kwitnienia glonów albo jak gracze w petankę przygotowują się do jesiennych rozgrywek. Ci z nabrzeża Wilson zaproponowali mu pozycję rezerwowego – cóż za zaszczyt uczestniczyć w zawodach z perspektywy ławki dla rezerwowych. Kawiarnie były miejscem, gdzie Perdu miał szansę żyć aktywnie, nawet jeśli wcale się nie odzywał.

Niekiedy siadywał w najdalszym kącie i rozmawiał przez telefon z ojcem. Tak też było tego ranka. Kiedy Joaquin usłyszał o turnieju petanki w Ciotat, był gotów zapakować swoje bule i przyjechać.

- Nie, proszę – powiedział jednak Jean.
- Nie? Coś takiego... No to jak ona się nazywa?
- Czy zawsze musi chodzić o kobietę?
- Czyli to ta sama co ostatnio?

Obaj panowie Perdu wybuchnęli śmiechem.

- Lubieś traktory? – zapytał potem syn. – Jako dziecko?
- Drogi Jeanno, ja kocham traktory! Dlaczego pytasz?
- Max kogoś poznał. Młodą traktorzystkę.
- Traktorzystkę? Cudownie. Kiedy go w końcu zobaczymy? Lubisz go, prawda?
- Skąd ta liczba mnoga? Masz na myśli swoją przyjaciółkę, która nie lubi gotować?
- Ach, daj spokój! Mam na myśli twoją matkę. Tak, tak, mów, co chcesz, albo milcz.

Madame Bernier i ja. I co z tego? Chyba wolno mi spotykać się z byłą żoną? Od 14 lipca... to chyba nawet coś więcej niż spotkania. Naturalnie ona traktuje to całkiem inaczej, mówi, że mamy romans i żebym tylko nic sobie nie wyobrażał. – Joaquin Perdu zaśmiał się chrapliwym śmiechem palacza, który wkrótce przeszedł w wesołe pokaszływanie. – No co – powiedział potem. – Lirabelle to mój najlepszy przyjaciel. Lubię jej zapach, a ona nigdy nie chciała mnie zmieniać na siłę. Poza tym świetnie gotuje, z nią czuję się dużo szczęśliwszy. I wiesz co, Jean, na starość chce się być z kimś, z kim da się pogadać i pośmiać.

Ojciec, jak widać, podpisałby się obiema rękami pod wykładnią szczęścia Salva, według której o szczęściu stanowiły trzy rzeczy.

Po pierwsze, dobre jedzenie, a nie śmieci, które tylko rozleniwiają i unieszczęśliwiają człowieka.

Po drugie, dobry sen (dzięki wysiłkowi, mniejszym dawkom alkoholu oraz większym dawkom pięknych myśli).

Po trzecie, spędzanie czasu z ludźmi, którzy są nam przyjaźni i chcą nas zrozumieć, choćby na swój sposób.

A po czwarte, więcej seksu – to był już postulat Samy i Jean nie widział w obecnej chwili powodu, by o nim wspominać ojcu.

W drodze z kafejek do księgarni rozmawiał z kolei z matką. Często unosił telefon w górę, aby usłyszała fale i mewy. Tego wrześnieowego poranka morze było spokojne.

– Słyszałem, że ostatnio ojciec często się u ciebie stołuje – zagaił.

– No tak. Ten człowiek w ogóle nie potrafi gotować, więc co mi zostało?

– Ale kolacyjka i śniadanko? I nocleg? Czy ten biedak nie ma swojego łóżka?

– Mówisz tak, jak gdyby było w tym coś nagannego.

– Nigdy nie powiedziałem ci, mam, że cię kocham.

– Ach, mój kochany syneczku... – Usłyszał w słuchawce, jak matka otwiera i zamyka małą szkatułkę. Dobrze znał ten odgłos i tę szkatułkę. W środku były chusteczki higieniczne. Madame Bernier zawsze stylowa, nawet gdy się wzrusza. – Ja też cię kocham, Jean. Mam poczucie, że chyba nigdy ci tego nie powiedziałam, a tylko o tym myślałam. Czy to prawda?

Prawda.

– Mimo to wiedziałem o tym – odparł jednak. – Nie musisz tego powtarzać co kilka lat. Roześmiała się i nazwała go nieznośnym łobuziakiem.

Wspaniale. Przeszło pięćdziesiątka na karku, a polajanki jak w dzieciństwie.

Następnie Lirabelle poskarżyła się znowu na byłego małżonka, ale jej głos brzmiał przy tym łagodnie. Narzekała też trochę na nowości wydawnicze, ale chyba tylko z przyzwyczajenia.

Wszystko było właściwie jak zwykle, choć zupełnie inaczej.

Kiedy zmierzał nabrzeżem w stronę księgarni, M.M. już rozkładała stojaki z kartkami przed wejściem.

– Dziś będzie piękny dzień! – zawołała do niego, a on wręczył szefowej torbę z croissantami.

– Racja. Też tak myślę.

Przed zachodem słońca zaszły się w swoim ulubionym miejscu. Tam, gdzie w odbiciu szklanych drzwi mógł oglądać niebo i skrawek morza.

I to stąd, zatopiony w myślach, spostrzegł ją.

Obserwował jej odbicie. Jak gdyby wyłoniła się z obłoków i morskich fal.

Ogarnęła go niepoohamowana radość.

Wstał.

Jego puls gwałtownie przyśpieszył.

Jean Perdu był gotów, jak nigdy dotąd.

Teraz – pomyślał.

Teraz zbiegły się wszystkie etapy. Nareszcie wyszedł z tego zastygłego czasu, czasu zatrzymania, czasu zranienia. Teraz.

Catherine miała na sobie sukienkę w gołęmbim kolorze, który podkreślał barwę jej oczu. Szła lekkim krokiem, wyprostowana i dużo bardziej zdecydowana niż wtedy...

Wtedy?

Ona także przeszła już drogę od końca do początku.

Przystanąła na moment przy ladzie, jak gdyby chciała się zorientować, czy dobrze trafiła.

– Szuka pani czegoś konkretnego? – zagadnęła ją M.M.

– Dziękuję. Tak. Zajęło mi to dużo czasu... ale teraz już to znalazłam. Coś konkretnego – odparła Catherine i popatrzyła na stojącego w głębi Jeana z promiennym uśmiechem. Potem ruszyła w jego stronę, a on podbiegł do niej z bijącym mocno sercem. – Nawet nie wiesz, jak bardzo czekałam, żebyś w końcu mnie poprosił, abym przyjechała.

– Naprawdę?

– O tak. Jestem taka głodna – powiedziała.

Jean wiedział, co ma na myśli.

Tego wieczoru po raz pierwszy się pocałowali. Po kolacji, długim, cudownym spacerze nad morzem, długich, lekkich rozmowach w ogrodzie z hibiskusami, pod nowym zadaszeniem, kiedy pili niewiele wina i sporo wody i przede wszystkim napawali się wzajemnie swoją obecnością.

– Tutejsze ciepło daje tyle pocieszenia – odezwała się Catherine. To prawda. Słońce nad Sanary wyssało z niego wszelki chłód i osuszyło wszystkie łzy. – I dodaje odwagi – wyszeptwała. – Dodaje odwagi, by zaufać.

A potem, w podmuchach wieczornego wiatru, oszołomieni i zachwyceni swoją odwagą, by raz jeszcze dać szansę swojemu życiu, pocałowali się.

Jean miał wrażenie, jak gdyby całował się pierwszy raz.

Usta Catherine były miękkie, a ich ruchy tak doskonale zgrały się z jego wargami. Czuł ogromną radość, że nareszcie może jej skosztować, napić się jej, poczuć jej dotyk, pieścić ją... czuł pożądanie.

Otoczył ją ramionami, całował i delikatnie gryzł jej usta, wędrował wargami od jednego kącika do drugiego, a potem pieścił policzki aż po pachnące, delikatne skronie. Przyciągnął ją do siebie. Czuł taką czułość i taką ulgę. Już nigdy nie będzie źle sypiał, skoro ma przy sobie taką kobietę, już nigdy. Już nigdy nie poczuje goryczy osamotnienia. Jest ocalony. Oto ona i on stoją tu razem w objęciach.

– Jean? – odezwała się Catherine.

– Tak?

– Sprawdziłam. Ostatni raz spałam z byłym mężem w 2003 roku. Miałam wtedy trzydzieści osiem lat. To chyba stało się przypadkiem.

– Cudownie. W takim razie jesteś bardziej doświadczona ode mnie.

Roześmiali się.

Jakie to dziwne – pomyślał Perdu. – Jeden wybuch śmiechu potrafi przegnać wszystkie niedostatki, wszystkie cierpienia. Wszystkie minione lata topnieją pod jego wpływem i... znikają.

– Ale jedno jeszcze pamiętam – dodał. – Miłość na plaży jest przereklamowana.

– Piasek wchodzi wszędzie tam, gdzie nie powinien.

– I jeszcze komary.

– Ale my chyba nie jesteśmy teraz na plaży?

– Catherine, ja naprawdę nie mam pojęcia...

– Coś ci zatem pokażę – szepnęła mu do ucha. Jej twarz wyglądała tak młodo i zuchwale, kiedy ciągnęła go do drugiej sypialni.

W świetle księżyca spostrzegł czmychający czworonożny cień. Psst przeniósł się na taras, odwracając się do nich z wyrozumiałością swoimi biało-rudymi plecami.

Oby polubiła moje ciało. Oby ono mnie nie zawiodło. Obym dotykał jej tak, jak lubi, obym...

– Jeanie Perdu, przestań myśleć – rozkazała mu Catherine łagodnym tonem.

– Po czym poznałaś?

– To takie proste, ukochany – powiedziała cichutko. – Kochanku, ach tak bardzo pragnęłam, żebyś... i ty...

Wciąż szeptali, ale ich zdania nie miały ani końca, ani początku.

Rozebrał Catherine, pod sukienką miała tylko zwyczajne białe figi.

Ona rozpięła mu koszulę, po czym zatopila twarz w jego szyi i piersi, chłonąc jego zapach. Głaskała go oddechem i... nie, nie musiał się już obawiać, że zawiedzie. Czuł, że jej ciało reaguje na dotyk jego dłoni, a jego męskość obudziła się dokładnie w chwili, kiedy w ciemnościach zajaśniał ów biały, bawełniany trójkącik.

Spędzili w Sanary-sur-Mer razem resztę września. W końcu Jean nasycił się światłem południa. Zagubił się i znów odnalazł. Czas zranienia przeminął.

Teraz mógł już pojechać do Bonnieux i zakończyć ten etap.

Kiedy wraz z Catherine opuszczali Sanary, czuli, że owa wioska rybacka stała się ich małą, tajemną ojczyzną. W sam raz, by ukryć ją w sercach i ochronić. I na tyle piękną, by pozostać tęsknym miejscem ich wzajemnego poznawania dotykiem już na zawsze. Odtąd Sanary oznaczało dla nich szczęście, ukojenie i ciszę. Oraz wczucie się w nieznaną, choć kochaną osobę. Kim jesteś, jak się sobą stałaś, stałeś, jak się czujesz, jakie meandry pokonuje twój nastrój w ciągu godziny, w ciągu dnia i w ciągu tygodni? Dowiedzieli się tego z taką łatwością właśnie tutaj, w swojej ojczyźnie o rozmiarach idealnie pasujących do ich serc. Najważniejsze były ciche godziny, kiedy się do siebie zbliżali. Unikali za to wszelkich głośnych i tłocznych miejsc – festynów, targów, teatru, odczytów.

Ich cichy i głęboki miłosny rekonesans mienił się wrześnieowymi barwami, wszystkimi tonami żółci i czerwieni, złota i fioletu. Bugenwille, rozkołysana morską toń, kolorowe domki w porcie tchnące dumą i opowiadające historię tego miejsca, złocisty, zgrzytający żwirek bulodromów – oto tło ich rozwijającej się czułości, przyjaźni i wzajemnego zrozumienia.

Z niczym się nie śpieszyli.

Najważniejsze rzeczy należy robić powoli – myślał Jean za każdym razem, kiedy zaczęli wzajemnie się uwodzić. Całowali się nieśpiesznie, rozbierali ze spokojem, kładli obok siebie, pozwalając sobie na dużo czasu, by w siebie wnikać. Ta rozważna, głęboka koncentracja na drugiej osobie wywoływała niezwykle intensywną namiętność w ich ciałach, w umysłach i doznaniach. Przenosili się w stan permanentnego dotyku.

Każde zbliżenie z Catherine przybliżało Jeana również do strumienia jego życia. Przez dwadzieścia lat trzymał się z dala od jego nurtu, z dala od barw i pieszczot, zapachów i muzyki, skamieniały, samotny i wrogi dla samego siebie.

Lecz teraz... znowu w nim pływał.

Ożył, bo pokochał. Znał już mnóstwo drobiazgów na temat tej kobiety. Na przykład, że rano po wstaniu Catherine jeszcze jakiś czas śni na jawie. Czasami sen wywoływał w niej melancholię. Przez parę godzin czuła jeszcze irytację, zawstydzenie, złość albo smutek wywołane nocnymi obrazami. Codziennie staczała walkę z owym międzyświatem. Jean odkrył jednak, że potrafi przegonić złe duchy, przygotowując jej gorącą kawę i każąc jej ją wypić nad brzegiem morza.

– Ponieważ mnie kochasz, ja sama uczę się kochać siebie – powiedziała do niego któregoś z takich poranków, kiedy morze tonęło jeszcze w szarawym półśnie. – Zawsze przyjmowałam od życia to, co mi oferowało... jednak samej sobie nigdy nie miałam nic do zaoferowania. Byłam słaba w troszczeniu się o siebie. – Jean przyciągnął ją i pomyślał, że z nim było dokładnie tak samo. Potrafił się pokochać, bo pokochała go Catherine.

Potem nadeszła noc, kiedy musiała go mocno tulić, bo ogarnęła go druga, wielka fala wściekłości. Tym razem na samego siebie.

Jakże on wtedy sobie złorzeczył, w brutalnych, pełnych rozpacz i gniewu słowach człowieka, który z bolesną jasnością pojął, że zmarnował tak dużo czasu i że nic tego nie zmieni, a w dodatku czasu, jaki mu jeszcze pozostał, ma tak strasznie mało. Catherine nie przerywała mu, nie uspokajała go, ale też nie pozostawiała go samemu sobie.

Potem wrócił spokój. Bo ten pozostały czas okazywał się wystarczająco pojemny. Bo nawet parę dni było w stanie pomieścić całe życie.

Bonnieux. Kraina jego najodleglejszej przeszłości. Przeszłości, która nadal w Jeanie

egzystowała, ale nie była już jedyną, z jakiej składała się wewnętrzna siedziba jego uczuć. Nareszcie miał jakąś teraźniejszość, którą był w stanie przeciwstawić przeszłości.

To dlatego teraz łatwiej wrócić – pomyślał Jean, kiedy pewnego październikowego popołudnia wraz z Catherine wyruszyli do Bonnieux trasą przez Lourmarin. – *To miasto jest jak kleszcz opadający na turystów.* Po drodze wymijali licznych podróżnych na rowerach, a ze skalistych gór docierały do nich odgłosy strzałów z myśliwskich wiatrówek. Pozbawione już częściowo liści drzewa dawały od czasu do czasu odrobinę cienia, resztę barw pochłaniało światło słoneczne. Powalający bezwład pogórza Luberon w porównaniu z niedawną witalnością morza wydał się Jeanowi niegościnnie i surowy. Ale cieszył się z powodu Maksa. Nawet bardzo. Młody pisarz zarezerwował dla nich u madame Bonnet duży pokój, w dawnej kryjówce Résistance oplecionej bluszczem ze wszystkich stron, nawet na dachu.

Max przyjechał tam po nich, kiedy już się trochę rozgościli i zabrał ich do gołębnika. Tam, na szerokim murku obok fontanny przygotował orzeźwiający piknik. Wino, owoce, szynka i bagietka. To był okres zbioru trufli i czytania książek, wszędzie pachniało dzikimi ziołami, a cała kraina tonęła w jesiennych barwach od rdzawej czerwieni po winną żółć.

Za to Max zbrązowiał, jak stwierdził Jean. Zbrązowiał i wydoroślał.

W ciągu tych dwóch i pół miesiąca w Luberon tak się tu zadowił, jak gdyby w głębi duszy od zawsze pochodził z południa. A jednocześnie wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Kto ma czas na sen, kiedy ziemia pod nogami tańczy? – wymamrotał enigmatycznie Max, kiedy Jean go o to zagadnął.

Opowiedział, że gospodyni podczas jego „choroby” traktowała go nie przymierzając jak parobka. Oboje z mężem byli już dobrze po sześćdziesiątce, a gospodarstwo z trzema domami dla gości stawało się powoli za duże dla nich dwojga. Uprawiali przy tym jeszcze warzywa, owoce i wino. Max pomagał im w zamian za wikt i lokum. Jego gołębnik tonął w papierach zawierających notatki, szkice i opowiadania. Nocą pisał, a od rana do południa i potem późnym popołudniem pracował w majątku i jego bujnych ogrodach, sadach i winnicy, wykonując wszystkie polecenia Gérarda. Przycinał pędy winorośli, pielął grządki, zbierał owoce, reperował dachy, siał, zbierał, przekopywał, załadowywał towar na samochód i jeździł z Gérardem na targ. Poza tym szukał plamiastych grzybów, czyścił trufle, strząsał figi z drzewek, przystrzygał cyprysy na kształt obelisków, czyścił baseny i co rano chodził po świeży chleb dla gości.

– Umieję już także prowadzić traktor i rozpoznaję wszystkie rodzaje żab po ich kumkaniu – oznajmił Jeanowi z ironicznym uśmiechem.

Słońce, wiatr i praca z kolanami na prowansalskiej glebie przemieniły jego chłopięcą wielkowiejską twarz w oblicze mężczyzny.

– Wspomniałeś coś o chorobie? – zapytał Jean, kiedy Max po złożeniu sprawozdania nalał im do kieliszków białego Ventoux. – O co chodzi? Nic mi o tym nie pisałeś.

– To choroba, na jaką zapada mężczyzna, kiedy zakocha się poważnie – wyznał Max. – Źle śpisz, źle śniesz, dajesz sobie zawrócić w głowie. Nie możesz czytać, nie możesz pisać, nie możesz jeść. Prawdopodobnie Brigitte i Gérard nie mogli już na to patrzeć i zaordynowali mi zajęcie, które chroni umysł przed popadnięciem w ruinę. Dlatego dla nich pracuję. Mnie to pomaga, im także, nie rozmawiamy o pieniądzach, tak jest w porządku.

– Chodzi o tę kobietę z czerwonego traktora? – chciał się upewnić Jean.

Max kiwnął głową. Następnie nabrał powietrza, jak gdyby brał rozbieg.

– Właśnie o nią. Kobietę z czerwonego traktora. Dobry tytuł, bo mam ci jeszcze o niej coś ważnego do...

– Mistral! – krzyknęła w ich stronę zatroskana madame Bonnet, przerywając jego zwierzenia. Niewysoka, zażywna kobietka, jak zwykle w szortach i męskim podkoszulku oraz

z koszyczkiem owoców w dłoni. Zbliżając się do nich, wskazała ręką na obracające się wiatraczki obok grządki z lawendą. Do tej pory powiew wiatru ledwie muskał łodygi roślin, ale niebo przybrało już odcień granatu. Wszystkie chmury gdzieś zniknęły, a horyzont stał się jakby bliższy. Kontury Mont Ventoux i Sewennów wyostrzyły się. Nieodmienny znak, że nadciąga porywisty wiatr z północnego zachodu.

Kiedy się przywitani, Brigitte zapytała:

– Mają państwo jakieś doświadczenie z mistralem?

Catherine, Jean i Max popatrzyli na nią pytającym wzrokiem.

– Nazywamy go *Maestrals*. Władca. Albo *vent du fada*. Wiatr, który przyprawia o szaleństwo. Nasze domy pokazują mu tylko swoją węższą ścianę – zwróciła ich uwagę na ustawienie zabudowań – żeby nie zwracać na siebie jego uwagi. Kiedy nadchodzi, robi się nie tylko zimniej, ale i głośniejsze. A każdy ruch staje się cięższy. Na kilka dni wszystkich nas ogarnie szaleństwo. Najlepiej nie mówić sobie wtedy nic ważnego. Żeby nie wywołać kłótni.

– Tak? – powiedział cicho Max.

Madame Bonnet spojrzała na niego, a jej ogorzała twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– O tak. *Vent du fada* oszalał, ogłupiał i denerwuje tak samo jak miłość, o której nie wiemy, czy jest odwzajemniana. Jednak kiedy przechodzi, wszystko jest jak oczyszczone. I ziemia, i głowa. Wszystko znów jest czyste i klarowne, możemy zaczynać nowe życie. – i dodała jeszcze na pożegnanie: – Poskładałam parasole i przywiążę krzesła.

Jean zapytał potem Maksa:

– Chciałeś jeszcze o czymś powiedzieć?

– Eee... już zapomniałem – oświadczył pośpiesznie ten drugi. – Jesteście głodni?

Wieczór spędzili w maleńkiej restauracyjce Un P'tit Coin de Cuisine w Bonnieux, skąd roztaczał się wspaniały widok na całą dolinę i zachód słońca, potem zaś na czyste, rozgwieżdżone niebo, połyskujące niemal niczym lodowa tafla. Rozbawiony kelner o imieniu Tom podał im prowansalską pizzę na drewnianych deskach oraz kokilki z duszoną jagnięciną. Siedzieli we trójkę przy chwiejącym się czerwonym stoliku w przytulnym wnętrzu o skalnym sklepieniu i zdawało się, że Catherine jest kolejnym dobroczynnym elementem spajającym chemiczną więź między Jeanem i Maksem. Jej obecność stwarzała ciepło i harmonię. Catherine miała przy tym zwyczaj patrzeć na innych w ten sposób, jak gdyby wszystko brała poważnie. Max opowiedział jej o sobie, o swoim dzieciństwie, swoich niespełnionych marzeniach o dziewczynach, o swojej, nazywanej przekleństwem, nadwrażliwości słuchowej, z której nie zwierzył się dotąd Jeanowi – ani zapewne żadnemu innemu przedstawicielowi męskiego rodu.

Podczas ich rozmowy Jean mógł się dyskretnie wymknąć z knajpki przynajmniej w myślach. Cementarz znajduje się jakieś sto metrów powyżej, na wzgórzu kościelnym. Dzieli go od niego zaledwie parę ton skał i onieśmienie.

Dopiero kiedy schodzili z powrotem w dolinę, w wyraźnie już silniejszych podmuchach wiatru, przyszło mu do głowy, że może Max był tak rozmowny tylko dlatego, że nie chciał opowiedzieć o traktorzystce.

Pisarz odprowadził ich aż do drzwi pokoju.

– Idź przodem – Jean poprosił Catherine.

Został z Maksem, stojąc w cieniu pomiędzy domem a stodołą. Wiatr wyl cicho i jednostajnie zawodził.

– Max, co tak naprawdę chciałeś mi powiedzieć? – zapytał łagodnym tonem.

Jordan milczał.

– Może zaczekajmy, aż wiatr się skończy – poprosił po chwili.

– Jest aż tak źle?

– Wystarczająco źle, żeby poczekać, aż przyjedziesz, żeby ci o tym powiedzieć. Ale... nie umrę od tego. Mam nadzieję.

– Mów, Max, mów, bo zacznę sobie Bóg wie co wyobrażać, proszę.

Na przykład, że Manon wciąż żyje, a to wszystko był tylko żart.

Max kiwnął głową. Mistral znów zawył.

– Mąż Manon Luc Basset ożenił się po raz drugi trzy lata po jej śmierci. Z Milą, jej kuchnia jest znana w całej okolicy – zaczął Max. – Winnicę dostał od ojca Manon jako jej wiano. Białe i czerwone wino. Bardzo... bardzo lubiane. Podobnie jak restauracja Mili.

Jean poczuł lekkie ukłucie zazdrości.

Zatem Luc i Mila mieli winnicę, gospodarstwo i restaurację. Pewnie również i ogród. Mieli ciepłą i kwitnącą Prowansję oraz kogoś, komu mogli powiedzieć o wszystkim, co ich nurtuje. Luc po prostu powtórzył szczęśliwy los. Może zresztą nie po prostu, ale Jean nie miał teraz siły, by przyjmować różne punkty widzenia.

– To pięknie – wymamrotał bardziej sarkastycznie, niż zamierzał.

– A czego się spodziewałeś? – zachnął się Max. – Że Luc ubierze się w wór pokutny, nie spojrzysz już na żadną kobietę i do śmierci będzie żył o suchym chlebie, oliwkach i czosnku?

– O co ci chodzi?

– O nic – syknął Max. – Każdy inaczej przeżywa żałobę. Winiarz wybrał opcję „nowa żona”. I co? Zrobił coś zdrożnego? A może miał postąpić jak... ty?

Perdu poczuł rosnące oburzenie.

– Najchętniej dałbym ci teraz w pysk, Max.

– Wiem – odparł tamten. – Ale wiem też, że nawet po tym mielibyśmy jeszcze szansę wspólnie się zestarzeć, ty głupi ośle.

– To wszystko przez mistral – odezwała się madame Bonnet, słysząc ich kłótnię, i poszła dalej z ponurą miną w stronę domu po żwirowej ścieżce.

– Przepraszam – szepnął Jean.

– Ja też. Przekłęty wiatr.

Potem obaj zamilkli. Może wiatr to tylko wymówka?

– Odwiedzisz mimo to Luca?

– Tak, oczywiście.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Czekam na to, odkąd przyjechałeś.

Kiedy Max wyznał mu wreszcie, co przez te wszystkie tygodnie wywoływało w nim stan chorobowy, Jean był pewien, że się przesłyszał, że to tylko igraszki świszczącego wiatru. Tak, tak musi być, bo to, co dotarło do jego uszu, było zbyt piękne i zbyt straszne, by być prawdziwe.

Max dołożył sobie cudownie pachnącej jajecznicy z truflami przygotowanej dla nich na śniadanie przez madame Bonnet. Zgodnie z prowansalską tradycją włożyła do słoika dziewięć świeżych jaj i jedną wczesną zimową truflę na trzy dni, aż jej zapach przeniknie do jaj. Dopiero potem przyrządziła jajecznicę i udekorowała ją płatkami grzyba. Potrawa miała zmysłowy, dziki i ziemisto-mięsny smak.

Cóż za zbytkowny pokarm skazańca – przemknęło Jeanowi przez głowę. Obawiał się, że może to być najtrudniejszy i najdłuższy dzień w jego życiu.

Jadł tak, jak gdyby się modlił. Wcale się nie odzywał, kosztował wszystkiego w milczeniu i koncentracji, aby w ciągu tych nadchodzących godzin mieć w zanadrzu jakieś doznanie, na którym będzie mógł się oprzeć.

Oprócz jajecznicy na śniadanie były soczyste melony z Cavaillon – białe i pomarańczowe. Aromatyczna kawa z gorącym, posłodzonym mlekiem w wielkich filiżankach z kwiatowym wzorkiem. Do tego powidła śliwkowe z dodatkiem lawendy oraz świeżutka bagietka i maślane croissanty przywiezione jak zawsze z Bonnieux przez Maksa na rzęzącym skuterze.

Podniósł głowę znad talerza. Tam, na samej górze Bonnieux stoi stary romański kościółek. Obok jasno połyskujący mur cmentarny. Żelazne krzyże wyciągają się ku niebu. Przypomniawszy sobie złamaną obietnicę.

Chciałabym, żebyś umarł przede mną.

Jej ciało pochłonęło go wtedy, a ona tylko dyszała: „Obiecuj! Obiecuj!”.

I obiecał.

Dziś był pewien, że Manon już wtedy wiedziała, że nie będzie w stanie jej dotrzymać. „Nie chcę, żebyś pokonywał samotnie drogę na mój grób”.

A jednak musi tę drogę pokonać sam.

Wyruszyli we troje po śniadaniu, wędrując pośród cyprysowych gaików i sadów, pól warzywnych i winnic.

Posiadłość Basseta, szeroki, trzypiętrowy budynek w delikatnie żółtym kolorze, dworek otoczony roslinami kasztanami, bukami i dębami, wyłoniła się spośród szpalerów winorośli po półgodzinie marszu.

Perdu lustrował niespokojnym wzrokiem ten oszałamiający przepych. Dookoła wiatr targał drzewami i zaroślami.

Coś się w nim poruszyło. Nie zawiść, nie zazdrość i nie to wczorajsze wzburzenie, lecz...

Często wszystko toczy się inaczej, niż się tego obawiamy.

Sympatia. Tak, czuł zwyczajną sympatię. Do tego miejsca, do tych ludzi, którzy nazwali swoje wino imieniem Manon i już dawno oddali się odbudowie swojego szczęścia.

Max wykazał się tego ranka mądrością i milczał.

Jean sięgnął po dłoń Catherine.

– Dziękuję – powiedział, a ona zrozumiała, co ma na myśli.

Po prawej stronie znajdowała się nowa hala. Na naczepy, na duże i małe traktory oraz na te specjalne używane w winnicach pojazdy o wysokich i wąskich oponach.

Spod jednego z takich pojazdów, w kolorze czerwonym, wystawały teraz czyjeś nogi w roboczym kombinezonie. Dobiegały też stamtąd całkiem pomysłowe przekleństwa i szczęk

narzędzi.

– *Salut*, Victorio! – zawołał Max uosabiający teraz chodzące nieszczęście.

– O, pan amator serwetek – dał się słyszeć kobiecy głos.

Chwilę później spod traktora wyturlała się młoda traktorzystka. Onieśmielona otarła swoją wyrazistą twarz, ale tylko rozmazała na niej plamy brudu i smaru.

Pod Jeanem, choć wydawało mu się, że jest przygotowany, ugięły się teraz nogi. Bo stanęła przed nim dwudziestoletnia Manon. Wprawdzie bez makijażu, o dłuższych włosach i bardziej młodzieńczym ciele.

Naturalnie dziewczyna wcale nie była do niej podobna – kiedy Perdu przyjrzał się bliżej tej energicznej, czarującej i świadomej swojej wartości osobce, obraz dawnej ukochanej zamigotał. Nie, to nie Manon, choć niekiedy z tej obcej młodej twarzy spoglądało coś znajomego.

Victoria skupiła się na Maksie, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, zlustrowała uważnie jego robocze buty, wyblakłe spodnie i spraną koszulę. W jej oczach odmalował się cień uznania. Skinęła zadowolona.

– Nazywa pani Maksa amatorem serwetek? – zapytała niewinnym tonem Catherine.

– Tak – odparła Vic. – To był dokładnie ten typ faceta. Używał serwetek, jeździł metrem zamiast pójść pieszo, pieska nosiłby w torbie i tak dalej.

– Wybaczcie młodej damie. Tu na wsi dobrych manier uczy się dopiero tuż przed ślubem – wtrącił z przyjazną ironią Max.

– Czyli najważniejszym wydarzeniem w życiu paryżanki – odparowała.

– A najchętniej niejednym – dodał Max, szczerząc zęby.

Vic odwzajemniła jego zawadiacki uśmiech.

Każda podróż kończy się wtedy, gdy kogoś pokochasz – pomyślał Jean, przyglądając się młodemu tak całkowicie skupionemu na sobie nawzajem.

– Chcieliście się zobaczyć z tatą? – Vic przerwała tę sielankę.

Max kiwnął głową z rozrzewnieniem, Jean z przygnębieniem, natomiast Catherine odezwała się z uśmiechem:

– Tak, częściowo.

– Zaprowadzę was.

Chodzi też inaczej niż Manon – pomyślał Perdu, kiedy ruszyli za nią ścieżką w cieniu platanów, w których cykały świerszcze.

Młoda kobieta odwróciła się do nich.

– Przy okazji, ja jestem czerwonym winem. Victoria. Białe to moja matka Manon. To była kiedyś jej winnica.

Jean poszukał po omacku dłoni Catherine. Ścisnęła go serdecznie.

Max nie odrywał wzroku od Victorii, która była już na schodach i pokonywała je po dwa stopnie naraz. W pewnej chwili jednak zatrzymał się gwałtownie i przytrzymał Jeana za ramię.

– Wczoraj wieczorem nie wspomniałem jeszcze o jednej rzeczy. To jest kobieta, którą zamierzam poślubić – powiedział z powagą i całkowitym spokojem. – Nawet jeśli się okaże, że to twoja córka.

O Boże. Moja?

Victoria zaprosiła ich gestem do środka i wskazała na pokój, w którym można było skosztować win. Czyżby usłyszała słowa Maksa? Jej uśmiech mówił: Poślubić? Ciebie, amatora serwetek? No to jeszcze długa droga przed tobą.

Na głos powiedziała jednak tylko:

– Z lewej strony jest zejście do starych podziemi. Tam dojrzewa Victoria. Manon przechowujemy w piwnicach w sadzie morelowym. Przyrowadzę ojca, on na pewno chętnie pokaże wam całą posiadłość. Zaczekajcie tutaj. Kogo mam... zapowiedzieć? – zapytała na koniec wesołym, teatralnym tonem. Po czym posłała Maksowi szczery uśmiech. Uśmiech ogarniający całe jej ciało.

– Jean Perdu. Z Paryża. Księgarz – powiedział Jean.

– Jean Perdu, księgarz z Paryża – powtórzyła dziewczyna z rozbawieniem, a potem zniknęła.

Wszyscy troje usłyszeli, jak pnie się na górę po skrzypiących schodach, następnie idzie korytarzem, a na koniec z kimś rozmawia. Długo rozmawia, pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź.

I w końcu znów jej kroki na schodach, lekkie i sprężyste.

– Zaraz przyjdzie – rzuciła, wsadziwszy tylko głowę przez drzwi, znów stała się Manon i znów zniknęła.

Jean usłyszał, jak Luc na górce chodzi tam i z powrotem. Następnie otwiera szafę, a może jakąś szufladę.

Jean stał i czekał, tymczasem mistral już nieco zelżał, choć nadal targał wysokimi okiennicami, smagał korony kasztanów i wzniecał tumany suchej ziemi pomiędzy szpalerami winorośli.

Stał i czekał, aż w końcu Maksowi udało się niepostrzeżenie wymknąć i podążyć za Victorią.

Potem Catherine dotknęła delikatnie jego ramienia.

– Będę w bistro – szepnęła. – Kocham cię bez względu na to, co tu się okaże. – I poszła odwiedzić królestwo Mili.

Jean czekał dalej. W końcu usłyszał kroki Luca, najpierw na skrzypiącej podłodze korytarza u góry, potem na trzeszczących stopniach schodów i w końcu na kamiennej posadzce na parterze.

Zaraz stanie oko w oko z mężem Manon.

Człowiekiem, którego żonę tak kochał.

Nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, co chce mu powiedzieć.

Luc był jego wzrostu. Miał krótko, choć już jakiś czas temu obcięte, pojaśniałe na słońcu włosy w odcieniu migdała. Jasnobrązowe, inteligentne oczy, okolone siateczką zmarszczek. Wysoki, szczupły, ubrany w dżinsy i spraną niebieską koszulę. Jego ciało nosiło znamiona ciężkiej pracy na roli, wśród ziemi, skał i owoców.

Jean od razu zorientował się, dlaczego Manon tak go lubiła.

Luca Basseta cechowała bowiem dostrzegalna gołym okiem spolegliwość połączona z empatią i męskością. Męskością nie dającą się jednak mierzyć zasobnością portfela, sukcesami czy wymownością, lecz siłą, wytrwałością i umiejętnością zadbania o rodzinę, dom i ziemię. Tacy mężczyźni są ogromnie przywiązani do swojej ojcowizny. Sprzedaż, wydzierżawienie lub oddanie choćby skrawka nawet zięciowi równałyby się na przykład z obcięciem ręki albo nogi.

– Odporny na niepogodę – jak określiłaby Luca matka Jeana Lirabelle. – Stajesz się innym człowiekiem, jeśli w dzieciństwie, zamiast przy kaloryferze, ogrzewasz się przy żywym ogniu, zamiast jeździć na rowerku w kasku wspinasz się na najwyższe drzewa, zamiast siedzieć przed telewizorem biegasz cały dzień na dworze.

To dlatego zabierała go do krewnych w deszczowej Bretanii i grzała mu tam wodę na kąpiel w kociołku na kominku. Już nigdy i nigdzie kąpiel nie była takim przeżyciem.

Jednak dlaczego patrząc na męża Manon, myślał o kociołku z gotującą się wodą?

Ponieważ wydaje się on równie intensywny, witalny i prawdziwy.

Proste ramiona Luca, jego spracowane ręce, jego postawa, wszystko mówiło: Nie ugnę się.

Teraz ten niezłomny człowiek spoglądał na niego swoimi brązowymi oczami, badał uważnie jego twarz, pierś, palce. Nie podali sobie dłoni.

– No więc? – zapytał tylko Luc, stojąc w drzwiach. Miał głęboki, stonowany głos.

– Jestem Jean Perdu. Jestem człowiekiem, z którym pańska żona żyła w Paryżu. Aż... to było dwadzieścia jeden lat temu. Przez pięć lat.

– Wiem – odpowiedział spokojnie Luc. – Powiedziała mi o tym, kiedy już wiedziała, że umrze.

Popatrzyli na siebie i przez jedną chwilę Perdu miał wrażenie, że padną sobie w ramiona. Bo tylko ten drugi naprawdę rozumie ból, jakiego obaj zaznali.

– Przyszedłem, żeby prosić o przebaczenie.

Przez twarz winiarza przemknął uśmiech.

– Kogo?

– Manon. Tylko Manon. Pan jako mąż nie ma przecież możliwości, aby mi wybaczyć, że kochałem pańską żonę. I że byłem tym drugim.

Oczy Luca zmieniły się w szparki. Popatrzył na Jeana bardzo uważnie.

Zastanawia się, czy Manon lubiła, kiedy dotykały ją te ręce? Czy Jean był w stanie pokochać jego żonę tak jak on?

– Dlaczego zjawia się pan dopiero teraz? – zapytał powoli.

– Nie przeczytałem wtedy tamtego listu.

– Boże, człowieku, dlaczego?

To była najtrudniejsza część.

– Myślałem, że znajdę w nim tylko to, co zwykle kobiety piszą, kiedy już mają dość swoich kochanków – powiedział Perdu. – Zaniechanie było dla mnie jedyną formą zachowania

godności.

Wypowiedzenie tych słów przyszło mu z trudem. Ogromnym trudem.
A teraz, proszę, wylej na mnie wreszcie swoją nienawiść.

Luc nie śpieszył się z odpowiedzią. Spacerował po pokoju tam i z powrotem. W końcu przemówił. Do Jeana odwróconego do niego plecami.

– To musiało być ciężkie przeżycie, kiedy w końcu go pan przeczytał. I zorientował się, że przez cały czas żył w błędzie. Bo to nie były jak zwykle wymówki typu „Pozostanemy przyjaciółmi” albo inne bzdury. A tego się pan spodziewał, prawda? „Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie... życzę ci, żebyś spotkał kogoś, na kogo zasługujesz”... Tylko że było zupełnie inaczej.

Jean był zaskoczony jego przenikliwością.

Coraz lepiej rozumiał, dlaczego Manon wyszła za Luca.

A nie za niego.

– To było piekło – przyznał. Chciał powiedzieć dużo więcej, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Przed oczami stanął mu obraz Manon wpatrującej się w drzwi, które jednak nigdy się nie otworzyły.

Nie odwrócił się. W oczach paliły go łzy wstydu.

Potem zaś poczuł na ramieniu dłoń Luca.

Mężczyzna odwrócił go ku sobie, zajął mu w oczy i pozwolił, by Jean dostrzegł także jego smutek.

Stali już tylko metr od siebie, prowadząc spojrzeniami dialog niewyraźny słowami.

Jean widział smutek i czułość, złość i zrozumienie. Dostrzegał też, że Luc zastanawia się, co mają teraz zrobić, ale widział także jego odwagę, by wszystko przetrzymać.

Szkoda, że nie poznałem go wcześniej.

Mogliby wspólnie przeżywać żalobę. Po przejściu etapu nienawiści i zazdrości.

– Muszę o coś spytać – odezwał się Jean. – To nie daje mi spokoju, od chwili, kiedy ją zobaczyłem. Czy... Victoria...

– To nasza córka. Kiedy Manon znów pojechała do Paryża, była w trzecim miesiącu ciąży, Victoria została splodzona na wiosnę. Manon wiedziała już, że jest w ciąży, ale zachowała to dla siebie. Zdecydowała się na dziecko, nie na terapię, kiedy lekarze zapewnili ją, że jest szansa, by przeżyło. – Teraz zadrzał głos Luca. – Manon sama podjęła decyzję o swojej śmierci. I powiedziała mi, kiedy już było za późno... za późno, żeby zrezygnować z dziecka i spróbować jeszcze się leczyć. Zwlekła z powiedzeniem mi o raku aż do momentu, kiedy napisała do ciebie list, Jean. Powiedziała, że bardzo się wstydzi i że to kara za to, że kochała dwa razy. Mój Boże! Jak gdyby miłość była jakimś przestępstwem... Dlaczego tak siebie ukarała? Dlaczego? – Stali naprzeciw siebie, nie płakali, choć patrzyli, jak ten drugi ledwo chwyta oddech, z trudem przełyka, zaciska zęby, próbuje walczyć. – Chcesz poznać resztę? – zapytał po pewnym czasie Luc.

Jean pokiwał głową.

– Tak, proszę – odpowiedział. – Proszę, chcę wiedzieć wszystko. I, Luc, przepraszam. Nigdy nie chciałem być złodziejem cudzej miłości. Przepraszam, że nie umiałem zrezygnować i...

– Daj spokój! – zachnął się Luc. – Nie mogę ci tego brać za złe. Oczywiście, kiedy była w Paryżu, czułem się odstawiony w kąt, ale kiedy była ze mną, odżywałem. Stawałem się wtedy jej kochankiem i twoim rywalem, a ty byłeś wtedy tym zdradzonym. Jednak to wszystko są

elementy życia... i choć niejednemu trudno to przyjąć, nie ma w tym nic nagannego. – Luc uderzył pięścią w otwartą dłoń. Na jego twarzy zapłonęło teraz takie wzburzenie, że Jean obawiał się nawet przez moment, że rzuci nim zaraz o ścianę. – Żałuję, że Manon tak się z tym męczyła. Mojej miłości wystarczyłoby i dla niej, i dla ciebie, przysięgam, tak jak jej dla ciebie i dla mnie. Niczego mnie nie pozbawiła. Nigdy! Dlaczego nie mogła sobie wybaczyć? Może nie byłoby łatwo, ty, ja, ona i nie wiadomo kto jeszcze. Ale życie i tak nie jest proste, i można je przeżyć na tysiąc sposobów. Nie powinna się była bać, coś byśmy wymyślili. Każdą górę da się zdobyć. Każdą. – Czy Luc naprawdę tak myśli? Czy człowiek jest w stanie tak odczuwać i mieć w sobie tyle miłości do innych? – Chodź! – rozkazał teraz gospodarz.

Ruszył przodem korytarzem w dół, w prawo, w lewo, jeszcze jednym korytarzem, a potem...

Jasnobrązowe drzwi. Mąż Manon potrzebował chwili, zanim włożył klucz do zamka. Następnie przekreślił go i położył swoją wielką, pewną dłoń na mosiężnej klamce.

– To był pokój, tutaj Manon umierała – wyjaśnił ochrypłym głosem.

Pomieszczenie było niewielkie, ale przepelnione światłem. Wyglądało, jak gdyby nadal było używane. Wysoka, drewniana szafa, sekretarzyk, krzesło, na którego oparciu wisiała jedna z bluzek Manon. Fotel, a obok stolik z rozłożoną książką. W tym pokoju panowało życie. Inaczej niż w tym, który Jean porzucił w Paryżu. Tym wyblakłym, smutnym pokoju, w którym zamknął swoje wspomnienia i swoją miłość.

Ten tutaj wyglądał tak, jak gdyby jego mieszkanka dopiero co z niego wyszła. Obszerne, wysokie drzwi prowadziły na kamienny taras, a stamtąd do ogrodu z kasztanami, bugenwillami, migdałowcami, różami i drzewkami moreli, pod którymi akurat mignął biały kot.

Jean popatrzył potem na łóżko. Było przykryte kolorowym pledem, który Manon uszyła na swój ślub. U niego, w Paryżu. Ten pled i jego banderę z książkowym ptakiem.

Wzrok Luca podążył za jego spojrzeniem.

– W tym łóżku umarła. W Wigilię 1992 roku. Zapytała mnie, czy przeżyje tę noc.

Powiedziałem, że tak. – Odwrócił się w stronę Jeana. Jego oczy miały teraz ciemną barwę, a twarz poszarzała z bólu. Uszła gdzieś cała samokontrola. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał wysoko, głucho i bezradnie. – Powiedziałem jej, że tak. To był jeden jedyny raz, kiedy okłamałem swoją żonę.

Perdu, nie myśląc wiele, wyciągnął ręce, by objąć Luca. A ten nie bronił się.

– O Boże! – Odwzajemnił jego uścisk. – Cokolwiek was łączyło, nie zostało zniszczone przez to, co ja dla niej znaczyłem. Ona nigdy nie chciała żyć bez ciebie. Nigdy.

– Nigdy nie okłamałem Manon – mamrotał Luc, jak gdyby nie słyszał słów Jeana. –

Nigdy. Nigdy.

Jean trzymał Luca, którym wstrząsały teraz bolesne drgawki. Mężczyzna nie płakał. Nie odzywał się. Tylko wciąż kulił się w jego objęciach.

Perdu tymczasem przypomniał sobie z zawstydzieniem wieczór wigilijny w 1992 roku. Błąkał się wtedy pijany po całym Paryżu i zlorzczył Sekwanie. Wyrabiał te wszystkie głupoty, podczas gdy Manon walczyła, ciężko walczyła. I przegrała.

Nawet nie poczułem, że umarła. Nic. Ziemia nie zatrzęsa się ani nie rozstąpiła. Nie rozległ się żaden grom. Nic.

Luc w jego ramionach doszedł już trochę do siebie.

– Pamiętnik Manon. Miałem ci go dać, gdybyś kiedyś się zjawił – wydusił stłumionym głosem. – Takie było jej życzenie. Miała nadzieję do samego końca.

Odsunęli się od siebie z ociąganiem.

Luc usiadł na sofie i otworzył szufladę w nocnym stoliku.

Jean od razu rozpoznał okładkę. Manon zapisywała coś w tym zeszycie, kiedy się poznali, w pociągu do Paryża. Kiedy płakała nad nim z powodu rozstania ze swoim południem. Notowała w nim też coś nocami, nie mogąc spać, po tym jak wcześniej się kochali.

Mąż Manon wstał i wyciągnął w jego stronę zeszyt, Jean sięgnął po niego, ale Luc przytrzymał go jeszcze na moment.

– A to ode mnie – powiedział ze spokojem.

Jean wiedział, co teraz nastąpi i że nie może się uchylić. Zamknął więc tylko oczy. Pięść Luca trafiła go gdzieś pomiędzy ustami a brodą.

Niezbyt mocno, ale na tyle solidnie, by pozbawić go tchu i lekko zamroczyć. Zatoczył się na ścianę.

Potem dobiegł go skądś przeproszający ton winiarza.

– Tylko nie myśl, że to za to, że z nią spałeś. Już kiedy chciałem się z nią ożenić, miałem świadomość, że Manon nigdy nie wystarczy jeden mężczyzna. – Luc wyciągnął teraz ku niemu dłoń. – To za to, że nie przyjechałeś.

Przez krótką chwilę nałożyły się na siebie wszystkie obrazy.

Jego zakazany, martwy pokój na rue Montagnard.

I pokój, w którym umarła Manon. Jasny i ciepły.

Jego ręka w dłoni Luca.

Potem zaś przyszło tamto wspomnienie.

Przecież bardzo dobrze czuł, kiedy Manon odeszła. Wtedy przed Bożym Narodzeniem, kiedy wciąż chodził pijany i błyskawicznie zasypiał. W tym stanie słyszał, jak do niego mówi. Jakieś ulotne słowa, których nie rozumiał. „Drzwi naraz”, „kredka”, „południowa zorza” i „kruk”.

A teraz stoi tu, w pokoju Manon, z jej pamiętnikiem w ręce. Zapewne to w nim znajdzie te wszystkie słowa.

Ogarnął go spokój. Twarz paliła go od kojącego bólu po zasłużonym ciosie.

– Będziesz mógł jeść? – zapytał zakłopotany Luc, wskazując na jego szczękę. – Mila zrobiła kurczaka w sosie cytrynowym.

Jean kiwnął głową.

Nie zapytał, dlaczego Luc nazwał wino imieniem Manon. Zrozumiał.

Dziennik Manon

Bonnieux, 24. 12. 1992 r.

Maman zrobiła trzynaście deserów. Różne orzechy, różne owoce, rodzynki, dwukolorowy nugat, ciasto na oleju, babka z mlekiem cynamonowym. Victoria leży w kołysce, ma różowe policzki i ciekawskie oczka. Przypomina swojego ojca.

Luc już mi nie wyrzuca, że ja odchodzę, a Victoria zostaje, a nie na odwrót.

Będzie jak południowa zorza, będzie świecić jasnym blaskiem.

Proszę Luca, aby dał ten zeszyt do przeczytania Jeanowi bez względu na to, kiedy się zjawi. O ile się zjawi. Na pożegnanie, na wyjaśnienia, brakuje mi sił.

Moja małeńka zorza. Spędziłam z Vicci zaledwie czterdzieści osiem dni, a śniły mi się już całe lata. We śnie widziałam mnóstwo żyć, które czekają moją córeczkę.

Maman notuje za mnie, bo nie mam już nawet siły na to, by trzymać ołówek. Całą zużyłam bowiem na zjedzenie deserów, żeby nie jeść chleba przeznaczonego dla zmarłych. Myślenie zajmuje tyle czasu.

Coraz mniej słów w głowie. Wszystkie się już wyprowadziły.

Gdzieś w dalekie strony. Gdzie więcej kolorowych kredek niż ołówków i więcej światła niż ciemności.

W tym domu jest tyle miłości.

Wszyscy darzą miłością siebie nawzajem i mnie. Wszyscy są tacy dzielni i tacy zakochani w tym dzieciątku.

(Moja córka chce potrzymać swoją córkę. Manon i Victoria leżą razem, w kominku trzaskają płonące polana. Przychodzi Luc i bierze w ramiona obie swoje dziewczynki. Manon dała mi znak, że chce jeszcze coś zanotować. Moja dłoń trzymająca ołówek jest lodowata. Mąż przynosi mi grzane wino, ale moje palce wcale nie czują ciepła).

Kochana Victorio, córeczko, moja ślicznotko. Nie było trudno poświęcić się dla ciebie. Tak już jest, raduj się, że pozostaniesz kochana, na zawsze.

Resztę, córeczko, o moim życiu w Paryżu przeczytaj i bądź rozważna w swoim osądzie.

(Manon traci świadomość. Zapisuję to, co szepcze. Ożywia się, kiedy słyszy, jak drzwi się otwierają. Wciąż jeszcze czeka na tego człowieka z Paryża. Wciąż ma nadzieję).

Dlaczego Jean nie przyjechał?

To zbyt bolesne?

Tak. Pewnie zbyt bolesne.

Ból ogłupia mężczyznę. Głupi mężczyzna łatwiej ulega strachowi.

Rak życia, to on toczy mojego kruka.

(Moja córka niknie w oczach. Piszę i próbuję powstrzymać łzy. Pyta, czy przeżyje jeszcze tę noc. Okłamuję ją i mówię, że tak. Ona na to, że kłamię tak samo jak Luc.

Na chwilę przysypia. Luc zabiera dziecko. Manon się budzi).

List dotarł do niego – powiedziała madame Rosalette, dobra kobieta. Będzie na niego

uważać, ile się da, ile on pozwoli. Mówię jej, że to duma, głupota, ból.

Powiedziała, że zniszczył meble i jakby zastygł. Zastygł jak posąg, jak gdyby był martwy.

No to jest nas dwoje.

(Moja córka się śmieje).

Maman zapisała po cichu coś, czego nie powinna.

I nie chce mi pokazać.

Mocujemy się na ostatnich metrach.

A co? Co innego należałoby robić? W milczeniu i w najlepszej koszuli czekać, aż kostucha machnie kosą?

(Znów się śmieje i kaszle. Śnieg na zewnątrz przykrywa cedry jak śmiertelny całun. Dobry Boże, uosabiasz wszystko, czego nienawidzę, bo odbierasz mi przed czasem moją córkę i zostawiasz w żałobie jej dziecko. I co, tak to ma się toczyć? Martwe koty zastąpione młodymi, martwa córka zastąpiona wnuczką?)

Czy nie należałoby raczej aż do samego końca żyć tak jak zwykle? Bo właśnie to najbardziej drażni śmierć – żyć do ostatniego łyka.

(Kolejny napad kaszlu. Mija dwadzieścia minut, zanim córka znów może mówić. Szuka słów.

Cukier – mówi i złości się, bo to nie to słowo.

Tango – szepcze.

Drzwi naraz – krzyczy.

A ja wiem, że chodzi jej o drzwi na taras).

Jean, Luc. Wy obaj.

Ostatecznie odchodzę tylko gdzieś obok.

Na koniec korytarza, do mojego najpiękniejszego pokoju.

A stamtąd do ogrodu. Tam stanę się światłem i pójdę, dokąd zechcę.

Wieczorami osiądę czasem i popatrzę na dom, w którym wspólnie mieszkaliśmy

Zobaczę cię, Luc, mój ukochany mężu, jak krążysz po pokojach. I ciebie, Jean, w twoim

domu.

Jak mnie szukasz.

Oczywiście nie ma mnie już w tych zamkniętych pokojach.

Ale spójrz tutaj! Jestem na zewnątrz.

Podnieś oczy, tu jestem!

Myśl o mnie i zawołaj mnie po imieniu!

Nic nie ubyło tylko dlatego, że już mnie nie ma.

Śmierć nic przecież nie znaczy.

To, co nas łączyło, będzie trwać na zawsze.

Podpis Manon był słaby i wyglądał upiornie. Po przeszło dwudziestu latach Jean Perdu nachylił się i ucałował te nieporadne gryzmoły.

Trzeciego dnia mistral po prostu ustąpił. Jak zawsze. Poszarpał firanki, ustalił nowy, równościowy porządek porozrzucanych wszędzie foliowych worków. Psy doprowadził do pasji, a ludzi do łez.

A potem odleciał, a wraz z nim zniknęły kurz, upał i zmęczenie. Region pozbył się też turystów, zawsze zbyt rozbieganych, zbyt nachalnych i zbyt wygłodniałych, którzy oblegali jego małe miasteczka. Luberon mogło znów przestawić się na swoje tempo wyznaczone wyłącznie przez cykle przyrody. Kwitnienie, siew, gody, oczekiwanie, cierpliwość, zbiory. I czynienie właściwych rzeczy we właściwym czasie, bez ociągania.

Ciepło wróciło, choć w swojej jesiennej, łagodnej i radosnej odsłonie, kiedy cieszymy się na wieczorną burzę i poranną rzeźkość, której tak brakowało nam podczas letnich upałów.

Im wyżej Jean piął się po stromej, wyboistej ścieżce wyłożonej piaskowcem, tym ciszej stawało się wokół. W drodze na masywne wzgórze, na którym wznosił się kościół w Bonnieux, towarzyszyły mu jedynie odgłosy świerszczy, cykad i wiatru. Niósł ze sobą pamiątnik Manon oraz otwartą, zakorkowaną butelkę wina od Luca i kieliszek.

Szedł, jak wymagała tego owa stroma, nierówna droga, pochylony, zgarbiony jak pokutnik, stawiając małe kroki i walcząc z bólem wędrującym od łydek, poprzez uda, plecy aż do głowy.

Minął kościół, którego strome, kamienne schody przypominały niemal drabinę, potem cedry i znalazł się na szczycie.

Widok przyprawił go o zawrót głowy.

U jego stóp rozciągała się rozległa kraina. Jasny dzień, jaki nastał po przejściu mistralu, niemal pozbawił niebo koloru. Tam, gdzie według Jeana znajdował się Awinion, horyzont był prawie biały.

Domy w piaskowym kolorze rozsiane pośród zieleni, czerwieni i żółci, jak na historycznym malowidle. Długie szeregi winorośli w żołnierskim szyku, dojrzałe i soczyste. Ogromne kwadraty kwitnącej lawendy. Zielone, brązowe i intensywnie żółte pola poprzedzielane kołyszącymi się zielonymi kępami drzew. Przepiękny krajobraz, majestatyczny widok – nikt, kto ma duszę, nie mógł pozostać nań obojętny.

Jak gdyby ta kalwaryjska góra otoczona grubym murem, usiana wielkimi grobowcami i kamiennymi krzyżami strzelającymi ku górze niczym palce stanowiła najniższe piętro samego nieba, gdzie Bóg siaduje po kryjomu i spogląda w dół. A ten rozległy i uroczysty widok zarezerwowany jest tylko dla niego i zmarłych.

Jean, ze zwieszoną głową i bijącym sercem, przeszedł po grubym żwirze w stronę wysokiej żelaznej bramy.

Cmentarz był długi i wąski. Dzielił się na dwie części z dwoma rzędami grobów po każdej stronie. U góry zwietrzałe kamienne nagrobki i czarne marmurowe grobowce i drugi, podobny rząd niżej. Płyty nagrobne wysokie jak drzwi i szerokie jak łoża, najczęściej zwieńczone solidnym krzyżem. Znajdowały się tu głównie grobowce rodzinne, głębokie sarkofagi skrywające całe stulecia żałoby.

Pomiędzy grobami rosły, niekiedy podparte, smukłe cyprysy, niedające ani grama cienia. Wszystko tu zdawało się obnażone i odkryte, pozbawione jakiegokolwiek osłony.

Perdu, wolno i wciąż łapiąc oddech, przemierzał pierwszy rząd i odczytywał nazwiska na grobach. Wypolerowane nagrobki udekorowane były porcelanowymi kwiatami, kamiennymi

księgami i opatrzone zdjęciem oraz krótką sentencją wyrytą w marmurze. Na niektórych stały też figurki symbolizujące zainteresowania zmarłego.

Na grobie pewnego człowieka o imieniu Bruno stał kamienny seter irlandzki i leżała myśliwska strzelba.

Na innym znajdowała się talia kart.

Na płycie kolejnego zobaczył kontur wyspy. Gomera – zapewne ulubione miejsce nieboszczyka.

Kamienne komody ze zdjęciami, kartkami i bibelotami. Żywi z Bonnieux wysyłali swoich zmarłych w podróż w zaświaty wyposażonych we wszystko, co najważniejsze.

Patrząc na te wszystkie dekoracje, Jean przypomniał sobie swoją sąsiadkę pianistkę Clarę Violette. Jej fortepian też zawsze był zastawiony drobiazgami, które wolno mu było uprzątnąć jedynie wówczas, gdy przesuwiał instrument w stronę balkonu.

Uświadomił sobie przy okazji, że tęskni za mieszkańcami kamienicy na rue Montagnard. Czyżby nie zorientował się, że przez wszystkie te lata żył wśród tylu przyjaciół?

Potem w środku drugiego rzędu odnalazł grób Manon, zwrócony czołem ku dolinie. Spoczywała razem ze swoim ojcem Arnouldem Morellem.

Przynajmniej nie jest tu sama.

Opadł na kolana i wtulił policzek w płytę nagrobną. Rozłożył ramiona, jak gdyby chciał objąć grobowiec.

Marmur był chłodny, mimo że stał w słońcu.

Dookoła grały świerszcze.

Zawodził wiatr.

Jean czekał, żeby coś poczuć. Żeby ją poczuć.

Jednak wszystko, co zdradziły mu zmysły, to pot ciekący po plecach, bolesne pulsowanie w uszach i ucisk ostrego żwiru na kolana.

Otworzył oczy i popatrzył na napis „Manon Basset (z domu Morello)”, na daty „1967–1992”, na jej czarno-biały wizerunek w ramce.

I nic.

Nie ma jej tutaj.

Cyprysy zakołysały się pod podmuchem wiatru.

Nie ma jej tutaj!

Wstał więc rozczarowany i bezradny.

– Gdzie jesteś? – wyszeptał na wiatr.

Rodziny grobowiec cały był zastawiony. Porcelanowe kwiaty, figurki kotów, rzeźba otwartej książki.

Na niektórych przedmiotach znajdowały się zdjęcia. Mnóstwo podobizn Manon, których Perdu nigdy nie widział.

Na przykład fotografia ślubna, a pod nią: „Z wyrazami miłości. Nigdy nie żałowałem. Luc”.

Inna, na której Manon trzyma na rękach kota: „Drzwi na taras wciąż stoją otwarte. Maman”.

Pod kolejną: „Jestem, bo odeszłaś. Victoria”.

Jean chwycił ostrożnie rzeźbę książki i przeczytał inskrypcję.

„Śmierć nic nie znaczy. To, co nas łączyło, będzie trwać zawsze”.

Przeczytał te słowa ponownie, tym razem na głos.

Manon wypowiedziała je dawno temu w Buoux, gdzie w górach szukali na niebie swojej gwiazdy.

Przesunął dłonią po nagrobku.

Ale tu jej nie ma.

Manon tu nie ma. Nie została zamknięta w tym kamiennym grobie otoczona ziemią i beznadziejną samotnością. Nawet przez jedno okamgnienie nie zstąpiła do tej krypty w ślad za swoim opuszczonym ciałem.

– Gdzie jesteś? – zapytał znów.

Podszedł do kamiennej balustrady i spojrzał w dal na rozpościerającą się u jego stóp rozległą i urodzajną dolinę Calavon. Wszystko wydawało się takie maleńkie. Jak gdyby szybował nad nią niczym myszółów. Powąchał powietrze. Głęboko oddychał. Czuł i słyszał podmuchy wiatru igrającego w cedrach. Dostrzegał nawet winnicę Manon.

Obok jednego z cyprysów, opodal kranu z wodą do podlewania kwiatów znajdowały się kamienne schodki prowadzące na wyższe piętro cmentarza.

Usiadł na nich, odkorkował białe wino Manon XV i nappełnił kieliszek. Następnie ostrożnie wypił łyk. Wciągnął zapach wina, pachniało tak radośnie. Białe Manon smakowało miodem, jasnymi owocami i lekkim westchnieniem tuż przed zaśnięciem. Było pełne życia i sprzeczności. Wino smakujące miłością.

Udało się Lucowi.

Postawił kieliszek na schodku obok i otworzył pamiętnik. Przez ostatnich kilka dni i nocy wciąż go czytał, podczas gdy Max, Catherine i Victoria pracowali razem w winnicach. Niektóre fragmenty znał już nawet na pamięć, inne wciąż go zaskakiwały. Niektóre odrobinę raniły, jednak większość wyzwaliała w nim poczucie wdzięczności. Nie zdawał sobie sprawy, ile znaczył dla Manon. Dawniej pragnął, by tak było, jednak owa prawda dotarła do niego, dopiero kiedy odnalazł spokój i na nowo się zakochał. Teraz uzdrowiła wszystkie stare rany.

Odszukał w pamiętniku wpis, który powstał w okresie oczekiwania.

Żyłam dostatecznie długo – pisała Manon późną jesienią w taki październikowy dzień, jak ten. – Żyłam, kochałam, więc miałam z życia to, co najlepsze. Czemu więc zamartwiać się końcem? Po co trzymać się tej reszty, która pozostała? Śmierć ma przynajmniej tę zaletę, że przestajemy się jej bać. I jest w niej też spokój.

Przewrócił kilka kartek. Tu zaczynały się wpisy, od których pękało mu serce z bólu i współczucia. Gdzie Manon pisze o lęku, który zalewa falami jej ciało. Nocami, kiedy nie mogą spać, leży w ciemności i nasłuchuje skradającej się śmierci. Również tamtej nocy, kiedy w zaawansowanej ciąży uciekła do pokoju Luca, a on tulił ją potem aż do rana, usiłując nie płakać.

I jak to jednak robił. Pod prysznicem, bo myślał, że tam go nie usłyszy.

Ale ona słyszała.

Po wielekroć Manon zdumiewa się siłą Luca.

Karmił ją i mył. Patrzył, jak jej ciało niknie – z wyjątkiem brzucha.

Perdu upił łyk wina i czytał dalej.

Moje dziecko karmi się moim ciałem. Bierze wszystkie zdrowe tkanki. Mój brzuch jest zaróżowiony, jędrny i żywotny. W środku siedzi pewnie całe stadko swawolnych kociąt. Reszta mojego ciała jest starsza o tysiąc lat. Szara, zwiędła i sucha jak chrupki chleb, który jadają ludzie północy. Za to moja dziewczynka będzie mogła jeść złociste, połyskujące tłuszczem rożki. Zwycięży, pokona śmierć. Zagramy jej na nosie, ja i moja córka. Chcę by nosiła imię Victoria.

Jak ona kochała to nienarodzone jeszcze dziecko! Jak karmiła je swoją miłością, która płonęła w niej nieprzerwanym płomieniem.

Nic dziwnego, że Victoria jest taka silna – pomyślał. – Manon całkowicie się jej oddała.

Wrócił teraz do zapisków z tamtego sierpnia, kiedy Manon go opuściła.

Teraz leżysz na plecach jak tancerz wykonujący piruet. Jedna noga wyprostowana, druga podciągnięta. Jedna ręka nad głową, druga wyrzucona w bok.

Zawsze patrzyłeś na mnie, jak gdybym była jedyna w swoim rodzaju. Ani razu w ciągu pięciu lat nie spojrzaleś na mnie z gniewem ani z obojętnością. Jak ci się to udało?

Teraz przygląda mi się Castor. Pewnie dla kotów my, dwunożni jesteśmy dziwolągami.

Wieczność, która czeka mnie niebawem, wydaje mi się przytłaczająca.

Czasami – wiem, że to złe – czasami chciałabym, żeby ten, kogo kocham, odszedł przede mną. Żebym wiedziała, że i ja dam radę.

Czasami myślałam, że powinieneś odejść przede mną, abym i ja potrafiła. I miała pewność, że czekasz na mnie...

Adieu, Jeanie Perdu.

Zazdroszczę ci tych wszystkich lat, które masz przed sobą. Udaję się do mojego ostatniego pokoju, a stamtąd do ogrodu. Tak, tak to będzie. Minę wysokie drzwi na taras i wyruszę ku zachodzącemu słońcu. A potem stanę się światłem, będę wszędzie.

To byłaby moja natura, byłabym już na zawsze, każdego wieczoru.

Jean nalał sobie jeszcze jeden kieliszek.

Słońce powoli zachodziło, oblewając całą okolicę różowawą poświatą. Fasady domów zabarwiły się złociście, a okna w nich i wszystkie szklane powierzchnie połyskiwały niczym diamenty.

I stało się.

Powietrze zapłonęło.

Jak gdyby eksplodowały roje błyszczących i roztańczonych kropelek. Dolinę, wzgórza i jego samego oblekł welon ze światła. Światła, które prawie się uśmiechało. Jean jeszcze nigdy nie przeżył takiego zachodu słońca.

Wypił jeszcze jeden łyk wina, tymczasem obłoki zaczęły przybierać niezliczone barwy, od wiśniowej i malinowej poprzez brzoskwiniową aż po odcień żółtych melonów.

I wtedy zrozumiał.

Ona tu jest.

Tam!

Dusza Manon, energia Manon, całe wyswobodzone z ciała jestestwo Manon. Jest ziemią i wiatrem, jest wszędzie i we wszystkim. Zamigotała i objawiła mi się we wszystkim, czym jest...
... bo wszystko nosimy w sobie. Nic nie przemija.

Roześmiał się, ale było to zbyt bolesne, więc zamilkł i słuchał, jak śmiech tańczy dalej w jego sercu.

Masz rację, Manon.

Wszystko nadal trwa. Czas spędzony razem jest nieprzemijalny, nieśmiertelny. A życie wcale się nie kończy.

Śmierć ukochanych osób jest tylko progiem pomiędzy końcem a nowym początkiem.

Jean nabrał głęboko powietrza, a potem powoli je wypuścił.

Poprosi Catherine, by przeszła wraz z nim ten kolejny stopień, to kolejne życie. By powitała z nim ten jasny nowy dzień po długiej, mrocznej nocy, która zaczęła się dwadzieścia jeden lat temu.

– Do widzenia, Manon Morello, do widzenia – wyszeptał. – Jak to wspaniale, że byłaś. Słońce zatонуło za wzgórzami Vaucluse, a niebo spłonęło zalane płynnym ogniem.

Dopiero kiedy wszystkie kolory zbladły, a świat pogrzyżył się w półcieniu, Jean dopił wino. Do ostatniej kropelki.

EPILOG

Już drugi raz zjedli razem trzynaście deserów i ustawili na stole trzy nakrycia, dla zmarłych, dla żywych i dla pomyślności w nadchodzącym roku. Przy długim stole Luca Basseta zawsze były trzy wolne miejsca.

Siedząc w kuchni przy płonącym kominku, wysłuchali „Rytuału prochu”, oksytańskiej modlitwy zmarłych odczytanej przez Victorię. Robiła tak w każdą rocznicę śmierci, dla swojej matki i dla siebie. Modlitwa była jak posłanie od zmarłych do ich najbliższych.

– Jestem barką wiodącą cię ku mnie – rozpoczęła Victoria uroczystym tonem. – Jestem solą na twoich niewładnych ustach, jestem aromatem, istotą wszystkich potraw... jestem zaskoczonym świtaniem i gadatliwym zachodem słońca. Jestem wyspą niezłomną, której umyka ocean. Jestem, czym zechcesz i co powoli mnie oswobadza. Jestem dobrą granicą twojej samotności.

Przy ostatnich słowach zapłakała podobnie jak Jean i Catherine, którzy ukryli twarze w dłoniach. Tak samo jak Joaquin Albert Perdu i Lirabelle Bernier, czasami Perdu, którzy tu, w Bonnieux, jako kochanek i kochanka wypróbowywali zawieszenie broni. Surowi mieszkańcy północy, których zazwyczaj niełatwo było poruszyć, a już z pewnością nie słowami.

Bardzo pokochali też Maksa, swojego przyszywanego wnuka. Tak samo jak Bassetów, z którymi związali się poprzez miłość, śmierć i cierpienie. Wszystkie te dziwne uczucia sprawiały, że na krótki świąteczny czas rodzice Jeana zbliżali się do siebie. W łóżku, przy stole i we wspólnym samochodzie. Przez resztę roku nadal wysłuchiwał przez telefon utyskiwań matki na swojego byłego małżonka, tego „legastenika dobrych manier”, albo pogodnych narzekań ojca na uczoną panią profesor.

Catherine była zdania, że owe złośliwe uszczypliwości były dla nich rozgrzewką przed świętem narodowym, Bożym Narodzeniem, a od niedawna także dniem urodzin Jeana, kiedy to dawni małżonkowie z namiętnością znów się schodzili.

Zarówno starsi państwo Perdu, jak i Jean oraz Catherine spędzali w Bonnieux okres od 23 grudnia aż do święta Trzech Króli.

Dni na przełomie roku upływały im na wspólnym biesiadowaniu, śmiechu i dysputach, długich spacerach, kosztowaniu wina, kobiecych rozmowach i męskim milczeniu. A potem nadchodził nowy czas. Po raz kolejny.

Kwitnienie pod koniec zimy drzewek brzoskwiniowych, kiedy zbliżająca się wiosna obsypuje ciągnące się wzdłuż Rodanu sady pękającymi pąkami, oznacza w Prowansji nowy początek. Właśnie ów biało-różowy okres kwitnienia Max i Vic wybrali na moment swojego ślubu. Victoria kazała o sobie zabiegać przez dwanaście miesięcy, zanim pozwoliła się pocałować – ale potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Niedługo potem ukazała się pierwsza książka dla dzieci autorstwa Maksa, *Czarnoksiężnik w ogrodzie. Książeczka dla małych bohaterów*.

Efektom był felieton z wyrazami zdumienia, skonfundowani rodzice oraz zachwyt dzieci i nastolatków mocno rozbawionych wzburzeniem swoich opiekunów.

Książka zachęcała bowiem do kwestionowania tego wszystkiego, co rodzice opatrywali hasłem „nie wolno!”.

Catherine, po skrupulatnych poszukiwaniach prowadzonych w całej Prowansji, znalazła atelier. Właściwie wybór pomieszczenia do pracy nigdy nie stanowił dla niej problemu, chciała jednak znaleźć się w otoczeniu odpowiadającym jak najlepiej kraj-obrazowi wewnętrznemu jej

i Jeana. Znaleźli więc w końcu stodołę stojącą obok uroczego, lekko zrujnowanego domu, gdzieś pomiędzy Sault i Mazan. Po prawej stronie znajdowało się pole lawendy, po lewej góra, a z przodu rozciągał się rozległy widok na winnice i Mont Ventoux. Na tyłach zaś rosły drzewa owocowe, pośród których harcowały ich koty Rodin i Némirovsky.

– Jak gdybym wróciła do domu – powiedziała do Jeana, deponując u notariusza z rozkoszą większą część środków, jakie przypadły jej po rozwodzie. – Jak gdybym odnalazła swoje odwieczne schronienie na końcu zaginionej ścieżki.

Jej rzeźby były prawie dwa razy wyższe od człowieka. Były jak tajemnicze istoty zakłete w kamieniu, a Catherine, przenikając przez skalną materię nieociosanego jeszcze budulca, mogła zajrzeć do ich duszy, usłyszeć ich wołanie i poczuć bicie ich serc. A potem zacząć je wyzwalać.

Nie zawsze powstawały dobrotliwe byty.

Nienawiść. Bieda. Zrozumienie. Czytanie z duszy.

Jeden moment!

I rzeczywiście. Z bryły wielkości pudła na banany Catherine wyrzeźbiła dwie ręce formujące coś palcami. Czyżby te poszukujące i znajdujące dłonie odczytywały, dotykały, głaskały słowa? Czyje to dłonie? Czy one sięgają gdzieś w głąb czy raczej coś wyjmują?

Trzymając twarz tuż przy kamieniu, można było odnieść wrażenie, że skrywa zamurowane drzwi. Wejście... do pokoju?

– Każdy człowiek ma taki swój wewnętrzny pokój, w którym czają się demony. I dopiero kiedy go otworzy i stawi im czoła, będzie naprawdę wolny – powiedziała.

Jean Perdu dokładał wszelkich starań, aby było jej dobrze czy to w Prowansji, czy to w Paryżu, gdzie mieszkali w jego dawnym mieszkaniu na rue Montagnard.

Pilnował, żeby dobrze się odżywiała i wysypiała, spotykała się z przyjaciółkami i szybko zapominała o nocnych zmorach.

Sypiali ze sobą często, zawsze z tą nieśpieszną koncentracją. Poznał każdy zakamarek jej ciała, każdą doskonałość i każdą wadę. Zwłaszcza owe niezbyt idealne miejsca głaskał i pieścił długo, by jej ciało uwierzyło mu, że dla niego jest najpiękniejsze.

Pracował na pół etatu w księgarni w Banon, a potem szedł na polowanie. Podczas gdy Catherine w Paryżu albo na podwórzu przed ich domem oddawała się rzeźbiarstwu, udzielała lekcji, sprzedawała dzieła sztuki, piłowała, szlifowała, poprawiała, Jean udawał się na poszukiwania najbardziej fascynujących księzek świata. W bibliotekach szkolnych, w zbiorach sędziwych belfrów i gadatliwych sadowniczek, w zapomnianych skrytkach w zatęchłych piwnicach i pustych, samodzielnie stawianych bunkrach z czasów zimnej wojny.

Zajął się handlem, zaczął od sprzedaży unikatowych sztuk stanowiących faksymile odręcznego manuskryptu autorstwa Sanary, jaki wpadł mu w ręce w trakcie poszukiwań. Samy nalegała, by jej pseudonim w dalszym ciągu pozostał nierozszyfrowany.

Niebawem dzięki protokolantce aukcyjnej madame Claudine Gulliver z trzeciego piętra kamienicy na rue Montagnard znalazł się majątny amator tego wyjątkowego dzieła.

Kiedy Perdu posunął się do tego, by sprzedawać swe znaleziska jedynie po swoistym przeegzaminowaniu duszy potencjalnego nabywcy, szybko dorobił się opinii ekscentrycznego miłośnika literatury, który obraca książkami nie tylko dla pieniędzy. Czasami o jeden tytuł biło się kilkunastu kolekcjonerów, jednak Jean decydował się na tego, w którym dopatrzył się wielbiciela, przyjaciela, ucznia albo pacjenta owego utworu. Pieniądze zawsze grały drugorzędą rolę.

Jean Perdu podróżował od Stambułu po Sztokholm, od Lizbony po Hongkong, znajdując po drodze książki najcenniejsze, najmądrzejsze i najniebezpieczniejsze – ale i te najpiękniejsze do czytania przed snem.

Często, jak właśnie teraz, Jean Perdu siedzi w kuchni letniej swojego *mas*, skubie rozmaryn i kwiaty lawendy, chłonie z przymkniętymi powiekami najgłębszy aromat Prowansji i pracuje nad swoją *Wielką encyklopedią niewielkich uczuć. Kompedium wiedzy dla księgarzy i księgarek, kochających osób i pozostałych literackich farmaceutów*.

Akurat wpisuje pod P: „Pociecha kuchenna. Uczucie, gdy na kuchni perkocze jakaś smakowita potrawa, szyby w oknach są zaparowane, a ukochana zaraz usiądzie z tobą do stołu i pomiędzy jednym a drugim kęsem będzie spoglądać na ciebie z zadowoleniem (patrz też: *Życie*)”.

PRZEPISY

Kuchnia Prowansji jest równie urozmaicona jak sam jej obszar. Na wybrzeżu dominują ryby, w głębi warzywa, w górach jagnięcina albo narodzone w chudszych okresach potrawy z niezliczonych roślin strączkowych. W jednym regionie używają więcej oliwy z oliwek, gdzie indziej bazę stanowi wino, zaś w pobliżu włoskiej granicy jada się makaron. W Marsylii, gdzie Orient miesza się z Okcydentem, pojawiają się mięta, szafran i kumin. Vaucluse to królestwo trufli i pralin.

Jednak kilka elementów znajdziemy we wszystkich kuchniach pomiędzy Rodanem a Lazurowym Wybrzeżem: to ciężka, esencjonalna oliwa z oliwek, czosnek, mnóstwo rodzajów pomidorów (do sałatek, sosów, zup, ciast, pizzy, confits czy nadzienia...), ser kozi z Banon oraz świeże zioła. Prowansalska gospodyni używa przy tym do przyprawiania pieczeni czy innych potraw co najwyżej trzech ziół, za to w ogromnej ilości, na przykład szalwii bądź lawendy, tymianku lub rozmarynu, kopru albo cząbrku.

Znajdujące się tutaj przepisy to typowe dla tego regionu potrawy, których aromaty i barwy towarzyszą bohaterom powieści.

Bohémienne des légumes

Krewna ratatouille, ale z dodatkiem bakłażanów i pomidorowego sosu z bazylią. Składa się najczęściej z pokrojonych w drobną kostkę warzyw o tym samym kolorze.

Smak tej prowansalskiej potrawy zależy od jakości i intensywności jej składników. Warzywa powinny być „ucałowane” przez słońce, dorodne. Pozbawione smaku, wodniste pomidory mogą sprawić, że wyjdzie mdła. Niemniej istotny jest aromat świeżych ziół.

Składniki (dla 6 osób)

2 twarde bakłażany

2 duże cebule

2 małe, jędrne cukinie

3 strąki czerwonej papryki

3–6 soczystych, aromatycznych pomidorów (albo puszka pomidorów do pizzy)

sól, pieprz, czosnek, świeży tymianek (do wyboru – rozmaryn, liść laurowy)

Sos pomidorowy

500 g dojrzałych, aromatycznych i słodkich pomidorów

dużo tymianku i bazylii

3 łyżki łagodnej oliwy

Przygotowanie

Umyć warzywa (paprykę pozbawić pestek i obrać obieraczką do ziemniaków, pomidory sparzyć i obrać ze skórki) i pokroić w drobną kostkę. Najpierw przysmażyć na oliwie bakłażany, ciągle mieszając (10–15 minut). Następnie dodać pozostałe warzywa. Kiedy będą miękkie, doprawić solą, pieprzem, posiekany czosnkiem i tymiankiem. Potem za pomocą foremki ułożyć na talerzu.

Przygotować smakowity sos pomidorowy: obrane pomidory bez pestek dusić na oliwie z ziołami, aż całkiem się rozpadną. Doprawić solą i pieprzem. Zmiksować.

Podać z warzywami. Całość skropić oliwą. Jeść z bagietką i wedle uznania ze świeżą

śmietaną.

Pistou

To prowansalska zupa, która rozgrzewała Samy i która zawsze pobudza do życia. Niestety niepolecana na romantyczne wieczory... Ale przeczytajcie sami dlaczego.

W Prowansji niemal każdy ma własny przepis na soupe au pistou. Stałe składniki to fasolka (zielona, biała albo czerwona), cukinia, pomidory, bazylia i czosnek. Wszyscy jednak wzbogacają ją na przykład zasobami ze swojego ogródka albo świeżymi warzywami z targu – dynią, rzepą, selerem. Niektórzy przygotowują ją na wzór minestrone, inni dodają do niej gobetti, małe kluseczki, a mieszkańcy Nicei odrobinę boczku. Jednak istotą pistou jest podobny do włoskiego pesto ostry, zielony sos, ale bez orzeszków piniowych.

Klasyczne składniki (dla 4 osób)

1 puszka (masa netto 250 g) białej włoskiej fasolki

200 g marchwi

250 g cukinii

200 g zielonej fasolki

1 por (albo szczypior)

500 g ziemniaków

1 cebula

4 jędrne i słodkie pomidory (lub pół puszki pomidorów)

oliwa, sól, pieprz, po 3–4 gałązki tymianku, cząbrku i rozmarynu, pasta pomidorowa wedle uznania

Pasta ziołowa

2–3 ząbki czosnku

0,5 łyżeczki gruboziarnistej soli

3–4 szczypty bazylii

50 g parmezanu (albo pecorino, wedle uznania)

5 łyżek najprzedniejszej, łagodnej oliwy

Przygotowanie

Umyć warzywa i pokroić na kawałki, krążki i kostkę. Pomidory sparzyć, obrać ze skórki i pokroić na kawałki (ewentualnie użyć dobrych pomidorów z puszki). W garnku rozgrzać oliwę, włożyć warzywa i zioła, następnie dusić, mieszając, przez 10 minut. Posolić do smaku.

Fasolkę opłukać zimną wodą, odcedzić i dołożyć do warzyw. Dolać 1,5 do 2 litrów wody i gotować na małym ogniu przez 30 do 45 minut (aż fasolka będzie miękka). Doprawić solą i pieprzem.

Przygotować pastę: obrać czosnek, następnie zmiksować go z solą, listkami bazylii i parmezanem. Dodać oliwę. Gotową pastę nałożyć do miseczek i zalać gorącą zupą warzywną. Niektórzy wolą sami dodać pastę do zupy i posypać wszystko dodatkowo parmezanem.

Kotlety jagnięce z flanem czosnkowym

Najważniejsza jest jakość jagnięciny oraz marynata.

Poniżej znajdziecie różne warianty pysznej marynaty, w której mięso powinno się pławić przez całą noc.

Składniki (dla 2–3 osób)

wedle apetytu po 2–3 kotlety na osobę

Marynata

2–3 ząbki czosnku

trochę soku pomidorowego

1 łyżka świeżego posiekanego rozmarynu

1 łyżka suszonego tymianku

2–3 łyżki płynnego miodu – do wyboru

pieprz

dobra oliwa (na przykład aromatyzowana rozmarynem, czosnkiem, lawendą albo cytryną)

ewentualnie musztarda dżońska, słodka papryka chili, gęsty likier sherry, krem balsamico

albo odrobina czerwonego wina – jak lubicie

Flan czosnkowy

100 g czosnku

125 ml mleka lub śmietany

3 jaja

sól, pieprz

gałka muskatołowa, oliwa

Przygotowanie

Marynata: Czosnek obrać, posiekać i wymieszać z sokiem pomidorowym, ziołami, miodem, pieprzem, oliwą i dodatkowymi składnikami. Obtoczone marynatą kotlety włożyć do foliowego worka, worek szczelnie zamknąć, włożyć do miski i pozostawić na kilka godzin, najlepiej na całą noc.

Kotlety jagnięce: Smażyć na rozgrzanej patelni grillowej po 1 minucie z każdej strony. Następnie patelnię zdjąć z ognia i pozostawić na niej kotlety przez 5 minut. Powinny być różowe w środku. Autorka lubi smażyć kotlety na patelni do raclette'ów – wychodzą wtedy perfekcyjnie.

Flan: Obrane ząbki czosnku ugotować do miękkości w mleku lub śmietanie, następnie przetrzeć przez sito, doprawić solą i pieprzem oraz wymieszać z jajkami, dodać gałkę muskatołową do smaku. Suchy czosnek przed kąpielą w mleku najlepiej zblanszować, następnie rozdrobnić widelcem i dopiero dodać do mleka. Flan w wysmarowanych oliwą foremkach do sufletów trzymać przez 20 minut w kąpieli wodnej. Odstawić na 10 minut do ostygnięcia i wyłożyć z foremek na talerz.

Znakomicie pasują tu ziemniaki pieczone na blasze z oliwą i rozmarynem, posypane solą.

Lody lawendowe

W lodziarniach w Roussillon lody lawendowe mają rzeczywiście tak intensywny kolor jak kwiaty lawendy – najczęściej barwi się je, dodając odrobinę soku z jagód. W domowej produkcji bez dodatku jagód lody wyjdą raczej mlecznoliliowe.

Składniki

1–2 łyżeczki suszonej lawendy albo 2–4 łyżeczki świeżych kwiatów lawendy (z ogrodu albo gospodarstwa ekologicznego)

200 g cukru

8 łyżek mleka (świeżego)

8 żółtek (najlepiej z ekologicznych jaj)

250 ml śmietany (albo jogurtu w lżejszej wersji)

ewentualnie garść jagód do zabarwienia

Przygotowanie

Lawendę zmiksować z cukrem, następnie przesiać, aby pozostał miazgi proszek. Taki lawendowy puder rozpuścić w mleku, tak by już nie „chrupały” kryształki cukru (mleko można ewentualnie podgrzać, ale nie gotować). Żółtka wymieszać starannie ze śmietaną lub jogurtem. Następnie dodać do nich lawendowe mleko. Jagody zmiksować i zabarwić nimi mleczną masę. Wszystko przełożyć do maszyny do robienia lodów albo do zamrażalnika i od czasu do czasu zamieszać przed zamrożeniem.

Zachować kilka kwiatów lawendy do dekoracji.

Alternatywny przepis na lody lawendowe z syropem albo miodem lawendowym

Składniki

5 łyżek syropu lawendowego

500 g jogurtu greckiego

8 łyżek mleka (świeżego)

200 g śmietany

ewentualnie garść jagód do zabarwienia

miód lawendowy, syrop lawendowy albo kwiaty lawendy

Przygotowanie

Syrop lawendowy wymieszać z jogurtem, dodać mleko i śmietaną i ukręcić na gładką masę.

Jagody zmiksować i dodać stopniowo do masy.

Całość włożyć do maszyny do lodów albo zamrażalnika. Przed podaniem udekorować syropem, kwiatami lawendy albo miodem lawendowym.

Trzynastcie deserów

Przygotowywanie na wigilię trzynastu deserów z tradycyjnych prowansalskich produktów ma prawie stuletnią tradycję.

Desery symbolizują trzynastu uczestników Ostatniej Wieczerzy, czyli Jezusa i dwunastu apostołów. Podaje się je po pasterce albo po wieczerzy wigilijnej składającej się z siedmiu prostych i postnych potraw.

Wśród typowych 13 deserów znajdują się:

- * rodzyunki (własnoręcznie ususzone),
- * suszone figi (własnoręcznie zrywane),
- * nieodżowne orzechy: migdały, orzechy laskowe i włoskie,
- * daktyle symbolizujące Jezusa,
- * 4 rodzaje świeżych owoców, śliwki (najlepiej tradycyjne z Brignoles), gruszki, melony, jabłka, pomarańcze, winogrona, mandarynki,
- * owoce kandyzowane,
- * jasny i ciemny miód turecki, biały i czarny nugat, łuskane i obrane ze skórki orzechy laskowe, orzeszki piniowe i pistacjowe (jako symbol dobra i czystości), ciemny nugat (jako symbol zła i nieczystości),
- * fougasse (także fouace), czyli ciasto chlebowe na oleju (należy je łamać, nigdy kroić!),
- * oreillettes, czyli faworki ze skórką cytrynową,

- * babka mleczna z cynamonem,
 - * ratafia (mieszanka moszczu i koniaku) albo słodki jak ulepek likier Carthagène,
 - * słodkości z marcepanu,
 - * biszkopty.
- A na koniec kozi ser.

APTEKA LITERACKA JEANA PERDU OD ADAMSA DO TWAINA

Szybko działające duchowo-nasercowe specyfiki na lekkie i średnio ciężkie katastrofy uczuciowe.

W przypadku braku innych zaleceń przyjmować przez wiele dni w lekkostrawnych dawkach (około 5–50 stron). W miarę możliwości z opatulonymi nogami i/lub kotem na kolanach.

Adams Douglas, *Autostopem przez galaktykę*, tłum. P. Wieczorek, Poznań 1994 (*The Hitchhiker's Guide to the Galaxy*, London 1980)

- W wysokich dawkach skuteczny zarówno na huraoptymizm, jak i na brak poczucia humoru. Dla amatorów sauny stroniących od ręczników.

Skutki uboczne: Awersja do posiadania, możliwe chroniczne noszenie szlafroka.

Arnim Elizabeth von, *Zaczarowany kwiecień*, tłum. J. Prądyńska, Warszawa 1998 (*The Enchanted April*, London 1922)

- Na nieumiejętność podejmowania decyzji oraz by zdobyć zaufanie przyjaciół.

Skutki uboczne: Zakochanie we Włoszech, tęsknota za południem, wzmożone poczucie sprawiedliwości.

Barbery Muriel, *Elegancja jeża*, tłum. I. Stąpor, Warszawa 2008 (*L'Éléance du hérisson*, Paris 2006)

- W wysokich dawkach skuteczna na gdybanie. Zalecana dla niedocenianych geniuszy, amatorów ciężkich filmów oraz osób nienawidzących kierowców autobusów.

Cervantes Miguel de, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, tłum. A.L. Czerny, Z. Czerny, Warszawa 1957 (*El ingenioso hidalgo don Quijote de la Mancha*, Madrid 1605–1615; prawa do dwóch tomów odsprzedane dwóm różnym autorom)

- W przypadku konfliktu pomiędzy rzeczywistością a ideałem.

Skutki uboczne: Obawa przed technokratyzowanymi społecznościami, z których zautomatyzowaną przemocą my, jednostki, walczymy jak z wiatrakami.

Forster Edward Morgan, *Maszyna staje*, tłum. H. Kobus, [w:] *Droga do science fiction. Od Wellsa do Heinleina*, red. J. Gunn, Warszawa 1986 (*The Machine Stops*, pierwsza publikacja w „The Oxford and Cambridge Review”, Oxford 1909)

- Uwaga, wysoce skuteczne antidotum na dyktat internetu i wiarę we wszechmoc iPhone'a. Pomaga także na uzależnienie od Facebooka i filmu *Matrix*.

Sposób przyjmowania: Jeżeli należycie do Partii Piratów albo jesteście sieciowym aktywistą, stosujcie wyłącznie w małych dawkach.

Gary Romain, *Obietnica poranka*, tłum. J. Pański, Warszawa 1964 (*La promesse de l'aube*, Paris 1960)

- Aby zrozumieć matczyną miłość. Na podkolorowane wspomnienia z dzieciństwa.

Skutki uboczne: Ucieczka w świat fantazji, tęsknota za miłością.

Gerlach Günter, *Frauen von Brücken werfen*, Sankt Ingbert 2012

- Dla autorów z blokadą pisania oraz osób uważających morderstwa w kryminałach za przesadne.

Skutki uboczne: Utrata poczucia rzeczywistości, rozciągnięcie granic umysłu.

Hesse Hermann, wiersz *Stopnie (Stufen)*, [w:] tenże, *Gra szklanych paciorków. Próba*

opisu życia magistra ludi Józefa Knechta wraz z jego spuścizną pisarską, tłum. M. Kurecka, Warszawa 1971 (*Das Glasperlenspiel*, Zurich 1943)

- Na smutek i na odwagę, by zaufać.

Kafka Franz, *Dociekania psa*, tłum. L. Czyżewski, Kraków 1988 (*Forschungen eines Hundes*, [w:] tenże, *Die Erzählungen*, red. R. Hermes, Frankfurt am Main; opowiadanie opublikowane po śmierci autora, napisane w 1922 roku, tytuł nadany przez Maksa Broda)

- Na owo niełatwe poczucie bycia nierozumianym.

Skutki uboczne: Pesymizm, tęsknota za kotami.

Kästner Erich, *Doktor Erich Kästners lyrische Hausapotheke. Gedichte*, Bazylea 1936.

• Zgodnie z zaleceniami poetyckiego doktora Kästnera na rozmaite przykrości i przeciwności losu, takie jak przemądrzałość, uczucia towarzyszące rozwodowi, niedola codzienności, jesienna melancholia.

Lindgren Astrid, *Pippi Pończoszanka*, tłum. I. Szuch-Wyszomirska, Warszawa 1961 (*Pippi Långstrump*, Stockholm 1945)

- Skuteczna na przyswojony (ale nie wrodzony) pesymizm i strach przed ranami.

Skutki uboczne: Utrata umiejętności liczenia, śpiewanie pod prysznicem.

Martin George R.R., *Gra o tron*, seria *Pieśń lodu i ognia*, tłum. P. Kruk, Poznań 2003 (*Game of Thrones*, New York 1996). Do tej pory ukazało się pięć z dziesięciu zaplanowanych tomów.

• Pomaga przy odwyku od oglądania telewizji. Na nieszczęśliwą miłość, irytację codziennością i nudne sny.

Skutki uboczne: Bezsenna noc, gwałtowne sny.

Melville Herman, *Moby Dick*, tłum. B. Zieliński, Warszawa 1954 (*Moby Dick or The White Whale*, New York, 1851)

- Dla wegetarian.

Skutki uboczne: Lęk przed wodą.

Millet Catherine, *Życie seksualne Catherine M.*, tłum. W. Gilewski, R. Gręda, Warszawa 2002 (*La vie sexuelle de Catherine M.*, Paris 2001)

• Na wielką rozterkę, czy aby nie za szybko powiedziało się tak. Uwaga: Zawsze może być gorzej.

Musil Robert, *Człowiek bez właściwości*, tłum. K. Radziwiłł, K. Truchanowski, J. Zeltzer, Warszawa 1971 (*Mann ohne Eigenschaften*, Berlin 1930–1933)

• Książka dla mężczyzn, którzy zapomnieli, czego chcieli od życia. Skuteczna na brak celu.

Skutki uboczne: Działanie długofalowe, ale po dwóch latach życie wygląda zupełnie inaczej. Ryzyko między innymi utraty przyjaciela, chęci krytyki społeczeństwa, powrotu marzeń sennych.

Nin Anaïs, *Delta Wenus*, tłum. R. Szwert; Warszawa 1991 (*Delta of Venus*, New York – London 1977; opublikowana po śmierci autorki, napisana w 1940 roku)

- Pomaga już po krótkim czasie przyjmowania na apatię i utratę zmysłowości

Skutki uboczne: Spontaniczne podniecenie.

Orwell George, *Rok 1984*, tłum. T. Mirkowicz, Warszawa 1988 (*Nineteen eighty-four*, London 1949)

• Na łatwowierność i flegmatyczność. Dawniej domowy środek na chorobliwy optymizm, ale data przydatności minęła.

Pearce Philippa, *Północ w tajemniczym ogrodzie*, tłum. I. Matuszewska, Warszawa 1999 (*Tom's Midnight Garden*, Oxford 1958)

- Znakomita dla nieszczęśliwie zakochanych (PS W przypadku tego schorzenia możecie czytać wszystko, co nie ma nic wspólnego z tematem miłości, na przykład powieści grozy, thrillery, steam punk).

Pratchett Terry, cykl powieści *Świat dysku* (*The Discworld Novels*). Do tej pory ukazało się 39 powieści o świecie w kształcie dysku, począwszy od *Koloru magii*, tłum. P.W. Cholewa, Warszawa 1994 (*Colour of Magic*, Colin Smythe, Gerrards Cross, 1983), a skończywszy na *Niuchu*, tłum. P.W. Cholewa, Warszawa 2012 (*Snuff*, New York 2011)

- Na ból świata i zagrażającą życiu naiwność. Sprawdzona przy oczarowaniu umysłu, również dla początkujących.

Pullmann Philip, *Mroczne materie*, t. 1–3, tłum. D. Górską, E. Wojtczak, Warszawa 2004 (*His Dark Materials*, London 1995–2000)

- Dla tych, którzy od czasu do czasu słyszą w głowie głosy i uważają, że mają bratnie dusze wśród zwierząt.

Ringelnatz Joachim, *Kindergebetchen*, [w:] tenże, *Flugzeuggedanken*, Berlin 1929

- Gdyby jakiś agnostyk zapragnął się pomodlić.

Skutki uboczne: Nawał wspomnień z wieczorów w okresie dzieciństwa.

Saramago José, *Miasto ślepców*, tłum. Z. Stanisławska, Warszawa 1999 (*Ensaio sobre a cegueira*, Alfragide 1995)

- Na przepracowanie i aby się dowiedzieć, co naprawdę jest ważne. Na ślepotę na sens życia.

Stoker Bram, *Dracula*, tłum. M. Król, Warszawa 2005 (*Dracula*, Edinburgh 1897)

- Na nudne sny i na warowanie przy telefonie („Kiedy on w końcu zadzwoni?”).

Surre-Garcia Alem, Françoise Meyruels, „Rytuał prochu”. Oksytańska modlitwa zmarłych skierowana do żywych. Oryginał ukazał się w *Lo libre del doble despartible*, Perpignan 1997

- Pomaga na powracający żal po stracie ukochanej osoby, stroniącym od wszelkiej religii może służyć jako „humanistyczna” modlitwa podczas pogrzebu.

Skutki uboczne: Łzy.

Toes Jac., *De vrije man*, L.J. Veen, Amsterdam 2003

- Dla wielbicieli tanga do użycia między dwiema milongami oraz dla mężczyzn bojących się miłości.

Skutki uboczne: Przemyślenie swojego związku.

Twain Mark, *Przygody Tomka Sawyera*, tłum. K. Piotrowski, Warszawa 1963 (*The Adventures of Tom Sawyer*, Hartford 1876)

- Na przezwyciężenie lęków przed dorosłością oraz ponowne odkrycie w sobie dziecka.

Uwagi: Pojawiający się w powieści autorzy: Sanary (*Zorza południowa*), P.D. Olson oraz Max Jordan (*Noc*) są postaciami istniejącymi wyłącznie na kartach tej książki.

PODZIĘKOWANIA

Niniejsza powieść od chwili spisania pierwszych pomysłów (9 sierpnia 2010) do momentu oddania do druku przechodziła liczne stadia kwerendy, zwątpienia, pisania i usuwania tego, co zostało napisane, wielokrotnych przeróbek, a także radosnej kreatywności, w tym czasie nastąpiła również roczna przerwa spowodowana chorobą.

Na kształt powieści wpłynęły wszystkie osoby, które wspierały mnie podczas żmudnego procesu jej powstawania. Poza tym każdą książkę oferującą odrobinę sztuki, radości czytania, rozrywki oraz oczarowania tworzy najczęściej około dziesięciu fachowców (których obecność uchodzi uwagi czytelnika). Niektórych pragnę tu wymienić, innym – grafikom, dystrybutorom, działowi produkcji, korektorom – dziękuję z góry. Kultura to dzieło zbiorowe, a pisarz w pojedynkę nigdy nie osiągnie tak wiele bez wspierającego go zespołu. Do mnie należy wymyślenie zdania, opracowanie i spisanie fabuły, jednak o to, by dobrze i strawnie się ją czytało, musi zadbać cały zespół.

Ale również czytelnik. Ponieważ jeszcze w fazie pisania otrzymałam wiele wzruszających listów. Z myślą o ich niektórych nadawcach wplotłam do powieści kilka wątków-odpowiedzi.

Merci beaucoup...

... mojemu mężowi, pisarzowi J. Nie mogę niestety do końca zdradzić za co, ale ma to wiele wspólnego z jedzeniem, pocieszaniem i miłością. Oraz jego własną radością pisania, dzięki której wybacz mi, że wiecznie w codziennym życiu towarzyszą mi fikcyjne postaci i nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

... Hansowi-Peterowi, za jego trwającą rok cierpliwość.

... Adrianowi i Nane, którzy przez osiem miesięcy wypędzali masażem ból z mojego ciała, abym mogła siedzieć i pisać; Bernhardowi i Claudii, moim instruktorom „musztry” za „gimnastyczne tortury”.

... Angelice, za jej przyjaźń, tak przejrzystą i aktualną.

... pani K., wspaniałej korektorce, która nie tylko wstawia przecinki tam, gdzie należy, ale także dyscyplinuje moją kreatywną ortografię.

... Brigitte, uroczej gospodyni mojego gołębnika w Bonnieux, oraz Dédé, właścicielowi pensjonatu w Sanary-sur-Mer.

... Patricii, za zaufanie i pasję.

... palarni kawy Elbgold: *this book is powered by coffee*.

... Doris G., bo mogłam ukrywać się w jej ogrodzie przez wszystkie te tygodnie, kiedy pisałam pamiętnik Manon. Jego treść jest przeniknięta grzebaniem w wilgotnej ziemi.

Nade wszystko dziękuję mojej redaktorce Andrei Müller. To ona troszczy się o to, by dobre książki były jeszcze lepsze. Z równą determinacją zabija dłużyzny i zagęszcza miłosne wątki, stawia niebezpieczne pytania i chyba nigdy nie sypia. Fachowcy tacy jak ona sprawiają, że dobrzy pisarze stają się lepszymi narratorami.

*Nina George
styczeń 2013*

PS... podziękowania dla wszystkich księgarzy dbających o moje kolejne zachwyty. Z książką w ręce po prostu lepiej mi się oddycha.

